



Digitized by the Internet Archive
in 2025

ANASTAZJA — BENE NATI

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM V

ANASTAZJA BENE NATI



NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

ELIZA ORZESZKOWA

ANASTAZJA

BENE NATI



NAKŁAD I WŁASNOŚĆ GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

SKŁADY GŁÓWNE:

»THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.« NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI
1925

ANASTAZJA

zstąpiła z przerażonej myśli. Bije od niej dusza mocno czująca, gwałtownie przez twardą dłoń życia targnięta i narzędziami oczu zmartwionych patrząca w otchłań. Po marginesach dziennika błędzą cienie tych skrzydeł, na których dusza ta wzlatywała ku swemu niebu, i tych krzaków oszronionych, na które spadła. Są tam też krzywe dzioby ptaków drapieżnych, które, dobywając się z zarośli życia, wyświszczają pytania: — A co teraz będzie? Co poczniesz? Gdzie woda zapomnienia? Gdzie gałąź ratunku? Jak dalej żyć? Czem żyć? — Wszystkie te rzeczy i wiele innych jeszcze, w tym rysunku pana są — choć nie są — myślą artysty w postaci tę wetchnięte i oko widza, które myśl artysty zrozumieć jest zdolne, do siebie przykuwające.

Im dłużej trzymałam oko swe przykutem do postaci przez pana narysowanej, tem natarczywiej oblegały mię wspomnienia czegoś dawniej znanego, kogoś, niegdyś widywanego zbliżka. Zdarza się, że z toni przeszłości, czemś z zewnątrz dotkniętej, nim wyłonią się głosy i rysy, wychodzą echa i mgły. Widma to są zjawisk, które czas potopił w morzu zapomnienia. Na dnie topieli przecież zjawiska nie pomarły, tylko śpią i, tknięciem z zewnątrz obudzone, powstają zrazu echem i mgłą, a potem głosem, kolorem, kształtem. Rysunek pana, pełen wewnętrznych głębin, był tem tknięciem z zewnątrz, które zrazu z głębin moich wywołało widma. Do kogo podobna? Do kogoś dobrze mi niegdyś znanego podobna! Kędyś, u kogoś, widziałam takie same oczy, patrzące w otchłań, taką samą linję ust, przez bezbrzeżne zmartwienie wygiętą, włosy po ramionach i piersi tak samo spływające, ręce w zniechęceniu śmiertelnem na kolana opadłe. Kim ona była? Gdzie była? Jakby zboże złote na szerokich łąkach zaszumiało! Jakby lipowy kwiat zapachniał! Śliwki czarnym gradem posypały się z drzewa! Zabrzęczała szklana muzyczka staroświeckiej tabakierki, wygrywającej poloneza! Och! tak, tak! Już wiem! Pamiętam! To ona... to było tam!

W dzień jesienny, chmurny, błotny, nudny, w pokoju, za którego ścianami przewlekała się po świetle szarzyzna leniwa i mętna, otoczyły, ogarnęły, objęły mnie wokół pola szerokie, pola kwieciste, kłosiste, pola ukochane, bukietami brzoź i sosen na pagórkach usypane, w drogi i ścieżki, jak w białe wstążki ustrojone, pod sklepieniem turkusowem i wielkiem okiem słońca rozciągnięte nakształt kobierca złotego, wyhaftowanego we wzory i kolory kwieciste, kłosiste. Wśród spłowiałości powszechnej uderzyła mię w oczy pstra fala domostw, sadów, ubiorów ludzkich, podwórzy liljowych i białych od rozkwitłych stokroci i ślazów.

W cichości martwej usłyszałam gwary, toczące w sobie mowę praojców naszych, piękną, choć teraz już dziwną, krótką i dobitną, obrazową. Bezbrzeżne morze nudy zaległ i okrył tłum postaci, z pośród którego wystąpiła i wyosobniła się — ona, ta dziewczyna prosta — i nie prosta — którą pan, nie znając, odgadł, nie widząc, narysował. Przedziwne jasnowidzenie artysty, któremu nie stawiają zapór ani powierzchnie ciał, ani rozłogi przestrzeni! Tak, to jest ona, z rysami swemi i ze swoją duszą. Tylko, gdy ją znałam, miała już lat dwadzieścia i włosy daleko dłuższe...

Ja również tworzyłam niegdyś zamiar opisanie jej rysów, losów, duszy, razem z tłem, na którym poruszała się i była, ale życie, strumień wartki, porwał ją i uniósł w krainę niepamięci. Teraz usłyszałam szmer strumienia powracającego, który mi ją odnosił, ubraną w korale wspomnień i w srebrne dzwonki pieśni.

Pieśni bywają różne. Ptak wszelki śpiewa podług przyrodzenia swego: potężnie lub zcicha, z szumem płomienia, lub ze słodyczą miodowej patoki. Ale gdyby śpiewaków drobnych, polnych, cicho dzwoniących zabrakło, w wielkim chórze pociesycieli świata powstałaby pustka, w harfie, która ludziom przygrywa do życia, pękłaby struna, po której zapłakaliby drobni, polni, cisi...

O polnej, prostej — choć i nie prostej — dziewczynie popłynęła pieśń odpowiednia przyrodzeniu jej i memu, ale, że pan sprawił, iż popłynęła, o tem panu oznajmiam, a że rozjęły się szczypce, gaszące płomień ducha, i odjął się gwóźdź, przybijający do ziemi jego skrzydło — za to panu dziękuję.

Wnioski zaś z wydarzenia tego takie: nikt, czyniąc dzieło swoje, nie wie gdzie, kiedy, u kogo uderzy z dzieła tego grom i blask. Twórca powiada sobie niekiedy: — Biada mi! Ot uczyniłam wciąż, nie uczyniłam nic. Ścigając ideał sztuki mej, zaledwie część drogi ku niemu ubiegłam! Linją, czy barwą, czy słowem, śpiewem, a »któż jest na ziemi, ktoby serce chciał cieszyć pieśniami mojemi?« — Zwątpienie i zniechęcenie, to dwaj katowie, którzy twórcę wiodą na Golgotę. A tymczasem przez niego do życia wywołane i w pieśń zaklęte słowo, czy linja, czy barwa, czy kształt, lecą światem i sypią skry, z których wiele na nizinach jałowych, lub jadowitem zielskiem porosłych, marnie zginąć musi, ale i ta i owa dotknie po drodze ziarna, które zakielkuje, krzaku, który zakwitnie, westchnienia, które przemieni się w uśmiech, upadania, które podźwignie się do lotu. Rozpylona woda kryniczna i rozpylone wino wytryskują na szerokie obszary ludzkości z pod nielicznych rąk twórców, którzy ani wiedzą, ani zgadują, kędy padnie ta rosa i co sprawi. Męka to jest dla nich, bo prawie ni-

gdy nie podnoszą do ust tego dojrzałego owocu szczęścia, który daje pewna świadomość własnych siejb i żniw; rozkazem to jest dla nich, bo niwom spragnionym, kwiatom więdnącym, sercom mdlejącym, piersiom, które wzdychają, skrzydłom, które opadają, wody krynicznej i wina odmawiać im nie wolno, w imię braterstwa ludzkiego i Boga.

Za kroplę tej rosy, która w postaci »Anastazji« na mnie spadła, dziękując, dzieło to ołówka pana piórem swem ilustruję.

El. Orzeszkowa.

I.

Czerwone słońce sierpniowe służyło po niebie pogodnem za Niemen błękitny, za ciemny szlak boru, a tuż przy ostatnich domostwach Tuczyniec, na błoni przez trzody wydeptanem, odbywało się igrzysko niedzielne. Trzody też całe stamtąd nie zniknęły, lecz tylko zabawie ludzkiej miejsca ustępując, obrzeżyny błonia usiały plamami pstremi, gdzie też i mali pastuszkowie klaszali z batów, albo nie wiedzieć poco, hukali tak rozgłośnie, że się to hukanie rozchodziło po polu szerokiem, za błoniem wielką szmatą żółtości rozciągniętem, i nad którem leciały dźwięki muzyki, skocznie przygrywającej do tańca.

Bo i czemuż ludzie poweselićby się nie mieli, skoro niwy są pożęte, stodoły pełne, a głowy, choć i nie całkowicie od wszelakiego frasunku wolne, wszakoż w rozum swój, że podolać mu potrafi, dufające. Dwaj Tuczynowie na skrzypcach grają, jeden wtóruje im na basetli, a Franek Glinda (brat tej Ewki, która to oddawna i nieszczęśliwie w Mrukowym synu się kocha), za bęben porwawszy, wali weń co siły do taktu basetli i skrzypcom. Taka się z tego utworzyła muzyka wesola a huczna, że u obrzeżyn pola pastuszkowie porywają się za ręce i wśród pstrej trzody na bosych nogach kręcą się, jakby poszaleli, zaś słońcu to nieco tylko trza się przypatrzeć, aby ujrzeć, że na swej czerwonej twarzy ma ono usta szeroko od śmiechu rozciągnięte i, zda się, tuż, tuż z rozweselenia wielkiego zęby wyszczerzy.

Bo i kto mi to mówił, że na twarzy słonecznej maluje się zawsze albo weselość, albo smutek, albo gniew, albo tęsknota? A! pamiętam! Mówiła mi o tem nieraz Anastazja, z samotnej chaty, pod dzikimi gruszami, wśród pola stojącej. Kiedy, bywało, żar-

tem ją zapytam: »W jakim humorze jest dziś słońce?« — odpowiada: »Wesołe takie, że aż oczy mrużą się od jego blasku!« A przy słowach tych szare oczy jej w oprawie podłużnej same błyszczą jak kryształy, w którychby, igrając, łamały się promienie słoneczne, i wszystko w niej błyszczy i jaśniej: policzki jak róże, włosy jak złoto, zęby jak perły, usta jak mak polny, szkarłatny i rosą zwilżony.

Ale innym razem, o humor słońca zapytana, całę inaczej odpowiada: »Tęskne dziś słońce — mówi — takie tęskne i smętne, że choć pod ziemię wleźć!« I twarz jej własna cerą przypomina wówczas ziemię, oczy są przygasłe, a usta czerwoność i policzki świeżość swoją tracą.

Nieczęsto pewnie się zdarza, aby ktokolwiek, pod wpływem uczuć różnych, tak mienił się na twarzy, jak Anastazja, i dlatego też trudno na pewno powiedzieć: czy ładną ona jest, czy nie ładną? Jak czasem, jak kiedy; w zależności, można rzec nawet, że w niewolnictwie, to zostaje u poruszeń duszy, którą ma ona w sobie nad inne dusze wyraźniejszą, dziwniejszą, zawilszą. Ale potem o tem; teraz ta znawczyni humorów słonecznych dlatego na myśl mi przyszła, że słońce wydawało się wesołem i bawiło się wybornie, pospołu z bawiącą się gromadą ludzką.

Błonie rozległe jest, a wszakoż gromada ta, jakby jej miejsca brakowało, jakby odziedziczonym po pradziadach nawykiem do szanowania ziemi powodowana, tak ściśliwie dokoła muzykantów się stłoczyła, że aż boki ścierają się o boki, łokcie w tańcu podstawiane uderzają się o inne łokcie, że od ciasności wielkiej piersiom tchu nie stają, chociaż powietrze niepokalanie czyste czerpią ze zbiornika tak wielkiego, jak jest naokół wielkim widołokiem. Ale natłok, ciasność, duszność — to rzeczy zwyczajne, odpustowe i jarmarczne, w wieczory też zimowe doświadczane, bądź taneczne, bądź takie, gdy w świetlicach, szczelnie przed wichrem i mrozem zamkniętych, furczenia wrzecion okręcanych ścigają się i przeganiają z tonami śpiewanych pieśni.

Brzegiem ściśniętej gromady, pod rosochatami wierzbami, lub na świętych kłodach, które tu sobie ktoś zapewne w budowlanym celu jakimś przysposobił, zasiedli ludzie starsi, tańcom przypatrujący się tylko, gwarzący, w surdutach, kapotach, w obuwiu grubym, w czapkach zmiętych z daszkami, a gdzie niegdzie to i w wielkich baranich czapach, pośród których sporo też jest głów odkrytych, siwiejących, albo i całę już jak srebro lub mleko zbielejących. Sami to są Tuczynowie. Ze trzydziestu ich jest, albo

i więcej, samych ojców i gospodarzy tylko, a co zapytać którego, jak się nazywa, to odpowiada: »Tuczyna«.

Kilku Glindów tylko mieszało się tu jakoś, a i tym los nie posłużył dobrze, bo najubożsi są, najmniej znani, tak, że i dowiedziawszy się, iż są, rychle zapomnieć o tem można. A zresztą sami Tuczynowie. Jakże się tu pomiędzy takim mnóstwem jednakowo nazywających się ludzi rozpoznawać? Oto jak: przewiska swoje mają — podczas od ojców i dziadów w puściźnie otrzymane, o podczas osobistą jakąś przywarą czy cnotą, albo cielnym czy dusznym przymiotem nabyte.

Są tu tedy, pod wierzbami i na kłodach: Tuczyna Mruk, od ponurości twarzy i mrukliwego sposobu mówienia tak przezwany; Tuczyna Piszczalka, bo sam był, acz kościsty, od chudości przecie bardzo cienki, a głos miał jeszcze cieńszy i z pomiędzy długich obwisłych wąsów wydobywający się tonami piskliwemi; Kwiczół, że był człeczyną cherlawym i mazgajowatym, a przy ośmiorgu dzieciach momentu odetchnienia i uspokojenia nigdy niemającym; człowieczek, malutki wzrostem, ale rozum podobno bystry i zwłaszcza osobliwą zdolność do procesowania się z sąsiadami objawiający; Żelazny, który przezwisko to odziedziczył po przeddziadku, co w pancerzu rycerskim połowę życia przechodził; Burak, którego ród oddawien dawna odznaczał się zbytnią na twarzy czerwonością; Nawróciciel, który miał swadę piękną i zawsze ludzi na dobre drogi naprowadzać usiłował, którego też zazwyczaj wszyscy z największą uwagą słuchali — i wielu, a wielu jeszcze innych, w podobny sposób pomianowanych i poodznaczanych. Siedzą, stoją, gwarzą, miejscami to i takie rozprawy toczą, które tuż, tuż zamienić się mogą w kłótnie sąsiedzkie, podobne do rakiet, z wielkim trzaskiem wystrzeliwujących, aby wprędce z małym dymkiem siarczanym zagasnąć. Powaga tu panuje, rozmyśl, ale także przyczajona pod nimi popędliwość krwi i języków, które to wybuchają niekiedy rozgwarem głosów i rozmachem ramion, to znowu przycichają w napoly sennej, w napoly leniwej zadumie.

Ale gromada, dokoła muzykantów cisnąca się, wielce daleką jest od senności i lenistwa, od rozpraw i od zadumy. Nieco zdala ma ona pozór pstrego i ogromnego kłębka, który kręci się i wiruje, a w którego środku gra, kipi, grzmi, huczy i piszczy. Tuczynowie rzna na skrzypcach tak, że aż piszczy, Glinda wali w bęben tak, że aż grzmi, basetlista grubo pohukuje, a wszyscy razem w sposób taki tną od ucha kadryla cale osobliwego, bo tańczącym mężczyznom wciąż się wydaje, że to mazur lub kra-

kowiak, więc przytupują, hołubce wybijają i przyśpiewywać sobie do tańca próbują, a z dziewcząt znowu, to im wyżej i ciąglej która podskakuje, tem zgrabniejsza i lepiej rozumie się na tańcu.

Szafirowo, amarantowo, liljowo robi się w oczach od sukien dziewcząt, które, jak najmocniej wykrochmalone, w obrotach tancecznych szumią, chrzęszczą i szeleszczą; na płócienną odzież mężczyzn, szarą lub białą, kładną się czarne plamy tużurków, w które ubrali się eleganci. Błyszczą pot na zaczerwienionych od zmęczenia twarzach, błyszczą oczy, z za warg nieomkniętych, bo chwytających oddech, co ucieka, białością pereł połyskują zęby, w bujnych warkoczach wędną astry różowe, krwawią się szkarłatem jarzębinowe grona.

Krąży słowik w szumnym lesie,
Gałązek się czeplą...

Śmiech powszechny wybuchnął. Utrafiłże pan Ładysław, jak kulą w płot, przyśpiewką swoją w kontredans! Śpiewak skonfundowany umilkł, i hu! ha! kipi, skacze, przytupuje, balansuje dalej kontredans w kłębku pstrym i kręcącym się, jak wrzątek w zamkniętym garnku.

— Dzień dobry, pani!

— A! pan Apolinary Tuczyzna! Pan nie tańczy?

— Zadziwia mię, że zapytanie to z ust pani słyszę...

— Dlaczego?

— Bom nie zwykł mieszać się do zabaw tak prostackich i jużbym nawet swoim humorem w tę ich wesołość utrafić nie zdołał.

— W tak złym pan dziś humorze?

— Nie wiadomem mi jest, czy widowisko głupoty ludzkiej może komukolwiek humor wesołym uczynić.

— I owszem, to się zdarza. Ale w czemże pan tu głupotę upatruje?

— A choćby w tem, że ludzie, tak, jak oni, nisko na świecie stojący, weselić się mogą. Bo i cóż do radości skłaniającego w życiu ich znaleźć można? Czy im niebo do stóp zstępuje, aby mieli przyczynę śmiać się i skakać? Mękę tylko, ugryzienie, a także i poniżenie ja w ich położeniu na tym świecie upatruję, nic innego.

Dość osobliwie brzmiała ta pesymistyczna nuta na tem błoni zielonem, kipiącem od skocznej muzyki i tańca, szeroko rozciągniętem pod jasnym okiem słońca. Ale i osoba pesymisty zostawała także z całym swym otoczeniem w sprzeczności uderza-

jącej. Młody, zgrabny, po miejsku wystrojony, w błyszczącym obuwiu, czarnym tużurku i krawacie ognistej barwy, na fantastyczną kokardę związanym, miał na szyi binokle w rogowej oprawie, od których jedwabny sznurek ruchem niedbałym niekiedy dokoła palca okręcał. Z rysami, których delikatne linje ładnie uwypuklały się pod lekką śniadością cery, z dużemi oczyma, w których jaśniał i płonął gorący szafir młodości, p. Apolinary Tuczyna byłby młodzieńcem zupełnie pięknym, gdyby postać jego, z natury kształtna, nie wykręcała się i nie wyginała co chwila w sposoby różne i osobliwe. To na dwóch nogach, bardzo starannie ustawionych, stał, to na jednej, drugą nie wiedzieć dla czego wysoko podkurczając; to szyję z ognistego krawata wyciągał, półkoliste ruchy nie wiedzieć poco nią wykonywając; to górną połowę ciała wykręcał w kierunku wcale przeciwnym temu, w jakim się znajdowała niższa jego połowa. Było to właściwie przybieraniem póz rozmaitych: myślących, dumnych, niedbałych, eleganckich, najwięcej tych ostatnich.

— Więc w miejsku rodzinnem i pomiędzy swoimi tak źle jest panu i smutno?

— Zadziwia mię, że pytanie to z ust pani słyżę. Bo żeby, na przykład, słowika pomiędzy koguty wpuścić, czy mógłby on w sercu swoim bardzo za to dziękować?

— To prawda, albo pawia pomiędzy indyki...

Zaśmiał się, ale oczy mu spochmurniały: znaczenie żartu zrozumiał. Po chwili jednak, z wielką pewnością siebie odpowiedział:

— Albo i pawia, w błyszczące pióra przybranego, pomiędzy indyki, ptaki pospolite i bez ozdób, ani przykrasak nijakich! A co już pewno, to, że kiedy człowiek, za jakąś pokutę, jak żaba urodzi się w błocie, to już w niem wiecznie siedzieć powinien i nie podlatywać wcale, lub raz podleciawszy, nigdy do niego nie powracać!

Przy tych słowach piękne swe szafirowe oczy, z marzącą zadumą, w kominie domostwa najbliższego utkwiał.

— Wyleciałem ja był stąd, — mówił — jak ptak wolności żądający, daleko i wysoko. Dziesięć lat prawie mnie tu nie było. Świata widziałem wiele, a na nim różnych bogactw i piękności napatrzywszy się, oczy, pełne ich, tu z sobą przyniosłem, i trudno już, aby mogły one z upodobaniem na takie oto igrzyska spoglądać. Kiedy na Wołyniu u pana hrabiego Oresteckiego służyłem, nie raz, ale może i dwadzieścia razy, widziałem, jak panowie w pałacach tańczą.

— I cóż pan tam więcej na dalekim świecie widział?

— Com widział? Łatwiej przyszloby wyliczyć to, czegom nie widział. Wszystko widziałem. Widziałem palace i dwory wielkie, arystokrację i inteligencję, jak weselą się i jak pracują, jak na wysokie góry wspinają się, albo też z wysokich gór spadają. Panny hrabianki przy mnie z Paryża, gdzie na edukacji były, do domu popowracały, starsza, Marjeta, wpierw, a młodsza, Henrjeta, nieco później. Panna Marjeta niezbyt ładna jest, ale panna Henrjeta cud piękności. Kiedy z Paryża powracała, jak raz my wszyscy oficjaliści u pana hrabiego na konferencji byliśmy, więc widząc ją z karety wysiadającą, a małośmy szyb w oknach gabinetu pańskiego nie porozbijali, tyle pragnął każdy tej cudnie pięknej pannie się przypatrzeć. To już mi teraz po takich widokach za tutejszemi pannami oczy nie gonią.

— Czemuż pan dłużej tam nie pozostał, gdzie tak dobrze było? Zmarszczył czoło i binokle na nos zarzucił.

— Właściwością to jest człowieka, — rzekł — iż ciągle wyżej na górę chce wstępować. Dobrze mi u pana hrabiego było, ale na świecie bywają położenia jeszcze lepsze. Po lepszosc do wielkiego miasta się udałem...

— A tam czego?

— Był taki pan, który mię z sobą namówił. W fabryce pewnej miałem różne czynności pełnić...

— I cóż się stało?

— A nic: nie upodobałem się tam, i mnie się tamtejsze porządki nie upodobały, więc pojechałem szczęścia szukać...

— Czy znalazł je pan?

— Nie. Czy wie pani, że nigdzie prawdziwego dobra nie znalazłem. Na całym świecie nie jest tak, jak być powinno.

— Czy ładne panienki kochać pana nie chciały?

Z marszem na czoło, ręką gest wzgardliwy uczynił.

— O panienki bynajmniej! Tego dobra to i niechący nabierzesz się tyle, że otrząść się z niego rady nie dasz. Ale co to jest, że wszędy a wszędy, czy to po miastach, czy to po wsiach, czy blisko stąd, czy daleko, jedni ludzie rozkazują i igrają, a drudzy słuchać i harować muszą...

— A według pana wszyscy powinni rozkazywać i igrać?

Krokiem wtył się cofnął.

— Zdziwiał mię... — zaczął, ale poprawił się — pani żartuje! Już i wpierw uważałem, że pani nie jeden raz zażartowała sobie ze mnie, ale za honor to sobie mam, bo kto z kim żartuje, ten go za równego sobie poczytuje. A co do tego, o czem mó-

wienie było, to gdyby wszyscy ludzie na świecie rozkazywali, nie byłoby komu rozkazów słuchać, i gdyby wszyscy igrali, nie byłoby czego jeść. Ale w tem drzewie taki jest sęk, iż trza, aby rozkazywali tacy, którzy najwięcej rozumu mają, a słuchanie i harowanie pozostawione być powinno głupim i ciemnym, ot — takim!

Tu tańczącą gromadę wskazał i w taki sposób na nią patrzył, jakby dziwił się temu, że ona igra, nie zaś haruje poto, aby ci, którzy najwięcej rozumu mają, więc przedewszystkiem i on sam, swobodnie igrać mogli.

Potem mówił dalej:

— I noga moja tutajby nie powstała, gdyby nie to, że z ojcowizny nieco jeszcze pieniędzy od braci mi się należy, i że je odebrawszy, łatwiejszemi drogami pod górę pójdę. Ale widać, że na tym świecie nawet własność swoją z goryczą i smętkiem dobywać trzeba, bo oto już trzeci miesiąc tutaj siedzę, nic dotychczas wysiedzieć nie mogąc. »Czekaj do żniw« — mówią; a po żniwach: »Czekaj, aż wymłócimy«; a po wymłóceniu: »Czekaj, aż sprzedamy«. A tam tymczasem pan Rudner fabrykę już rozpoczął i pisze a pisze do mnie, abym co prędzej na pomoc mu przybywał.

— Jakąż to fabrykę p. Rudner rozpoczął?

— Korkownię założył, a lepiej mówiąc: ja i on na spółkę — śmy ją założyli.

— Czy tylko przedsięwzięcie to jest pewne?

Zaśmiał się ironicznie.

— Pan Rudner do inteligencji należy, naukę i doświadczenie ma, a ja przy nim jako równy obok równego stanąłem. W przyjaźni z sobą żyjemy i razem pod górę będziemy iść. A takie zamiary i widoki przed sobą mając, nie miód mi siedzieć tu tak długo i na robaczywe życie prostactwa tego patrzeć...

— Ludzie tu źli nie są...

— Co po dobroci, kiedy rozumu niema?

— Ależ oni i głupi nie są wcale...

— Dobroci serca pani zdanie to przypisuję, bo nie zdaje mi się to do prawdy podobnem, aby kret, wiecznie w ziemi siedzący, mógł ślepym nie zostać...

Spróbowałam innego sposobu pocieszania:

— Jaką prześliczną pogodę dziś mamy! Słońce tak wesoło za Niemen i bór zachodzi!

Skrzywił się pogardliwie i odrzekł:

— Słońce nie osobliwa rzecz: codzień świeci. A przytem, dla mnie to tak: kiedym sam wesół, to i słońce wesołe, a kiedym smutny, to i ono smutne,

I on więc tak, jak Anastazja z samotnej chaty, znalazł się na humorach słońca! O, biedna Naściu, pocóż to podobieństwo, w tego ładnego chłopca wcielone, na drodze twej stańło?

— Czy jest tu w gronie tańczących panna Anastazja Tuczynówna?

Powiódł wzrokiem po pstrej gromadzie?

— Wątpliwość! Panna Anastazja do tańców i igrzysk tu-tejszych, zarówno jak i ja, nigdy nie należy.

Znowu tedy podobieństwo! Biedna Naściu, ze złotemi włosy i szaremi, przezroczystymi jak kryształ oczyma!

— Czy panna Anastazja jest krewną pana?

— Bardzo daleką. Ale my z sobą w przyjaźni żyjemy, ponieważ jedyna osoba to jest, z którą tu czasem miłą chwilę przepędzić można. Dziadunio jej, pan Cyrjak, dużo rozumu ze świata z sobą przyniósł i bogaty też jest, najwięcej ze wszystkich tutaj-szych ludzi pieniędzy posiada. Z nimi też ja najczęstsze chwile tu przepędzam, więcej z nikim. A co się tyczy pokrewieństwa, to prawdziwych krewnych ja tu wcale nie mam, oprócz dwóch braci, i to tylko przypadkowo.

— Jakto? Bracia pańscy przypadkowo tylko są pańskimi braćmi?

— Zadziwia mię, że pani odrazu myśli mojej nie pojęła. Można, zdaje mi się, urodzić się czymś bratem, a więcej jeszcze od obcych obcym dla niego zostawać. Przypadek to jest, od którego i wszystko insze na tym świecie zależy. Przypadek — mocarz wielki. On, nie kto inny, światem rządzi, i o tem, zdaje mi się, wątpienia być nie może...

— Ja wątpię o tem — rzekłam i... odeszłam.

Odeszłam ścieżkami, które jak białe wstążki wiły się w zielonych trawach od domostwa do domostwa tej dużej wsi szlacheckiej, filuterne, kapryśne, tu biegnąc pod rozłożystymi gałęziami śliwowych i wiśniowych sadów, tam skręcając za płot lub ścianę, owdzie wynurzając się z gęstych warzyw i okrążając podwórko od kwiatów jesiennych całe liljowe i białe, aby niezliczone jeszcze razy ukazywać się i ginać, biec ku Niemnowi, który z za drzew i domostw błękitem poblyskuje, to ku drodze szerokiej, która szlakiem białym dąży poprzez pola żółte, od wsi, ku skłonowi nieba. Ścieżki takie napozór tylko są nieme, a w istocie posiadają głos, raczej szept, równo z trawami płynący, którym do postępującego niemi człowieka wołają: »Pójdź za mną! pójdź za mną!« Dnia tego ścieżki przemawiały tu tem wyraźniej, że żadnych prawie innych głosów słyhać nie było. Ludność wy-

legła na blonie, tu niekiedy zagdakały kury, spętany koń zarżał w sadzie, za ścianą niemowlę zapłakało, w krzakach zaświergotały wróble, a zresztą — cichość. W cichości, gdy ścieżka figlarka od płotu jednego domostwa skręcała za ścianę innego, wyraźnie doszły mię półgłosem i z żarliwością wielką wymawiane słowa psalmu:

»...Ale od wieku litość Twoja słynie,
I pierwaj świat zaginie,
Nim Ty wzgardzisz pokornym...«

Przed domostwem porządnie wyglądającym i dość obszernem, na ganku z dwoma słupkami, wysoki i barczysty starzec w ciemnej kapocie modlił się z rozłożonej na kolanach książki. Głowę nieco wylisiała i czoło wysokie, zmarszczkami zorane nad książką pochylał, a z pod brwi krzaczystych, od wyteżonej uwagi ściągniętych, świeciły mu szkła okularów. To pan Cyrjak Tuczyzna, stryjeczny dziadunio Anastazji, którego ona jakby najrodzajszego miłuje. Przewiska nie posiada on żadnego, tylko, że z wysokim wzrostem swym, wielkiem czołem i krzaczystymi brwiami wygląda poważnie, a z sąsiadami i krewnymi mało się poufali, do imienia jego tak dalece przyrósł tytuł: pan, że nikt, aż do najinniejszego dziecka, bez tego tytułu imienia jego nie wymawia. Nikt też nie wąpi, że jest to człek i rozumny i pieniądze, a wielu też o przeszłości jego, kędyś na dalekim świecie spędzonej, z wielkim szacunkiem mówi. Teraz, gdy wróble w gruszy nad samą głową mu ćwierkają, a promyk zachodzącego słońca czerwona iskrą migocze po siwych włosach, pan Cyrjak, wielkie czoło nad książką pochylając, z żarliwością, prawie głośno, językiem Kochanowskiego wymawia słowa psalmu:

»Wielkie przed Tobą są występki moje,
Lecz miłosierdzie Twoje
Przewyższa wszystkie złości...«

Wielkie miłosierdzie, pod postacią ciszy niezmaconej i ukośnych smug słonecznego światła, słało się po niedużym cmentarzu, o lesisty pagórek opartym. Zdala już widać, jak pośród sosen, pod smugami światła i cieni, naksztalt fal wodnych wzdyma się i opada trawa, a każda fala ma nad sobą krzyż wyższy, lub niższy, niekiedy szary kamień polny z napisem wyżłobionym ręką niewprawną. Cmentarz wieśniaczy, nieduży, na skłonie pagórka śpiący w ciszy wiekuistej, którą mącą tylko śpiewy skowronków, lub jęki puhaczów, szumy ulew letnich, lub grzmoty jesiennych wichrów.

W borku za cmentarzem wówczas właśnie rdzewiały pa-

procie, i wielkie chabry rozwijały w pełni swe rozczochrane korony. Znowu więc ścieżkami, dokoła mogił wydeptanemi, okrążając sosny wysmukłe, brzozy białe i krzaki róż dzikich, czerwoną rosą bujnych jagód pokropione, szłam ku borkowi, gdy pośród drzew i krzaków ujrzałam równie jak jagoda dzikiej róży czerwoną odzież kobiecą. Była to nie suknia cała, lecz tylko bluzka, której kolor jaskrawy łagodziło rozsypane po niej złoto włosów, długich do pasa, ciężkich, lśniących, prześlicznych.

W tem ubraniu i z temi rozpuszczonemi włosami Anastazja siedziała na kamieniu grobowym, łokcie na kolanach, a twarz na obu dłoniach opierając w taki sposób, że widać było tylko oczy jej, srebrnemi i aż do dna przejrzystemi źrenicami kędyś daleko zapatrzone. Na czoło zaś, na ręce, na ramiona, opadały jej ciężkie, złote włosy. Była tak zamyślona, że choć kilka razy zawołałam na nią po imieniu, nie usłyszała, a gdy nakoniec usłyszała, tak przelekła się, że aż drgnęła.

— O, Jezu! Skądże się pani tu wzięła? Żywego ducha wprzód tu nie było!

Nie wydawała się wcale ucieszoną i uciechy nie udawała. Usta miała smutne i pręgę cienkiej zmarszczki na białem i kształtnem czole.

— I dobrze było? nieprawdaż? — zapytałam, tuż przy niej na kamieniu grobowym siadając.

Grzecznie usuwając się, abym wygodniej obok niej usiąść mogła, bez uśmiechu przecie odpowiedziała:

— Prawda! Milczącość tu panowała taka, że tylko duchy zmarłych z sobą szeptały...

I zaraz poprawiła się:

— Ja wiem, że to liście na drzewach szeleszczą, ale podczas wydaje mi się, że one różnemi głosami różne słowa do siebie wymawiają... jakby duchy, z mogił wyleciawszy, w złotem powietrzu igrały...

Z plecami nieco przygarbionemi i rękoma leżącemi na kolanach, miała pozór nieco skurczony, zadumany i posępny.

— Czy dawno już tu siedzisz?

— Dawno; może już godzin ze trzy. Do babuni przyszłam, pomodliłam się, a potem już nijak odejść stąd nie mogłam. Niedziela dziś: to czy tu siedzieć, czy gdzie indziej, wszystko jedno.

— A tu lepiej, niż gdzie indziej?

— Lepiej.

— A tam, na igrzysku, bawią się, grają, tańczą...

— Niech bawią się i tańczą zdrowi. Ja wolę tu, przy babuni i w cichości.

— Nie możesz jeszcze o kochanej babuni swojej zapomnieć? Oczy jej, wdał zapatrzone, łzami nabiegły.

— Nijak nie mogę. Dobrze pani powiedziała: kochanej! Tam na igrzysku huczność jest i weselość, a tu miłowanie moje w cichości mogilnej spi. Ja miłowania mało w życiu swoim poznałam, to i wolę choć na mogiłę po nie przychodzić, niż na igrzysko po weselość.

— To możebyś wołała znowu tu sama zupełnie pozostać? Pójdę do borku po paprocie...

Schyliła się i bez uśmiechu, ale serdecznie, w rękę mię pocałowała.

— Niech pani ostanie — poprosiła — ja z panią rozmawiać, i owszem, bardzo lubię.

— A towarzystwa innych ludzi nie lubisz?

Schmurzyła się więcej jeszcze, pręga zmarszczki na białem czole stała się wyraźniejszą.

— Nie lubię! — rzekła. — Weselości ich zwłaszcza, hałasów i krzyków nie lubię.

Dość długo milczałyśmy obie, poczem łagodnie rzekłam:

— A Pan Jezus zabronił ludzi nie lubić.

Nisko pochyliła głowę.

— Ja to wiem — szepnęła — i grzechu boję się... Ale serca zmusić nie mogę... Mnie tylko z dziaduniem, czasem z panią, a najwięcej już samej jednej, miło i dobrze być może... Ja wiem, że tak nie trza, że Pan Jezus wszystkich miłować rozkazał, i to taka męka jest w grzechu czuć się, a za nic poprawy osiągnąć nad sobą nie móc...

Nisko pochyliła głowę i, obu rękoma włosów sobie na twarz nagarnawszy, całą ją w nich ukryła. Po kilku minutach dopiero, twarzy nie odkrywając, mówiła znowu, ale tak cicho, że ledwie dosłyszeć ją mogłam:

— Osobliwie dni niektóre przychodzą na mnie takie, że milczacość mi najmiłsza, i w gluche lasy szłabym, w puste pola, byle tylko sama jedna ostać, i byle mię nikt żadnym głosem, ani nawet pojrzeniem nie tykał... Wtenczas, jak tylko oczy zamknę, to widzę przed sobą drogi, daleko, daleko idące i gdzieś się przepadające za borami ciemnymi, za górami wysokimi, za pałacami jakimiś, co dachy mają o same niebo oparte, za kościołami wysokimi, na których krzyże złotne, jako słońca w błękitnościach niebieskich gorzeją... Wtenczas też i słyszę takie rzeczy różne, któ-

rych całe dokola mnie niema: to deszczyki majowe, padając, cicho szemrzą, to kukawka gdzieś daleko odzywa się: »Chodź! chodź! chodź!« to dzwony kościelne w powietrzu grają, tak tęskno grają, tak wołają, tak podczas narzekają i płaczą, że szlabym, szlabym, szlabym do tych kościołów wysokich, ze złotem jak słońca krzyżami, i cały świat opuściwszy, pozostawiałym w nich sama jedna, wśród białych jak śnieg ołtarzy, w cichości... i żeby tylko podczas organy się ozwały...

Słowa jej roztopiły się w szepcie, a potem umilkła, i wszystko dokola nas milczało, tylko na sfaldowane trawy kładły się coraz dłuższe, ukośne smugi światel i cieni, a wśród brzoź i sosen »duchy zmarłych, w złotnem powietrzu, igrały z cichym szelestem«.

Przerywając długie milczenie, ozwałam się:

— Idąc tu, widziałam twego dziadunia, siedzącego na ganku, i słyszałam, jak modlił się głośno...

Odjęła od twarzy ręce i włosy.

— Dziaduńko mój złoty! Niedawno jeszcze nazwyczajenia takiego nabral, że głośno modlitwy odmawia. A co odmawiał, kiedy pani tamtędy przechodziła?

»Ale od wieków litość Twoja słynie,
I pierwiej świat zaginie,
Nim Ty wzgardzisz pokornym...«

Wstrząsnęła potakująco głową.

— Wiem, wiem! Ja to już i na pamięć tę modlitwę umiem...

— Na pamięć?

— Pani nie wierzy? Dla jakiej przyczyny? My przecie z dziaduńkiem te wszystkie książki, które u niego są, niewiadomo ile razy poprzeciżywali. To on czyta głośno, to ja, częściej ja, niż on, bo oczy mu niebardzo już służą, i nawet przez okulary długo czytać nie zdoła. To też podczas i nazywa mię dziaduńko: »Oczy moje!« Jak tylko chce, abym mu przeczytała, zaraz woła: »Oczy moje! a chodźcie-no tu, oczy moje!« Czytam mu też i, całe nie zamierzając, niektórych rzeczy na pamięć się uczę. Niech pani posłucha!

Ożywiła się, oczy jej srebrnie rozbłysły i z rękoma na kolanach, z włosami opływającemi ramiona, szyję i policzki, z wolna mówić zaczęła:

»Patrzaj, jako śnieg po górach się bieli,
Wiatry z północy wstają,
Jeziora się ścinają,
Żórawie, czując zimę, precz lecieli...
Po chwili wiosna przyjdzie,
Ten śnieg znienagła zyjdzie,

A ziemia, skoro słońce ją zagrzeje,
W rozliczne barwy znowu się odzieje.
Nic wiecznego na świecie,
Radość się z troską plecie...»

Nie dziw, że wiersze dawnego mistrza powtarzała wiernie, czysto, bez skazy, gdyż powszednia mowa jej i jej bliskich zachowała brzmienia i zwroty, któremi posługiwali się dawni przodkowie.

Ale tu, na krawędzi boru, pełnego już zmroków i tajemniczych szelestów, w światłach pośród sosen i róż dzikich konających, piękne te dźwięki na zaczerwienionych ustach dziewczyny wydawały się śpiewem słowika, który z odległych krain przeszłości zleciał nad wiejskie mogiły.

— Późno już, Naściu. Możeby do domu?

— Ej, nie. Ja tutaj długo jeszcze ostanę.

— Tak lubisz to miejsce?

— Bardzo lubię. Do babuni mię tu coś ciągnie, a jak przyjdę, to już odejść trudno. Nic dziwnego, że ciągnie. Jak ten ptak, co urodzi się w pustym gnieździe, ja rosłam, jak to drzewo, które chyba wiatr, światem lecący, kiedy niekiedy pogłaszcze, i tylko dwoje tych starenkich przy mnie było, od złych ludzi mnie broniło... całe miłowanie, jakie na tym świecie miałam, od nich tylko miałam... a od inszych samą tylko nienawiść i chęć ukrzywdzenia... Pani wie, jak to było...

— Wiem.

Odchodziłam, a Anastazja, do bramki cmentarza mię odprawdzając, po chwili wahania się, zaczęła:

— Pani przypatrywała się igrzysku?

— Przypatrywałam się.

— Dużo tam ludzi jest?

— Wszyscy tam są.

— I mężczyźni wszyscy?

Gdy pytania te zadawała, rumieniec to oblegał jej twarz, to znikał, to znowu powracał. Krążyła widocznie około pytania jakiegoś, które trudno jej było wymówić.

— Nie wiem, czy mężczyźni są tam wszyscy; może jaki jeden i drugi w domu pozostał...

— Ale z młodych, to pewno nikt w domu nie ośtał...

— I ja tak myślę.

— Choć to niektórzy są nietańczący, to poco im iść na igrzysko?

Coraz więcej zbliżałyśmy się do ognia.

— Alboż tu u was jest ktokolwiek z młodych, oprócz ciebie jednej, nie tańczący?

— Jest — szepnęła.

— A któż to taki?

Ogień.

— Pan Apolinary! — odszepnęła i od brzegu złotych włosów po obejmujący szyję brzeg czerwonej bluzki ogniem zapłonęła.

— Pan Apolinary jest tam także.

— Może tańczy? — zapytała, i znowu cieniutka pręga ukazała się jej na czole.

— Ani o tem myśli. Stoi nauboczu i uskarża się na świat i ludzi.

Wstrząsnęła głową.

— On pośród ludzi uciechy nie znajduje, bo jest od nich inszy...

— Jakież on jest i dlaczego inszy?

Stałyśmy przy samej bramce cmentarza, pod rozłożystą topolą, w której o zapadającym zmroku wiatr szumieć począł. Anastazja z nisko schyloną twarzą mówić zaczęła szeptem, od cięgo szumu drzewa cichszym.

— Cale inszy jest, taki polerowany, miły i górnie myślący... jego myśli, jak ptaki, wysoko lecą... on nie może tak, jak tutaj wszyscy, o tem jednym tylko myśleć, aby posiać, zżąć i zjeść, a na drugi rok znowu posiać, zżąć i zjeść... i tak ciągle aż do samej śmierci... On taki... taki...

Gęstwinę włosów obu rękoma na twarz nagarniając, więcej westchnęła, niż wyszeptwała:

— Taki... śliczny!

Niemiec powiedziałby, że tu właśnie, przy ostatnim wyrazie, znajduje się miejsce, na którym »pies jest pogrzebany«. Śliczny! Było to prawdą. Pan Apolinary był bardzo ładnym chłopcem.

— Czy z dziaduniem mówiłaś o tem?

— Przed dziaduniem ja tajemnic nie mam nijakich.

— I cóż?

— Dziadunio wątpienie okazuje, czy on jest dobry... ale dziadunio... stareńki już... niedowidzi!

Tu nagłym ruchem rzuciła się ku mnie i, obu ramionami mię objawszy, głowę do piersi mi tuląc, wybuchnęła płaczem rzewnym, namiętym. Wśród łkań mówiła:

— Co ja uczynię? I cóż ja uczynię, kiedy na dolę czy nie-dolę swoją upodobałam go sobie nad życie... kiedy on dla mnie

to samo co słońce... co dzień cudny... co śpiewanie słowika najpiękniejsze...

— Więc sama myślisz, że może na niedolę...

— A bo nie wiem i nijak dowiedzieć się nie mogę... czy... czy on mnie miłuje...

O to więc tylko szło: czy miłuje? Tylko. Więcej o nic. O, duchy lotne, duchy czyste, wyobraźnią i tęsknotą po drogach w mgliste oddale biegnące, wśród ołtarzy jako śnieg białych błędzące, jakże podstępne a mocne więcierze zastawia na was ulepiona w kształt piękny materia!

Może i miłował, gdyż z cmentarza wracając, na ścieżce pośród łąki rozminęłam się z idącym ku cmentarzowi p. Apolinarym. Niepodobna było przypuszczać, aby doświadczał on chęci odwiedzania umarłych, musiał więc domyslać się, że kogoś z żyjących tam znajdzie. Zdaleka już zobaczyłam ognik jego papierosa i poznałam go po zgrabnym chodzie. Sylwetka jego zarysowała się na tle zmroku w liniach zgrabnych i kształtnych. Gdy, rozmijając się ze mną, składał mi grzeczny ukłon, ręka jego, podnosząc się do czapki, błysnęła białością, jakiej we wsi tej żadna inna ręka nie miała najpewniej.

— Pani nawiedzała umarłych — odezwał się przystając — a i ja również nawiedzić ich idę...

— Pan Apolinary nie lęka się wśród ciemności na cmentarzu się znaleźć?

Zaśmiał się z uczuciem wyższości i lekceważenia.

— A czegobym miał się lękać? Ciemnota tylko mniemać może, iż umarli okazywać się, albo jakimkolwiek sposobem innym objawiać się mogą. Dla mnie zaś oddawna jest wiadomem, że człowiek a pies to wszystko jedno: jak umrze, to zakopią go do ziemi, i tak, jak po psie, nic po nim nie ostanie.

— Czy pan Apolinary jest tego zupełnie pewny?

— Jestem tego tak całę pewny, jak własnego rozumu, który mi to powiedział.

— Rozum podczas prawdy umie nie widzieć i nieprawdę mówić!

— Zadziwia mnie, że z ust pani...

Końca zdania nie usłyszałam, szybko oddalając się rosną pośród łąki ścieżką ku biejącej zdale szerokiej drodze polnej.

II.

Był to domek niewielki, niedawno zbudowany, więc ze ścianami jeszcze żółtawemi i z jasnymi szybami w oknach. Przed oknami i gankiem, na dwóch słupach opartym, kwitły floksy, astry, wielkie malwy, georginje. Podobne lub zupełnie takie same okna, ganki i kwiaty posiadały prawie wszystkie domostwa tej okolicy szlacheckiej, a domek Anastazji tem się tylko wyróżniał, że stał zdaleka od okolicy, nauboczu, w samotności zupełnej, prawie w nagim polu. Prawie, gdyż ten, kto go budował, skorzystał z rosnących w tem miejscu dwu rozłożystych grusz dzikich i z gęstego półkola berberysowych zarośli. Grusze zarzucały na dach domku gałęzie w tej porze roku obficie drobnym owocem osypane, a berberysy, w zielony półokrąg podwórko obejmując, stały całe w gronach czerwonych jagód. Dokoła pole było, samo tylko pole żółte lub świeżo zorane, a przez nie, do wsi tak oddalonej, że rzadki odgłos mógł tu od niej dolecieć, szła droga wąska i z pod berberysów wywijało się kilka ścieżyn. Domku tego, jako też żyznej ziemi, która go otaczała, Anastazja była jedyną właścicielką i dziedziczką. Była »aktorką«, czyli posiadaczką aktów, zapewniających jej prawo własności do pozostałego po ojcu dziedzictwa, była bogatą panną, najlepszą w całej okolicy partją. Ale wszystkie dobra te i zaszczyty z łatwością jej nie przyszły, stoczyła o nie przed kilku laty walkę, w którejby pewnie zwyciężoną była, gdyby z pomocą jej nie przybył pan Cyrjak.

Zaczęło się od tego, że matkę Anastazja utraciła w godzinie przyścia swego na świat, a w kilka lat potem i ojciec jej zmarł także. Wówczas to, wnet po wyniesieniu z chaty zwłok zmarłego, wniósł się do niej z całą rodziną i ze wszystkimi graktami swemi jeden z jej stryjów, Walerjan, dla gniewliwości i ponurości charakteru swego Mrukiem przezwany. Nie dziw może, iż był ponury, bo pomimo pracowitości gorliwej i braku wszelkich nałogów, czy upodobań dla majątku szkodliwych, nie wiodło mu się w życiu; gospodarstwo miał liche, długów nieco, i domek ciasny, okopcony, rozwalający się niemal od starości. To też do obszernego i dostatniego domostwa, po zmarłym bracie pozostałego, przenosił się z pośpiechem nadzwyczajnym, z gwałtem do szaleństwa wielce podobnym, krzykiem i przykładem zmaglając żonę i dzieci, aby w godzinę, w minutę, w jeden mig, wszystko, co trzeba, przenieśli i przewieźli.

Zaledwie wszakoż przenosiny te były uskutecznione, do

światlicy, w której nowi mieszkańcy jeszcze około ustawiania gratów się krzatali, wpadł drugi stryj Anastazji, Dominik, z powodu kościstej i wysokiej figury swej, a więcej jeszcze lamentów, nieustannie cieniem głosem wypowiedanych, przezwisko Piszczalki noszący. Z krzykiem tem przeraźliwszym, że miał brzmienie najcieńszych tonów fletu lub pastuszej dudki, Piszczalka jął bratu pośpiech jego wyrzucać, dowodząc, że on to właśnie, jako najstarszy, a zwłaszcza najuboższy z braci, dom po zmarłym dziadzić ma prawo, że polem i gospodarstwem podzielią się kiedyś, ale dom, ze wszystkim, co w nim się znajduje, on natychmiast posiąść powinien, jakoż i posiadzie, a zbyt pośpiesznego Walerjana wygna z niego razem z żoną i dzieciakami, które to ostatnie w dodatku obije, graty ich na drobne drzazgi pokruszywszy. Tak wniebogłose piszczął, wasy konopiaste i obwisłe targając albo pięściami zaciśniętymi bratu grożąc, Tuczyzna Piszczalka, ale Tuczyzna Mruk też obstawać przy swoim umiał, nigdy nikomu w ubligach dłużnym nie ostawał, cóż dopiero teraz, kiedy szło o rzeczy tak niesłychanie ważne, o cały, rzecz można, los jego i jego dzieci! Więc na cienie pischczenie brata grubym basem odpowiadał, że wprzód skona, aniżeli stąd ustąpi, że na progu tej chaty razem z całym plemieniem swem legnie, i kto inny chyba po trupach ich do niej wejdzie, że brat Dominik ubogim jest dlatego, że do pracy nigdy skorym nie bywał, a on, który pracą a troską ręce sobie guzami i serce krwawymi ranami okrył, próżnującym leniwcem do dziedzictwa nieboszczykowego wstępować nie pozwoli i polem, ani gospodarstwem nawet dzielić się nie myśli, tylko tyle, ile i kiedy mu się będzie podobało i według własnego jedynie postanowienia i zarządzenia. Jakto? Polem i gospodarstwem nawet krzywdziciel ten dzielić się natychmiast nie zamierzał! Tego było już za wiele! Usłyszawszy to, do sprawy wmieszały się i kobiety, a gdy tylko one się wmieszały, dwaj bracia ku czuprynom swym ręce podnieśli, przyczem Tuczyzna Mruk, barczysty i w sobie skupiony, nad długim i cieniem bratem zwycięstwo odnosił, Tuczyzna Piszczalka piszczął i skwierczał jak tysiące naraz duszonych szczurów, a tęga w ciele i rumiana na twarzy Piszczalkowa, ztyłu szwagra zaszedłszy, miotłą po plecach go waliła, w zapalczywości swej ani bacząc, że Mrukowa względem męża jej czyni to samo, zapomocą łopaty, naprędce wychwycanej z pieca. Na odgłos tych pisków, krzyków i stuków, kilku sąsiadów najbliższych przybiegło i jęło strony w złości zapamiętałe perswazjami upamiętywać i strzymywać, co przecie

skutku nie odnosiło najmniejszego, aż pokąd głos donośny nie zawołał:

— A fiksaty! A grzechu nie bojący i ludzi nie wstydzący się psombraty! O co się wy kłóćcie i bijecie? O dziedzictwo? Walnijcież się pięściami w mózgi i przypomnijcie sobie: toż dziecko po nieboszczyku ostało! Toż córka rodzeniuteńka żywie i jej przynależne jest dziedzictwo! Ona aktorką jest, do niej dobro nieboszczykowe z przyrodzenia i prawa należy, nie do was, którzy pewno nie temu, co przed Bogiem już stoi, ale chyba psombraty jesteście!

Słowa te podniesionym głosem wypowiedział rodzony stryj trzech Tuczynów, imieniem Cyrjak, który niewiele przedtem właśnie po długoletniej nieobecności powrócił był z podróży, wśród której podobno wiele cierpiał i znosił, wiele nauczył się, w stronach, na końcu świata kędyś znajdujących się, wiele pracował i pieniędzy zebrał. I wówczas już młodym nie był, ale wysoki i silny z brwiami krzaczastymi, z czołem wielkiem i spojrzeniem mądrym, często smutnem, poważnie wyglądał, szacunek powszechny dla siebie obudzając.

Przez tłumik ludzi u progu stojący do świetlicy wszedł, a gdy wszyscy rozstąpili się przed nim, kłócących się i bijących Tuczynów zgromił słowami, od których ręce ich, jakby kijami uderzone, wdół opadły i głosy pozamierały w gardłach. Prawda! Słusznie p. Cyrjak rzekł: po nieboszczyku dziecko ostało! Zapomnieli o tem. Czy kto urok na nich rzucił, czy w żalu po nieboszczyku od przytomności odeszli, że o rzeczy tak widocznej i aktualnej zapomnieli? Od przytomności istotnie byli odeszli, ale sprawił to nietyle żal po nieboszczyku, któremu zawsze lepszego, niż było ich własne, powodzenia potrosze zazdrościli, ile widok tych dóbr wszelakich, a nad wyrażenie wszelkie ponętnych, które nieboszczyk po sobie ostawiał. Że zaś w dodatku i dziecićna drobna po nim ostawała, z głowy to im wyleciało. Bo i jakże to było pamiętać, jak się nawet z tem pogodzić, że drobiazg taki z rzeczą tak wielką, jak dziedzictwo, przyrodzenie i prawo węzłem niepodobnym do rozwiązania zjednoczyło. Wszak — zjednoczyło, i rady przeciwko temu nijakiej znaleźć nie można. Córka po ojcu dziedziczyć musi, wiedzieli o tem dobrze. Co tu począć? W świetlicy uczyniło się cicho, jak makiem posiał, a wśród ciszy tej ozwał się po jakimś czasie oburkliwy i popędliwy, gruby głos Mruka.

— To i co, że dziecko ostało? Dlatego właśnie, że ostało, ja z tej chaty nie wyjdę i od naruszenia, albo zniszczenia wszel-

kiego dobra sieroty strzec będę. Opiekunem jej i sumienie i prawo mi być nakazuje.

— A ja — najcieńszym głosem swym wykrzyknął Pieszczalka — ja, najstarszy z braci! Właśnie, że nie pan Walerjan, ale ja pojedę do miasta, udam się do sądu i opiekuństwo nad małoletnią przyznać sobie rozkażę!

— Rozkażę! Pan Dominik jest tedy tak zuchwały i w rozum swój dufający, że samym nawet sądom rozkazy wydawać zamierza! Właśnie, że nie pan Dominik, ale ja, Walerjan, któremu każdy człowiek na umyśle przytomny pierwszeństwo w rozsądku przyznać musi, pana Dominika, zwykle we wszystkim ospałego, uprzedzę, do miasta pojedę i przed sądem całą sprawę wyłożywszy...

Tu znowu do rozprawy wmieszały się kobiety.

— Naco sądy? Przed sądami sprawiedliwość nie jeden raz przegrywa! Niechaj sam Pan Bóg przez niewinne usteczka dziecinne przemówi. Postawić dziecko naprzeciwko dwóch stryjów, i na którego palcem wskaże, ten niech jedzie do miasta, o opiekuństwo starania czynić, a drugi niechaj przed tym wyrokiem ukorzy się i ustąpi. Tak i kłótnia wszelka ukończona będzie, i sierota otrzyma opiekuna takiego, jakiego sama zażądała!...

Cudem jakimś w wypowiedaniu wniosku tego jednomyślne, dwie Tuczynowe zjadały się przecież oczyma.

— Chybaby ślepotę Pan Bóg na nią zesłał, gdyby mego nie obrała!

— Nad sierotą Bóg strażnikiem głównym i nie pozwoli, aby niewinne dziecko samochcąc oddawało się w ręce takiego, jak pan Walerjan, krzywdziciela i zbójcy!

Obie te kobiety wierzyły głęboko i mocno w to, iż przez usta dziecka ozwie się niezawodnie sprawiedliwy wyrok Boży, a że sprawiedliwość po stronie jej i jej małżonka leży, każda z nich znowu święcie przekonana była. Na sąd Boży tedy sprawę zdały i obie z oczyma od złości rozplamienionymi, od stoczonej walki rozczochrane i w odzieży roztarganej, rzuciły się ku temu kątowi izby, w którym, obu piastkami z całej siły za spódnice starej babki się trzymając, stała sześćcio- czy może siedmioletnia Naścia. Przez cały czas wrzającej w świetlicy kłótni i bójk, stała ona przy siedzącej na ławie babce i z oczyma szeroko rozwartymi patrzyła, słuchała. Kilka razy zaczynała pocićhu płakać, ale za każdym razem babka kładła jej na głowie rękę zwiędłą, ciemną i, pochylając ku niej twarz zmarszczoną, szeptała:

— Cicho, Naściu, cicho! Bóg nad sierotą! A ja ci potem smacznego pierożka dam! zobaczysz, że dam smacznego!

Słowami temi jakby zakłète, powieki dziewczynki z łez osychały i rozwierały się szeroko, a oczy szare, błyszczące, roz-tropne, ścigały ruchy postaci, miotających się po izbie i o dobro tego, którego tylko co z izby tej wyniesiono, staczające zapamię-tałą walkę. Te oczy dziecięce, z uwagą i wytężeniem patrzące, rozmyślały, oburzały się, sądziły. Gdy nad krzykami zapanował i po świetlicy rozległ się głos p. Cyrjaka, o jej istnieniu na świe-cie przypominający, po drobnych wargach dziecięcych, rzecz dziwna! przemknął uśmiech szyderstwa i triumfu. Podniosła wzrok ku babce i zobaczyła, że jej wąskie usta uśmiechają się tak samo. Gdy pośród walczących rozlegały się krzyki o udanie się po wyrok do sądów, w kącie izby starość późna i wczesne dzieciństwo składały milczący sąd na walki, złość i chciwość dojrzałego wieku.

Teraz, gdy obie Tuczynowe z rozpostartemi ramionami rzuciły się ku malej Naści, ona obu piąstkami chwyciła się za spódnice babki, a cała jej drobna postać przybrała wyraz oporu i niechęci. Ale Mrukowa porwała ją z ziemi i, kościstemi palcami mocno ją w pasie ściskając, na środku izby postawiła. Tu nad złotowłosą głową dziewczynki pochyliły się dwie twarze kobiece: jedna tłusta i jak ogień rozczzerwieniona, druga koścista i od zło-ści zzieleniała, i dwie pary oczu rozplamienionych w jej oczy się wpiły. Ręce ich, drobne jej plecy głaszczące, spotykały się z sobą i nawzajem odrzucały się ruchami porywczemi, głosy zaś, pieszczotliwie wycienione, przemawiały:

— Stryjka Walerjana żądasz na opiekuna? prawda, rybko? Prawda, kurczątko? Pokaż paluszkciem na stryjka Walerjana! Po-każ rybko, aniołku, kurczątko!

— A żeby cię febra zatrzęsała z kurczątkiem twojem! Tu nijakiego kurczątko niema! Twoje własne dzieci to gąsięta podle płotu wzrastające, a tu dziewczynka jest grzeczna, rozumna, która wie dobrze, kto lepszy, i pod czyjem opiekunstwem będzie jej lepiej!... Pokaż paluszkciem na stryja Dominika, pokaż! Cukier-ków z miasta stryjek ci przywiezie!

— Czemuż nie gadasz, Nastka?...

— No, robaczku, nie lękaj się niczego! gadaj! Pokazuj! któ-rego stryjka wolisz?

Sąsiedzi, u drzwi stojący, śmieli się dorozpuku. Naścica zaś, tchu prawie z siebie nie wydając, jak piskorz gibko wywijala się z usiłujących obejmować ją i wzajem się odtrącających ra-

mion stryjenek, a przytem oczy jej przesuwaly się po twarzach dwu stryjków i błyszczały, dziwily się i oburzały, skarżyły, aż łzami nabiegły i, chwytając w ręce pasma złotych swych włosów, na świetlicę, na cały dom wybuchnęła płaczem i krzykiem:

— Ja nie chcę!... Nie chcę... nie chcę!...

Po raz pierwszy wówczas uczuła, że nie chce ludzi: ani tych, ani tamtych, ani nijakich ludzi nie chce! Jednocześnie ręce czyjeś, szczupłe, ciemne, od łokci obnażone, dwie Tuczynowe roztrąciły i, dziecko dźwignąwszy z ziemi, przytuliły je do piersi, szorstkim kaftanem okrytej. W siwych włosach opuszczonych na pomarszczone czoło, z brwiami nasępiionemi i jak grób milcząca, stara matka Tuczynów, z dzieckiem w ramionach wychodziła ze świetlicy, ale na drodze swej wysoką postać pana Cyrjaka napotkawszy, przystanęła i, oczyma dziecko mu wskazując, rzekła:

— Jaka do Franka podobna! Prawda?

Sznurek lez popłynął z pod spuszczonej uwiedlej powieki, a pan Cyrjak nie rzekł nic, tylko dużą i silną ręką bardzo delikatnie i pieszczotliwie po włosach dziecka powiodł. Potem babka z wnuczką zniknęły za drzwiami izdebki sąsiedniej, a pan Cyrjak, gniewnie mruknąwszy: »Psom braty!« — trzasnął drzwiami i wyszedł. Sąsiedzi, śmiejąc się i drwiąc, porozchodzili się w różne strony, a Mruk i Piszczalka, z domu wypadłszy, każdy na podwórku swoim konie do wozów zaprzęgać poczęli. Do miasta śpieszyli o opiekunstwo nad Naścią starania czynić.

Rzutniejszy, roztropniejszy, lepszą opinię od brata mający, Mruk zwyciężył i, prawnym opiekunem sieroty zamianowany, w poojcowskim jej domu zamieszkał, rolę do tego domu przynależącą uprawiając i wszelkie pożytki z niej ciągnąc. Przez pewien czas ani do głowy mu nie przychodziło, aby kiedykolwiek mogło być inaczej, jednak przyjść musiało, bo dziewczynka rosla, na podlotka wyrosła, i ludzie, zazwyczaj długą pamięć, gdy o zaszkodzenie komu idzie, mający, szeroko gadać o tem poczęli, że córka, po nieboszczyku Franciszku Tuczynie pozostała, aktorką jest i rychłe pewno zamaż wyjdzie. Schwycą, oho! aktorkę, choćby i niezupełnie dorosłą jeszcze, zamaż schwycą, bo w dodatku jest też ona i nieszpeta! Choćby zresztą i szpetną była, ziemia człowiekowi każdemu, z dziadów i przeddziadów na roli siedzącemu, tak pożądana i umiłowana! A no, racja! Tucyzna Mruk to miłowanie tak rozumiał i sam w sercu swoim tak mocno utwierdzone miał, że ta, która pięknego kawalka tej umiłowanej ziemi prawowitą właścicielką była, jemu cale niemiłą być nie

mogła. Gdyby ziemi nie posiadała, nie lubiłby pewno dziewczyny, która mu na drodze do świetnego losu stanęła, a za ponurą milczacość, często ją ogarniającą, srogoby może karał. Ale że ziemia od niej pachniała, więc miłując, czy nie milując, posiadaczkę jej szanować musiał i wszystkim domowym szacunek dla niej nakazał. Syta powinna zawsze być, przystojnie odziana i, pospołu z innymi pracując, nigdy pracą zbyteczną nie obarczana.

Zdaje się, cóż lepszego spotkać może sierotę nad byt taki? A wszakoż, milczącą i obojętną, podczas nawet i niechętliwą, być ona nie przestawała. Czuła widać, że to, czego doświadcza, nie miłowaniem jest, lecz tylko szanowaniem, a szanowaniem nie jej samej, lecz ziemi, której dziedziczką była, okazywanem. Niechby tam zresztą gadała z ludźmi, czy nie gadała, lubiła ich, czy nie lubiła, Mruk pewnie takimi babskimi bzdurstwami głowyby sobie nie nadwierał. Ale najgorszość leżała po tej stronie, że jak amen w pacierzu zamąż pójdzie, i to niebawem, a co za tem idzie, od Mruka ziemię swoją odbierze i z chaty go wygna. Do chaty tej tak już przywykł, że gdyby mu z niej wychodzić przyszło, chybaby serce wyjął z siebie i krwawiące się do ściany przybił na wieczne ciemieśców swych pohańbienie. Swoją własną chatę, starą i opuszczoną, dawno już był rozebrał i w piecu spalił. Idźże tedy, człowiecze-tulaczu, z żoną i dziećmi na cztery wiatry i albo nową chatę za pięć palców a szóstą dłoń sobie buduj, albo w dniu weselnym, przed oknami państwa młodych, jako podarunek weselny, sam siebie na drzewie obwieś!

Chodził tedy Mruk frasobliwy i dumający nad tem, jakby nieprzepieczeństwo, które groziło mu, ominąć, gdy stuknęło mu raz do mózgu pomyślenie takie, że aż na zagonie, po którym z pługiem szedł, jak wryty stanął i ze spuszczoną głową całe pół godziny przestał, o pilnej potrzebie orania zapominając. Ano synów miał trzech. Dwaj błazenkowie, trawy niedorosłe, ale trzeci, Adaś, od kilku lat już pod wąsem; z Ewką Glindzianką wzajemnie to miłowanie się zaprowadził, na które on, Mruk, ile że dziewczyna okrom lichej sukieneczyny na grzbiecie nic nie posiada, póki żyw się nie zgodzi. Niechże Adaś tę Ewkę swoją z głowy sobie wybiję, a z Nastką się ożeni, to i ziemia Nastkowa w rodzie jego ostanie, i on sam w chacie tej, tak umiłowanej, wicku swego dokona. Wszakoż zamiar ten do skutku przyprowadzić nie było łatwo. U tego kija były dwa końce. Strzecznym pobierać się z sobą Kościół święty zabrania, i wiadomo, że małżeństwa takie zawsze nieszczęściami różnemi trapione bywają. Względ to był dla Tuczyny Mruka nader poważny, z którym też długo mocować się

musiał, po nocach nie sypiając, ustawicznem myśleniem głowę sobie nadwierzając, a nic pewnego przez czas długi wydobyć z niej nie mogąc. Wydobył przecie: błysnęła mu w głowie myśl, że Kościół zabraniający może być także Kościołem pozwalającym, i że on sam wie o kilku wypadkach takich, w których stręczni i cioteczni od samego Ojca świętego pozwolenie na pobranie się otrzymywali. A kiedy Ojciec święty pozwala, to już i grzechu niema.

Baby wprawdzie gadają, że i pomimo tego pozwolenia ustawiczne jakieś niebłogosławieństwo pary takie ściga, ale u bab wiadomo: włosy długie, rozum krótki, i każda z nich wór, zaboronami i postrachami wypchany, przez całe życie na plecach dźwiga. Swoją babę to już on rychle przekonać potrafi, z Adasiem trudniej pójdzie, bo mu Ewka ta utrapiona z głowy nijak wyleźć nie chce. Ale musi, kiedy o ziemię idzie. Ewka Adasiowi z głowy wyleźć musi. Chłopak nie głupi jest i sam pozna, po której stronie szczęście jego leży. Wszystko to myśląc, Mruk około swego zamiaru pracować począł, i stało się tak, jak przewidywał. Żonę, która odrazu, na wspomnienie o możliwości pobrania się stręcznych, z przestachu aż krzyknęła, rychło przekonał, że kiedy Ojciec św. i t. d. tak, że po stronie zamiaru mocno stanęła. Z Adasiem wszakoż poszło trudniej, i dość długo chłopcu, wciąż o Ewce swej gadającemu, rady dać nie mógł. I tego przecie myśl o pięknem dziedzictwie Naści nakoniec zmogła tak, że pokryjomu i zrzadka z Ewką się jeszcze schodząc, konkury do Naści sprawiać począł, jak cień, gdziekolwiek się obróciła, za nią chodząc i przysługami, komplementami, czułemi pojrzzeniami od rana do nocy ją ścigając.

Wówczas to dla Naści rozpoczął się czas w całym życiu jej najcięższy i najprzykrzejszy. Zrazu, czułościami i pieśczołami, które ją od całej familji Mruków spotykały, zadziwiona, wprędce wszystko do dna przejrzała i aż wstrząsnęła się od obrzydzenia, które dla fałszywości i chciwości takiej uczuła. Jakby ją robactwo śliskie od stóp do głowy oblaźło!

A zwłaszcza to kryjome schodzenie się Adasia z Ewką i potem zaraz okazywane jej przez niego miłowanie do gardła jej podchodziło gniewem, żalem i niezbitą chęcią ucieczki, oddalenia się od tych ludzi, którzy ją za cel obłudy i fałszywości swojej obrali. Zwłaszcza, że Ewka przybiegła do niej dnia pewnego i, na szyi jej uwisłszy, płakała a prosiła: »Nie gub ty mnie, Naściu, i samej sobie do szyi kamienia nie uwiązuj! On ciebie nie miłuje i tylko z nakazania rodzicielskiego miłowanie objawia, a ja, nie-

szczęśliwa, świata za nim nie widzę, i żyć bez niego gorzej mi, aniżeli umrzeć!»

Wieczór był zimowy, śniegiem usłany i zimnemi wiatrami szumiący, kiedy pan Cyrjak Tuczyzna, w świetlicy szczelnie przed wichrem zamkniętej, sam jeden siedząc i przy świetle lampy przez wielkie okulary książkę czytając, usłyszał otwierające się drzwi od sieni, a obejrawszy się, ujrzał wchodzącą Naścię. Cicho drzwi otworzyła, cicho za sobą je zamknęła i, szybko świetlicę przebywszy, słowa nie mówiąc, przed panem Cyrjakiem ukłękła. Od śniegu padającego narzuciła się cała chustką, która, gdy zsunęła się jej z głowy, wnet włosy, jak roztopione złoto, rozplynęły się jej po plecach i po kolanach dziadka, którego rękę gorętszemi niż zwykle usty długo całowała.

— Ano — uśmiechając się, rzekł p. Cyrjak — czegożeś dziś taka pokorna i, zamiast na stołku siadać, przede mną ukłękłaś? Kiedyś na czytanie przyszła, to siadaj, książkę przed siebie bierz i czytaj głośno, bo też i oczy moje odpoczynku zapotrzebowały...

— Na czytanie, dziaduńku — odpowiedziała — ja od młodych lat swoich do ciebie przychodziłam, i ty mi dobrodziejstwo to wyświadczyłeś, że dusza moja różnym wysokościami świata tego obcą nie jest. Ale dziś po dobrodziejstwo insze, do łaski i obrony twej, dziaduniu, z prośbą ja przyszłam, a od spełnienia jej całe wybawienie moje zależy.

Przy słowach tych głos jej drżał od lez, które tłumiąc w sobie i o kolana dziadka wsparta, z oczyma błagalnie ku niemu podniesionemi, mówiła dalej:

— Zbuduj ty mnie, dziaduńku, domek pośrodku mego własnego pola, abym ja do niego co prędzej z domu stryja przenieść się mogła i sama jedna w nim zamieszkać. I rolę moją poojcowską odebrać od nich mi dopomóż, abym miała z czego żyć i na czym pracować. Sama ja tego, o swoich tylko siłach, uczynić nie zdołam i po Bogu, od ciebie jednego, dziaduńku, spodziewam się pomocy i obrony!

Znowu całowała go w rękę, na której uczuł te gorące krople, które z oczu jej padały, a że zamiary Mrukostwa sam już przeniknął był i sieci, które oni dokoła sieroty obmotywali, dostrzegł, więc z uśmiechem nieco filuternym rzekł:

— Dziw mię zdejmuję, że od czułości i przypochlebiania się, jakby od różeg lub kijów umknąć zażądałaś! Czy ci Adaś taki jest wstrętny?

Naścia wyprostowała się i, już nie płacząc, ale wciąż jeszcze u kolan dziadka klęcząc, samą siebie tłumaczyć mu poczęła:

— Jako strzecny, Adaś wcale wstrętliwy mi nie jest, i owszem, gdyby z Ewką żenił się, tobym mu, jako uboższemu ode mnie, czem tylko mogła, ku pomocy stanęła. Ale odkąd zaczął przypochlebiać się mnie, wszędy za mną łązić, a piękność moją wychwalać i przewróconemi oczyma na mnie poglądać, to we wzgardę go wzięłam, jako kłamcę i obłudnika, boć przecie wiem, że Ewkę miłuje i tu o moje dziedzictwo tym sposobem starania czyni, a za godzinę z nią gdzieś pokryjomu się zszedłszy, na los swój wyrzeka. To mnie łgarstwo i niepoczciwość taka, jakby robaki, pod gardło podchodzą, srogie ckliwości mi sprawiając, tak, że podczas nieżyłchym już wołała, niż znosić je a milczeć.

— A no, to grochowy wianek upleć łgarzowi temu — odparł pan Cyrjak — i ani oglądaj się na niego. Co on przecie tobie uczynić może, skoro go nie chcesz?

— Oni wszyscy nie przeciwko mnie uczynić nie mogą, ale ja też z nimi żyć w jednym domu nie mogę. Dopóki obojętnie postępowali, nic nie udając, to mi o nich było bynajmniej! Kiedy tęskność po lepszym sercu ludzkim ogarnęła, ku babuni przysunęłam się, albo do ciebie, dziaduńku, biegłam i tylko Bogu dziękowałam, że matki i ojca, braci i siostr mię pozbawiwszy, was dwoje, najdroższych mi, dał. Ale teraz, gdy zaczęli w oczy mi czule zaglądać, a we wszystkim z wolą moją się zgadzać, a wychwalać mię, obejmować, głaskać, tobym już od nich na koniec świata, nie oglądając się, uciekała, byleby tylko faryzeuszostwa tego i udawania nie widzieć. Stryj i stryjenka, wieku swego nawet nie pomnąc, ledwie że nie skaczą przede mną, a gdybym rzekła: »Skaczcie!« — toby skakali. A przecie ja dobrze wiem, dlaczego to oni, prawdę na plecy sobie rzuciwszy, tak przede mną dudkują...

— Bo dudkowie są! — śmiejąc się, wtrącił pan Cyrjak.

Ale Anastazja nie śmiała się. Smutnemi usty i z okiem rozbłysłem dalej mówiła:

— Dudkowie oni cale nie są; rozum mają, a podczas też i pychę wielką. Ale że aktorką jestem, i aby im ziemi mojej kto nie odebrał, a z poocjowego domu mego wyjść nie rozkazał... Niechby mi z otwartością powiedzieli: »Tak i tak, Naściu, nie gub ty nas, dopomóż!« — tobym im z chęcią choć połowę tego, co do mnie należy, oddała i darowała. Ale przy tych kłamliwych czułościach i pieśzczotach, to samą tylko mękę czuję i okrutne żądanie oddalenia się od nich i — od ludzi.

— Czemuż zaraz i od ludzi? Mruk i jego familja, to przecież

nie wszyscy ludzie! — z niezadowoleniem upomniął wnuczkę pan Cyrjak.

A ona ze smutkiem, ale też i z uporem niejakim odpowiedziała:

— Ja do ludzi, oprócz babuni i ciebie, dziaduńku, nijakiej dufności nie mam, ani w kompanjach ich i rozmowach nijakiej uciechy nie znajduję. W swojej własnej chacie zamieszkać pragnę, osobnej, wśród cichego pola, pod okiem Boga tylko stojącej...

Znowu płakać zaczęła, co widząc, pan Cyrjak brwi jak dwa gęste krzaki nad oczyma najeżył, a głowę jej w obie ręce wzięwszy, do szorstkiej kapoty miękko ją przytulił, mówiąc i przyrzekając, że wszystko, o co prosiła, spełni, z Mrukiem rozmówi się i do oddania jej ziemi poojcowskiej po woli czy po niewoli go nakłoni. Tylko, naco jej domek nowy budować? Niechaj go Mruk dla siebie zbuduje, a z tego, który prawem dziedzictwem jej jest, ustąpi. Ale Naścia, płakać przestając, zaprzeczając głową potrząsać zaczęła.

— Nie, dziaduńku, nie, nie! Lecz ich ja nie chcę na sobie mieć, i zadawanie im frasunku, albo męki jakiej, wstrętliwe dla mnie. Niech zdrowi ostają tam, gdzie się już osiedzieli, i oprócz roli, niech im nic odjętem nie zostanie. Nijakich rachunków za lata ubiegłe ty, dziaduńku, od nich nie żądaj i nijakich kłótni z nimi nie zaprowadzaj...

— A psombraty dochody z twojej ziemi przez tyle lat brali...

— Ani pytaj ty ich, dziaduńku, o te dochody, ani z dziedzicznego domu mego ich nie wyganiaj, ani im niczego z gospodarstwa nie odbieraj, tylko mi chatynkę pośród pola mego wybuduj, w której, jeśli z początku i brakować czego będzie, to lepiej obejdę się, zniosę, niżbym im i ich dzieciom cokolwiek do życia wydzierać miała...

Pan Cyrjak nachylił się i w czoło ją pocałował.

— Słusznie mówisz — rzekł. — Pan Jezus zabronił krzywd swoich z zawziętością dochodzić. Uczynię, jako żądasz.

Przyrzeczenie takie uczyniwszy, rozkazał jej przy stole usiąść i głośno czytać »Żywoty Świętych«, nad którymi go znalazła. Dla niej rozkaz ten był miłym, i spełniła go z ochotą. Czytała trochę powoli, ale wyraźnie, poprawnie, ani jękając się, ani słów nie przekręcając, owszem, każdemu głosem nadając znaczenie takie, jakie mieć było powinno; dziadunio Cyrjak czytać tak ją nauczył.

A tę książkę, którą teraz czytali, otrzymał on w podarunku od tego pana, z którym razem na wojnę był wyszedł, a potem

lata dość długie krainę osobiwą, daleką i białą, zamieszkiwał. Więc często gęsto przypominały mu się dzieje różne, z posiadaniem tej książki związane, które też wnuczce opowiadał. O wypadkach różnych, których świadkiem był i razem aktorem, o ludziach pomarłych, a niegdyś nad życie mu miłszych, o stronach odległych i wszystkim, co wśród nich zaznał, nauczył się, zapracował, mówił dziewczęciu zasluchanemu, które, łokciami o stół wsparte i obie ręce w gęstwinie włosów zatapiając, wpatrywało się w niego oczyma roztropnemi, uważnemi, w świetle lampy jaśniejącemi, jak srebrem nalane, głębokie i do dna przejrzyste kryształ. Na pierwszej stronicy książki dużemi literami wypisane było imię i nazwisko: Piotr Skarga.

— A wiesz ty, mała, kto to był?...

Za oknami luty wichur zimowy szumiał, hulał, śniegiem na świat sypał, a oni we dwoje: dziadek w długiej kapocie i wnuczka dużą chustką od zimna ogarnięta, zwolna, ze skupieniem, czytali »Żywoty Świętych« Skargi, każde słowo rozumiejąc, własna bowiem ich mowa do jego mowy przez tak długie wieki nie przestała być podobną. Raz, czytanie przerywając, Naścia twarz z nad książki podniosła i zapytała:

— Dziaduńku, a będziesz ty do mojego domku przychodził?

— A no — odpowiedział — jak się trafi! Może kiedy i z rok albo i ze dwa ani razu nie przyjdę.

Z trwogą zrazu spojrzała na niego, ale potem zaśmiała się głośno:

— E! dziaduńko nieprawdę mówi i tylko tak mię straszysz! Jużby pewnie dziaduńkowi życie beze mnie miłe nie było, tak jak i mnie bez dziaduńka.

A stary śmiał się.

— Kiedy wiesz, to nie zapytuj — odpowiedział. — A teraz, czytaj dalej, abyśmy dziś ten żywot, który czytamy, ukończyli.

Czytała dalej, ale niebawem znowu czytanie przerwała:

— Jedna rzecz mię trapi bardzo: jak ja z babunią się rozłączę.

— To i nie rozłączaj się. Niechaj z tobą w nowym domku twoim zamieszka.

— Nie zechce! pewno nie zechce! A i stryj nie pozwoliłby na to, aby matka od niego odchodziła...

Co i jak pan Cyrjak czynił i mówił, aby opiekun prawny małoletniej Anastazji nie opierał się jej żądaniu, on jeden tylko dokładnie o tem mógł wiedzieć; dość, że Mruk po długich sprzeczkach, pogroźkach, targach, ustąpił i na wszystko się zgodził,

wprzód przecie, oprócz domu z całym obejściem i gospodarstwem, wytargowawszy dla siebie i częśćkę należącą do Anastazji roli. Tej pan Cyrjak za nic oddać mu nie chciał, ale Naścia, całując go po rękę, prosić go zaczęła:

— Oddajcie, dziaduńku, tę szmatkę ziemi, której stryj tak jest żądny! Mnie i bez niej tyle jeszcze ostanie, że bogatszą od nich będę!

Stary po namyśle w czoło ją pocałował i rzekł:

— Ano, niech już tam będzie po twojemu! Może zresztą i słusznie mówisz. Pan Jezus rozkazał dzielić się z uboższymi.

A pod dwoma krzakami nastroszonych wąsów mruknął:

— Chociażby i z psombratami!

Główną jednak przyczyną, dla której Mruk nie przedłużał walki z synowicą i stryjem, była sława pieniądze pana Cyrjaka. W odległych krainach, które przez znaczną część życia zamieszkiwał, z natury czynnym i bystrego umysłu będąc, przemysłem jakimś się trudnił i moc grosza podobno na nim zebrał. Bezżenny i na ładnym kawałku ziemi siedzący, Bóg też wie, ile później jeszcze mógł przyzbierać. Tedy ze stryjem, który tak znacznem mieniem rozporządzić się mógł wedle woli, w trwałą sprzeczkę zachodzić mogło być szkodliwe i niebezpieczne — i o co osobliwie? — o złą i sfiksowaną dziewczkę, która i tak rychło razem ze swoją ziemią do cudzej familji pójdzie, ponieważ o Adasiu ani słuchać nie chce. Niech tedy stanie się podług jej fiksacyjnego postanowienia, a on, Mruk, ostanie wszakoż przy upodobanem domostwie, całym obejściu i jakiej takiej w dodatku szmatce urodzajnej ziemi, od jej dziedzictwa oderwanej. Ze stryjem zaś nie poróżni się do ostatka, bo, że wielkiej laski u niego nie posiadał, o tem i wpierw już wiadomem mu było.

Gdy zaś w jesieni najbliższej, nowy, nieduży domek zaświecił w polu ścianami żółtymi, o dwie grusze dzikie i o półkole berberysowych zarośli opartymi, a Naścia, gotując się do przenosin, odzież swą w skrzyniach układała, do świetlicy, w której cała rodzina Mrukowa zgromadzona była, weszła matka Mruka i bez nijakich wstępów rzekła, że ona z Naścią pójdzie i u niej do końca dni swoich zamieszka.

— Niechaj dziewczyna — mówiła — w czarnej samotności nie słucha tych wiatrów, co o jej ściany zimową porą tłuc się będą, i niechaj ludzie dobrej sławy jej na językach nie roznoszą, że to, młodziuchną będąc, sama jedna i bez nijakiej opieki życie pędzi. Takem zresztą już przywiązała się do niej, i tak na mnie

przez jej oczy nieboszczyk Franek mój pogląda, że jużbym bez niej i wyżyć nie zdołała.

Wielką to było osobliwością, że stara Tuczynowa tyle na raz słów wypowiedziała, bo od dość już dawnego czasu żyła z ustami zamkniętymi, bardzo rzadko wyraz jakiś wymawiając, a tylko z pod chmurnego czoła i brwi zsuniętych ludziom i ich postępkom tak się przypatrując, jakby wiecznie w sercu swem tajemne wyroki na nich wydawała. Z Naścią tylko lubiła szeptać po kątach, jej jednej pewnie wszystko, co się w zasklepieniem sercu nagromadziło, powierzając. Ta skrytość, milczącość i wewnętrzna srogość starej kobiety miłą nikomu być nie mogła, a okrom tego nie posiadała ona już nijakiego mienia, bo wszystko, co kiedykolwiek do niej należało, oprócz szmat do odzieży służących, oddawna już synom porozdawała. Więc zamiar, teraz przez nią wyjawiony, nie spotkał się u Mrukostwa z oporem najmniejszym, i tylko sam Mruk, nieco kolnięty, gniewliwie zamruczał:

— Czy to mamie w synowskiej chacie źle było? Może jeść czego nie miała? Może ubliży jakie znosiła? A no, jeśli już taka niełaska na nas spadła, to co czynić?!...

I ciszej dodał:

— Baba z wozu, koniom lżej!

A Naścia, słowa babki usłyszawszy, jak długa do nóg jej padła i, kolana jej obejmując, dziękowała:

— Aż jaśniej słonko w oczach mi zaświeciło, że my z tobą, babuńko, razem żyć będziemy!

Zaczęły żyć razem w samotnie wśród pola stojącym domku, naprzód we dwie, a potem z podeszłą w wieku chłopką, Łucją, którą Anastazja do pomocy sobie i babce przyjęła. Bo roboty z początku miała moc nadspodziewaną. Sadzik z wiśniowem i śliwowem zagajeniem, ogród wawrzywny i wiele jeszcze innych niezbędności gospodarskich dokoła nowego domu powstało: dziewczeczka młodzusienska uwijała się po dziedzictwie swem, jak wieściorka, gdy orzechy i żołędzie na zimę do gniazda znosi, najemni zaś ludzie rękoma, a dziadek i babka radami jej dopomagali. Gałdanie po okolicy szło, że pan Cyrjak w nowe gospodarstwo wnuczki nie same tylko rady, ale także i spore pieniądze wkładał, po miasteczkach i jarmarkach różne dostatki i upiększenia dla nowej jej chaty skupując; ale co pewna, to, że szlachcic ten stary, ale jeszcze krzepki, codziennie kawał pola, wieś od samotnego siedliska Naści dzielący, krokiem powolnym przebywał, i jego to nogi najwięcej wydeptały snującą się z pod berbersów ścieżynę, chociaż przez rok jeden i jeszcze część drugiego

wydeptywało ją też wiele nóg inszych. Były we wsi dziewczęta, rówieśnice Naści, które przyjaźń z aktorką utrzymywać żądały, byli chłopcy, którym dniami i nocami roily się konkury i swaty do niej i do jej dziedzictwa. Ale u końca drugiego roku prawie wszyscy uczęszczać do samotnego domostwa zaprzestali, ani uciechy, ani nadziei powodzenia dla zamiarów swych w niej nie znajdując.

Jedni mówili, że, w babkę wrodzwszy się, Anastazja skryta jest i srogo we wnętrzu swem ludzi sądząca, insi, że z przyczyny aktorstwa swego zbytńio już samej sobie dufa, z nikim myślami dzielić się nie chcąc, a insi jeszcze, że nikomu sercem nie przychylna, do niczyjego serca przypaść też nie może. A o konkurentach swych ona sama cale nie tajnie wypowiadała zdania, że jeden wichrowaty jest i nierozgarnięty, drugi nie polerowny, trzeci grzechu nie bojący się i przez interesowność tylko miłowanie jej okazujący i t. d. Tedy poobrażali się na nią młodzi Tuczynowie i zaprzysięgli, że, pomimo dziedzictwa swego i nieszpętności swojej, panna Anastazja rutkę posieje i kiedyściś, w staropanieńskim stanie, na zbytńią zamłodu pychę i zadufałość swą wyrzekać będzie. I w domku pod rozłożystemi gruszami uczyniło się samotnie, cicho; pan Cyrjak tylko codzień a codzień do niego chodził, i podczas ktoś z Riszczalków, zawsze przez ciężkie potrzeby gniecionych, o pomoc zabiegał, nigdy z próżnemi rękoma nie odchodząc.

Zabiegała też tam często Ewka Glindzianka, wdzięczna Naści, że losu jej przez wyjście za Mrukowego syna do reszty nie zepsuła, i lubiąca zwierzać się przed nią ze swych rzadkich nadziei, a desperacyj ciągłych. Oprócz zaś tych niewielu wymienionych osób, do nowego domku Anastazji, w trzecim roku jej tam zamieszkania, przyszła śmierć i — babkę jej zabrała, poczem stało się koło niej jeszcze samotniej i ciszej, niż przedtem, a tylko codziennie drzwi otwierane odzywały się skrzypnięciem, i na tle wieczornego mroku zarysowywała się w świetlicy wysoka postać p. Cyrjaka, który najpierw lampę zapalać rozkazywał, a potem do szerokiego rękawa kapoty sięgnąwszy, wydobywał z niego zawsze coś takiego, co rozżaloną i rozplakaną dziewczynęby na moment zająć i pocieszyć mogło. Bywała to niekiedy z miasteczka przywicziona błyskotka, do stroju niewieściego przydatna, pomarańcza do złotego jabłka z bajek podobna, książka, której Naścia dotychczas jeszcze nie widziała i nie czytała.

Razu pewnego z za rękawa pana Cyrjaka ukazało się pudełeczko nieduże, czarne, z pozoru na tabakierkę wyglądające,

które przecie pan Cyrjak, jak zegarek, kluczykiem małym nakręcać począł. To nakręcanie zaciekało Naścię.

— Co to, dziaduńku?

— Sama wnet poznasz, co to, a tymczasem szklanę tu przynieś!

Spełniła rozkaz, i gdy pan Cyrjak pudełeczko czarne z wierzchem ładnie wyrzeźbionym na szklance umieścił, po świetlicy rozeszła się muzyczka dziwna, mała, lecz wdzięczna, z tonami, które zdawały się rozsypywać w powietrzu, jak srebrne i szklane paciorki. Nad stołem i pudełeczkiem grającem znieruchomiała Naścia, z oczyma rozbłysłymi i uśmiechem rozwierającym drobne usta, cała zamieniła się w zachwycenie. Posągiem też zachwycenia i zdumienia stanęła pod piecem stara Łucja, ze skrzyżowanymi na grubym kaftanie rękoma; pan Cyrjak, w poręczowym krześle siedzący, wielkie czoło swe triumfująco podniósł i pod krzaczystymi wąsami uśmiechał się z zadowoleniem, a tony perliste, przeczyste, szklane, srebrne ulatywały z pudełeczka i melodją poloneza, poważną a tkliwą, napełniały świetlicę, za której ścianami gęsta śnieżycą sypała się w ciemności, i luty wiatr, o węgły domku uderzając, szumiał i gwizdał. Oprócz poloneza, tabakierka dziaduniowa umiała jeszcze odegrywać trzy walce, a gdy wszystko, co umiała, już pokolei odegrała i umilkła, rozpoczęło się długie i szerokie opowiadanie p. Cyrjaka, skąd tabakierkę tę ma, od kogo, kiedy, wśród jakich okoliczności ją otrzymał, przy czem na usta występowało mu wiele imion i zdarzeń, w czasie dość odległym przeminionych i umilkłych, które wszakoż razem z tabakierką opiewało wierne serce jego, a serce Naści uczyło się opiewać...

Innym razem pan Cyrjak w czarodziejskim rękawie swej kapoty przyniósł niedużą książkę z wierszami.

— A no — rzekł — oczy moje, czytajcie mi nieco tych wierszy, bo druk taki tu drobny, że sam nijak już poradzić z nim sobie nie mogę.

— A od którego miejsca zacząć? — biorąc z rąk dziadka książkę, zapytała Naścia.

— Ot, na trafunek otwórz, i na co oczy padną, to i czytaj!

Zabawiła ją ta gra w trafunek, oczy zmrużyła i, uśmiechając się, delikatnie końcem palca otworzywszy książkę, rozwarła ją i czytać zaczęła:

»Nie wierz fortunie, co siedzisz wysoko!
Miej na poślednie koło pilne oko:
Bo to niestała pani z przyrodzenia,

Często więc rada sprawy swe odmienia,
Nie dufaj w złoto i w żadne podkłady...«

Kilka strof przeczytała i do ostatniej doszła.

»Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tegoć nie wydrze nieprzyjaciół srogi,
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim innem panuje przygoda«.

Skończyła, podniosła z nad książki oczy, wpatrzyła się w twarz dziadka.

— Dziaduńku! — rzekła — to cudne wiersze są!

Przez dość długi szereg wieczorów zimowych, po pół godziny lub po godzinie całej codziennie te cudowne wiersze czytawali. W okolicy młodzież płci obojej, w jednej z najobszerniejszych świetlic zgromadzona, przy muzyce skrzypiec tańczyła, albo i bez muzyki wesolemi rozmowami i zalecankami długie wieczory zimowe skracala sobie i rozweselała. W domostwie pod dziłkami gruszami pan Cyrjak wnuczkę zapytywał:

— Możebyś, Naściu, poszła zabawić się, potańczyć, lub nieco pośmiać się ze wszystkimi?

Blagalnie oczy na dziadka podnosząc, Naścia odpowiadała:

— Nie chce mi się, dziaduńku! Oj, tak mi się nie chce! Nijakiej ochoty do tego nie mam, ani uciechy nijakiej w zabawach tych znaleźć nie zdołam!

— A no, jak chcesz! Jak chcesz! Ostawaj sobie w cichości, jeżeli do tego wola lepsza!

Ostawali oboje w cichości; czasem też Ewka zapłakana, że świeżo ją rodzice Adasiowi złem słowem obrazili, z szyciem jakimś między nimi zasiadła. Jej, smutnej i ukrzywdzonej, też nie do zabawy było; ku Naści garnęła się, jak ku przyjaciółce, zdradzić nie mogącej, a często pomocniczej. Naścia zaś, dziaduńka, Ewkę, Łucję i siebie samą wieczorzą nakarmiwszy, przy lampie siadała, łokcie na stole, a głowę na utopionych we włosach rękach opierając, powoli, wyraźnie, ze skupieniem cudne wiersze poczytała czytać:

»Próżno płakać — podobno drudzy rzeczenie,
Cóż przez Bóg żywy nie jest próżno na świecie?
Wszystko próżno; macamy, gdzie miękcej w rzeczy,
A ona wszędy ciśnie. Błąd — wiek człowieczy«.

Tu Naścia zamyślane oczy na twarz dziadka podniosła i pytającym głosem wymówiła:

— Dziaduńku! Błąd — wiek człowieczy?

Pan Cyrjak po chwili milczenia odpowiedział:

— Tak jest: człowiek wszelki, choćby najmądrzejszy, omylnym musi być. Czysta prawda tylko — u Boga.

Inszym razem »w cudnych wierszach« coś takiego się nawinęło, że Naścia zapytała:

— Dziaduńku! Dobroć ludzka omylna jest i niestała?

A pan Cyrjak, pomyślawszy nieco, odrzekł:

— Tak jest: człowiek, choćby najlepszy, zawżdy w czemś skrewić musi. Dobroć najpewniejsza i największa tylko — u Boga.

III.

Wszakóż z tem wszystkim, pomimo to wszystko...

W gęstych berberysach, które półokręgiem obejmowały zielone podwórko, szeleściły szybkie kroki męskie, i niebawem w zagajniku śliwowym, luźne przestrzenie pomiędzy drzewami zgrabnym i elastycznym krokiem swym przebywać począł p. Apolinary. Chyłkiem nieco szedł przez berberysy, dlatego może, aby go sąsiedzi, pracujący w polu, nie postrzegli, ale tu wyprostował się, laseczkę w powietrzu okręcać począł i trochę sobie nawet pogwizdywać. Ubrany był tak, jak zwykle, świeżo i elegancko, w czarnym tużurku i barwnym krawacie, z dodatkiem jeszcze zgrabnej laseczki w rękę.

Anastazja, która, gospodarską robotę jakąś przed chwilą ukończywszy, stała przed młodą śliwą, z podniesioną głową, owoców na gałęziach upatrując, nie postrzegła zrazu nadchodzącego, ale gdy tylko postrzegła, zarumieniła się gorąco, i najpiękniejszy uśmiech młodej radości ukazał z za jej warg koralowych zęby perłom podobne. Z czerwoną gałązką berberysu, w złotym warokoczu, w czerwonej bluzce ładnym paskiem u stanu ściśniętej, z rumieńcem na twarzy, wyglądała, jak kwiat o barwie ognistej, wyrastający wśród młodych śliw i agrestowych krzaków. Podali sobie ręce i tak je mocno uścisnęli, aż niemi kilka razy zatrzęśli, a potem, przechadzając się pomiędzy drzewami, jęli wspólnie owoców na nich upatrywać. Śliwki węgierki nie były jeszcze dojrzałe, ale śliwki, lubaszkami zwane, już czarnemi centkami gęsto osypywały drzewka; więc gdy p. Apolinary jednym z tych drzewek potrząsł, owoce czarnym gradem posypały się na trawę i im obojgu na plecy i głowy. Po zagajniku i podwórku rozebrzmiały dwie głośnie kaskady śmiechu: męskiego i kobiecego. Można było długo znać Anastazję i ani podejrzawać, aby tak serdecznie i świeżo śmiać się umiała, a p. Apolinary również, gdy wesolo

trząsł drzewem, nachylał się nad trawą i w podskokach od tłukących go po głowie i plecach owoców uciekał, wydawał się naturalniejszym, miłszym i jeszcze ładniejszym, niż zwykle. Wkrótce, z rękoma i ustami pełnemi lubaszek, wesoło rozmawiając, zaszedł kędyś za berberysy, za dom, za dzikie grusze i zwolna poszli w pole.

Wkrótce potem, po małym lesie, który wzgórze cmentarne obrastał, przechadzając się, usłyszałam kroki ludzkie, stąpające po mchach suchych i uschłych gałązkach, zobaczyłam też wśród gęstych jałowców posuwające się powietrzem dwa wielkie krzaki paproci, różnemi ziołami leśnemi przeplecione. Paprocie były przez jesień pomalowane na gorące barwy brązowe, cieliste i krwiste, odrzynały wśród nich jaskrawo wielkie dzwonki liljowe i skabjozy białe. Olbrzymie bukiety te oburącz niosła para ludzi, całkowicie sobie niemi górne połowy ciała zasłaniając, i nie bez trudności przebijając się przez kolczastą i czarnymi paciorkami jagód osypaną gęstwinę jałowców.

Anastazja i pan Apolinary powitali mnie uprzejmymi ukłoniem. W jej oczach spostrzegłam blask niezwykle i wyraz szczęśliwego rozmarzenia; on, przeciwnie, zdawał się być na mój widok zmieszany, czy zawstydzony. Dziewczyna z żywością nadzwyczajną, z całę niezwykle u niej szybkością mowy, zaszczębiotała:

— Calusieńki lasek obeszlśmy, bukiety te zbierając. Jeden na mogile babuni położę, a drugim sobie świetlicę przyozdobię. Słońce dziś tak wesoło świeci, że od tego blasku, nawet i w lesie, aż się oczy mrużą.

Pan Apolinary zaś rzekł:

— Panna Anastazja bukiety na mogilę babuni i ku przyozdobieniu bawialnego pokoju swego zbierała, a ja przy zatrudnieniu tem przypadkiem ją znalazłem, z pożegnaniem do tego lasu przyszedłszy...

Zdawać się mogło, że obecność tu swoją usprawiedliwić pragnął, nieco nią zakłopotany, czy zawstydzony.

— Jakto z pożegnaniem? Czy pan odjeżdża?

— A już mi bracia za dni kilka pieniądze oddać obiecują, i pan Rudner w listach bardzo o rychły przyjazd mię nagli.

Twarzy Anastazji nie widziałam w tej chwili, bo ukrywała ją za cielistemi i krwistemi krzakami paprociowych liści, ale tego samego jeszcze wieczoru spotkałam na przechadzce pana Apolinarego. Można było przypuszczać, że umyślnie zaszedł mi drogę,

coś ważnego do powiedzenia mając. Jakoż, po krótkich i obojętnych uwagach o tegorocznych pogodach i urodzajach, rzekł:

— Tym to urodzajom zawdzięczam, że z próżnemi rękoma stąd nie odjadę, i że bracia część znaczną należności mojej mnie uiścili. Już też i pilno mi jest samotności tutaj opuścić.

— Jakież to samotności! Okolica pełna jest ludzi...

Wzniósł oczy w górę, a cała twarz jego, ściągła i ładna, okryła się wcale też ładnym wyrazem zadumy i tęsknoty.

— Pani lepiej jeszcze ode mnie wiadomem być musi, że, pomiędzy ludźmi będąc, człowiek nie jeden raz znajduje się jak na pustyni.

— To się zdarza istotnie, ale ja pana Apolinarego widywałam tu nieraz w usposobieniu wcale wesołym.

Jakby na to dalekie napomknienie oczekiwał tylko, z pośpiechem zaczął:

— Pani pewnie na myśli ma te momenty, kiedym się w towarzystwie panny Anastazji Tuczynówny znajdował, a ja też uczuвам wielką chęć całą zagadkę tę jasną przed panią uczynić...

— Jakaż to zagadka, że Naścia panu się podobała?

— Zadziwia mię, że z ust pani słowa te słyszę, bo nikomu to tajemem nie jest, iż w sercu ludzkim mieszczą się często zagadki, których ono nijakim sposobem rozstrzygnąć sobie nie potrafi. Również i ja, takie myśli i zamiary, o jakich pani wie, w głowie nosząc, mogę sercu swobodę przyznawać i zbyt nim ciężarem przedwcześnie kark sobie obarczać, a drogę tamować?

Ze spuszczoną głową milczał chwilę, idąc zwolna i laseczką wierzchołki traw przy drodze rosnących potrącając.

Potem dalej mówić począł:

— Co się tyczy panny Anastazji, to najpierw, powinowata mi jest i od dziecinnych lat swych znajoma, a z tego i podufałość między nami łatwo wyrodzić się mogła. Po drugie, ze wszystkich tutajszych panien ona jedna może być dla mnie najmniej nieodpowiadającym towarzystwem...

— Czy dlatego, że jest dziedziczką?

— To jedno — potwierdził — a drugie, że pan Cyrjak, który wiele rozumu na szerokim świecie nabył, jej też nieco ciemnoty tutajszej odjął. Cale też ja nie zaprzeczam, że panna to jest zaletna, bo i rozgarnięcie większe, niż u inszych, ma, i rozmowę często przyjemną uczynić potrafi. Nieszpetna też jest, nawet można powiedzieć, że cale ładna bywa, zwłaszcza, gdy wesołego humoru nabierze i rumieńców na twarzy dostanie. Wszystkiemu temu ja nie zaprzeczam i nie lękam się nawet z otwarto-

ścią wypowiedzieć, że czuję dla niej w sercu taką przychyłość, jakiej dla żadnej panny do tego czasu nigdy nie czułem...

— A więc nic innego nie pozostaje, tylko pannę Anastazję do ołtarza ślubnego zaprowadzić i w ten sposób całą zagadkę rozstrzygnąć...

Szedł, w ziemię ciągle patrząc, smutny i smutnym też głosem po chwili mówić zaczął:

— Żebym ja był nigdy tej okolicy nie opuszczał i na świat inszy oczu nie otwierał, toby mnie inszej gwiazdy, jak panna Anastazja, nie trzeba było, i pewno stałoby się tak, jak pani tylko co powiedziała. Ale na swoje szczęście czy nieszczęście, po świecie chodząc, napatrzyłem się ja na panny, które nad panną Anastazją tak górują, jak gwiazdy, na niebie świecące, nad najładniejszą choćby świeczką na ziemi zapaloną...

— Hrabianka Henrjeta... — napomknęłam.

Z błyskiem lekkiej urazy w oczach spojrzął na mnie.

— Rozumiem dobrze, że o tej cudnej osobie wspominając, pani zażartować ze mnie chciała! Za podufałość taką i za honor, który ona mi czyni, bardzo dziękuję. Są insze gwiazdy, nie na takich już niedoścignionych dla mnie wysokościach, jak panna hrabianka, świecące, a po które mnie tylko rękę wyciągnąć trza, aby je sobie wziąć.

W krótkich słowach opowiedział, że gdyby tylko zdobył się na decyzję, mógłby dziś choćby ożenić się z panną Eugenją Rudnerówną, rodzoną siostrą tego pana Rudnera, który uniwersytet skończył, do inteligencji należy i, fabrykę zakładając, jego na spółnika swego powołał.

— Szwagrem jego zostawszy, w tym samym świecie, który on zamieszkuje, żyłbym, tak jak i on do inteligencji bym należał, łatwym krokiem pod górę szedłbym... Panna zaś elegancka jest i w tym stroju nikomu przewyższyć się nie dająca. Na pensji była, na fortepianie gra, brat też pewnie i posagu, choć niedużego, jej nie odmówi... Rok się już zaraz skończy, odkąd byłem tak szczęśliwy, że przychyłość jej sobie zjednałem...

Że owa elegancka i w tym stroju niedościgniona panna z którejkolwiek strony istoty swej musiała mieć »feler« znaczny, skoro gotowa była zaślubić pana Apolinarego, a on przed związkiem tym wahania się doświadczał, to zdawało się nie ulegać wątpliwości najmniejszej.

— Czy panna Eugenia jest nieładna? — zapytałam.

Po chwili wahania odpowiedział:

— Widać ze wszystkiego, że kiedyś była i bardzo może

ładna, a i teraz jeszcze... bo nie może być, aby kobieta edukowana i elegancka całę nieładną była, choćby i nie wiedzieć jak w lata zaszła.

— Więc starą panną jest! — zawolałam, ale tu nagle roztrąciła nas i na długo rozdzieliła ogromna trzoda bydła, z pastwiska do domu wracająca i która całą chmurę kurzawy podniosła, że trzeba było przed nią kryć się i uciekać.

W kilka dni potem, wieczorem, w świetlicy Anastazji wesoło paliła się na stole spora lampa, a pan Apolinary, przed siedzącym w poręczowem krześle p. Cyrjakiem na jednej nodze stojąc, sznurek od binokli na palec zakręcał i staremu o rzeczach i stronach widzianych szeroko i długo rozpowiadał.

Nie brakowało mu ani sprytu spostrzegawczego, ani pamięci, ani słów, któremi rzeczy spostrzeżone i zapamiętane dość zajmująco i niekiedy nawet malowniczo lub złośliwie opisywać umiał. Są na świecie umysły, z jednej strony głupie, a z drugiej strony mądre, i pan Apolinary właśnie do nich należał. Tylko co opowiedział był o przecudnej katedrze wileńskiej i odprawiających się w niej wspaniałych celebrach biskupich, a teraz mowę swą sprowadził na ruch i natłok ludzki nadzwyczajny, który na kolejach żelaznych panuje, i w drwiący sposób opisywał niektóre z osób, które w dość licznych podróżach swych był spotykał. Pan Cyrjak z rękoma na kolanach i głową nieco spuszczoną obfitej mowy gościa słuchał obojętnie, nawet trochę pochmurnie; znać było, że gość zbytnią łaską jego się nie cieszył. Ewka Glindzianka wzamian od ciekawości i podziwu aż dwoma łokciami na stole się oparła i na dwu dłoniach brodę położyła, a prawie pośrodku świetlicy, nieco w cieniu dużego pieca, Anastazja stała tak, jakby stopy jej w sosnową podłogę powrastały. Przedtem nieco krzątała się żwawo po izbie, stół czerwoną serwetą nakrywała i stawiała na nim naczynia rozmaite, ale wśród zajęć tych, nagle, płomień drogę jej zaszło, ogarnęło ją i do miejsca przykuło.

Pan Apolinary opowiadał właśnie o tem, jak pociąg kolei żelaznej raptem do tunelu wjeżdża, a wybiegłszy z jego ciemności, wśród cudnych łąk i wzgórzy, pod chmurami, burzą błyskającami, sam jak piorun szybki lecieć zaczyna, gdy Anastazja, w drodze do kuchenki będąca, stanęła, twarz ze spuszczoneimi powiekami nieco odwróciła, i obie ręce jej na jasną suknię opadły. Po tej odwróconej i nieco opuszczonej twarzy, po czole, jak marmur gładkiem, po ustach zaledwie widocznym uśmiechem rozwartych i całej postaci nieruchomej rozlewała się niewymowna i bardzo dziewczęca słodycz. Trudno byłoby powiedzieć, czy słowa mówią-

cego uszu jej dochodziły, czy wsłuchiwała się tylko w dźwięk jego głosu, bo podobna była do malowanych niekiedy na obrazach istot czystych, w muzykę, z górnych stref dolatującą, wsłuchanych z pokorą i zachwyceniem. Wysmuklejszą, niż zwykle, wydawała się w tej chwili, bielszą, przeobrażoną w ducha zachwyty i zadumy. Pan Apolinary tę postawę jej spostrzec musiał, i to również, że nadawała jej ona pozór niezwykle, bo wciąż przed panem Cyrjakiem, to na jednej, to na dwu nogach stojąc, wciąż też rzucał ku niej oczyma, które przytem silnie błyskały, i trwało to czas dość długi, aż do świetlicy weszła Łucja, i rapsośd pana Apolinarego, zarówno jak ekstazę Anastazji, przerwała wieczerza, którą w dwóch białych i parą buchających miskach na stole umieściła.

Ewka Glindzianka, wcale ładna, bladawa brunetka, z czarnemi oczyma, w których miłość nieszczęśliwa smętkiem się osiedliła, ale też i z wargami czerwonemi, które, naprzekór smętkowi, skłonności do gadania i śmiechunie traciły, jako podufała przyjaciółka Naści, wnet po wieczerzy wyjęła z komody tabakierkę dziaduniową, nakręciła ją i, dla lepszego rezonansu, na szklance postawiła, poczem zaraz instrumencik poloneza swego wygrywać począł.

Wieczór wrześnieowy patrzył w okna świetlicy wielkiem okiem zimnego księżycy. Na stole, obok lampy, plastr miodu ociekał w misie patoką, jak roztopiony karmel przezroczystą. Od okna zalatywała woń lewkonji kwitnącej w wazoniku i łączyła się z zapachem miodu. Kiedy zaś w te wonie i w zimne, ale jasne światło niebieskiego oka tabakierka dziaduniowa po ukończeniu poloneza posypała szklane dźwięki niby sentymentalnego, a niby skocznego walczyka, pan Apolinary, ni stąd ni zowąd, ruchem obcesowym obok Anastazji usiadł.

Pierwszy to raz instrumencik ten widział on i słyszał, a na koncerty, o których często opowiadał, niepomny, ogromnie się nim zaciekawił i zachwycił.

— Zadziwia mię — mówił — że taką delikatną i milutką muzyczkę w Tuczyńcach usłyszeć mogę!

Trochę obcesowo przy Anastazji usiadłszy, szafirowe oczy swe przez chwilę w twarz jej wlepił, aż znowu ruchem nieco nagłym z miejsca się porwał i z ukłonem poprosił, aby choć trochę potańczyć z nim chciała.

— Niechże ja z tą pamiątką strony tutejsze opuszczę, że panna Anastazja, z nikim nigdy nie tańcząca, mnie jednemu honor ten uczyniła!

Gdy mówił to, oczy jego, płonące, jak zarzewia, na twarzy dziewczyny gorący rumieniec zapaliły. Chciała tłumaczyć się, odmawiać, ale mocy wzroku jego ulegając, powstała, a on, ramieniem ją otoczywszy, zakręcił z nią po świetlicy. Okazało się, że nie z przyczyny nieumiejętności w tańcach, w igrzyskach udziału nie brali, bo tańczyli zgrabnie, lekko, zaledwie ziemi końcami palców dotykając, przyczem perkalowa jej suknia powiewała, jak ciche, jasne skrzydło, a jego włosy podlatywały mu nad głową, jak ciemna gęsta grzywa. We drzwiach bokówki stara Łucja stała z rękoma po łokcie obnażonemi i szerokim uśmiechem na bezzębnych ustach, pan Cyrjak, wodząc za młodą parą oczyma, szeroką ręką raz po raz głaskał sobie siwe włosy, a wyraz ukontentowania rozsunął i wygładził mu zjeżone zazwyczaj krzaki brwi i wąsów, Ewa zaś, z ukontentowania aż podskakując na siedzeniu, w samo ucho mi szeptała:

— Że z tego wyniknie coś, to wyniknie, a ja to pewnie najmniej dziwować się temu będę!

— Cóż, kiedy pan Apolinary w tych dniach już odjeżdża!

— Oj, odjeżdża on, odjeżdża i odjechać nie może. Już najmniej tydzień minął, jak mu bracia pieniądze wypłacili, a wszakoż nie pojechał jeszcze...

— Kochanie trzyma!

— Aha! Kogo ono pod panowanie swoje weźmie, to już i trzyma! Ja temu najmniej zaprzeczać będę.

Potem uczyniła cicho kilka uwag nad tańczącą parą. Pan Apolinary był, według zdania jej, mężczyzną pięknym, polerowanym i górnie myślącym, a Anastazja od wszystkich panien w Tuczyńcach jakąś inszą...

W kilka dni potem, pewnego ranka tak wczesnego, że mieszkańcy okolicy jeszcze spali, pan Apolinary Tuczyńce opuścił.

— Bez pożegnania się z Naścią wyjechał — ze zdziwieniem wielkiem opowiadała Ewka. — Jeszcze wczoraj caluteńki wieczór u niej przesiedział, o odjeździe ani wspominając, a dziś Salka Piszczalkówna do Naści przyleciała i odrazu we drzwiach krzyknęła: »Już pan Apolinary za dziewięciu górami i siedmiu mostami się znajduje! Już godzin z pięć będzie, jak go brat swoim koniem do kolei żelaznej powiózł!«

— Cóż Naścia na to?

— A nic. Żeby pani ją wtenczas widziała, toby tak jak ja zdziwioną była, Jak z glazu, jak z marmuru. Błada zrobiła się, jak ten papier, ale okiem nie mrugnęła, głosu z siebie nie wydała i nawet z tego snopka lnu, który w ręku trzymała, żadne

zdziebelko nie wypadło. Wiedziała dobrze, poco to i naco Salka przyleciała, aby nowinę tę jej zwiastować, tedy, wymijając ją, rzekła: »Niechaj mu pan Bóg szczęśliwą podróż daje!« Salka zaś wnet z drwiącą miną: »Czy już po zaręczynach?...« A ona bez nijakiego gniewu i bez żartobliwości ręce jej swoje pokazuje: »Widzisz, że zaręczynowego pierścienia na rękę nie mam!« I jakby się wcale nic nie zdarzyło, dalej sobie snopki lnu przed dom, na słońce wystawia. Piszczalkówna jak zmyta poszła, bo miała nadzieję lzy obaczyć, lub skargi usłyszeć i po całej okolicy na języku je roznieść. Pani może nie wie o tem, że Piszczalkowie sobie, a Mrukowie sobie, o ile tylko sił mają, to za pana Apolinarego Naściną sławę drą i szarpią.

Nigdy jej oni darować tego nie mogli, że na świat przyszła, tedy okoliczność dobrą tera do pomsty znalazłszy, po całej okolicy roznoszą, że to romans jest, nieprzystojność, bezbożeństwo, grzech jawny!... Jak na Hamana, tak krzyczą na nią, a są tacy, którzy, wysłuchawszy ich, wierzą i też napadają...

— A Naścia wie o tem?

— Oj! oj! i jak wie! Sama jej dla przestrogi i aby ostrożną była, opowiadałam!

— I cóż?

— Wstyd ją wielki ogarnia, że na widowisko takie przed ludźmi stanęła. Nie wyrzeka przecież na nikogo i żadnych klątw przeciw nikomu nie wymawia; raz tylko zapłakała przede mną: »Przez to ja im zawiniłam, mówi, że na świat przyszłam. Ach, jakżebym żądała z oczu ludziom zejść, i żeby mię Pan Bóg przed nimi skrzydłem swem osłonił! Tylko nie wiem, jakim sposobem dokonałby tego można!«

— Ja jej na to: »Jak za pana Apolinarego wyjdiesz, to miłym strykiem z oczu zejdziesz, a mąż cię całe do inszych ludzi zawiezie!« Ona zaś z niecierpliwością: »Ja nijakich ludzi nie chcę!« Wtenczas śmiech mię ogarnął, i mówię do niej: »A no, z jednym człowiekiem, to już pewnie całe życie przebywaćbyś chciała!« A ona, tak odwracając się ode mnie, że ledwie jej twarz postrzec mogła, cichuteńko: »Całe nie wiem, czy onby żądanie to podzielał, gdybym je miała!«

Ewka mówiła prawdę. Pan Apolinary nic pewnego Naści nie powiedział, bez pożegnania się z nią odjechał, a ona to obojętności jego dla niej przypisała. W tygodni parę potem ją zobaczywszy, aż dziwiłam się — tak była zmieniona. Trudno było uwierzyć, że to ta sama wesola Naścia, która z panem Apolinarym lubaszki z drzewa otrząsała i przy muzyce dziaduniowej

tabakierki walczyka tańczyła. Zmizerniała, pożółkła, w oczach przygasła, na ustach pobladła, przez czoło szła jej znowu pręga cieniutkiej zmarszczki. Znać było, że ból w nią ugodził, i że tając się z nim, jak z grzechem, serce własne jak skryty sztylet w sobie nosiła.

Jesień już była nadeszła późna i posepna; ciemne chmury naksztalt tucznych zwierząt pelzały po obłokach białawych i mętnych, które kiedy niekiedy otwierały się nieco na błękit niebieski, jakby dla obudzenia tem większej tęsknoty do słońca i do pogody. Pole oddychało chłodnym i zwolna szumiącym wiaterkiem, który resztę uschłych liści strącał ze starych grusz na grzedy, sterczące wysokimi łodygami malw i georginij, a ostatnie kwiaty z łodyg tych opadłe, od przymrozku poczerniały, tarzały się po wilgotnej ziemi. Osypywały też chwilami liście uschłe, jak rzadki, bujny deszcz, deski do budowy jakiejś przysposobione, na których, niby na zbocz pagórka z żółtych drewn ułożonego, siedziała Anastazja. Skurczona, przygarbiona, plecy i głowę okrywała długą chustą tak szczelnie, że widać było tylko oczy jej zapatrzone w daleką przestrzeń z zadumą, od której źrenice nabierały wielkiej głębokości i smutnych światła na dnie.

Kiedy usiadłam przy niej, uprzejmie, ale w milczeniu mię powitała i po chwili dopiero rzekła, że o dziadunia jest niespokojna, ponieważ słabym czuł się wczoraj, a i dziś, przeciw zwyczajowi swemu, coraz sobie potrosze przylegiwa. Już też i biegła dziś do niego razy ze trzy, a gdy ściemnieje, pobiegnie znowu, aby wieczór z nim przepędzić, albo i na noc, dla usłużenia mu w razie potrzeby, przy nim pozostać. Gdy mówiła to, lzy do oczu jej nabiegaly i staczały się na szarą chustkę, którą sobie część twarzy zasłaniała.

— Już tak modłę się, tak z całej siły modłę się, aby Ojciec Niebieski dziaduńka mi zachował. Strach aż do kości mię przemraża, gdy pomyślę, że z nim to samo stać się może, co się stało z babuńką. Sama jedna jestem na świecie, jak ten kłos na zżętej niwie, i on tylko jeden ma dla mnie serce milujące. Ja go też nad życie, nad wszystko miluję, i gdybym go utraciła, to już i nie wiem, jakbym żyć zdołała na tym zimnym, wrogim i takim zmiennym, zmiennym, niczego niepewnym świecie.

Strach i smutek istotnie przemrażać ją musiał aż do kości, bo w dużej chuście swej drzeć zaczęła i otulać się nią, jakby przed mrozem, chociaż pomimo chimur i wilgotności w powietrzu rozlanej zimno nie było cale.

— Dlaczego w domu nie siedzisz? Tam cieplej...

— Tam ciemniej jeszcze, niż tutaj. A roboty nijakiej dziś jać nie mogę, bo ręce mam jak z drewna i serce jak nieżywe...

— Smętno dziś tobie słońce świeci?

— Słońca dziścale niema. Sama tylko pochmurność jest na niebie i na ziemi.

Potem, z za chustki, którą się otulała, zcicha mówić i skarżyć się zaczęła:

— Dzień dniu nie równy... tygodnie i godziny nie jednakie... słońce różnie świeci, to wesolo, to smętnie, a podczas to i cale przed oczyma się ukrywa — i serce tak samo, to ku szczęśliwości rajskiej podlatuje, to w ciemność smętków okropnych upada... Czemu to Pan Bóg tak świat stworzył, że wszystko na nim jest jako mgła rozwiewająca się, jako wiatr przelatujący?...

Oczy jej nabrały wyrazu osłupiałości, i zakołysała się w strony obie. Niby wiew otchłani niezgłębianej, pochwiała nią w ten sposób myśl o wiekuistej nietrwałości i zmienności rzeczy tego świata.

— Słusznie dziadunio mówi, że wczoraj palcem nie zatrzymasz, że dzieciół jest pstry, ale życie ludzkie jeszcze pstrzejsze...

— A przypomnij sobie, Naściu, te wiersze, które pewnie na pamięć umiesz, tyleś razy dziaduniowi je czytała:

»Morze nie stoi nigdy, zawždy płynie,
Teraz kędzierze ustrzępi, w godzinie
Dnem wzgórze stanie, a ogromne wały
Wysokich będą obłoków sięgaly...«

Co tam potem następuje? nie pamiętasz?

Gdy to mówiłam, lekki wiatr szemrał w gruszy i strząsnął z niej garść liści, które rozsypały się po deskach i u samych stóp naszych szły czas jakiś, z suchym szelestem drząc i podskakując. Razem z szeleszczącemi u stóp jej liśćmi Naścia zaszeptała:

»Nic wiecznego na świecie
Radość się z troską plecie,
A kiedy jedna weźmie moc największą,
Wtenczas masz ujrzeć odmianę najprędszą...«

— A widzisz! Odmianę! W tem smutek, ale też i w tem pocieszenie się ukrywa. I tobie, po dniu pochmurnym, nie jeden raz jeszcze słońce wesolo zaświeci...

Z jej oczu bujne krople padały po tych słowach na szarą chustkę.

— Żeby tylko dziaduńko wyzdrowiał! — szepnęła — żeby

tylko on wyzdrowiał! jużbył wszystko insze na samym spodzie serca pogrzebała i mogilkę tę z pokorą nosiła przez całe życie...

Ostatnie słowa wymawiając, wyprostowała się tak nagle, że aż chustka z głowy jej opadła, i z uwagą nadzwyczajną przypatrywać się jąła drodze polnej, która z za opadłych z liścia berberysów wyraźnie stąd widzieć się dawała. Aż wyprężyła się cała naksztalt struny, wzrok do ostatka wyteżony w drogę tę wlepiając. Z pozoru wszakoż nic się osobliwego na drodze tej nie działo. Wytoczył tylko się na nią z za lasku wóz w jednego konia zaprzężony, a na nim oprócz woźnicy w chłopskich sukniach, siedziała kobieta po miejsku ubrana, w czerni cała, w czarnej chusteczce pod brodę związanej na czepku, który białem obrzeżeniem twarz jej zasłaniał.

Kiedy wóz tak blisko berberysów się znalazł, że wyraźnie dostrzec było można czarną chusteczkę na głowie jadącej kobiety i dobywający się z pod niej rąbek białego czepka, Anastazja rękoma splasnęła i z nadzwyczajnym wybuchem głosu zawołała:

— Józefa! Józefa jedzie!

Porwała się z desek i jak strzała ku bramie podwórka, a za nią, ku drodze, którą się wóz toczył, pobiegła, szarą chustę na deskach ostawiając i w czerwonej bluzce swej tak prędko biegnąc, że się aż włosy jej, jak złote skrzydła, za nią rozwiewały, gdy zaś tak biegła, niedaleko za bramą spotkała się z idącym ku jej domostwu panem Cyrjakiem. W ciepłą kapotę ubrał się pan Cyrjak i dużą czapkę baranią na głowie miał, ale choć na twarzy zmieniony był nieco, szedł i plecy wyprostowywał krzepko.

— Dziaduńko zdrów! — z radością krzyknęła i do rąk mu przypadła.

— Jako rydz w lesie, albo szczupak w Niemnie — śmiejąc się, odpowiedział. — Tylkom sobie dziś jeszcze poleżał trochę i wnet na siłach się poczułem, aby do ciebie pójść...

— Chwała Bogu! Chwała Bogu!

Miłośnie patrząc mu w twarz, śpiesznie mówiła:

— Niechże dziaduńko będzie łaskaw co prędzej do domu wejdzcie, aby się nie zaziębić, a ja polecę Józefę do nas zaprosić, aby jej przypadkiem kto inny porwał.

W starym na dźwięk imienia, przez wnuczkę wymienionego, zmiana zaszła. Ucieszył się widocznie, krzakami brwi zakołysał i, w kierunku przez Naścię ukazywany spoglądając, zawołał:

— Jedzie! Słusznie mówisz! To ona! Leć-że co żywo! Zaproś, a przyprowadź!

Naścia też daleko już była, ku toczącemu się zwolna wozowi co tchu biegnąc i wołając:

— Poczekajcie! stańcie na minutkę! poczekajcie!

A pan Cyrjak obrócił ku mnie twarz, którą zaduma dziwna, bo jasna bardzo, przyoblekła, i głos drżał mu trochę, gdy mówić począł:

— Znowuż tedy błogosławieństwo Boskie razem z nią na okolicę naszą splywa! Bo jako Magdalena, na puszczy pokutująca, tak ona świętą jest, i jako celnikowi temu, który ze skrucną w piersi bil się, grzech popelniony, chociaż i ciężki, dawno już pewnie Bóg miłosierny odpuścić jej raczył...

— Grzech? — powtórzyłam. — Ona wygląda tak niewinnie i słodko, żem nigdy w to gadanie ludzkie o jej grzechu uwierzyć nie mogła.

Pan Cyrjak na to uśmiechnął się tylko pod krzaczystemi wąsami, głową wstrząsnął i zcicha wymówił:

— Bóg jeden ludzkich serc i losów świadom! Bóg jeden wie wszystko! A tego, co ja o tej świętej wiem, mówić mi się nie godzi!

Tymczasem, pośród drogi, rozegrywać się poczęła scena tłumna, a z pod bramy obejścia Anastazji we wszystkich szczegółach swych widzialna. Nie sama tylko Anastazja wóz z siedzącą na nim kobietą dostrzegła, lecz dostrzegło go również zdaleka wielu wsi tej mieszkańców, którzy też, z podwórek i ogrodów, z za stodół i plotów wyskoczywszy, tak samo, jak ona, tylko z przeciwnej strony biec zaczęli.

Kobiety i mężczyźni, podrostki i drobne dzieci, sporym tłumikiem wóz otoczyli, i rozległ się tam pogwar głosów, które wszakoż jakie słowa wymawiały, nie słychać tu było, a tylko ze wszystkiego miarkować się dawało, że kobieta przybywająca gościem tu była pożądanym i czczonym niezmiernie, że też ją każda ze zbiegowiska tego osoba, z naleganiami i prośbami do siebie zapraszać i ciągnąć usiłowała. Już nawet z tej przyczyny powstawać poczynaly współzawodnictwa zazdrosne i sprzeczki; głosy, kobiece zwłaszcza, na sile wzmagaly się i zaostrzały; mężczyzna jakiś, rozgniewaną snadź pięścią popchnięty, z tłumu, jak z procy, wypadł i tak się zatoczył, że mu aż czapka z głowy na świeżo zorany zagon upadła.

Trwało tak z kilka minut, gdy nagle zbiegowisko zachwiała się, nieco rozpierzchnęło, z pstrego zaś wnętrza jego dobył się najpierw łeb koński, a potem cała postać kasztanowatego konika z grzywą konopiastą, którego Anastazja, za uzdę trzymając, z sze-

rokiej drogi polnej na dróżkę, ku domostwu jej wiodącą, skierowała. Teraz pośpiechu, ani chłodu, ani strachu snadź nie czuła. Od walki, którą we wnętrzu zbiegowiska stoczyć musiała, rumieńce ogniste na policzkach jej osiadły, oczy błyszczały, jak brylanty, a kibić wyprostowana, głowa podniesiona i ruch ręki, z jakim konika prowadziła za sobą, objawiały niezwykłą energję i triumf.

Ona i konik dość daleko jeszcze od domostwa się znajdowali, kiedy pan Cyrjak czapkę baranią zdjął i z siwemi tylko włosami na odkrytej głowie, a z czapką w ręku, w postawie uszanowanie głębokie objawiającej, u bramy na gościa oczekiwał. Po chwili gość ten wjeżdżał już w bramę. Za dziewczyną w czerwonej bluzce i złotych włosach, rozpromienioną i triumfującą, za kasztankiem z konopiastą grzywą, za woźnicą w szarą siermięgę ubranym, przez bramę i podwórko, po tle zmroku, którego pierwszy woal na świat zapadać poczynął, przesunął się profil kobiety, jeszcze dość młodej, białym obrąbkiem czepka otoczony, przywiedły, blade i tak delikatny, jakby go ktoś piórkiem z anielskiego skrzydła wyjętem narysował. Oczy miała duże, ciemne, nalane ogniem i miodem, a na pobladyłym koralu ust jej spoczywał uśmiech, który do myśli przywodził rany głęboko we wnętrzu człowieka bolące i zarazem te maście cudowne, co do gojenia ran wszelakich służą.

IV.

Przed kilku laty, dawno już! — może przed ośmiu czy dziewięciu laty — zaszedł był w Tuczyńcach wypadek pamiętny i ważny. W tej porze roku, która latem już być przestaje, a jesienią jeszcze nie jest, kiedy pola są już nagie, a stodoły pełne, u samego wjazdu do okolicy, przed pierwszym jej domostwem stanął wóz, który wkrótce po ukazaniu się otoczyła znaczna liczba ludzi.

Na wozie znajdowała się kobieta w czarnej odzieży, w czarnej chustce, związanej pod brodą, z pod której dobywał się rąbek białego czepka. Brunetka z cerą bladawą i dużemi, ciemnymi oczyma, stojący na wozie kuferek sporej wielkości otworzywszy, mnóstwo rzeczy rozmaitych wyjmować z niego, ludziom ukazywać i sprzedawać, a uboższym lub niedorosłym to i wprost w podarunku rozdawać poczęła. Im dłużej wóz stał, tem więcej dokoła niego zbierało się ludzi wszelkich: kobiet, mężczyzn, pacholąt i dzieci.

Niejeden, uwiadomiony o tem, kto to przyjechał i poco, pług albo bronę na dalekim zagonie porzucał i przychodził, kobiety zaś prawie wszystkie przybiegły z tem, co która w ręku przy pracy trzymała, tedy z miotłą czy warząchwą, z łopatą do sadzenia w piec chleba służącą, z nożem do oskrobywania kartofli, z nożycami do krajania płótna czy sukna. I jak zwykle na targowiskach wszelkich bywa, podniosła się tam wrzawa zapytań, żądań, wykrzykników, sprzeczek pomiędzy tymi, którym się jeden i ten sam przedmiot był upodobał. Różne głosy mówiły, wołały:

— »Złoty Ołtarzyk« O, Jezu! jak ładnie oprawny! Z krzyżkiem złożonym na wierzchu!...

— »Cicha Łza« ze złotnemi brzegami... tak maluśka, zgrabna!

— Za »Naśladowanie Pana Jezusa« ile chcecie?

— Elementarzyki też są! Widzisz, Józik, jakie litery piękne. Kupić ci elementarzyk? a?

— A na spodzie co takiego się znajduje? Wiersze! To ja sobie, dla pocieszenia serca, o wiersze te upraszam!

— »Kropla wody!« »Ziarnko soli!« »Sad przy chacie!« Ciekawość! ciekawość!

— Mamo! czy mama widzi: »Stara Baśń!« Jak jabym tej książeczki żądała! jakbym żądała!

— Spytaj się, czy ociec kupić pozwoli?

— A no, kupcie sobie, kupcie tę »Baśń«, bo i powiedzianem jest nawet, że bajki babom!

Dzieci zaś i młode dziewczęta na wyścigi wykrzykiwały:

— Aj! aj! medaliki srybrne! krzyżyki! obrazki! Najświętsza Panna Ostrobramska! Najświętsza Panna Częstochowska! Święty Józef z leliją! Święta Jadwiga w kwiecie różanym! Święta Cecylja przy organach!

Wśród pogwaru i hałasiku tego, kobieta stała na wozie i to pochylała się nad skrzynią, to wyprostowywała i ku ludziom otaczającym w jedną stronę i w drugą nakłaniała postać delikatną, a tak zgrabną, jakby każde poruszenie jej nie poruszeniem ciała ludzkiego było, lecz tonem, dobywającym się z muzycznego akordu, zaś twarz jej, gładkimi pasmami czarnych włosów i białym rąbkiem czepka otoczona, w blasku jesiennego słońca tak wyglądała, jakby była z opłatka wykrojona; usta jej były jak blade korale, a w ciemnych oczach paliły się dwie jasno gorejące świece.

Słońce jesiennie, z czystego błękitu niebieskiego nad ziemią świecąc, łagodną złocistość rozlewało na pola szerokie, na domostwa rozrzucone w ogrodach i wstęgi dymów posyłające ku

błękitnemu niebu, na pstrą gromadę ludzi, zgromadzonych dokoła wozu z gniadym koniem chłopskim i na kobietę, która w czarnej odzieży, na wozie stojąc, nad gwarliwą i ruchliwą gromadą tą górowała. Jak to słońce jesienne ogrzewało, ale nie parzyło, oświecało, ale nie oślepiało, tak też i ona ogrzewała nie parząc i nie oślepiając, jaśniała, chociaż i trudno byłoby powiedzieć, na czym ciepło i jasność bijące od niej zależały. Mało jeszcze znając tych ludzi, do których przybyła, rzadko i z potrzeby tylko przemawiała do nich, ale ile razy tylko otworzyła usta, w sam raz zawsze utrafiła do sposobu mówienia i szlacheckiego wogóle, i w szczególności tego człowieka, ku któremu mowę swą obracała. Można by pomyśleć, że w głowy ludzkie spogląda i widzi, jakie tam powstają wyrazy i w jaki szyk się układają, że też serca ludzkie przenikając, wie czego każda z nich potrzebuje: powagi czy żartu, pobożnego westchnienia czy rozweselającego, lub też litościwego uśmiechu. Podobała się też odrazu wszystkim, i wszystkie oczy ku niej lgnęły.

Wszakóż, ktoś z pośród zgromadzonych, zdaje się Człowieczek, wielce zawsze o prawność wszelaką dbający, a z przyczyny wiecznie toczonych procesów w trwożliwość i podejrzliwość wprawiony, zapytał ją: kto jest taka? czy przypadkiem bytność jej w Tuczyńcach kłopotów i biedy ludziom nie sprawi? Wtenczas ona pokazała paszport swój, bardzo regularnie napisany i potwierdzony, jako też i pozwolenie całę takie, jakim być powinno na sprzedawanie po wsiach i miasteczkach książek do nabożeństwa, medalików i krzyżyków poświęconych, obrazków świętych, różańców, szkaplerzy.

W paszporcie stało nazwisko, które wszystkim nieco dziwnem się wydało, bo brzmienie miało cudzoziemskie. Tedy pytali się jej, jaką wiarę wyznaje, a gdy rzekła, że tę samą, co i oni, milczeli chwilę dumając i nad sprzecznością jakąś, którą spostrzegli, głowami kiwając. Dlatego też Nawróciciel, człek w całej okolicy największej powagi używający i bystre oko trzymający zawsze na wszystkich jej sprawach, znowuż zapytał: Kto ona taka? Jakiego stanu i zatrudnienia jest? I dla jakiej przyczyny, nazwisko takie mając, spólną z nimi wiarę i mowę posiada? Ona, zapytań tych słuchając, zarumieniła się, jak obłok na zachodzie, ze spuszczonego oczyma stała przez moment nieporuszona, a na całej jej twarzy odmalował się smutek niewymowny. Potem przecież podniosła głowę i ani hardo ani pokornie, tonem zwyczajnym, a tylko z uprzejmym uśmiechem rzekła:

— Sługą Boską i ludzką jestem. Służyć żądam duszom wa-

szym, aby modlitwę i naukę ułatwioną miały, a przytem, jako inajętku pozbawiona, zarobku w tem sobie szukam.

Nic tedy wyraźnego na zapytania nie odpowiedziała, ale że serca i oczy ludzkie, jak mucha do miodu lub pszczoła do kwiatu, do niej lgnęły, tedy nikt już więcej o nic jej nie zapytywał, a Nawróciciel, czapkę z głowy zdjawszy, z uszanowaniem ją do domu swego, na wieczerzę i nocleg zaprosił.

W sam też czas, bo po ukończonych już robotach rolnych, szafarka ta niespodziewana tu przybyła i w sam czas, bo przed długą i ciemną zimą, rozniecila nad Tuczyńcami swoją pochodnię.

Radzi byli ludzie niewypowiedzianie temu, co przywiozła, a ku niej samej uszanowanie uczuwali, bo pomimo odzieży prawie ubogiej i mowy w sam raz w ich mowę utrafiającej, pomimo też, że w jadle ich zdawała się smakować, a siedliska ich niebogatę upodobanie i ~~jakości~~ nawet cichą radość w niej obudzały, ~~wydawała się im wciąż osobą z wyższego stanu pochodzącą i edukowaną.~~ Ręce miała, chociaż i ogorzałe, ale drobne, cienkie w palcach i z delikatną skórą, a przy każdym poruszeniu wielką układność i grację, które tylko niewiasty z wyższych rodów znamionować zwykły. Było w niej przytem, czy to dla szczupłości kibici, czy dla rumieńców częstych, czy dla słodczy głosu i spojrzenia, coś tak panińskiego, że lubo nie wiedząc, czy zamężną jest, albo niezamężną, Tuczynowie panną Józefą, lub poprostu panienką nazywać ją poczęli. Jej zaś te tytuły za każdym razem rumieńcami bladą twarz oblewały, aż nie wytrzymała i poprosiła:

— Nie nazywajcie mnie, proszę, panną Józefą, ani panienką, ale tylko wprost Józefą. Jestem sługą Boską i ludzką, nazywam się Józefa, i oto już wszystkie godności moje i tytuły.

Zagroziła nawet, że jeśli tej prośby jej nie spełnią, nigdy już do Tuczyńiec nie przyjedzie. Chcąc nie chcąc tedy, musieli nazywać ją Józefą i mówić jej »ty«, co zresztą trudności wielkiej nie sprawiło, bo krom delikatnej postaci i tej muzyki jakiejś, która z poruszeń jej dobywać się zdawała, wielmożności nijakiej czuć w niej nie było. Korzyści zaś z tej najpierwszej bytności jej w Tuczyńcach okazały się znaczne. W domu Nawróciciela ze trzy doby przepędziwszy, żonę jego białemi proszkami wyleczyła od febry i dwóch sąsiadów, w kłótni z sobą będących, pogodziła. Bo nietylko tych proszków białych i inszych nieco wozila z sobą, ale też rozum przenikliwy, wymowę znaczną i wiadomość dobrą tego, na co Boskie i ludzkie prawa pozwalają lub nie pozwalają. Tedy jak zaczęła sąsiadom zwaśnionym przekładać: co godzi się i co nie godzi, w czem krzywda jest, a w czem jej niema, że

choćby krzywda i była, darować ją należy, jakie gorzkie skutki wynikają z klótni ustawnych, a jaki owoc słodki rodzi zgoda braterska, to niewiadomo było, czy to ksiądz mówi, czy mędrzec jaki dla nawracania ludzi z nieba przysłany, czy anioł, który z dzbanem oliwy i miodu pełnym na ten świat zleciał, ale kamienne chyba serce miałby, ktoby przekonywaniom tym, z ust takich wychodzącym, nie uwierzył i ich nie usłuchał. Niektórzy to nawet mówienia jej bez płaczu słuchać nie mogli.

Kiedy po trzech dniach odjeżdżała, wszyscy daleko za wieś ją przeprowadzali i prosili, aby znowu jak najrychlej nawiedziła Tuczyńce. Z ukontentowaniem przyrzekła, że nawiedzi, ale aż za rok.

— Przez kilka miesięcy — rzekła — jeździć będę po różnych wioskach i okolicach, tak jakem do was przyjechała, potem, w miasteczku tem, w którym stałe siedlisko sobie obrałam. potrzebną będę, a potem, gdy z łaską Bożą zdejmiecie z pola, a czasu i pieniędzy brakować po wsiach nie będzie, znowuż jeździć zacznę i do was przyjadę.

Gdy ostatecznie już na wóz siadać miała, niektórzy, kobiety i dzieci osobliwie, rzuciły się w ręce ją całować. Ale ona za nic się temu nie dała, i jakby temi oznakami czci do wyznania przymuszona, rzekła:

— Nie okazujcie mi czci takiej, bom jej niegodna; grzesznicą pokutującą jestem. Grzech srogi w pierwszej młodości swej popełniłam, a mówię to wam dlatego, abyście nie poczytywali mnie za taką, jaką nie jestem. Służyć wam żądam, a tem służeniem przebłagać Boga i tę spólną ziemię naszą, którą obraziłam srodze. Ostawajcie zdrowi! Żyjcie z Bogiem i po Bożemu! Za rok, jeżeli żyć będę, przyjadę znowu.

Nawróciciel odwiózł ją sam parokonną bryczką do Jaśmontów, okolicy o małą milę od Tuczyńiec oddalanej, a potem to już na cały rok wszelka wieść o niej przepadła. Tylko gdy długie wieczory zimowe nastały, i ludziom pamiątki przez nią ostawione często przed oczy nasuwać się poczęły, wspominali ją nieraz z lubością wielką, niby anioła, który przeleciał, szary pomrok życia powszedniego smugą świetlistą przerznął — i zniknął.

Baby to nawet i zaczęły już były prawić a przepowiadać, że tu nigdy już nie przyjedzie, bo żadną Józefą, niewiastą z ciałem i kośćmi po świecie chodzącą, nie była, lecz świętą jakąś, przez łzy i męczarnie ludzi biednych u Boga ubłaganą i z nieba zeszlą. I gdyby Józefa, zmarłszy lub drogę życia odmieniwszy, istotnie nigdy już potem do Tuczyńiec nie przyjechała, ani chybi

uformowałyby się legenda o objawieniu się w Tuczyńcach i różnych wsiach innych świętej Pańskiej, ze srebrnym rąbkiem aureoli nad twarzą, jakby z poświęconego opłatka wykrojona.

Przyjechała przecież w jesieni następnej, i wtedy to spotkała się z panem Cyrjakiem, który, za pierwszą jej tu bytnością podróż niedaleką za interesem odbywając, w okolicy nieobecny był i jej nie widział. Spotkali się z sobą w domu Nawróciciela, u którego znowu gościła, a do którego pan Cyrjak przyszedł umyślnie, aby ją zobaczyć, a obaczywszy, stanął jak w ziemię wryty, z taką miną jakby oczom własnym wierzyć nie chciał. Ona też, spojrzawszy na niego, swoim zwyczajem zarumieniła się na twarzy i parę kroków ku drzwiom uczyniła, jakby przed nim zapragnęła skryć się, ale wprędce rozmyśliwszy się, postąpiła naprzeciw niego i rzekła:

— My z panem, panie Tuczyzna, dawni znajomi...

On ręce jej schwycił i, chociaż broniła się, długo je całował, trzęsącym się głosem mówiąc:

— Nad wszelkie spodziewanie swoje ja tu panią obaczyłem! Jakim sposobem? Dla jakiej przyczyny?...

Poprosiła go, aby z nią do bokówki udał się, bo jako staremu znajomemu, chce mu wiele rzeczy opowiedzieć, a kiedy po tej rozmowie sam na sam, dość długiej, z bokówki razem wyszli, jej twarz okazała się zapłakaną, a ręce pana Cyrjaka, acz duże i silne, od jakiegoś wewnętrznego wzruszenia jako liście przez wiatr miotane latały. Ludzie w pierwszym momencie sposobnym szturm do pana Cyrjaka przypuścili, tego, co on wiedział, dowiedzieć się usiłując.

Żaden ukamienowany męczennik tylu kamieniami ugodzony nie był, ile go wtenczas zapytań osypało. Wszakóż nic mówić nie chciał i po czasie dość długim tyle tylko powiedział, że u ojca Józefy, bogatego obywatela, dość długo na obowiązku będąc, znał ją panną młodziuchną i śliczną, wysoko edukowaną i posażną, że potem z oczu cale ją stracił i teraz dopiero dowiedział się od niej samej wielu rzeczy, których rozpowiadać nie ma prawa, ani ochoty. To tylko potwierdzić może, o czym ona sama ludziom mówiła, że, grzech ciężki popełniwszy, za pokutę sobie naznaczyła wędrówki tak uciążliwe znosić, a w nich ziemi rodzonej i ludziom ubogim służyć...

— Przez srogie i bardzo bolące ciosy Pan Bóg oczy jej na prawdę, a serce na skrucę otworzył — dodał jeszcze pan Cyrjak i więcej nic już cale mówić o Józefie nie chciał.

Ale ludzie niektórzy, nie w ciemną bici, sami domyślali się,

jaki to był grzech przez Józefę w pierwszej młodości popełniony, i potrzásali głowami z podziwieniem, nad tem po pierwsze: jak ona go dopuścić się mogła? i nad tem powtóre: jak, dopuściwszy się, zdołała potem taką anielską stać się? Nawróciciel raz rzekł, że o tem minionem przewinieniu Józefy ani myśleć, ani tem bardziej wspominać nie należy, bo po pierwsze, co było a nie jest, nie pisze się w rejestr; powtóre: z największymi świętymi bywało tak, że z okrutnych grzeszników obracali się w świętych; a po trzecie: są na świecie takie interesy, o których każdy roztropny człowiek lubi język swój za zębami trzymać. Tuczyńowie prawie zawsze za radą Nawróciciela szli, i tym razem poszli, z początku mówić, a potem i myśleć o tem przestali coraz więcej, każdemu przybywaniu do nich Józefy radzi i w coraz podu-falszą znajomość z nią wchodząc.

Bo też niby żywa woda źródłana wytryskiwała z każdych jej nawiedzin na ich życie zacichłe i głuche. Po każdym jej odjeździe czyniło się tak, jakby kto na Tuczyńce rzucił garść rosy i kwiatów. Jak złotna i srebrna rosa świeciły na piersiach dziecinnych medaliki z łaskawem obliczem Najświętszej Panny, co w Częstochowskiej kaplicy jaśnieje, albo Tej, co nad Ostrą Bramą cudami słynie, a w rękach dziewcząt rozwijały się kielichy róż, lilij, narcyzów, bratków, z małowanego papieru cudnie uczynione, a z każdego kielicha, jakby też cudem, ukazywali się święci i święte, z koronami na głowach, z palmami w ręku, ze strzałami w piersiach, a z twarzami oblanemi taką niebieską słodyczą i miłością, że tylko patrząc na nie, człowiek stawał się pocieszonym i lepszym. W zimowe wieczory zaś, kiedy to sąsiedzi zwykli są zbierać się po świetlicach na pogawędki, opowiadania i różne zabawki, do których podczas i czytanie też należy... Ale o tem dłużej już opowiadać nie trza.

Pewnego roku Józefa wraz po przybyciu swem, z wozu jeszcze nie zsiadłszy, życzenie objawiła, aby u Anastazji zamieszkać. Było to w kilka miesięcy potem, jak Anastazja babkę swą, jedyną samotności swej towarzyszkę, utraciła. Dziewczyna wyglądała wtenczas mizernie i żałośnie, tedy Józefa, popatrzwszy na nią, a o nieszczęściu jej usłyszawszy, zaraz powiedziała, że do nikogo inszego, tylko do Anastazji zajedzie i u niej kilka dni przepędzi. Znać też domostwo Anastazji do serca jej przypadło, bo na rok następny znowu w niem zamieszkała, a teraz Anastazja sama niemal przemocą zabrała ją do siebie. A no, jedni zazdrościli jej, że świętą w domostwie swem posiadać będzie, ale

drugich znowu radowało to, że pan Bóg sierotę klejnotem takim przyozdobił i ucieszył.

Od Anastazji też była serdeczna, pogodna uciecha.

— Gościa wielkiego mam — oznajmiała — całutkie trzy dni Józefa u mnie zabawić przyrzekła, a kiedy ona u mnie bawi, to zdaje się, że niczego więcej na świecie mi nie potrzeba.

— Słońce wesoło dziś świeci, Naściu?

Wzrokiem ku górze rzuciła, zaśmiała się, ale potem z namysłem rzekła:

— Nietyle ono wesołe jest, ale pogodne, pogoda cudną jest...

Cudną nie będąc, pogoda, jak na dzień październikowy, była istotnie ładna; blady blask słońca lał się z czystego nieba na procesję ludzi, nieustannie drogą i ścieżkami ku samotnemu w polu domostwu dążących. Cisza, zazwyczaj domek napelniająca, przemieniła się w gwar jarmarczny.

Światlicę napelniali ludzie, z których jedni pochyłali się nad rozwartym na podłodze kuferkiem Józefy, drudzy obsiadali dookoła ścian ławki i stołki, zatopieni w rozpatrywaniu przedmiotów, które nabyli już, lub nabyć zamierzali. Nawróciciel przyniósł Józefie w podarunku kosz pięknych rumianych jabłek ze swego ogrodu, a Kwiczolowa przybiegła ze świeżo upieczonym pierogiem, którego powłoka świeciła bronzem pozłacanym, obok czerwonych jabłek. Anastazja zaś śliwki węgierki w koszyku roznosiła pomiędzy gośćmi, podając i zapraszając:

— Jedzcie, bądźcie łaskawi! Kosztujcie, bardzo proszę! Sama te węgierki w sadziku śwym wyhodowałam...

I zaraz śpiesznie się poprawiła:

— Z pomocą dziaduńka je wyhodowałam... Spore już drzewka, w tym roku obrodziły... Jedzcie, bądźcie łaskawi, bardzo proszę!

W najpiękniejszej swojej sukience z jasnego perkalu, pałala w złotym warkoczu pelargonja, z wazonu uszczkniętą, i usta też miała tak, jak pelargonja, szkarłatem płonące. Żwawo krzątając się, wybiegła do sionki, skąd niebawem wróciła z plastrzem miodu na misie, którą obok czerwonych jabłek i brązowego pieroga postawiła, a znowu wybiegłszy, znowu wróciła, niosąc w jednej ręce biały kubek gliniany, a w drugiej dzbanek napelniony mlekiem. Z kubkiem i dzbankiem znowu krążyć pomiędzy gośćmi zaczęła.

— Może mleka chcecie? Pijcie, bądźcie łaskawi! Świeżuteńkie! od Łyski tej, co to dziaduńko na jarmarku przeszłej jesieni mi kupił.

Gościenną była, uprzejmą i wyglądała jak tylko co rozwinięty kwiat dzikiej róży. Wszakóż były momenty, że zamyślała się i, o gościach zapominając, takie spojrzenia na okno rzuciła, jakby coś lub kogoś smętną i tęskliwą myślą goniła po szerokim świecie. Wnet przecież, ku Józefie oczy obracając, oblewała się słodyczą i pogodą.

Józefa siedziała u okna, mleko z białego kubka potrosze pijąc, a gdy światło z podwórza wprost na głowę jej padało, w pasmach czarnych włosów, spokojnie pod białym rąbkiem czepka leżących, ukazywały się gdzie niegdzie nici srebrne. Insze też nitki, zmarszczki cieniutkie, szły po bladawem czole, nie przez wiek późny wyżłobione, lecz może przez te głębokie zadumy, które ukazywały się na jej twarzy wtenczas nawet, gdy uprzejmie, z rozważą, podczas z żartobliwością przemawiała do ludzi, otaczających ją ciasnem kołem. O kolana jej powspierały się i prawie pokładły się na nich dzieci wzrostów różnych, z uciechą wielką obrazki i medaliki rozglądając, a ona, włosy ich jasne, jak kądziele lniane, lub ciemne, jak dojrzałe owoce kasztanów, gła-skała swą podłużną i cienką w palcach ręką. Chwilami, gdy wzrokiem po twarzach otaczających wiodła, gdy się w szmer rozmów życzliwych wsłuchiwała, szczęście tęskliwe nieco, ale niewymowne, świeciło w ciemnych tej żrenicach.

Trwało tak do południa i nieco nawet dłużej, poczem ludzie, zatrudnienia swe mający i uprzykrzonymi też okazywać się nie chcąc, nacieszywszy się gościem miłym, nowości się natrąwszy, to i owo za pieniądze nieduże na własność sobie kupiwszy, rozchodzić się poczęli. Kiedy niekiedy jeszcze, w godzinach popołudniowych, ktoś pojedynczy przybył, porozmawiał nieco z Józefą, to lub owo z towarów jej kupił — i poszedł sobie, a tymczasem wczesny wieczór jesienny nadchodził, nadszedł, gwiazdami nad ciemną ziemią zaświecił, a w ciemności, naksztalt gwiazd ziemskich, zaświeciły na samotnem polu okna domostwa Anastazji.

Północ zbliżała się, a w oknach tych, przeciw zwyczajowi powszechnie tu panującemu, światła jeszcze nie gasły. Już p. Cyrylak w baraniej czapie, z domu wnuczki wyszedłszy, kijem drogę przed sobą ubezpieczając, przesunął się przez ciemności pole zalegające i pośród domostw okolicy zniknął; już i koguty parę razy po północy na całym szlaku wsi, od placówki do placówki, wartownicze hasła swoje odśpiewały, a okna te błyszczały jeszcze za odartemi z liści gałęzmi grusz i berberysów, do iskier żółtych, na czarną oponę nocy rzuconych podobne. Co tam, za

iskrami temi, dwie kobiety, tak długo czuwające, czyniły lub mówiły, trudno wiedzieć, ale pewnem się zdaje, że jedna z nich, młodziuchna i niedoświadczona, u starszej i w jakichś losach srogich zmężniałej, czerpała pocieszenie i może tę moc, która istotom malutkim z pozoru udziela przecież skrzydeł szerokich i silnych.

Nazajutrz Józefa, wedle zwyczaju swego, z samego już rana poszła znajomych swoich w okolicy nawiedzić, a wychodząc, spory worek z towarem i torebkę z lekami z sobą zabrała. Nie dziwnem też było, że dopóźna nie wracała, wszakoż przed wieczorem Anastazja tęsknić już po niej i raz wraz na ganek wybiegać poczęła, a pan Cyrjak często w okno spoglądał, czy nie przychodzi.

— Podczas straszno mi nieco, aby jej kto nieprzyjemności nijakiej nie wyrządził — do wnuczki mówił. — Delikatne to takie i grubijaństwa nijakiego nie nawykłe!

Anastazja od zdziwienia aż w dłoń uderzyła.

— Dziaduńku! — zawołała — a czyż taki człowiek żyje na świecie, któryby odważył się grubijaństwo jakie jej wyrządzić?

Stary pod krzami siwych wąsów nieco szydersko się uśmiechnął.

— Na świecie — rzekł — różne psombraty są, a i w okolicy naszej ich nie brakuje!

Anastazja u kolan dziadka na ziemi przysiadła.

— Dziaduńku, Józefa zamłodu bardzo piękną być musiała?

— Była piękną — odpowiedział stary.

— I edukowaną, bogatą?...

— Edukowaną była, jak każde dziecko pańskie, a bogatą to nie tak już niezmiernie, aby aż miljony miała, ale jedynaczka u ojca, majątku cale znacznego była dziedziczką.

— No, i co jej na drodze stanęło?

Pan Cyrjak milczał chwilę, a potem niechętnie trochę rzekł:

— Kochanie.

Anastazja, ręką twarz podpierając, dumala chwilę.

— To prawda — rzekła zcicha — w kochaniu zawsze szczęście się mieści, podczas i niedola...

— Kochanie bywa różne — zaczął dziadek — szczęście, albo nieszczęście przynoszące, niewinne albo grzeszne...

Anastazja, z oczyma ku twarzy jego podniesionemi, z żywością przerwała:

— Czy kochanie Józefy grzeszne było?

Ale tym razem pan Cyrjak wstrząsnął się jak oparzony i tak gniewnie, jak prawie nigdy do tej wnuczki swojej nie przemawiał, ofuknął:

— A dajże mi ty pokój z zapytaniem temi! Za język mię ciągniesz i o cudze grzechy mię wypytujesz! Nie bądź taka ciekawa, bo postarzejiesz rychło, a Józefę, i nie wiedząc o niej wszystkiego, czcij jako tę, która się przed Bogiem i ludźmi upokorzywszy, twardą służbę, dobrowolnie na siebie włożoną, pełni! Kto tam wiedzieć może, jaki grzech komu odpuszczonym, albo nieodpuszczonym zostać może? Kto w górze bywał?

Zaledwie pan Cyrjak słów dokończył, otwarły się drzwi, i Józefa do świetlicy weszła. Anastazja zerwała się z ziemi i zawołała:

— Że też ja was przez podwórko idącej nie postrzegłam! A tak ciągle, zdaje mi się, baczenie dawałam na okna!

Józefa, głową na powitanie skłoniwszy, nic nie mówiąc, na ławie pod ścianą usiadła, ręce wedle zwyczaju swego na czarnej sukni spokojnie położyła, ale z twarzy jej można było poznać, że nurtowała ją niespokojność jakaś, a nawet boleść. Po minucie dopiero mówić zaczęła:

— Ze złą nowiną przychodzę do was, moi drodzy, a prawdę mówiąc, to i z wymówką także. U Piszczalków, którym nigdy nie działa się dobrze, przez ten rok nędza czarna zapanowała, bo nietylko zubożeli do reszty, ale jeszcze i straszna choroba po całej familji ich poszła. Z suchot wymierać poczęli...

Anastazja, że ciemno w izbie czynić się poczynąło, lampę na stole zaświciła i, naprzeciw Józefy usiadłszy, nic nie odpowiadając, wpatrzyła się w nią oczyma do głębi zaniepokojonemi. Usta jej ułożyły się przytem w wyraz niezadowolenia i przykrości. Józefa zaś, jakby myśl o Piszczalkach tak w niej wezbrała, że co prędzej chciała ją z siebie wyrzucić, mówiła dalej:

— Chata do reszty zestarzała im i zgniła, przez ściany wiatry wieją i swobodnie sobie po izbach latają; zimno też tam takie panuje, że aż mię trzęsło, a do jedzenia mają niewiele, bo w polu im źle urodziło, a i tego, co urodziło, z przyczyny choroby nie było zebrać komu...

Tu pan Cyrjak poruszył się niecierpliwie na krześle i, pomimo uszanowania, które zawsze Józefie okazywał, z żywością przerwał:

— Ta bieda, w której Piszczalkowie pogrążeni są, bez przyczyny z ich strony pochodzącej nie jest. Nie rusza się trzcina bez wiatru...

Teraz Józefa, z czołem więcej jeszcze niż wpierv zmarszczonem, przerwała:

— Ja nie sędzia, i cale mi nie trza dochodzić, od jakiego wiatru ta trzcina zgięta; to tylko widzę, że zgięta jest do samej ziemi. Suchoty po nich poszły: dwoje najstarszych dzieci już na nie zmarło, dwoje choruje, i tylko dwoje jeszcze jest zdrowych.

— A bo — znowu mówę jej przerwał pan Cyrjak—Piszczałka zamłodu już próżnującym leniwcem był, na cudze tylko chciwym i takim na zawsze pozostał. Dlatego też bieda u nich wieczna. Co się zaś tyczy suchot, to przez chciwość i sknerstwo z jednych dzieci na insze je przeprowadzają. Po pierwszym synu, który na nie zmarł, trza było odzież i insze tam rzeczy spalić. Tak doradzaliśmy wszyscy i sami im to w roku przeszłym mówiliśmy. Nie! Skusiło ich używać tego, co śmiercią zakażone było, a śmierć nie siostra; kto ją do ciała przytuli, tego nie pocałuje pewnie, tylko pożrze...

— Nawpół nagimi są już oddawna — zaczęła znów Józefa — a nagiego człowieka zimno i podczas jeszcze wstyd udreć, tedy skusili się na zarażoną odzież... Nie widzę ja, aby z tego wynikało, że litować się nad nimi nie trza.

Tu Anastazja, która w czasie rozmowy tej coraz więcej posępniała i na czole dostawała cienkiej pręgi zmarszczki, posępnie też nieco ozwała się:

— Oni także litości nijakiej nie mają, kiedy sławę niewinnych ludzi szarpia i na ostrych językach potwarze nim rozsą...

Józefa, która dotychczas głównie z panem Cyrjakiem rozmawiała, obróciła się cała do Anastazji:

— Ja też przed tobą dlatego i opowiadam o ich ciężkiej biedzie, że oni ciebie ciężko krzywdzili; gdyby nie to, poszłabym do inszych ludzi o pomoc dla nich prosić, ale czyniąc tak, srożej jeszcze od nich ciebieym skrzywdziła, bo do pięknego uczynku i wielkiej szczęśliwości dusznej odjęłabym ci sposobność...

Anastazja, z oczyma spuszczonemi, wydętymi usty zaszeptwała:

— Oni mię od dzieciństwa nienawidzili, za to jedno tylko, że na świat przyszłam, i srożej jeszcze niż Mrukowie przeciwko mnie się rozjadali. Tak samo i teraz, gdyby tylko mogli, chętnie odarliby mię ze wszystkiego, a nawet ze świata zgładzili...

— A ty, skoro możesz, przyodziej ich za to i od przedczesnego zejścia ze świata uratuj! — zawołała Józefa, i czarne brwi jej ściągnęły się nad oczyma, które zagorzały, i teraz do-

piero poznać można było, że ta bledziuchna kobieta ma w sobie ogień namiętności, który tylko przytłumia zazwyczaj i na służenie Bogu i ludziom przerabia.

Ale i Anastazji ognia tego cale nie brakowało. Z zmarzszczonemi też brwiami i cała w rumieńcu, porywczo rzekła:

— Ja im też dobrodziejstw nijakich świadczyć nie będę!... wstrętliwość tylko i gniew we mnie obudzają.

Pan Cyrjak, z rękoma na poręczach krzesła rozłożonemi, głośno sapał. Zawsze tak sapał, gdy czuł się mocno zaalterowanym.

— Naścia słusznie mówi — rzekł po chwili. — Nikt jej tak, jak oni, nie dokuczył, i dla nikogo też ja sam mniejszego szacunku nie wyznaję. Mrukowie jeszcze to choć pracują siarczyście i dzieci po Bożemu wychowują, ale ci drudzy, to już cale, cale są — psombraty!

Po tem przemówieniu pana Cyrjaka, w izbie przez kilka minut cisza zupełna panowała, poczem Józefa, zwyczajnym już głosem, jakby nic cale nie zaszło, o różnych rzeczach, tyjących się dzisiejszej wędrówki po okolicy, rozpowiadać jęła. Tych znalazła zdrowych, tamtych chorych, u Nawróciciela obiad jadła, Żelaznemu, że reumatyzm go dręczy, maści aptecznej nieco dała, Człowieczkowi znów perswadowała wytoczenie nowego procesu, ale wyperswadować nie mogąc, na jutro odłożyła robotę około tego mózgu zapalczywego, ale dobrego i pocziwego serca. Tu, zwrotem nieznacznym, znowuż w mowie swej na Piszczalków wjechała. Kiedy pan Cyrjak śmiał się z tego, co opowiadała o Człowieczku, a Anastazja, brwi rozmarszczywszy, znowu wpatrywała się w nią jak w święty obraz, mówić poczęła o tem, jako przychodząc dziś do Piszczalków, zaraz już w sieni zobaczyła ich średnią córkę, Martkę, więcej do cienia niż do człowieka podobną, aż słaniającą się od słabości, a od chłodu i wilgoci, które tam panują, aż zsiniałą...

Anastazja głowę pochyliła i zapytała zcicha:

— To Martce tak już źle, że aż się słania?

A Józefa łagodnym tonem rzekła:

— Widać nigdy nie nawiedzasz ich, skoro o tem nie wiedziałas.

— Co mam nawiedzać — znowu zachmurzona Naścia odrzekła — kiedy oni na mnie, jak Żydzi na Hamana, nastają? Salka sama tu przybiega, ile razy okazję, aby dokuczyć mi, wynajdzie, ale Martki to już może lat ze dwa nie widziałam, a ona wszakoż daleko lepsza jest od Salki... Cicha taka zawsze była...

— Cieniem z tamtego świata zdaje się być teraz więcej,

aniżeli człowiekiem po tym świecie chodzącym. Oczy jej tylko zawsze pięknym szafirem świecą, a włosy takie same, jak u ciebie, złotem płyną koło policzków, na których gorączka pieczęcie ognistych rumieńców wypaliła...

— O, Jezu! — westchnęła Anastazja.

A Józefa mówiła dalej:

— Syn, Stefek, gdy wchodziłam, za piec się schował przede mną, bo przyodziewku nie ma takiego, w którymby mógł przystojnie oczom ludzkim się pokazać, za piecem zaś, w którym nic ani warzyło się, ani piekło, kaszlał tak, że słuchającego bóle zdjąć mogły...

— O, Jezu! — jęła znowu Anastazja, a pan Cyrjak z pośpiechnością w głosie wyrzekł:

— Dzieci niewinne za grzechy rodziców pokutują.

— Otóż to — potwierdziła Józefa — niewinne. Dzieci niewinne. Ale i rodzicom niktby doli pozazdrościć nie mógł. Jak z krzyża zdjęci oboje, a sama Piszczalkowa, to choć otyłości pozbyć się nie może, przecież jakby spuchła, jakby żółcią nalana wygląda, i przy każdym wspomnieniu o zmarłych dzieciach płacze, a te, co żyją jeszcze, za ręce, albo za odzież porywa, jakby je od spadnięcia z tej ziemi strzymywać chciała.

— O, Jezu! — wykrzyknęła Anastazja i oczy sobie dłonią przetarła, jakby ze snu przykrego obudzić się pragnąc.

Wtedy Józefa, nie głośno i bez gniewu, przecież z czołem, jakby przez pług w bródzy zaoranem, rzekła:

— Imię Pana Jezusa wspominasz, a czy przykazania Jego pełnisz?

Wlepione w nią oczy Anastazji poczęły zaniepokajać się i mglić wilgocią. Głowę nisko pochyliła i jęła swoją ładną, perkalową sukienkę końcami palców skubać. Zaniepokoił się też pan Cyrjak; krzaczaste jego brwi i wąsy poruszać się zaczęły. Józefa zaś, nie patrząccale na nich, jakby do samej siebie mówiła:

— Dziw mię zdejmuje, kiedy widzę, jak człowiek, pomiędzy ludźmi żyjący, w największych męczarniach cielesnych albo dusznych zginąć może, tak zupełnie, jakby żył pomiędzy zwierzętami, lub na pustyni. Może ktoś z głodu cielesnego lub dusznego umrzeć, a nikt nie przyjdzie zapytać, co go boli, i powstrzymać od upadnięcia w otchłań. Twardość serca w tem jest, ale więcej jeszcze myślenia każdego o sobie samym, albo też zawziętości w urazach...

Tu gestem zdziwienia blade ręce rozłożyła i dodała:

— A wszakoż wszyscy nazywają się chrześcijanami i usty naukę Pana Jezusa wyznają!

Zdziwienie i boleść, z jakimi to mówiła, były zupełnie szczerze i dlatego nadawały słowom jej akcent przejmujący taki, że trzeba było koniecznie zastanowić się nad nimi i zasmucić się zawartą w nich prawdą. To też na twarz Anastazji padł wyraz niepokoju i zawstydenia. Z pręgą zmarszczki na czole i trwożliwością w wejrzeniu, szepnęła:

— To prawda! prawda!

Pochyliła głowę i zamyśliła się głęboko. Pan Cyrjak zaś, po krótkiej chwili, przyciszonym głosem za wnuczką powtórzył:

— To prawda! Napatrzyłem się ja przez wiek swój długi tej nielitości i nieubłagalności ludzkiej, aj! napatrzyłem... Deptających i deptających, łaknących i uczłujących, pychą wydętych i upokorzonych — widziałem dosyć i nie jeden raz myślałem sobie: jakże to? A nauka Chrystusa Pana, którą wszyscy usty wyznajemy? Nieuczonym jest i nie wiem, jak tam w starych wiekach się działo, ale były takie wypadki i widoki, które we mnie może i grzeszną myśl obudzały, że i u pogan zapewne nienawiści i zawiści wszelakiej, a dla cudzej biedy obojętności więcej nie było, aniżeli jest pomiędzy nami...

Józefa po chwili na to wyrzekanie pana Cyrjaka odrzekła:

— Wielu z drogi zmyła dlatego, że z zamkniętymi oczyma po świecie chodzi, ale kto tak, jak wy, oczy otwarte ma, a błądzi — to co?

Nikt nie odpowiedział, i wszyscy dość długo milczeli, a tylko za oknami wiatr w wieczornych mrokach, to szumiąc, to przycichając, zdawał się naśladować westchnienia te, które mroki niedoli ludzkiej napelniają. Anastazja pierwsza zcichła mówić zaczęła:

— Ciężko to widać sercu ludzkiemu rozstawać się z odrazą i gniewem, równie może ciężko, jak z kochaniem. Teraz dopiero to poznaje, kiedy wypada mi zbliżyć się do ludzi, od których wiecznie oddaloną pozostałbym pragnęła. Modlić się będę i was, Józefo, proszę o modlitwę, aby Pan Bóg dopomógł mi serce odmienić i polubić tych, którzy bez nijakiej winy mojej mnie znienawidzili, a we wszystkim wstrętliwi mi są i przeciwni. Ale prawdą to jest, że oni nieszczęśliwi, i że Martka albo Stefek sami w niczem przeciwko mnie nie wykroczyli, że Pan Jezus wybaczyć nieprzyjaciółom rozkazał, że...

Głos jej przycichł, upadł, niżej jeszcze niż przedtem pochyliła głowę; snadź walczyła ciężko z samą sobą, i po kilku

minutach dopiero, wilgotne oczy na Józefę podnosząc, zcicha zapytała:

— Co tedy każecie mi dla Piszczaków uczynić?

Józefa po krótkim namyśle odpowiedziała:

— Najpierw, moja Naściu, o tem masz wiedzieć, że nie ja tu rozkazy wydaję, lecz spólny Stwórca nas wszystkich, który żąda, abyśmy braciom swym, choćby najgorszym, w nieszczęściu ratunek przynosili. A potem, rady czyjekolwiek na nic tu są. Zbliź się ku nieszczęśliwym, w życie i serca ich wejrzyj, a potem z własnej duszy swej wyjm tę perłę, którą złożyć masz na ołtarzu miłości Boskiej i ludzkiej. Ja tylko pokazałam tobie, gdzie jest ta perła, i że ty przyozdobić się nią możesz, a reszta niech z własnego rozumu twego i z własnej woli twojej pochodzi.

Anastazja, z uwagą słów tych wysłuchawszy, ze stolka powstała, pocałowała Józefę w rękę, zcicha mówiąc:

— Dziękuję! dziękuję!

Potem szybko, ku panu Cyrjakowi obróciwszy się, zapytała:

— Czy można, dziaduńku?

Panu Cyrjakowi krzaczyste brwi aż na same powieki opadły, a srogie wąsy drgały i trzęsły się razem z wargami. Objął wnuczkę ramieniem, w gruby rękaw kapoty okrytem, ku piersi ją sobie przyciągnął i w złotych jej włosach, do szorstkiej odzieży przytulonych, chwilę jakąś usta zatapiał, a potem zlekka ją od siebie usuwając, z gestem ręki i głowy niejaka dumę oznaczającym, dodał:

— Wystarczy nam dwojgu na siakie takie zreparowanie tej rozwaliny, jaką jest byt Piszczaków. Na północy, hen! dalekiej tam ziemi, konopiem zasiewałem i sznury z nich z kilku kolegami pospołu ukrecałem, a Bóg pracy naszej błogosławił. Nie zbraknie też mnie, ani dziedzicze mojej chleba z okrasą, choćbyśmy i do gruntu toń tę znurtowali, w której Piszczakowie po szyje już są zatopieni! A że nie osobliwie zacni to ludzie, owszem, cał...

Tu schmurzył się znowu i z najeżonemi wąsami zcicha wtrącił:

— Całe nawet psombraty...

Poczem raźnie znowu dokończył:

— To niech ich tam Pan Bóg sądzi! Może i odpuści?... Kto w górze bywał? A. tera, Naściu, wieczerać dawaj i co prędzej, bom głodny jak wilk!

— O, jak to dobrze! — śmiejąc się, zawołała Józefa — bom ja też głód uczuła i chętniebym co zjadła!

Naścia strzałą skoczyła do kuchenki, wołając:

— Łucjo! duszko! mileńka! Wieczerać dawajcie! Jeszcze nie ukończyła wszystkiego? No, to ot rękawy zawijam i do pomocy ci staję! W mig wszystko gotowe będzie!

Wieczereżę jedli wszystko troje z wesołością niezwykłą, a osobliwie po twarzy Józefa rozlewał się wyraz głębokiego i słodkiego ukojenia.

Wprędce przecież ukojenie to w niepokój się zmieniło.

Godzina była późna, pan Cyrjak od dość dawna już do domostwa swego odszedł, w bokówce, izdebce schludnej, sypialnią Anastazji będącej, paliła się lampka z zielonym daszkiem, w której księżycowem świetle Józefa wydawała się zdjęta niezwykłym w niej niepokojem. Ani na łóżku, starannie dla niej przez Anastazję usłanem, ani na żadnem ze znajdujących się tu sprzętów nie siadając, chodziła po izdebce, różnych przedmiotów bez potrzeby dotykała, wazonikom na oknie, w których rzeźda i pelargonja kwitły, niby przyglądała się, ale w gruncie rzeczy z myślami i uczuciami jakimiś potajemnie mocowała się i walczyła. Nakoniec do Anastazji zwróciła się z prośbą, aby rzeczy, które miała z sobą w izdebce, przeciwnikiem zwanej i z drugiej strony domku znajdującej się, rozłożone, w skrzyniach jej ułożyła.

— Jutro trza mi koniecznie stąd odjechać, a nie czuję w sobie siły do pochylania się nad kuframi. Dopomóż mi w tem, Naściu, a wiesz dobrze, jak i gdzie co położyć, boś nieraz już to czyniła.

Dziewczyna odeszła śpiesznie, a Józefa natychmiast żywym ruchem przy mnie usiadła i, jak najbliżej przysuwając się, szybko mówić zaczęła:

— Sumienie mam niespokojne, a ponieważ pani okazuje mi zawsze życzliwość i sympatię, i dziś jeszcze tyle słów pochlebnych i pięknych mi powiedziała, więc proszę o radę. Bywają czasem w sercu człowieka uczucia tak sprzeczne, ponęty w tak przeciwne strony pociągające, że zawikłania te o własnych siłach rozstrzygnąć trudno, i bardzo — o! jak bardzo — rada rozumna a przyjazna jest nam potrzebna.

Wzruszona była, prawie drżąca; mówiła zaś językiem kobiety wykształconej, a w nieśmiałej jej postawie był zwykły jej zresztą wdzięk i delikatność.

— Nim jednak opowiem wątpliwości i walki swoje, powinienam odkryć przed panią całą swą duszę i przeszłość... Długich słów, zresztą, nie trzeba. Niech pani ten jeden wyraz przeczyta...

Rozwinęła papier urzędowy, na mocy którego wędrowniki swe odbywała, i pokazała mi, wypisane w nim nazwisko swoje,

którego brzmienie i przedtem było mi znane, ale teraz dopiero, gdy, rzuciwszy na nie okiem, w twarz jej spojrzałam, do dna zrozumiałam i jedną szybką myślą objęłam historję kobiety tej i jej duszę. A ona ledwie dosłyszalnym szeptem mówiła:

— Namiętność porwała mię jako wichur i od domu rodzinnego odniosła, bez błogosławieństwa ojca, owszem, ze złorzeczeniem i taką boleścią jego, które mu potem nie dały już żyć długo. Imienia mego nie wspominając i wspominając przed sobą nie pozwalając, przedwcześnie umarł, a ja, w dalekich stronach dowiedziawszy się o tem, odrazu powiedziałam sobie: Ojca zabiłam!

Z pod spuszczonych jej powiek zaczęły powoli, po jednej, wypływać łzy.

— Było to pierwsze uderzenie w serce, którem Bóg obudził je z pijanego snu. Potem zaraz przybywać zaczęły smutek i tęsknota po wszystkim porzuconem, utraconem, aż poczułam, że to, co przedtem wydawało się niczem, było mi tak kochane, że aż po pewnym czasie uczyniło się świętem. Wtenczas czołem uderzyłam przed Majestatem przeze mnie obrażonym, i była to już — rozpacz!

— A on? — zapytałam.

— Jego serce odwróciło się ode mnie wnet potem, gdy stałam się smutną. Są ludzie tak weseli i weselością tylko żyjący, że smutku żadnego znieść obok siebie nie mogą, i gdy tylko jaki się zjawi, wydzielają go z życia, jak kroplę trucizny z napoju. Z ochotą na rozwód przystał; inną, weselszą, już kochał. Mnie została odrobina majątku, którą ojciec mój, pomimo wszystko, przyszłość moją ubezpieczył, i samo jedno w sercu, ale silne pragnienie pokuty... A żeby nie wiedzieć jak wielką była ta pokuta, zbyt małą wydałby mi się musiała, bo przecież... przecież... rzecz świętą znieważyłam i... i... zabiłam ojca...

Tu wezbrał w niej płacz tak gwałtowny, że zdawało się, iż piersi jej rozerwie; z twarzą w dłoniach zaskładała głóśnie, ale wkrótce przemogła się, uspokoiła i znowu zaczęła mówić:

— Przez czas pewien, nie przyzwyczajonej do trudów i prostego życia, uciążliwie było mi prowadzić życie takie, jakie obrałam... Ale teraz, owszem, zahartowało ono ciało, poprawiło zdrowie i dało takie szczęście duchowe, że może w żadnem położeniu innem więcej nie mogłabym go doświadczać. Wszędzie, gdzie tylko przybywam, czczona, kochana, pieszczona, na widok tej miłości i różnych skutków pracy swojej takiej czasem radości doświadczam, że zapytuję siebie: cóż to za taka pokuta jest? Gdzie

są cierpienia, które mi niby to chciałam winę moją przed Bogiem i przed...

Nie dokończyła i po chwili dopiero wyszeptała jeszcze:

— Trzeba mi widać inną jakąś wynaleźć drogę... coś takiego uczynić... ale jaką? co?... Nie mam u kogo rady wezwać! Największym nieszczęściem ludzi jest to, że ani rozumieją, ani pragną zrozumieć jedni drugich, wtedy zwłaszcza, gdy dusza czyjaś nieco różną jest od wszystkich innych...

Istotnie była to dusza różna od innych, dziwna!

Anastazja, nie dość zapewne wprawna, długo układała rzeczy w skrzyniach Józefy; długo też sama na sam rozmawiałaśmy w bokówce, przy dogorywającym pod zielonym daszkiem świetle małej lampy. A nazajutrz w południe nie było już Józefy w Tuczyńcach.

V.

W parę dni potem rozeszła się po Tuczyńcach wieść, która jednych zadziwiła, innych rozbawiła, a innych nawet oburzyła, że Anastazja, w nagle jakieś miłowanie względem Piszczaków wpadłszy, córkę ich Martkę, jawne suchoty mającą, najpierw do lekarza zawiózłszy, do siebie na dopatrzenie wzięła i jedną z kilku krów swoich im na własność oddała, aby Stefek, już chorzeć porzynający, codziennie mógł mleko pić. Pan Cyrjak podobnież nierzadko teraz do Piszczaków zachodził, i z rąk jego, równie jak z rąk Anastazji, do tego domu, z całej okolicy najnudniejszego, różne ulgi i pociechy, choć skromne, ale dla nich ważne i niespodziewane, ściekać poczęły.

Nikommu takie pogodzenie się nieprzyjaciół w głowie pomieścić się nie mogło. Jeden tylko Wincenty Tuczyński, Nawrócicielem zwany, wtenczas właśnie do domostwa Anastazji zaglądać kiedy niekiedy począł, i raz, w niedzielę jakąś, najstarszego syna swego, Bolka, do niej przyprowadził. Ten zaś Bolko, ze złotym wąsikiem nad czerwonymi ustami, czy tylko nie był najlepszą partją w całej okolicy? i czy tylko już wpierw nie czuł do Anastazji upodobania, które wszyscy postrzegali, dziwiąc się, że ona jedna postrzegać go nie chciała? Rozmawiała się potem w panu Apolinarym, i Bolko całkiem się zdawało, patrzeć na nią przestał, a teraz z ojcem przyszedł, przez cały wieczór rozmawiał z nią, żartował, i kto wie, co z tego wyniknąć może? Gdyby nie to, że aktorką była, niktby nawet nie pomyślał, że człek tak rozumny,

jak Nawróciciel, pobłażliwie spogląda na afekty syna względem takiej, jak ona, fiksutki; bo ażeby dobro swoje oddawać takim nieponiom wogóle, a swoim wrogom osobliwie, jak Piszczalkowie, na to potrzeba być fiksatką; nieinaczej — tylko fiksatką.

Ewka Glindzianka, z czarnemi oczyma aż latającemi od zdziwienia, głosem od zapалу aż zdyszany mówiała:

— Bo do czego to jest podobne? Oni na nią góry-mury wałą, a ona na nich, jak przyjaciół najlepszych, łaskami różnemi sypie! I pana Cyrjaka namówiła też, aby im świadczył. Martkę zabrała do siebie i chodzi koło niej, jak matka koło dziecka swego najmilszego. Bokówkę, że to najcieplejsza izba jest, jej ustąpiła, a sama na zimny przeciwnik się przeniosła; odzież ciepłą jej sprawiła, lekarstwa różne daje, a podczas to i w nocy nawet wstanie, aby obaczyć, czy jej czego nie potrzeba... Piszczalkowie też kupą całą tera u niej przesiadują. Niby to dla obaczenia się z Martką przychodzą, a na całe dni albo wieczory ostają sobie w domostwie ciepłym i wszystkiego dobra pełnym. Ona zaś karmi ich, poi, poswary i kłótnie znosi...

— Jakie kłótnie?

— A bo to taka familja jest, że kłóci się z sobą, jak najęta: ojciec z matką, dzieci z rodzicami i pomiędzy sobą... Piszczalka, jak się rozkrzyczy, to jakby kto we trzy flety odrazu dmuchał, i wtenczas tylko uspokoi się, kiedy Piszczalkowa z Salką, jak wilki na owce, na niego wpadną, a potem znowu z sobą, albo z młodszymi chłopcami kłócić się poczną. Martka, widząc to, gorzej chorzeć zaczyna, płacze i kaszle, a Naścia, zamiast wygnać ich ze swego domu, jakby to każdy inszy człowiek uczynił, perswaduje, prosi, Pana Boga przypomina, aż gdy wytrzymać już nie może, Martkę ze sobą zabrawszy, na przeciwek ucieka i drzwi za sobą zaryglowuje, co Piszczalkom i na rękę, bo gdy ona, zamknąwszy się przed nimi z Martką, jak w więzieniu siedzi, oni do spiżarni i kuchni idą, wszystko, co tam jest wywlekają, warzą, smażą i jeszcze czasem narzekają, że Naścia skąpa, i to i owo mając, im przecie nie dawała...

— To w Naścinyim domu piekło teraz?

— I jakie!

— I cichość, w której ona takie upodobanie ma, przepadła?

— Tak przepadła, że i mnie tam chodzić już niemiło. Do Naści też serce tracić zaczęłam. Bo do czego to podobne? Z nieprzyjaciółmi swymi tak postępuje, a ja dla niej jakbym nie żyła na tym świecie. Im wszystko, a mnie nie!

— Jakto nic? A te piękne korale, które niedawno ci podarowała?

— Co tam korale! Miała je po swojej nieboszczce matce, to i podarowała. Nic jej nie kosztowały. Żeby oboje z panem Cyrjakiem to, co ich teraz Piszczalkowie kosztują, mnie oddali, to-bym los i szczęście ustalone miała. Ale Naścia woli wrogom swoim darować; głupia jest i niesprawiedliwa. Ja też rzadko kiedy już do niej chodzę, a i pan Cyrjak także...

— I pan Cyrjak także?

— Bardzo słusznie. On z początku nauczał Naścię, aby temu tatarskiemu najściu Piszczalków woli nie dawała, bo ją okradną, objedzą i zdrowia pozbawią, a razu jednego, zniecierpliwwszy się, rzekł: »Tylko ty zgódź się na to, Naściu, a ja psombratów tych, chocia i stary jestem, kijem stąd poprzepędzam«. A ona na to, ręce jak do pacierza złożywszy: »Nie może to być, dziaduńku, nie może to być, bo Martka od zmartwienia gorzejby się rozcho-rowała!«

Tedy pan Cyrjak ręką machnął i codzienną do niej przychodzić przestał. Do Nawróciela raz rzekł, że ciągłego widoku Piszczalków znieść nie może i od niego choruje, tedy, miłując wnuczkę tak, jak wpierv miłował, rzadko kiedy do niej chodzi.

Tak tedy piekło w domu miała, przyjaciółkę najmiłszą utraciła, i dziadunio najukochańszy nawiedzać ją przestał. Józefa powiadała: »Dobądź z duszy tę perłę i złóż ją na ołtarzu miłości Boskiej i ludzkiej!« Usłuchała, perłę z duszy dobyła, na ołtarzu ją złożyła — i miała zapłatę!

W chmurny, ale łagodny wieczór zimowy, Naścia wychodziła z domu pana Cyrjaka na ten sam ganek, na którym on w lecie prawie głośno odczytywał z książki psalm Kochanowskiego. Całe inaczej niż wtedy świat wyglądał; niebo i ziemię okrywała biel obłoków i śniegu, czysta, ale smętna. Na całym niebie i na całej ziemi leżał smutek i śpiewał pieśń cichości. Gdziekolwiek było spojrzeć: na pola dalekie, czy na ogrody, sady, dachy domostw — wszystko było białe, białe. W ogrodach badyłe suche, w sadach drzewa z nagimi gałęzmi, nad dachami kominy martwo sterczały, i wszędy martwość obejmowała się z cichością. O ludziach, we wnętrzach domostw ukrytych, mówiły tylko ścieżyny wąskie w śniegu wydeptane, które po całej wsi kręciły się i biegały, ale ludzi samych w tej chwili na nich nie było. Gdzie nigdzie tylko psy, węsząc, od płota do płota łaziły, wrona podskakiwała, kot, z pod świrna wyjrzawszy, chyłkiem śmignął ku

stodole, albo w koronkach gałęzi nagich zafruwały i zaćwierkotały wróble.

Anastazja w szarej chustce, od chłodu zarzuconej, z domu pana Cyrjaka wyszła i na ganku przystała, wahając się, czy odejść ma, lub pozostać. Przywitawszy się, rzekła:

— Dziaduńka nawiedzić przyszedł i, w domu go nie znalazłszy, sama nie wiem, czy zaczekać na niego, czy iść sobie. Sługa mówi, że na moment tylko do Nawróciciela poszedł. Może zaczekam. Ale jeżeli zagadają się tam zbyt długo, Martka sama jedna ostawiona smęcić się będzie...

Przez kilka ostatnich miesięcy zeszcupiała i przybladła. Szare oczy jej, jak zwykle kryształowo przezroczyste i głębokie, tak wyglądały, jakby w nich przejrzała się i obraz swój pozostawiła cierpliwość. Dużo przez czas ten cierpieć i na cierpliwość zdobywać się musiała, bo i w linji jej ust malowało się to samo, co w oczach, to jest: w cichości znoszone cierpienie.

— Zaczekam — z postanowieniem rzekła — tyle prawie dziaduńka widuję teraz, ile sama go nawiedzę. Tęskno mi do niego.

— U ciebie, Naściu, ludno teraz w domu i gwarno.

Ze spuszczonemi oczyma odrzekła:

— Ludno i gwarno, a dziaduńko tego nie lubi.

A ona sama czy to lubiła? Czy może być, aby skarga na usta jej wybiec nie chciała?

— Podobno Piszczalkowie cię obsiedli i przykrości różne wyrządzają?

— A skąd to wiadome? A no i zapytywać o to nie trza. Ludzie gadają. Zdaje się, że o nikim tyle, co o mnie, okolica cała nie gada. Ale w gadaniu ludzkim, jeżeli i jest prawda, to zawsze z którejkolwiek strony krzywa, tedy i wierzyć jej nie warto.

Czy chciała skarga na usta jej wybiec, czy nie chciała, nie wybiegła.

— Doktorem stałaś się, Naściu. Martkę z gorliwością leczysz! Zaśmiała się.

— Oho! do doktorstwa mi daleko! Ale że dałabym wiele za to, aby zdrowie Martce przywrócić, to jest pewne. Tylko, że nie nie pomaga: ani lekarstwa, ani wygody i ciepłość, w których teraz żyje, nie pomagają; gorzej jej ciągle a gorzej. Mnie zaś serce boli, bom się już do niej bardzo przywiązała. Dobra jest i miła... a tchu w niej tyle, co może i na kilka miesięcy nie wystarczy.

Z oczyma w daleki, biały śnieg zapatrzonemi, zcicha dodała:

— Co miłe, to ginie! Co miłe, to oddala się i ginie!

Słowa te wymawiając, nie o Martce tylko myśleć musiała.

Ktoś inszy jeszcze, miły jej, oddalił się, zginął. Mizerną twarz jej oblała tęsknica niewymowna. Nagle przecież rozróżnione oczy błysnęły radością, z ust perlowym uśmiechem rozwartych wypadł okrzyk: »Dziaduńko!« — i z trzech schodków ganku odrazu zeskoczywszy, na spotkanie nadchodzącego pana Cyrjaka pobiegła.

W baraním kożuchu, czarnem suknie powleczoneym, i w wielkiej baraniej czapce, pan Cyrjak, idąc, drogę przed sobą grubym kijem ubezpieczał, aby na rowek jaki śniegiem napelniony, lub zbyt gruby nasyp śniegowy nie natrafić. On także przez tę zimę zmienił się nieco, uwiadł i nie dziwnego, bo starość to była głęboka; wszakoż trzymał się jeszcze prosto, a z wysokim wzrostem swym, szerokimi ramionami i wielkiem czołem wyglądał poważnie i silnie. Anastazja, szeroko ramiona otworzywszy, mocno go niemi objęła i, cała przytulając się do niego, mówiła, że tęskno jej za nim, że podczas to już i wytrzymać bez niego trudno, że przybiegła i, w domu go nie znalazłszy, czekała, a doczekawszy się, już nie puści go tak rychle i na cały wieczór do siebie zabierze. Chustkę, która w czasie powitania tego z pleców jej opadła, ze śniegu podnosząc, zapraszała:

— Chodźcie państwo do mojej chaty, bądźcie łaskawi, na cały wieczór chodźcie! Tabakierkę dziaduniową nakręcimy, i grać będzie, pogadamy sobie, może »Trenów«, albo »Żywotów Świętych« nieco poczytamy!

— A no! — z zakłopotaniem czapki baraniej dotykając, mówił p. Cyrjak — poszedłbym! chętniebych poszedł! tylko, że teraz u ciebie te psom...

Śmiejąc się, ręką usta mu zakryła:

— Nie wygadujcie, dziaduńku, nie wyrzekajcie i nie bójcie się! Dziś u mnie cicho jest, jak makiem posiał. Stryj Dominik na jarmark pojechał, stryjenka z Salką Kwiczolowej w przedzeniu pomagają, jako że wesele córki ich wprędce już odbyć się ma, tedy przedziwo do farbierza trza im najrychlej oddać. U mnie Marteczka biedna sama tylko ostała i jeszcze chłopak ich, Stefuś, w kuchence cicho sobie leży a kaszle...

— Już i tego przybrała sobie? — zapytał pan Cyrjak.

— A no, kiedy chorzeje wciąż, a u mnie ciepłej mu, i wygodą większą.

Potem znowu zapraszać poczęła:

— Chodźcie! bądźcie łaskawi! Herbaty na takie święto zgotuję i serek wyborny wczoraj zrobiłam...

— Dziw to wielki, że tego serka jeszcze ci wilkowie i dudkowie nie pożarli — mruknął pan Cyrjak.

— Cicho, dziaduńku! Nie oskarżajcie i nie wymawiajcie, jeno chodźcie!

Przed gośćmi do świetlicy swej wbiegając, wołała:

— Marteczka! Martuś! Smętno ci było samej jednej? Obacz: gości przywiodłam!

Z bokówki wyszła dziewczyna młodziuteńka, bo może 17 lat jeszcze w zupełności nie mająca, z włosami, jako u Naści były, bladozłotemi i chudą twarzą, wśród której oczy, jak dwa sine płomyki, w zapadlinach głębokich płonęły. Prawdą też było, co mówiła Józefa, że na policzkach jej przeświecających się, jak alabaster, »gorączka okrągłe pieczęcie rumieńców wypalała«. Wy-soka, a od wychudnięcia i słabości nakszał trzciny cienka i wiotka, podeszła zaraz do Naści, pytając:

— Gości przywiodłaś? Może co zrobić? do kuchni pójść? ze spiżarki przynieść?

Naścia żartobliwie za długą kosę złotą, którą na plecę spuszczoną miała, ją ujmując, odpowiedziała:

— Nic inszego czynić nie masz, jeno grzecznie usieść i nie kaszleć. To jedno do ciebie przynależy, abyś nie kaszlała i kontenta sobie była. Dziaduńku, czy Martka byle trochę lepiej teraz wygląda? Mnie się wydaje napoly już prawie uzdrowioną. Proszę popatrzeć i powiedzieć!

Pan Cyrjak na dziecko biedne patrzył, i po wielkiem jego czole zmarszczki przewalały się, jak wzdęte fale. Raźnie przecież zawołał:

— A no, zuch dziewczyna! Wyglądasz, Martka, tak jakbyś wprędce ozdrowieć miała. Jeszcze i ja na weselu twojem nogi do tańca poruszę!

Radość promieńmi strzeliła z twarzy dziewczyny, która też wnet pogarnęła się do Naści i, ręce na szyję jej zarzucając, mówiła:

— Zbawicielko ty moja! Aniele, na ratunek mi z nieba przysłany! Jeżeli żywa ostanę, to ty mię, jak druga matka, świata przywrócisz!

Naści łzy zakręciły się w oczach, a pan Cyrjak głośno sapać począł, że zaś ciemnieć już poczynało, przemówił:

— Naściu! kiedyś przyrzeczenie dała, to i dotrzymaj, światło zapal i poczytaj chwilę, bom się już do czytania twego stęsknił, sam prawie nie mogąc liter rozpoznawać, z przyczyny okularów, które się zepsowały. Muszę też do miasta pojechać, aby nowe kupić!

Naścia, plecami do dziadka obrócona, smutnie się uśmiechnęła, szepcząc:

— Nijakie okulary już nie pomogą! Wiek i oczy tu zawniają, nie okulary!

Westchnęła i, w ciężki smutek na moment zapadłszy, przez okna na ciemny już wieczór patrzyła, a Martka owszem rozweselona tem, że ją za zdrowiejącą ludźmi poczytywali, ku komódce pobiegła i stojącą na niej lampę poczęła zapalać rękoma tak przeczczystemi, że światło, jak przez alabaster, przez nie przeświecało. Potem obie z Naścią dla przysposobienia wieczery do kuchenki wyszły.

— Zaraz poczytam dziaduńkowi, a tylko wpierw samowarek nastawię, bo Łucji dziś ku pomocy nie mam. Do córki, na chrzciny wnuka poszła.

Zaledwie wyszły, pan Cyrjak ciężar, który mu duszę uciskał, opowiadać począł. O los wnuczki frasował się srodze. Nie rodzoną mu jest, ale gdyby i aniołem zeszył z nieba była, więcej światłości na starość jego rzuciłby nie mogła. Młodość przeszła mu w przygodach rozmaitych, ożenić się i gniazda sobie uwić ani nie chciał, ani mógł. U skłonu dnia swego na zagon przeddziadowski powrócił i byłby samotnie, jak pustelnik wśród skał twardych i piasków suchych, wieczór swój spędzał, gdyby mu Bóg litościwy dziewczyny tej nie zesłał.

— Ociec jej, z tych trzech synowców moich, najzacniejszy był... gdzie! i porównania niema! jego też jak syna umiłowalem, a gdy Bóg zabrał go z tej ziemi, sierota jego w serce mi wsiąknęła, jako w spragniony grunt kropla wody. Nadzieję roilem sobie, że, dobrą będąc, rozgarniętą, żadną szpetnością osobliwą oczy ludzkich nie rażącą, a przytem piękne dziedzictwo mając, szczęśliwa będzie, gładką drogą pomiędzy kwiatami pójdzie... Aż tu nie! gdzie tam! Inszą od wszystkich urodziła się, i w tem właśnie bieda jest utkwiona, bo nikomu, kto świata przypatrywał się, nie tajno, że człowiek inszy, żeby nie wiedzieć jaki dobry, szczęśliwym nie może być; owszem, im lepszy jest, tem nieszczęśliwszy być musi. Górne myśli go gubią, a więcej jeszcze serce, które potrawami zwyczajnemi nasycić się nie może... Ot i teraz: frasobliwym jest, frasobliwym o to przybliżenie się do niej Piszczalków. Pókim żyw, nic złego jej się nie stanie, ale jak oczy zamknę, co jako w sobie uczuвам, rychło nastąpić musi, lękam się, aby psombra...

Nie dokończył, ręką machnął, krzaki brwi zsunęły mu się aż na powieki; nasępiony, ze zmarszczkami jak ze wzdętymi falami na wysokiem czole, chwilę siedział, milcząc. A potem znowu mówić zaczął, że najgorętszem żądaniem jego jest i ostatnią do

Boga modlitwą, aby Naścię przed śmiercią zamężną mógł obaczyć! Żeby zamaż wyszła, opiekuna i obroicielaby miała. Cóż, kiedy nie chce. Już czego lepszego każdej dziewczynieby trzeba, niż ten Bolko, syn Nawróciela? Rozmiałowany w niej, ojca po rękę całuje, a prosi: »Dopomóżcie, tatusiu, abym ją dostał!« A ona—nie! Ani mówić jej o tem! Jednego upodobała sobie i z tęsknoty za nim usycha! A no, chocia to i nie człek taki, jakiegobym dla niej żądał, niechby już... niechby już ten... zawsze lepiej niż samej jednej na świecie ostać... Ale on znów jak pojechał, tak pojechał, i o Naści, chocia upodobanie w niej widoczne okazywał, pewnie już zapomniał... A tak we frasunku o nią i w żałości schodzą ostatnie dni moje, a Bogu tylko dufam, że sieroty tej, zmloda już udręczonej, nie opuści...

Tu wywnętrzanie się starego przerwało wejście Naści, z progu kuchenki wołającej:

— Jużesmy z Martusią samowarek nastawiły i wszystko co trzeba przysposobiły do wieczery, a teraz dziadunkowi może poczytać chwilę?

W parę godzin później po wieczery już było i po czytaniu; p. Cyrjak, na ławie siedząc, z głową opartą zadrzemał. Często go teraz, śród dnia nawet, drzemka ogarniała, w czym niektórzy upatrywali staczający się coraz niżej skłon jego żywota. Martka łabakierkę dziaduniową nakręciła, i ciepłą odzieżą owinięta, zdala od wszystkich, w cieniu pieca dużego usiadła. Nikt nic nie mówił. Za oknami na czarnej firance nocy mrugały złote gwiazdy, a po świetlicy, w zielonawej jasności lampy, tony cichej muzyczki rozsypywały się jak szklane i srebrne paciorki. Anastazja szepnęła:

— Jakeśmy to u końca lata przy tej samej muzyczce wesoło sobie tańczyli!...

I, nisko spuszczać głowę, dodała:

— Dzień dniu nie równy!...

Martka w tej chwili zaniósła się suchym kaszlem, a jakby echo odpowiedział jej z kuchenki kaszel spoczywającego tam Stefka.

— Naściu, czy ty nie lękasz się przejąć od nich tej choroby? Wiesz przecie, że zaraźliwą jest!

Z ogromnem zdziwieniem popatrzała na mnie i, wzruszając ramionami, odpowiedziała:

— Jeżeli Pan Bóg nie zechce, nie przejmę; to pierwsze...

Po chwili zaś milczenia dokończyła:

— A drugie, że gdybym i przejęła, to co? Dopóki dziadunko na tym świecie... owszem... ale potem... A no! Nie miłowana ja

i nie milująca... Siąc, żać, aby zjeść, a na drugi rok znowuż siąc, żać, aby zjeść...

Splotła ręce jak do modlitwy.

— Żeby to Martka ozdrowiała, a ja na jej miejsce... razem z dziadunkiem... kiedy ten straszny moment nadejdzie...

Martka nie ozdrowiała. Słońce marcowe lało jasne i ciepłe światło na ziemię od świeżo stających śniegów jeszcze chłodną i wilgotną, po lasach sasanki rozkwitać zaczynały, a na skraju pól majaczyły po błękitnem niebie ciemne sylwetki plugów i oraczów, gdy gromadka ludzi od cmentarza do wsi powracała. Nawróciciel szedł pierwszy i, krzyż duży w ręku podnosząc, pieśń nabożną głębokim basem śpiewał.

W postępującej za przewodnikiem gromadce mężczyźni prawie wszyscy mieli w ręku otwarte książki do nabożeństwa i, pilnie w nie patrząc, pieśni przez niego śpiewanej różnemi tonami wtórzyli. Kobiety zaś, z rękoma nabożnie złożonemi, szły milcząc, lub z szybkimi poruszeniami warg odmawiając ostatnie pacierze. Wszyscy zresztą szli prędko, prawie biegli, aby krokom Nawróciciela, któremu do pluga pilno było, sprostać; czarny krzyż nad głowami ich szybko przesunął się po tle błękitnego nieba, a żalosne pienia, przez wiaterki marcowe wznoszone, leciały po chłodnem polu aż ku tym jego krawędziom, któremi sunęły zwolna ciemne sylwetki oraczów. Droga była niedługa; mały orszak rychło wsunął się pomiędzy domostwa okolicy, i tylko pomiędzy okolicą a znacznie odrzuconym od niej domem Anastazji pozostało kilka kobiet w ciasną kupkę zbitych i gwarzących.

Gwarzyły o tem, że chociaż Piszczalkowa kobietą jęczycliwą jest i przykrą, wszakoż po córce zmarłej tak bez upamiętania nijakiego desperuje, że aż serce kraje się, na nią patrząc. Nie dziw też może, iż w gadzinę jadowitą się przemieniła, z takim niedolęgą i razem impetykiem, jakim Piszczalka jest, wiek swój przeżywszy. Bo kiedy kto niedolęgą jest, to niechże choć pokorę i cichość łagodną w sobie ma, abo kiedy impetyk, to mu w pracy zarówno, jak w gniewie, niech moc i płomień tkwi. Ale takie dwa grzyby w barszczu mając, otruć się nim nie trudno, i nie dziw, że u Piszczalkowej żyły napelniły się smołą gorącą. Z człowiekiem tym żyjąc, wszystko znosić musiała: głód, chłód, długi, poniewierkę mężowską, a teraz jeszcze choroba okrutna miarę niedoli jej do samego wierzchu dosypała, dzieci jedno po drugim w przedwczesną mogiłę wpychając. Po żadnem wszakoż tak jeszcze nie desperowała, jak po tej Martce, na żółtej mo-

gilce jak wąż się wila i ryczała z płaczu, jako ta krowa, której cielątko od wymion oderzną. Pozostała też tam, chociaż wszyscy odeszli; szczęściem tylko nie sama jedna, bo z Salką i ze Stefką.

A ta Naścia, to także jest dziewczyna niesłychana i niewidziana, że córki nieprzyjaciół swoich tak żałuje. Białą sukienkę jej do trumny sprawiła, pogrzeb sprawiła taki, jak lepszego nikomu nie trza, i złotne widać serce ma, kiedy takiej pomsty na nieprzyjaciółach swoich szuka. Ile Piszczalkowie ją kosztują tej zimy, a ile frasunków około nich i przez nich ponosi, tego nikt przeliczyćby nie zdołał, a teraz łzami rzęsistymi zalewa się po tej Martce. Pójśćby może i nawiedzić sierotę w zasmęceniu będącą, bo podobno i ten dziadunio jej najukochańszy, pan Cyrjak, niedomaga, tak, że ani na pogrzebie być nie mógł, ani jej w tę godzinę żalowaną, która po wyniesieniu z domu trupa zawsze następuje, kompani dotrzymać nie może. Czasu wszakoż do nawiedzin mało miały, ile że dzień był powszedni. Więc kilka z nich do domów swych poszło, a trzy czy cztery zwolna posunęły się drogą, ku Naścinnemu domostwu wiodącą.

Naścia siedziała na ganku sama jedna, co moment chustką lży z oczu ocierając. Miała na sobie kaftanik watowany i na złotych włosach czarną chusteczkę pod brodę zawiązaną; ręce jej od chłodu poczerwieniały nieco, a mizerna twarz bladością od czarnej chusteczki odbijała.

Kobiety ku gankowi zbliżające się obaczywszy, powstała i z grzecznym przywitaniem poprosiła, aby do świetlicy weszły. Ale one odrzekły, że czasu na długie nawiedziny nie mają, i jedne na ławeczce gankowej przysiadły, insze się tylko o słupki plecami powspierały i poczęły jej różne pocieszenia mówić, z których największe to im się zdawało, że Naścia z krewnymi i nieboszczką Martką nie po ludzku, lecz po anielsku się obeszła, że tedy nagroda niebieska ominąć jej nie może. Ale jej oczy ciągle łzami nabiegały, i jedno tylko wymówić zdołała, że nagroda jej się niejaka nie należy, bo do Martki przywiązała się i co czyniła dla niej, to z serca i duszy czyniła, bo Martka dobra była, miła...

— Ale co miłe, to odchodzi i znika! — dodała, wracając do tej, wiecznie prześladowanej ją myśli o doczesności i przemijaniu wszystkiego, co ziemskie.

Wtem jedna z gości, ku bramie podwórka poglądając, wykrzyknęła:

— Piszczalkowa leci!

— Aha! — potwierdziła druga — z Salką we dwie lecą!

— Pędem lecą!

— Zdaje się, jakoby skrzydła miały!

Istotnie zdawać się mogło, że na skrzydłach leciały, tak prędko biegły, i tak się im od prędkiego biegnięcia i od wiatru chusty na plecach zarzucone we wsze strony rozmiotowały. Piszczalkowa zaś wyglądała strasznie.

Z przyrodzenia snadź była tłustą, bo ani frasunki, ani biedy, ani niedojadanie, ani odumieranie dzieci odmienić w niej tego nie zdołały, a że i wzrost przytem miała wysoki i głos gruby, tedy niektórzy podobieństwo w niej upatrywali do tego Heroda, który to niemowlęta niewinne zarzynać rozkazywał. Każdy też rys i każdy ruch tej wielkiej twarzy i postaci wydatniejszym stawał się, niż u ludzi inszych, a kiedy gniewliwym był i groźnym, to gniewliwszym i groźniejszym. Teraz zaś, od pierwszego wejścia poznać można było, że niosła ją tu popędliwość nieukrócona i zastanowienia nijakiego nie znająca.

Policzki miała od płaczu i alteracji aż posiniałe, a tak spuchłe, że pomiędzy niemi oczy, jak z dwu wąskich szczelin, ogniem buchały. Czoło jej niedole różne, a teraz żalność po córce takimi ciężkimi pługami zorały, że na przewleczenie najcieńszej niteczki gładkiego miejsca na niem nie było; na czoło to opadały włosy siwiejące i rozczochrane, usta zsiniałe trzęsły się jako liście, któremi wiatr miota.

Salka, dziewczyna z rysami nie szpetnemi, choć grubemi, nieco już starzejąca się, tak samo jak matka duża i tęga, ile tchu stawało, za matką biegnąc, za kaftan ją co moment porywała, w chęci mitygowania może, abo nauczania jakiego, bo wiadome było, że nad rodzicami przewodzić i różne nauki im dawać lubiła, z czego też pomiędzy nimi wynikały kłótnie i krzyki ustawiczne. Tak we dwie pod sam ganek przybiegły, i Piszczalkowa, nie witając się z nikim, zaraz krzykła:

— Po odzież Martki przyszłam! Oddaj odzież tę, co po dziecięciu mojem ostała!

A widząc, że Naścia, z ławki powstawszy, przestraszonymi oczyma na nią patrzy, nie nie odpowiadając, za rękaw kaftana ją targnęła i powtórzyła:

— Odzież Martki oddaj! czy słyszysz? Czegóż stoisz jak słup w ziemię wryty? Czy ogłuchłaś?

Wtedy Naścia łagodnie, choć i wyraźnym głosem, rzekła:

— Ja wam, stryjenko, tej odzieży nie oddam, bo gdybym to uczyniła, dalibyście ją do noszenia Salce i Marylce, a oneby

od niej tej choroby nabrały, jak to raz było już u was, po śmierci Michałka i Rozalki...

Piszczałkowej na te słowa złość aż oddech zatamowała, ale pohamowawszy się nieco, perswadującym niby tonem zaczęła znowu:

— To jakże będzie? Tyle wszystkiego miała! Sukienki, pościółka, przyodziewki ciepłe, czy to wszystko u ciebie ma pozostać?

— Upamiętajcie się, pani Dominikowo! Co wygadujecie i czego żądacie? Toż to wszystko za Naćcine pieniądze sprawione było! Ona sama jej wszystko to podarowała! — ozwało się kilka głosów wśród kobiet na ganku siedzących i stojących.

— A kiedy podarowała, to niechajże nie odbiera! — wtrąceniem się tem do reszty rozwagi pozbawiona wrzasnęła Piszczałkowa i do Naści obrócona krzyczała dalej: — Czy ty w te szmaty przyoblekać się sama będziesz? Bogaczko ty, w dostatki opływająca! Wstydu chyba w oczach, a Boga w sumieniu ci zabrakło!

— Słusznie mama mówi — zawtórzyla Salka — czy ciebie, Naściu, Pan Bóg z wilczem gardłem stworzył, że tyle już z naszą krzywdą sobie zabrawszy, jeszcze i teraz na to, co nasze, chciwą jesteś!

— Z jaką krzywdą? Czem ona was ukrzywdziła? Tem chyba, że dzieckiem rodziców swoich na świat przysła? — z oburzeniem zawołała jedna z kobiet.

A Naścię jakby wciąż warem oblewało, tak w obrzeżeniu czarnej chusteczki twarz jej to rumienila się, to bladła.

— Ależ ja tej odzieży, ani jakich rzeczy po Martce sobie nie zabieram! — zawołała. — Spalę je, aby przepadły i nikomu żyjącemu nieszczęścia nie zrzędziły!

— Aby przepadły! — wrzasnęła Piszczałkowa. — A sama ty giń i przepadaj! Niedoczekanie twoje, aby tyle dobra, co mi się jako matce po dziecieniu mojem należy, w twoich nienasyconych rękach przepadało...

— Stryjenko! — zawołała Naścia — w czym ja nienasycone ręce okazałam?

Ale mowę Salka jej przerwała:

— Oddaj co nie twoje, i będzie po wszystkim...

— Nie oddam! bo nosić tę odzież będziecie i poumieracie wszyscy!

— A tobie co do tego, że poumieramy? Kto ciebie opiekunką nad nami ustanowił? Zechcemy to i poumieramy, a ty ni-jakiego prawa nie masz do niewoli nas zabierać!

— Na sumieniumbym miała — odparła Naścia. — Kto w błędzie po świecie chodzi, temu przebaczone być może, ale ja oczy na to niebezpieczeństwo mam otwarte i zgrzeszyłabym, gdybym, ze strachu przed waszemi napaściami, na zgubienie was oddała.

Powiedziała to tak stanowczo, że widać było, iż najpewniej uczyni, jako rzekła. Piszczalkową ta stanowczość całe już od rozumu odwiodła.

— Sumienie! — krzyczała. — Abo ty masz sumienie, krzywdzicielko, bogaczko, ludojadko, faryzeuszko, przed ludźmi dobroć udająca, a djabła mająca za skórą! Faryzeuszowską była ta twoja dobroć dla dziecięcia mego, które pod twoim dachem gorzej chorzeć zaczęło i pod twoją opieką, coś nią ludziom, jak złotem, przed oczyma świeciła, jad i śmierć dla siebie znalazło!

Tu zanosła się płaczem do ryku podobnym, bo desperacki żal po dziecku mieszał się w niej ze wściekłą złością przeciwko tej, której nienawidziła tem więcej, że biedą przymuszona, dobrodziejstwa jej przyjmować musiała.

Coraz bliżej na Naścię następując, ledwie zrozumiałe belkotała:

— Nie dopilnowałaś ty dziecięcia mego, nie dojrzałaś jak należało, do pracy zbytecznej przymuszałaś, na chłód i przeziębienie się śmiertelne narażiłaś...

Naścia, coraz bledsza, przed następującą nad nią kobietą cofać się zaczęła i, oczy osłupiałe w nią wlepiając, a rękę ku czołu i piersi niosąc, zdławionym głosem mówiła:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go... Idźcie stąd, stryjenko, idźcie sobie, idźcie...

A tu Salka, przyskakując, swoje prawie poczęła:

— Słusznie mama mówi, słusznie! Żebyś była jeszcze raz po doktora posłała, możeby uratował. Żebyś jej strzegła, aby na dwór w zimne dni nie wylatywała, toby żyła! Ale u ciebie dobroć tylko na okaz jest, a gdy nikt nie widział, dbałaś o nią tyle, co pies o piątą nogę. Teraz zaś sukcesję chcesz jeszcze po niej otrzymać i łachmany, któremiś niby to ją obdarowała, na własnej figurce zawieszać...

Naścia, cofając się wciąż, twarz jak płótno pobladłą ku Salsce teraz obróciła i, znowu żegnając się, zdławionym głosem zaszeptowała:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Ś-go... Idź ty stąd, Salka... idź sobie, idź...

— Oddaj co nasze, to i pójdziemy sobie! — razem obie

krzyknęły, a Piszczalkowa, córkę odpychając i przekrzykując, wrzeszczała dalej:

— Od pierwszego dnia życia swego tyś krzywdzicielką naszą już była! Żeby ciebie na świecie nie było, dzieci moje w dostatku żyły i mnie na wczesnych ich mogiłach nie przysłoby leż gorzkich wylewać! Ale djabeł cię na świat przysłał, i bogactwo wielkie w ręce swe ułapiłaś, a my, jako i pierwiej, w nędzy po uszy grzęzli...

— Jezus, Marja! — w progu domostwa już jęknęła Naścia, a Piszczalkowa krzyczała dalej:

— Jak królewna żyć sobie będziesz, we wszystkim opływając, i romansować z kawalerami, jakoś z tym Apolinarym romansowała, a w tym samym czasie Martusia moja w grobie zimnym w proch i zgniliznę się obróci...

— Jezus, Marja! — ozwał się za progiem już przeszywający wykrzyk Naści, i ona sama w sionce domu zniknęła.

Jednocześnie rozległ się potężny męski okrzyk:

— Precz! precz! precz stąd, niewdzięczнице! gałganice! psombratki!

I na ganku stanęła wysoka, barczysta postać pana Cyrjaka, z kijem nad plecami Piszczalkowej i Salki podniesionym. Ten sam to kij był, gruby i węzłowaty, którym pan Cyrjak zawsze sobie w chodzeniu dopomagał, i już, już, ręka jego zwiędła, ale jeszcze silna, spuścić go miała na dwie kobiety, gdy nagle zatrzymała się w powietrzu. Niewiasty, choćby i takie, bićby miał! Za wiele na to w żyłach jego płynęło starej krwi szlacheckiej! Więc tylko raz jeszcze głosem herkulesowym krzyknął:

— Precz mi stąd zaraz, Herodki, dziecko niewinne napaśtujące!

I za odzież je pochwyciwszy, Piszczalkową naprzód, a Salkę potem, jak piłki z ganku zrzucił; potem z żyłami jak sznury na wielkiem czole nabrzmiałemi, trzęsącemi się usty wyrzucać począł obecnym kobietom, że Naści nie broniły. One tłumaczyły się, że zrazu bronić chciały, ale potem, złość i niesprawiedliwość tak niezmierną obaczywszy, same od przytomności niemal odeszły. Wnet też jęły Piszczalkową otaczać i z Salką za bramę obejścia wyprowadzać. Pan Cyrjak zaś, sapiąc głośno i na trzęsących się od poruszenia nogach ledwo iść mogąc, do świetlicy Naścinej wszedł. Tu, zaraz przy progu, Naścia u stołka drewnianego na ziemi klęczała i, twarz w rękę ukrywając, jednostajnym, przyciszonym głosem powtarzała:

— O, Jezu! Jezu! Jezu!

Pan Cyrjak stanął nad nią i pochyloną głowę wnuczki długo wzrokiem posepnym ogarniał. Po czole zmarszczki przewalały mu się jak chmury grube, albo fale wzdęte, a brwi i wąsy wydawały się cierniowemi krzakami, które śnieg przyprószył i pobielił. Po chwili mówić zaczął:

— Masz tobie, Naściu, pocziwość i krzywd wybaczenie! Masz tobie wdzięczność ludzką! Masz cukierki, co je życie takim, jak ty, praży i smaży!

Gdy tak mówił, z pod powiek nabrzmiałych i zaczerwienionych dwie łzy wypłynęły, po sfałdowanych policzkach się potoczyły i na śnieżnych krzakach wąsów zawisły, naksztalt kropel tającego szronu. Ona, głos dziadka usłyszawszy, głowę podniosła, z klęczek powstała i, nic nie mówiąc, ale ręce na szyję mu zarzuciwszy, przylgnęła do jego piersi.

— Słabym nieco był dziś i myślałem, że z domu cale nie wyjdę, ale jakby przecucie mię kolnęło, aby do ciebie iść... Zmogłem się na siły, przyszedłem i na ostatek już komedji tej trafiłem. Oj, komedje to są, na które patrząc, i umierające oczy podczas zapłakać muszą...

Dłonią głaskał złote jej włosy, z których zsunęła się chusteczka, aż po chwili, jakby pieszczotą tą ukojona i do życia powrócona, oderwała twarz od jego piersi i, ku niemu ją wznosząc, blademi usty wyszeptała:

— U Boga tylko dobroć? prawda, dziaduńku?

— Tak, rybko moja, u Boga! — odpowiedziały z pośród ośnieżonych krzaków zwiędłe i do niej uśmiechające się usta.

— I sprawiedliwość? — szepnęła znowu.

— I sprawiedliwość — powtórzył pan Cyrjak.

— I szczęście? — zaszeptała tak już cicho, że może nie dosłyszał, bo nie odpowiedział nic, ale że nogi pod nim dygotały, na sprzęcie najbliższym usiadł i powiedział, aby herbaty mu przyrządziła, bo niedomagającym się czuje i słabym... Irytacja, której doświadczył, podcięła go, jak kosa trawę, która, nie upadając jeszcze, chwieje się i wierzchołkiem ku ziemi się kłoni.

Niewdzięczność i niesprawiedliwość ludzka mocno w serce Naści ugodziły, ale z przestrzeni niewidzialnej, bezgranicznej, tajemnicami napełnionej, szła ku niej mara inna i ku sercu temu celowała strzałą sto razy ostrzejszą.

Kilka miesięcy od śmierci Martki upłynęło, gdy razu pewnego, w same żniwa, Naścia o zachodzie słońca, z sierpem na ramieniu zawieszonym i z trzema najemnicami do domu powracając, ujrzała biegnącego naprzeciw niej sługę pana Cyrjaka.

Slugę tego ujrawszy, takiego uczucia doznała, jakby kto końcem ostrego żelaza w serce jej tknął, a to był właśnie koniec tej strzały, którą celowała ku niej mara, wylęgająca się z przestrzeni niewidzialnej, niepojętej. Wnet też sierp z ramienia zdjawszy, bieć poczęła ku wyrostkowi w białej koszuli, który, zagony przeskakując i rękoma ku niej wymachując ile tylko siły miał, wołał:

— Idźcie, zmiłujcie się, idźcie do niego co prędzej! Znała na ziemię padł, prawie że oniemiały, i to tylko przemówić zdołał, abym po was duchem leciał!

VI.

Mara to jest, która po Bożym świecie kręci się na wsze strony, tak chyżo a pośpiesznie, że to tu, to tam, to ten człowiek, to inszy, śmiertelną strzałą jej przeszyty, upada, głuchnie, ślepnie, tężeje i, zimnym marmurem chwilę przed oczyma ludzkimi przeleżawszy, na wieki z przed oka słonecznego znika.

Zimnym i białym marmurem leżał pan Cyrjak pośrodku małej świetlicy, w pięknie na czerwono pomalowanej trumnie, która nisko nad podłogą stała na deskach, wzorzystym kilimkiem okrytych. Nie każdy umarły ma taką białość, jaka na niego wnet po ostatniem odetchnięciu padła, niby płótno, na zaświeciu jakimś rękoma aniołów nieskazitelnych utkane. Pod białością tą czoło, na którym za życia zmarszczki przewalały się często jak chmury czy fale, spokojnem i jasnem uczyniło się na podobieństwo zwierciadła, odbijającego w sobie toń wody spokojnej i jasnej. Powieki, które wpierw były nabrzmiałe i zaczerwienione, wygładziły się i zbieleły spokojnie osłaniały oczy, nad którymi stały brwi do dwóch krzaków ośnieżonego ciernia podobne. I tylko usta pomiędzy dwoma krzakami wąsów zachowały nieco srogości czy smętku, tak, że prawie spodziewać się było można, iż wnet, wnet otworzą się i gniewliwie wyrzucą z siebie słowo: »Psombraty!« lub z tęskną zadumą wymówią: »Kto w górze bywał?«

Kilka świec kościelnych, grubych i wysokich, paliło się mu dokoła głowy, a czarna odzież, w którą czyściuchno był przyobleczony, tu i owdzie ledwo ukazywała się z pod gęstwiny rzuconych na nią blawatków, kąkolów, maków szkarłatnych, chryzantem białych, dojrzałych kłosów pszenicznych i żytnich.

Prawdziwie jako rolnik, lub jako kłos z roli wyrosły, leżał

wśród roślin polnych i z pomiędzy nich wydobywał ręce marmurowe, bo tak białe i twarde jak marmur, ze sterzącym w palcach obrazkiem świętym. Dokola, w świetlicy niedużej, sprzętów, jako u człowieka bezżennego, nie było wiele: stołów i stolików nieco, jedno krzesło z poręczami, komódka, na której kilka książek leżało i stało kilka fotografii poblakłych w ramach starych; na ścianie Matka Boska z Dzieciątkiem na ręku i wizerunek sławnego wodza z gałązką cierniową po jednej stronie, a pękiem święconych wianuszków po drugiej; naprzeciw zaś dwa nieduże okna otwarte na podwórko zielone i stojącą wśród niego lipę rozłożystą, z ławką drewnianą u dołu, a gniazdem bocianiem na szczycie.

Ludzi w świetlicy prawie nie było, bo praca około żniw, od których życie zależy, odchyliła ich od dramatu śmierci. Ledwie niekiedy ktoś wchodził, przyklękał, odmawiał krótki pacierz i do roboty pilnej powracał; w bokówce zato, za drzwiami zamkniętymi słychać było głosy męskie, z pośród których wyróżniał się podczas gruby i zapędliwy bas Mruka, a podczas cienki i ochrypły dyszkanct Piszczałki.

Bratankowie tam, z kilku sąsiadami, przebywali, w oczekiwaniu na wielki akt, na dreszczami nadziei i strachu przenikających ich akt — otworzenia i przeczytania testamentu nieboszczyka.

A testament ten, jak wszyscy powszechnie o tem wiedzieli, znajdował się w odpisie jednym u pewnego adwokata sławnego w mieście, a w odpisie drugim — u Wincentego Tuczyzny, Nawrócicielem zwanego. Woła było zmarłego, aby ten drugi odpis, wnet po jego skonie i przed pogrzebem jeszcze, sukcesorom, w obecności świadków był przeczytany.

Anastazja, w zmiętej sukni i z roztarganą kosą na plecach, siedziała u nóg trumny na niskiej ławce, otwartą książkę do nabożeństwa na kolanach miała, ale oczy wlepione w białą twarz ze spokojnem czołem, która pod chwiejącemi się płomykami świec kościelnych nakształt rzeźby marmurowej leżała na pościeli z kwiatów i kłosów. Tę pościel barwistą ona mu sama o wschodzie słońca dziś przyniosła, błyszczącą od rosy obfitej, woniejącą miodem, rumiankiem i mokremi trawy. Teraz rosa już oschła na kwiatach, i w splakanych oczach dziewczyny chwilami nie było łez. Skurczona, jakby zdumiewała się wciąż nad czemś, jakby wewnętrznie mówiła do siebie:

— Ot i przyszło już! ot i przyszło!

To, czego lękała się najwięcej, przyszło. Zawsze to, czego

człowiek najwięcej się lęka, wcześniej czy później przychodzi. Ale ona, u początku życia będąc, jeszcze tego pojąć nie mogła.

Jako cienie błędne, przesuwają się ludzie przez świat i znikają! Jako mgły rozwiewające się, jako wiatry lecące, rozwiewają się, przelatują ukochani!

Babunia rozwiała się, zniknęła, Martka tak samo, a teraz on... najdroższy.

Zaczynała drżeć na całym ciele i tak płakać, że zdawało się, klatka piersiowa od tego płaczu pęknąć musi, ale potem cichła znowu, na rękę wsparta w twarz marmurową, jak w tęczę patrzała, i ile tylko w mowie człowieczej jest słów pieściwych, tkliwych, wdzięcznych, żalonych, tyle ich wymawiała do tej twarzy oczy jej i drgające usta.

Oprócz niej, w świetlicy przebywały stale trzy tylko osoby: dwie bardzo stare, ubogie niewiasty, które kiedyś za trumną pacierze szeptały i młody syn Nawróciciela, Bolko, który jak stanął przed godziną plecami do ściany przyparty, i jak wlepił oczy w Naścię, tak stał i wlepił do tego czasu, jak zaczarowany, czy jak zabity.

Bo smętny był okrutnie i razem jakby gniewliwy.

Może na Naścię gniewał się, że płakaniem piękne oczy sobie psuje, a może na śmierć, że do płakania ją przymusza. Pięknym nie był chłopak ten, bo rysy miał grube i postawę przysadzistą, ale na twarzy malowała się mu poczciwość, czoło było białe, wąsik złoty, a w oczach błękitnych miłowanie nieodwzajemnioną tęsknicą i żalem osiadło.

W bokówce gwar głosów wzrastał się. Bratankowie nieboszczykowi, na otwarcie testamentu oczekujący, niecierpiwili się i pohukiwać zaczęli. Dwa razy młodzi synowie Mruka i Piszczalki, ledwo dorośli, wypadali stamtąd, pędem przebiegając izbę, przed trumną przyklekiwali, jakby muchy opędzając, żegnali się i wybiegali z domu. Posły to były od zgromadzonych w bokówce, do Nawróciciela wysyłane.

Ludzi też trochę nadchodzić zaczęło, czegoś tu ciekawych, jak z min i szeptów poznać można było, ale którzy do familji nie należąc, nieco nieśmiełe u drzwi stawali, lub nawet zatrzymywali się w ciemnej sionce, która też wprędce od przytłumionych rozmów ulowi pszczelnemu podobną stawać się poczęła.

Wtem, z za szarych i białych surdutów i siermięzek wyłonił się i we drzwiach sionki stanął najpiękniejszy w świetle tużurek czarny, cienki, elegancko skrojony, pomiędzy którego kłapami kołysały się dwa szkiełka w rogowej oprawie. Pan Apolinary! On sam, ze swoją kształtną, chociaż i teraz wykrygowaną

nico figurą i ze swoją twarzą ładnie i delikatnie przez naturę wykrojoną, a dużemi oczyma i ciemnymi wąsikami przyozdobioną ślicznie. Zgrabną czapczkę w rękę trzymał, a na czole miał nie-dużego, ale do okoliczności dobrze zastosowanego marsa.

Tuż przy nim, cudem jakby, znalazła się Ewka Glindzianka. Cud nie cud, bo razem z innymi, ciekawością wiedziona, od żniwa przybiegła, tak jako żęła w różowy kaftan luźny ubrana, od skwaru rozczzerwieniona, z sierpem za pas wetkniętym i na kraciastej spódnicy pobłyskującym. Oczyma też, błyszczącemi jak czarne brylanty, Naścię panu Apolinaremu ukazywała. On ją i sam już widział i, dwa kroki uczyniwszy, z marsem na czole, czapczką w rękę i kołyszącemi się u piersi szkiełkami, przed nią stanął. Ona podniosła wzrok, spojrzała i krzyknęła:

— Pan tutaj!

Ale, gdy on rękę ku niej wyciągnął, nagle z ławeczki zsunęła się i, twarzą na naroże trumny upadając, z cichym wybuchem zawołała:

— Nie! nie, nie! Ja z tobą, dziaduńku! Ja z tobą, mileńki mój, stareńki, złocisty, najdroższy.

Pan Apolinary cofnął się i, dziewczynę od lkań drgającą wskazując, do Ewki, która też do płaczu twarz wykrzywiała, rzekł:

— Widzę — ja, że pannę Anastazję desperacja okropna po dziaduńku ogarnia, i niemało mię to zadziwia, bo, starym już będąc, umrzeć musiał. Czy to mało ludzi na świecie umiera? Czytalem w książce jednej, że każdej a każdej sekundy śmierć na kuli ziemskiej jednego człowieka porywa.

Gdy słowa ostatnie wymawiał, Ewka przestała twarz do płaczu wykrzywiać i, czarne swe oczy szeroko od zdumienia rozwarłszy, w niego się wpatrywała. Na twarzy jej wyraźnie malowała się pełna podziwu myśl: »Ależ mądry! no, mądry! Wie nawet, ilu ludzi codzień na świecie umiera!« Bolko Tuczyzna zaś, który wnet po wejściu do świetlicy p. Apolinarego, jak mak polny na twarzy poczerwieniał, oderwał plecy od ściany i, kilku szerokimi krokami z domostwa wypadłszy, przez podwórko, za oknami otwartemi szybko przebieżał. I tego też desperacja ogarnęła. Szczęśliwy rywal nagle, jakoby z nieba, spadł!

Ale w sionce ruch i tupot nóg teraz powstał, ludzie przed kimś się rozstępowali, do świetlicy wszedł Wincenty Tuczyzna, którego Nawrócicielem przewzano dlatego, iż złości, ani nieuczciwości ludzkiej nie folgował nigdy i surowo napominał za nie każdego, czy kobietę, czy mężczyznę, czy chłopa, szlachcica lub na-

wet i pana. Było bowiem i takich wypadków kilka, że, języka w gębie strzymać nie mogąc, panom w sąsiedztwie Tuczyniec żyjącym podawał na nim potrawę, co to gorzką i zarazem zdrową jest, a nazywa się prawdą.

Człek to był niewysoki, w ramionach tęgi, krępawy, niezbyt już młody, ale z twarzą czerstwą i czarnemi oczyma, które z pod wypukłego czoła patrzyły na świat bystro i ogniście. Surdut miał na sobie z samodziálu szarego gruby, ale przystojnie skrojony i w czarne taśmy zdobny, brodę szpakowatą, krótko ostrzyżoną, a gdy przed wejściem do świetlicy czapkę z głowy zdjął, odsłonił czuprynę też szpakowatą i tak nadmiar gęstą, że naksztalt strzechy wysoko nad głową mu się podnosiła.

Przed trumną nieboszczyka przykląkł, i kiedy, żegnając się, westchnął, to od tego westchnienia aż płatki kwiatów błękitne i białe w górę podleciały. Z klęczek powstawszy, ku bokówce się skierował, a gdy miał już do niej wejść, bratankowie nieboszczykowi drzwi za nim zamknąć chcieli, ale on sprzeciwił się temu, głośno powiadając, że woła pana Cyrjaka było, aby jak największa liczba świadków przy czytaniu testamentu jego była obecna.

Tedy ludzie od drzwi świetlicy pogarnęli się w tamtą stronę i przed drzwiami bokówki uformowali tłumik spory, złożony z surdutów białych i szarych, pomiędzy któremi pstrzyło się nieco kolorowych kaftanów kobiecych, że to czasu żniw zawsze kobiety szlacheckie ubierają się w taką odzież z jaskrawych perkalów. W tłumiku tym i pomiędzy osobami bokówkę zapelniającemi uczyniła się cichość taka, że kiedy Nawróciciel z kieszeni surduta kopertę niewielką i znajdujące się na niej pieczęcie łamać począł, muchaby nawet nieposłyszenie przelecieć nie mogła, i nic inszego słysząc nie było, tylko suche trzeszczenie przelamywanego laku. Za tym, który pieczęcie łamał, krępy Mruk i wysoki a cienki Piszczalka stali z szyjami powyciąganemi, z nad ramion jego na palce mu patrząc, a żony i dzieci ich, pod ścianami stojąc, oczy w łamiące się pieczęcie wlepiały, a rękoma, nogami czyniły takie ruchy rozmaite, że zdawało się, jakby członkami ich wewnętrzny wicher jakiś miotał. Kiedy nakoniec Nawróciciel wyjął z koperty duży arkusz papieru we czworo złożony, ale nie rozkładając go jeszcze, oczyma czegoś dokoła wodził, Mruk, w osobliwy jakiś sposób stopami pod podłodze zdeptawszy, zawołał:

— A czytajcież, panie Wincenty! Czegoż jeszcze czekacie?

Piszczalka zaś, wąsiska swe długie i konopiaste w dół targając, jak smyczek po strunach przeciągany, zapisał:

— A czytajcież choć raz, panie Wincenty! Bójcie się Boga, duszy z ciała nie wydzierajcie!

On wszakoż całe na przynaglenie to nie zważając, wciąż kogoś pomiędzy ludźmi upatrywał, upatrzeć nie mogąc. A przecie tym jego bystrym i ognistym oczom, któremi na świat patrzył, okulary bynajmniej potrzebne nie były. Tedy po chwili daremnego upatrywania, głosem tak silnym, aby wszyscy obecni słyszeć go mogli, przemówił:

— Dwóch bratanków nieboszczyka widzę tu obecnych, ale po trzecim bratanku jego, Franciszku Tuczyń, jest żyjąca córka, Anastazja, której nie widzę. A w jej nieobecności testamentu ni jak czytać mi nie wolno, bo ona z panem Walerjanem i Dominikiem Tuczyńmi równym prawem po nieboszczyku dziedziczy i do posłuszenia ostatniej woli jego równe z nimi prawo posiada.

A do dwóch wymienionych Tuczyńów obracając się, rzekł:

— Myślałem, że wszystkich sukcesorów razem zebranych tu najdę. Ale postrzegam, że kiedy o sprawiedliwość idzie, pamięć macie krótką.

Nie mylił się: gdy o ziemię i insze dostatki szło, dwaj bracia tak się zawdy zapamiętywali, że najwiadośniejsze rzeczy z głów im wylatywały, jak ptaki stukami cepów z gumien wystraszone. Już po raz drugi w życiu o istnieniu na świecie córki po trzecim bracie zapominali, chociaż przedtem i bali się okrutnie, aby pan Cyrjak zbytnio na jej stronę nie przechylił testamentu, tem się przecie w dobrej nadziei utwierdzając, że krwi i nazwiska swego skrzywdzić nie zechce. Teraz nawzajem po sobie, a później na żony swe spojrzeli.

— A gdzież Nastka?

— A Bóg święty wiedzieć to raczy! Z kawalerami może gdziekolwiek siedzi...

— Abo na pole swoje żać poleciała...

Tu Ewka Glindzianka, w tłumiku, który u drzwi bokówki stał, sierpem u pasa zwieszonym pobłyskując, cienkim głosem krzykła:

— Nadaremnie języków sobie na niej nie wyostrajacie! Tu jest ona, przy trumnie, z żalości umierająca i o sukcesji bynajmniej tak, jak wy, nie myśląca! ot co!

I ku Naści poskoczywszy, twarz rozognioną ku niej pochyliła, a za rękaw sukni pociągać ją zaczęła.

— A idźże, Naścia, testamentu słuchać! Nawróćiciel woła cię, i stryjaski z ciekawości ledwo że nie umierają!

Dziewczyzna twarz splakaną odjęła od naroża trumny i na

Ewkę patrzyła oczyma, które widocznie objawiały, że nic z tego, co działo się koło niej, ani widziała, ani słyszała, Ewki też słów odrazu zrozumieć nie mogła. Dusza jej utonęła cała w rozmowie z drugą duszą, która z martwego ciała tego uleciała i nie wiedzieć, gdzie była, ale ona pewnie dufając w to, że była, zrywała się do lotu za nią... za nią... Sam Mruk przed Naścią stanął.

— A chodźże ty, utrapiona! Czy my z twojej przyczyny do wieczora z rozdziawionemi gębami przestoim?

Wstała i poszła za Mrukiem, bynajmniej nie wiedząc ani dokąd idzie, ani poco, a do bokówki przez Mruka wepchnięta, stanęła przed Nawrócicielem, który arkusz papieru rozpostarty trzymał w ręku. Oczy miała wilgotną mgłą przesłonię i głęboką pręgę boleści serdecznej pośród czoła, na które włosy złote w nieładzie spadały. Nawróciciel zaś, ujrawszy ją, głośno, dobitnie i powoli czytać począł.

Pismo było dość długie, bo wszystkie dobra ruchome i nieruchome, które nieboszczyka własnością były, ze szczegółami wyliczało, ale treść jego, sam ten sens, od którego skóra poruszała się na twarzach i karkach domniemanych sukcesorów, w tem się zawierał, że grunt posiadany i stojące na nim budynki nieboszczyk dwom bratankom pozostawił, ponieważ, jak z tego się tłumaczył, prawo nie pozwalało mu inaczej postąpić, ale wszystko, cokolwiek ruchomego na tym gruncie było, inwentarz żywy albo nieżywy stanowiąc, jakoteż kapitał w gotówce, dziesięć tysięcy wynoszący, a w mieście na banku ulokowany, zapisywał, darowywał, na wieczną i niepodzielną własność oddawał córce po trzecim bratanku swym Franciszku Tuczyń, a swojej wnuczce najmilszej, Anastazji Tuczyńównie, pannie.

I jedną tylko wzamian prośbę do niej zanosił, aby o nim, który ją za córkę najukochańszą sobie obrał, chowała do śmierci pamięć życzliwą, a za zbawienie duszy jego każdego roku mszę św. fundowała.

Tu następowało mianowanie Wincentego Tuczyń na egzekutora woli zmarłego i jednobrzmiące podpisy świadków, co wszystko Wincenty Tuczyń, czyli Nawróciciel, skrupulatnie co do słowa przeczytawszy, arkusz papieru znowu we czworo złożył i, do kieszeni surduta go chowając, dobitnie i głośno mówić zaczął:

— Jeżeliby ktokolwiek przez jakoweś zaprzeczenie i wytaczanie procesów tę ostatnią wolę pana Cyrjaka Tuczyń pochwiać zamierzał, to ostrzegam, aby nie ponosił fatygi nadaremnej, bo testament ten jest przed prawem ważny i mocny, a wszystko, co prawo zachowywać nakazuje, zachowane w nim jest. Pan

Cyrjak w ciemie bity nie był, do miasta jeździł i ostatnią wolę swoją napisał pod przewodnictwem adwokata dobrze w rzemiośle swoim wyuczonego. Ja zaś, Wincenty Tuczyzna, egzekutorem woli tej zamianowany, jak oka w głowie strzec jej będę i na nijakie pogwałcenie jej — tak mi Panie Boże Święty dopomóż! — nie pozwolę. A teraz, gdy już wszystko, co trzeba było, przeczytał i wypowiedział, całej kompanji pięknie kłaniam i żegnam, gdyż chmury nadciągają, i wóz do zwożenia snopków zaprzężony na mnie oczekuje. Zdrowi wszyscy ostawajcie!... Bolko! Bolko!

Daremnie na syna wołał, bo i śladu go już tu nie pozostało, więc nieco rozgniewany mruknął:—Młodość g ł u p o ś ć!—i w sionce na czuprynę ogromną czapkę z daszkiem osadziwszy, domostwo opuścił. Gdy wychodził, ludzie z uszanowaniem rozstępowali się, drogę przed nim czyniąc, a potem wszyscy, bratanków nieboszczykowych i ich familji nie wyłączając, stali chwilę jako słupy, czy jako głąby, w oniemieniu i nieruchomości, do nijakiego poruszenia lub słowa niezdolni. Wszyscy odrazu przeniknęli się przekonaniem, że pan Cyrjak nie w ciemie bity rzecz tę jak należało wykonał, i że przytem, gdy Nawróciiciel, człek jak lza czysty, a jak żelazo w postanowieniach swoich twardy, na straży jej stać poprzysiągł, to klamka już zapadła, to już amen, to i Święty Boże nie pomoże, a nadzieja wszelka z woza spadła i przepadła.

Ta ostateczność i nieodwołalność nie przeszkadzały cale krwi burzyć się, oczom gorzkimi łzami się oblewać, a złości i nienawiści płomieniem po żyłach przelewać i wichrem w głowach szumieć. Piszczalka, pierwszy tym wewnętrznym ogniom i wichrom folgę czyniąc, cienkim swym głosem, w którym teraz coś świstało, chrypiało i stękało, zawołał:

— A to my raz drugi już od święcie przynależącej sukcesji jak dudkowie z kwitkiem odprawieni się widzimy! Bo co się tyczy tej ziemi, którą nas nie dobroć stryjaszka, lecz sprawiedliwość prawa obdarzyła, to pomiędzy dwóch rozdzielona i z inwentarza wszelkiego ogołocona...

Tu rozległ się krzyk Mruka, nietyle głośny, ile od poruszeń rękoma, a nawet i nogami czynionych, mocy nabierający:

— Kpem byłbym, gdybym ten łachman przyjął, co mi go nieboszczyk jak psu kość ogryzioną rzucił! Niech go ta sama osoba bierze, która przypochlebstwami wszystko dla siebie zagarnąć potrafiła, i niech krzywda moja i dzieci moich na głowę jej padnie! U Pana Boga pomsta dla niej się najdzie, a wprzód jeszcze u tego, co bogactwu jej wierność u ołtarza przysięgnie, a na nią samą, jak na sukę, nogą nastąpi...

— A! bo trza nam było tak samo, jak ona, nieboszczykowi do nóżek upadać i łaskę jego przypochlebnem języcznictwem sobie wylizywać...

— Wszystkim nam przyjdzie teraz podle płota zdychać, gdy jedyna już nadzieja nasza do tej ludożerki na służbę poszła!

— Patrzącie, jakie to niewiniątko z wejrzenia jest, a za skórą caluteńki faryzeusz siedzi, a serce ma, jak loch ciemny, zasklepione...

— Oho! kto mądrym urodzi się, ten i gęsią orać potrafi!

— Szelmom fortuna sprzyja!

— Czy ziela takiego od wiedźmy dostała, że szczęście do siebie pociąga?

Tak wszyscy razem mówili i krzyczeli, coraz więcej do Naści się przybliżając i różnemi ubligami w twarz jej plując. Ona zaś, ze ścisku wydobyć się nie mogąc i może nawet o wydobywaniu się nie myśląc, onieniiała, ogłuszona, z sercem rozdartem tylko co usłyszanemi, ostatniemi słowami na wszystko umiłowanego dziadka, stała z twarzą jak płótno białą, po której, jak dwa sznurki pereł, na nie znizane, biegły, ani na moment nie przerywające się łyzy.

Niektórzy ku rozszalałym familjom Mruków i Piszczaków sykali: »Cicho! a cichocie! A dość już tego! Grzech śmiertelny!« Insi na trumnę z nieboszczykiem oglądali się niemal trwożliwie, szepeąc, że nie godzi się przy zwłokach tak hałasować, że to nieprzystojne jest i przez Kościół Ś-ty zabronione. Ale nikt do tych interesów familijnych mieszać się, ani na zwarcie się z takimi ludźmi, jak Mruk i Piszczalka, narażać się nie chciał; i nikt też nie odchodził, bo wszystkim ciekawość, jak też skończy się ta komedja, do ziemi nogi przykleiła. Wtem, przez szare i białe surduty męskie i kolorowe kaftany kobiece przeciskać się począł czarny tużurek elegancki, szafirowym krawatem okraszony, i pan Apolinary Tuczyzna, w całym blasku z gminnej szarzyzny wypłynawszy, obok Anastazji stanął. Dlatego, aby obok niej stanąć, musiał wprzód Mrukową i Salkę Piszczalkównę z drogi sobie usunąć, czego też dokonał w sposób taki, że się aż na inszych ludzi zatoczyły, a uczyniwszy to, z czupryną od irytacji rozczochraną, z marsem na czole i oczyma ogniem buchającymi wyrzekł:

— Zadziwia mię prostactwo i grubijaństwo postępowania państwa z panną Anastazją, i dłużej już znosić go nie mogąc, jako krewny jej proszę, aby we mnie obrońcę swego przeciw tym uciemienieniom obaczyła.

To wyrzekłszy, ruchem, nie jak u niego zazwyczaj bywało,

wykrygowanym i nadmiar już delikatnym, ale owszem szorstkim i nagłym, za rękę ją porwał i razem z nią przez tłumik u drzwi stojący przebijać się począł.

— Niech panna Anastazja nie ociaga się i nie ogląda — mówił — lecz co prędzej razem ze mną stąd uchodzi. Za sobą śmierć pani ostawia, a przed sobą życie i wszystkie jego wesołości postrzec może, jeżeli tylko rozumem rządzić się będzie.

Ona wszakoż, nie mogąc w tej chwili rządzić się rozumem, oglądała się na trumnę i twarz marmurową, leżącą wśród pościeli z bławatków i kłosów, której ujrzeć nie miała już nigdy. Oglądała się, ale za przewodnikiem swym szła i wyszła, a w bokówce rozległy się wykrzyki zdziwienia:

— Skąd on się tu wziął, ten obiczyświat, arystokrat, elegancik?

— Nos ma widać dobry, skoro z tak daleka pismo nieboszczykowe nim zwąchał!

— Tego też i przyjechał pewno, aby razem z nią pieniądze zcapić!

Ktoś z tłumu rzekł:

— Poto przyjechał, aby resztę należności swojej od braci odebrać.

— Po jeden swój grosz przyjechał, a sto naszych uwiezie! — huknął Mruk.

— Szelmom fortuna sprzyja! — dokończył Piszczalka, za czapkę porwał i, pędem na długich nogach świetlicę przeleciawszy, ku polu się puścił, aby tam Nawróciciela, snopy do gumna zwożącego, wyrzutami obsypać. Jego to była jentryga, że nieboszczyk w sposób taki dobrem swem rozporządził. Syna swego z Nastką ożenić zamierzył i dla przyszłej synowej o wielką fortunę się wyśtarzał. Piszczalkę zadławiłyby chyba te myśli, gdyby ich nakształt garnka z pomyjami na głowę Nawróciciela nie wylał. To też na pobliskiem polu krzyki niebawem słyszeć się dały, ale trwały krótko, bo z Nawrócicielem długich sporów nie można było zaprowadzać. Z początku zawsze cierpiał i do perswazji się udawał, ale spostrzegłszy, że ona nie pomaga, jak huknął swoim głosem niesłychanym, a ramieniem w powietrzu zamachnął, to żeby tam nie wiedzieć kto i z jakim językiem był, naubocz schodzić musiał. Kark miał gruby człowiek ten, głos za lasy i góry sięgający, a siłę w pięści taką, że gdyby nią woli w łeb grzmotnął, toby go pewno nieżywym na ziemię powalił. W jednym sumieniu jego tylko delikatność taka zasiadła, że najmniejszy grzech był mu tak wstrętliwy, jak niewiastom bywa podczas pająk lub glista.

A pan Apolinary, z pod ulewy lżywych słów i nienawidzących spojrzeń Anastazję uprowadziwszy, towarzyszył jej do samego domu, wciąż sobie od irytacji czuprynę nad głową burząc. Nic do siebie nie mówili, ale dziewczyna, przez świeże powietrze i cichość na polu panującą do przytomności doprowadzona, uczuła dla towarzysza taką wdzięczność i czułość, że zdawało się jej, jakby w piersiach, przedtem żarem palonych i piolunem nalewanych, rozlewała się miodna patoka. Jeżeli i wpierv już człowiek ten był jej miły, a jakaś moc wewnętrzna, której sama nie pojmowała, ku niemu ją silnie ciągnęła, to cóż teraz, gdy z pomiędzy ludzi wszystkich on jeden za nią się ujął i gdy śmierć nielitościwa z jednego na świecie umiłowania serce jej opustoszyła?

Gdy tedy znaleźli się już oboje na małym ganku jej domostwa, chciała mu podziękować i coś miłego powiedzieć, ale nie mogła, bo słowa, których w głowie miała niemało, więzły w gardle, rumieńce tylko na policzki jej rzucając. Tedy różanym kolorem jutrzeńki opłyniona, kryształowe oczy swe, od łez jeszcze mokre, na twarz mu podniosła i nieśmieie trochę rękę do niego wyciągnęła. Czy taką poranną i wdzięczną wydała się mu wtedy, czy ogarnęła go taka czułość dla losu sieroty, lub upodobanie, które zawsze w niej miał, wzrosło do tego, że była już teraz osobiwie i co się nazywa bogatą, dość, że nieśmieie wyciągającą się rękę jej obu swojemi porwawszy, gorącemi ustami ją ucałował i rzekł:

— Jako krewny ja panią z tego piekła prostactwa wyprowadziłem, ale gdyby mi pozwolone to było, wolalbym swoje prawo do tego na inszem słowie wesprzeć.

Mówiąc to, rękę jej coraz mocniej ścisnął i w twarzy jej szafirowe swe a ogniem buchające oczy zatopił. Ona zaś, z odchyłoną nieco twarzą w ziemię patrząc, szepnęła:

— Jakież to jest słowo?

— A gdybym ja pragnął, aby słowo to było: »narzeczona«, to co?

Wtedy z Anastazją stało się coś dziwnego. Uczuła dla człowieka tego takie miłowanie, że aż pchało ją ono ku niemu, aż ją warem gorącym i słodyczą nad wszystkie miody milszą napęniało, ale po sekundzie z tego waru i miodu wybuchnęła fala gorzka i gryząca, która na sobie niosła i przed nią postawiła twarz dziadunia, zastyglą w marmur biały i niemy. Tedy podnosząc na pana Apolinarego oczy smętne i błagające, poprosiła:

— Nie teraz! oj, nie teraz jeszcze! później...

— Niech będzie później! — prostując się i rękę jej z dłoni swych wypuszczając, odpowiedział.

Poczem mówił dalej:

— Chociaż ja nie przeciwnego upatrzeć w tem nie mogę, aby umarli swoją drogą do grobów swoich szli, a żyjący swoją drogą o szczęściu swoim myśleli, to przecież, jeżeli pannie Anastazji ta rzecz całę naturalną wstydliwą się wydaje, to na odpowiedź zaczekam i sam się tu po nią zgłoszę. Czy dobrze?

— Dobrze! — odrzekła zcicha.

Ale on jeszcze nie odchodził.

— Za ileż dni przyjść mam? Za dwa czy można?

Przecząco wstrząsnęła głową.

— A za trzy?

Naleganie jego było dla niej tak słodkie, że niepewny, jakby słońca wstydzący się uśmiech na usta jej wybiegl. Wszakoz znowu głową zatrzęsła na znak, że trzy dni to czas jest zbyt krótki. Panu Apolinaremu czoło marszczyć się zaczynało.

— A za tydzień? — zapytał. — Może i całego tygodnia zbyt mało będzie, aby w sercu pani człowiek żyjący mógł umarłego człowieka zasłonić? Czy choć za tydzień będę mógł przyjść po to słówko, które z ust pani posłyszeć żądam?

W głosie jego było coś, co zdawało się objawiać, że jeżeli i za tydzień przyjść mu dozwolone nie będzie, to nie przyjdzie nigdy. Ambicję miał i znał wartość osoby swojej. Serce Anastazji zatrzepotało, jak ptak strwożony. Złękła się, że obraziła go; złękła się, że go utraci.

— Dobrze! Za tydzień! — odpowiedziała.

On ręki już jej nie podał, tylko ładnie ukloniwszy się i raz jeszcze głęboko w oczy jej spojrzawszy, odszedł. Ach, jak ona lubiła ten ukłon jego, w którym, gdy czapeczkę nad głowę podnosił, kędziorki ciemnych włosów opadały na czoło kształtne, śniadawe! Za zgrabną postacią jego, która teraz z bramy podwórka wychodziła, szłaby na koniec świata, bez końca, byleby chociaż trochę zbliżyć się do niej, a gdy tak, jak przed chwilą, spojrzenie swoje w którym skryte złote na szafirowej toni migotały, w oczach jej zatopił, czuła obejmując ją od stóp do głowy, a nad wszelkie winy i miody słodsza niemoc omdlenia...

VII.

Szepty, pogwary, domysły, przekąsy rozeszły się po okolicy o tem, że bogaczka Anastazja jest już z Apolinarym Tuczną po słowie i po zaręczynach. Zaręczyny odbyły się w domu Nawróciciela, do którego sierota, srodze z familją swoją poróżniona, przyszła z prośbą, aby on i żona jego w okoliczności tak ważnej byli przybranymi jej rodzicami. Słyszając o tem, niektórzy litowali się i mówili:

— Zdarzenie rzadkie, aby kto tak, jak ona, całe już nikogo swojego na świecie nie miał! Bogaczką jest, to prawda, a wszakoż i jakim zarazem niebożątkiem!

Dziewczęta znowu, którym piękność, a zwłaszcza polerowność pana Apolinarego do gustu przypadła, utrzymywały, że litować się nad Naścią nijakiej przyczyny niema, gdyż zamaż wyszedłszy, przyjaciela dozgonnego i jakiego jeszcze, posiedzie. Ale na to inni głowami kiwali, wątpienie okazując, czy pan Apolinary, jej samej, albo też jej pieniądzom przyjaźń swą zaofiariował, bo dłaczegoż nie żenił się z nią w ten czas, gdy tajnych myśli i zamiarów pana Cyrjaka nikt nie był świadom? Jakoż córki Nawróciciela i Ewka Glindzianka każdemu, kto słuchać chciał, opowiadały, że i tera już, przed ślubem, narzeczeni sprzeczki pomiędzy sobą zawodzą, a potem przez czas jakiś sępem na siebie patrzą.

Było tak: kiedy z prośbą Naściną oboje do świetlicy Nawróciciela przyszli, zdawało się, że słońce majowe, wietrzyki wonne i róże najpiękniej rozwinięte razem z nimi tam weszły. Jak promienie od słońca majowego i jak kolory od kwiatów, tak radość i szczęście od nich obojga bily. Nikomu ani śniło się, aby Naścia mogła kiedykolwiek wydawać się taką śliczną, jako wtedy się wydawała. Od czarnej sukienki, którą na żałobę po dziadku przywdziała, twarz jej, która w ostatnich czasach zmizerniała i przybladła, odbijała, jak biała lelija, oczy miała świecące, jak brylanty, a z ust, poczerwieniałych jak korale, co moment zęby, jak perły, błyskały, taki uśmiech szczęśliwości do nich przyrósł. Przysiadła się wnet do Ewki i, obejmując ją, pocichu wyznawała, że jest nadmiar szczęśliwa, a tylko wstyd w niej mieszka, który podczas i nawet często szczęście jej zatruwa.

— A czegożbyś ty wstydić się miała? — zapytała Ewka. Przecie twój łuby przystojnie i po bożemu do ołtarza ślubnego

cię prowadzi! Ot, mnie to bieda gorzka i wstyd wieczny, bo Adaś zoną nigdy podobno nie zostanie.

I, jak zwykle pomiędzy przyjaciółkami bywa, Ewka, zamiast wysłuchać tego, co Naścia powierzyć jej chciała, sama przed nią na swój los poczęła wyrzekać; tedy i niewiadomem ostało, z czego by pochodził ów wstyd, ten, który szczęśliwej narzeczonej najmiłsze momenty podczas zatruwał. Ale pan Apolinary dobrze wiedział o wstydzie tym i przyczynie jego, nie tylko pojąć ich nie mogąc, lecz srodze je za winę, albo głupotę poczytując. Tego samego też wieczoru wyszło to na jaw.

Z początku prowadziła się w świetlicy Nawróciela rozmowa grzeczna i wesola, do której nawet należał Bolko, ambicję swą mający i grochowego wianuszka z rąk Naści wziętego nie chcący na widok publiczny okazywać, a wszyscy dobrze to postrzegali, że pan Apolinary oczu swych od narzeczonej oderwać nie mógł i że nie tylko w jej pieniądzach, ale też i w niej samej był zakochany. Wtem, ni z tego ni z owego, na błękitnem niebie, które nad głowami narzeczonych zdawało się rozciągniętem, pokazała się chmura i wykryła, że i oni, tak nadmiar wcześnie, na burze i niepogody wystawieni być mogą.

— Kiedyż ślub się odbędzie? — zapytał Nawróciela, który, jako przybrany opiekun Naści, o wszystkim, co małżeństwa jej dotyczyło, wiedzieć potrzebował.

Pan Apolinary odpowiedział, że życzy sobie, aby ślub odbywał się nie później, niż za sześć tygodni, co słysząc Anastazja ręce załamała.

— W sześć tygodni po śmierci dziadka! Półroczna żaloby nawet nie przenosiwszy po nim!

Lzy do oczu jej nabiegły, i cała zaczerwieniona to jeszcze dodała, że i tak już wstyd ją okrutny ogarnia, iż tak rychle po utracie najdroższego dobrodzieja i przyjaciela swego takich rzeczy, jak szczęśliwość i weselenie się, doznawać może.

— Samą siebie w obrzydzeniebym wzięła, gdyby nie jedno to, że już i w pierw panu Apolinarieму życzliwą bylam — mówiła z płaczem prawie, a Nawróciela, postrzegając, iż słowa jej panu Apolinarieму wielce do gustu nie przypadają, zatamował je żartobliwem przemówieniem:

— Ludzka to rzecz jest, że starzy umierać, a młodzi miłować się muszą. Naścia niech sobie te wstydy się wyperswaduje, bo do niego słusznej przyczyny niema, a pan Apolinary, jako człek polerowny i grzeczny, niechaj żądanie narzeczonej swej wyrozumie i nieco mu pofolguje. Życia przed sobą taką

moc wielką macie, że gdy szczęśliwi będziecie, to długo, i gdy nieszczęśliwi, to też długo; poco tedy galopem takim do ślubu biec?

Na to pan Apolinary, uspokojony nieco, odpowiedział:

— Projekty swoje mam; do fabryki, którąśmy z panem Rudnerem założyli, nijak już teraz powracać mi nie wypada. Zamierzam więc na św. Michał folwark tu jeden w sąsiedztwie będący w dzierżawę wziąć, ale że duży i w gruntach dobrych, tedy mi pieniędzy własnych nie wystarczy...

— A dla jakiejże przyczyny do tej fabryki powrócić nie możecie? Pomyślnie ona, jak słychać, idzie... — zapytała pani Wincentowa.

— Pomyślnie — odrzekł pan Apolinary — ale mnie do niej powrócić już niepodobna.

Pomyślność też tę, którą tam osiągnąłem, i tę większą jeszcze, którą w czasie mógłbym osiągnąć, na ołtarzu przyjaźni mojej dla panny Anastazji ofiaruję, bo korzystać z niej już mi nie wolno.

Gdy słowa te wypowiadał, wszyscy poczuli, że tajemnicę w sobie jakąś krył, jako też i to, że ofiarę jakąś narzeczonej wymawiał, i nikomu, ani jedno ani drugie się nie podobało. Naścia przecie, rozmiłowanem okiem na niego patrząc, czego nie poczuła, ani postrzegła.

— A no — ozwała się — jeżeli panu Apolinaremu pieniędzy na wzięcie folwarku w dzierżawę nie staje, to przecież moje są, te, które od dziadunia mego najukochańszego otrzymałam. Można je wziąć i za dzierżawę zapłacić, a ja do ołtarza mego ślubnego przystępując, niechaj choć o pół roku od swego wielkiego nieszczęścia się oddalę.

Pan Apolinary, hardo wása podkrecając, odrzekł:

— Ja przed ślubem z dobra panny Anastazji korzystać nie zamierzam. Po ślubie, to co inszego: w małżeństwie wszystko wspólne.

Tu Nawróciciel się odezwał:

— Jabym też ledwo zezwolił na to, aby Naścia dobro swoje komukolwiek przed ślubem oddawała. Zaręczyny — pajęczyny, a broń Boże zmiana jak nastąpi, szpetnie byłoby potem o pieniądze się prawować.

— To niech pan Apolinary nie na św. Michał, ale na św. Jerzy dzierżawę weźmie, a ja tymczasem dziadunkowi tę wdzięczność i to uszanowanie okażę, aby choć pół roku żałobę przenosić i podczas w samotności łzę po nim uronić.

Pan Apolinary, z marszem na czole, odparł:

— Żeby panna Anastazja mężczyzną, świat znającym, nie zaś panną nijakiego doświadczenia nie mającą, była, toby wiedziała, że folwarki, zwłaszcza dobre, na dokończenie nijakich żalób nie czekają. Żaloby po umarłych sobie, a interesy ludzi żyjących sobie, i zadziwia mię, że panna Anastazja zalicza się do takich, którzy dla głupich zabobonów życie sobie i inszym zatruwają.

Nawróciciel znowu się w to wtrącił, mówiąc, że i on także, chociaż mężczyzną jest i świat nieźgorzej zna, noszenia żaloby po znacznych i bliskich osobachcale nie poczytuje za zabobon.

— Nieboszczyk dobroczyńcą Naściny był, ojca jej zastępował, od złych ludzi ją bronił, naukę pocziwą do głowy jej wkładał, a naostatek dobro swoje, jak na szlachecki stan nasz, bardzo wielkie, testamentem jej zapisał. Nic tedy złego, ani dziwnego upatrzeć w tem nie można, że Naścia pamięci dobrodzieja swego uszanowanie chce okazać, a co się tyczy brania folwarku w dzierżawę, to ucieknie jeden, nabieży drugi. Byle pieniądze, a chęć do roboty była!

— Roboty! otóż to, roboty! — zawołał pan Apolinary, cale już nadąsany i najeżony. — A co ja przez te półrocze, które pannie Anastazji na noszenie żaloby i na ronienie łez samotnych podobna się obrócić, robić będę? Dla mnie czas drogi! Ja zamierzylem na górę wysoką wspinać się i samego wierzchołka jej dosięgnąć, tedy na półrocze ręce beczynnie zakładać i męką mi być musi i stratą wielką.

Racja. Ale co przeciwko temu poradzić, kiedy wszyscy czuli, że i jej żądanie było słuszne? Gniewem narzeczonego zmartwiona, błagające oczy ku niemu wzniosła i, ręce jak do pacierza składając, prosiła:

— Niech będzie za pół roku!

Ale on nieubłagany okazał, a w dodatku, jak pokrzywa piekącym.

— A cóż mnie panna Anastazja przez te pół roku czynić rozkaże? Może mam na dziaduniowej mogile położyć się i tam poczekać, aż panna Anastazja nauczy się żywym nad umarłymi pierwszeństwo przyznawać?

Naścia, chustkę z kieszeni dobywszy, do oczu ją przycisnęła, co widząc pani Wincentowa, która życzliwą jej była, zwykłym sobie sposobem, bardzo pomалу słowa wymawiając, odezwiała się:

— To niech pan przez ten czas u braci posiedzi i w gospodarstwie im dopomaga. Tak i w bliskości narzeczonej pan osta-

nie i próżniactwem nie zgrzeszy. A braciom rodzonym dopomagać, to podczas nawet pięknym postępkim być może.

Ale panu Apolinaremu było widać o piękne postęпки bynajmniej, bo rozgniewał się okrutnie. Tak niziutko kłaniając się pani Wincentowej, że połowa włosów na czoło mu upadła, mówić zaczął:

— Bardzo ślicznie ja za tę radę, którą posłyszał, dziękuję i to tylko mię zadziwia, że zdarzyło mi się ją posłyszeć. Bo zdaje mi się, dość byłoby spojrzeć na mnie, aby odgadnąć, że ja do takiego życia, jak tutejsze, stworzony nie jestem, i że abym takie życie przez sześć miesięcy wytrzymywał, niczyje kaprysy lub zabobony przymusić mię nie zdołają. Dobranoc wszystkim państwu! A pannie Anastazji tak samo dobrej nocy i w dodatku dobrego namysłu życzę!

Za czapkę porwał i, wszystkim ukloniwszy się, z domu wybiegl.

Oto i masz, Naściu, już po wesołości twojej! ot tobie i po pięknem twojem wyglądanu! Zasmęciła się, pociemniała na twarzy, ale nie chcąc przed nimi wszystkimi zmartwienia swego wydawać, siedziała sobie spokojnie i nawet nieco rozmawiała. Dopiero gdy mężczyźni kędyś się porozchodzili, a pani Wincentowa, zbliżywszy się, z macierzyńską rzewliwością po włosach ją głaskać poczęła, przygarnęła się do niej i zapłakała.

— Jeszcze i zwłoki jego dobrze w mogile nie zastygły — ze łzami mówiła — jeszcze mnie droga twarz jego od rana do wieczora stoi, nierzadko i czyjaś inszą zasłaniając, a już mnie w ślubną suknię przyoblekać się nakazują i wprost od trumny jego do swojej szczęśliwości uchodzić! Mnie i bez tego męka ogarnia, gdy pomyślę, że i miłowani przemijają, i miłowanie tak prędko od nich naubocz schodzi, i wszystko jest, jako mgła rozlewająca się, jako wiatr przelatujący...

Prawdę mówiąc, nie było tam nikogo, ktoby to myślenie jej i z niego wyciekające zasmęcenie dobrze pojmował. Pani Wincentowa żałowała jej, że się martwi, ale dla jakiejby to przyczyny było, ani weź zgłębić nie mogła i swoim powolnym głosem, łagodnie przemawiała:

— Chandryczysz odrobinę, Naściu, chandryczysz! Każdy człowiek rodzicieli utracą, później od nich na świat przychodząc, a wszakże w śluby małżeńskie wstępuje i o interesy swoje dba, bo takie już przeznaczenie człowieka na tym świecie...

Jeden tylko może Nawróciciel wiedział dokładnie, co Naścia myśli i czuje, bo jakby z poszanowaniem i zarazem litością tego

wieczoru na nią patrzył, sam ją do domu, ile że wieczór późny był, odprowadził, a powróciwszy, rzekł do żony, którą bardzo szanował:

— Złe proroki za okno wyrzucać! ale widzi mi się, że para to będzie niedobrana. On do pieroga, a ona do Boga; oddalone od siebie są te drogi!

Ale syn Nawróciciela, Bolko, insze znów miał o tem myślenie.

— Tatku — rzekł — gdyby ona mnie teraz sama się oświadczyła, tobym jej nie wziął. Jeżeli mogła takiego, jak ten Apolinary, umiłować, to i sama widać nie wiele od niego warciejsza. Swój swego poznał.

Złość i żal z niego przemawiały, bo w błękitnych oczach łza mu się kręciła, a wargi czerwone gniewliwie wydymał. Ojciec zaś mu na to tyle tylko:

— Co ty wiesz albo rozumiesz? Bywało przecie, że i świętych Pańskich widok pięknych form ludzkich na pokuszenie prowadził. A ona nie święta; dziw-że to wielki, że pięknego chłopca sobie upodobała.

Tak w niespodziewanem zasmęceniu Naścia zaręczynowy wieczór swój dokończyła, ale niebawem snadź pogodziła się z narzeczonym, bo córki Nawróciciela i Ewka, nazajutrz w przedwieczarz do niej pobiegłszy, znalazły ją żwawo krzątającą się po domostwie i znowu, jak dzień majowy, różami rozkwitły, wyglądającą. Przez kilka dni potem różne osoby postrzegały, jak oboje razem ku cmentarzowi szli, albo jak po lasku za cmentarzem się przechadzali, kwiaty i zioła na grób pana Cyrjaka zrywając. Ale do żniwa idącej ani razu już nikt Naści nie widział. Pan Apolinary, śród pola ją raz z sierpem w ręku napotkawszy, poprosił, aby wróciła się do domu.

— A czemuż to? — zapytała.

— A bo ja nie życzę sobie, aby narzeczona moja oddawała się takim chamskim robotom.

Ona nieśmieie odrzekła:

— Dziaduńko zawdy mówił, że praca nie hańbi.

— Ja nie wiem, co dziaduńko mówił, ale panna Anastazja słyshy, co ja mówię. Gdy to, co oboje mamy, razem połączymy, żona moja dzięki Bogu, nie będzie potrzebowała sierpem rączek sobie urabiać.

I w rękę ją czule pocałowawszy, zaczął chwalić, że to jest rączka zgrabna, małańka, i że trzeba ją tylko oddaleniem od wszelkiej pracy grubej wybielić, delikatną uczynić, a będzie śliczną. Mówił to zaś tak czule i patrzył na nią tak przypochlebnie, że

usłuchała, do domu powróciła i na drugi dzień najemnicę czwartą w zastępstwo swoje na pole wysłała.

Ale była potem smętną i zamyśloną, bo ciągle jej na myśl przychodziło, że ona widać pana Apolinaremu nie jest do pary, skoro on wstydzi się pracującą ją widzieć, a ręce jej, choć i chwali, chce na delikatniejszą i bielszą przerabiać.

— Dziaduńko owszem — myślała — pracę mi nakazywał, a Bolko Tyczyna miłuje mnie i z takimi rękoma, jak mam teraz... czy to ręce tak wiele znaczą?

Ale po dłuższym namyśle przyznała się przed samą sobą, że i dla niej polerowność pana Apolinarego, a nawet te kędziorki włosów, które na czoło mu opadały, znaczyły wiele.

Tedy jakież to miłowanie jest? — zapytała sama siebie i już całę nie wiedziała, co ma o samej sobie nawet myśleć.

Z szcieniem jakimś usiadła w zagajniku śliwowym na trawie i nisko nad robotą pochylała czoło, przez które poszła znowu pręga cieniutka.

Ale i pan Apolinary ze swej strony w posępność wpadać począł i samotności w polu, albo w ogrodzie jakim szukać. Dziwili się ludzie: co mu jest? boć przecie z dobrowolnego wyboru żonę sobie brał, a z nią razem i majątek bardzo znaczny. Ale nikt nie mógł o przyczynie tych zasmęcań się i zamyślań od niego się dowiedzieć, bo wchodzenie w poufalość z ludźmi prostymi i otwieranie przed nimi duszy zwyczajnem mu nie było. Z góry na nich poglądał, jak na ślepe krety, w podziemnych norach siedzące, a język rozwiązywał wtedy tylko, gdy rozmawiał z taką osobą, której znajomość honor mu, jako mniemał, czyniła.

— Do fabryki ja nijak powrócić już nie mogę, bo przed wyjazdem stamtąd byłem już z p. Eugenją tak prawie, jak po słowie. To jakimże czołem mógłbym przed tą edukowaną i elegancką panną stanąć, kiedy ją na inszą przehandlował? Pieńgądze swoje, które w tę fabrykę włożyłem, przez adwokata odbiorę i o to spokojny jestem, bo dobrze są umocowane, ale pojechać tam samemu byłoby tyle, co na wielki wstyd, a może i na gorsze przykrości się narazić...

Że nie życzył sobie stanąć wobec eleganckiej panny, którą na inszą przehandlował, a bardziej może wobec jej brata, zrozumieć nie było trudno, ale mówił z taką chmurą na czole i w oczach, że nie trudno było też odgadnąć, iż strata panny tej, chociaż i dobrowolna, ciężką mu była. I nie tylko panny...

— Żalność mi serce ściska, gdy pomyślę, że to, w co tyle pracy włożyłem, teraz opuścić mi przychodzi. Ta fabryka była

fundamentem, na którym rychle może wzniosłbym wysoką budowę. Przez ten rok pierwszy już zyski dawała; w latach przyszłych większe dawać będzie, a w późniejszych to pewnie i ogromne. Cóż, gdy ten strumień obfitości nie dla mnie już pociecze!

Pytanie: dlaczego, oświadczając się o Anastazję, dobrowolnie naraził się na wszystkie te utrapienia i utraty?

Po krótkim namyśle, w ziemię patrząc, odpowiedział:

— Ja i wprzód już do panny Anastazji upodobanie czułem, ale na nie nakładałem pęta, w związku tym ani honoru, ani zysku dla siebie nie widząc. Ale kiedy ją nieszczęśliwą i przez krewnych srodze krzywdzoną obaczył, cośś rzuciło mię do niej. cośś nakazało mi zostać dozgonnym opiekunem jej i obrońcą...

Mówiąc to, pan Apolinary ani domyślał się, że ten moment, w którym go cośś porwało i rzuciło, był pewnie momentem w życiu jego najpiękniejszym. Prawdę zresztą rzekłszy, do wzbięcia się ku wysokości tego momentu cyfra sukcesji dziaduniowej odrobinę dopomóc mu mogła. Jak tam zresztą było, to było, ale dokonał postępuku rycerskiego, który przecie nie radował go teraz bynajmniej, bo postęпки rycerskie to dymy ulotne, a fundament życia: fabryka, obiecująca dochody znaczne i edukowana panna, z którą związek honor przynosił, do inteligencji wprowadzał, elegancją stroju, muzyką na fortepianie i t. d. zmysłom wzroku i słuchu przyjemnie dogadzał.

Było tam wszakoż, oprócz fabryki i panny Eugenji, coś więcej jeszcze. W głowie pana Apolinarego pomieścić się nie mogło, aby kobieta rozmiłowana mogła człowiekowi miłowanemu w czemkolwiek opór stawiać, w czemkolwiek z nim się nie zgadzać.

— Kiedy ja mówię: tak! to i kobieta miłująca mię powinna mówić: tak! A jeżeli mówi: nie! to miłowanie to ani tynfa dla mnie nie jest warte.

— Dlaczego?

— A bo to znaczy, że w rozum mój nie całkowicie wierzy i oprócz mnie, jeszcze coś inszego w sercu, albo też w głowie swojej chowa.

Przyczyną jednej ze sprzeczek ich stał się grobowiec dla pana Cyrjaka. Nawróciciel do miasta jechał, tedy Naścia poprosiła go, aby zamówił tam grobowiec piękny i, gdy wykonany już będzie, do Tuczyńiec przywieźć go kazał; pan Apolinary słyszał, jak prośbę tę wypowiadała i, sam na sam z nią pozostawszy, perswadować zaczął, że na takie rzeczy pieniądze szkoda.

— A toż to własne dziaduniowe pieniądze są! — zawołała Naścia.

— Najpierw: nie dziaduniowe, bo dziadunio trupem już jest, w próchno i zgniliznę obróconym...

Ona pobladła i łzami do oczu nabiegającymi poprosiła:

— Proszę przede mną tak nie mówić, bo mnie od tego przypomnienia serce boli!

— Ja myślałem — odpowiedział pan Apolinary — że pani dla mnie jednego ma serce, a postrzegam, że się omylił, bo serce pani nie tylko przeze mnie ranione lub pocieszone być może. Ale to insza jest materja, o której kiedyś rozmówić się nam przyjdzie. Co się zaś tyczy tego pomnika, to za głupstwo poczytuję nad ludzkim próchnem marmury wystawiać, żyjącym przez to łatwości i przyjemności różnych ujmując. Ponieważ zaś panna Anastazja żoną moją ma zostać, chciałbym, aby głupstw nie popełniała, i proszę, aby poszła do Nawróciciela, pokąd on jeszcze nie odjechał, i polecenie dane mu odwołała. Nad mogiłą dziaduniową ładny krzyż drewniany postawić trzeba, i dość będzie! Nikt tutaj, w zakęcie takim, choćby najpyszniejszych marmurów nie obaczy.

Ona, zasmęcona, chwilę nie odpowiadała, ale potem, oczy na niego podnosząc, łagodnie rzekła:

— Proszę się na mnie nie gniewać. Ja panu naumyślnie sprzeciwiać się, ani na złość czynić nie chcę, i martwi mię to owszem, że zdania nasze się nie zgadzają. Ale polecenia, które panu Wincentemu dałam, nie odwołam i piękny pomnik temu, który dobrodziejem, wychowawcą i obrońcą moim był, wystawić muszę.

Wtenczas on, sępem na nią patrząc, mówić począł:

— Gdyby panna Anastazja prawdziwie mię kochała, to na wszystko, czego ja żądam, przystawałaby bez nijakiego namysłu nawet, prosto z serca miłującego. Ale ponieważ chęci i zdania pani na wielu punktach, jak spostrzegam, z mojemi się różnią, to takie kochanie możeby dla pana Bolka Tuczyny, albo kogo innego, dostateczne było, ale dla mnie tyńfa nie jest warte, i ja za nie bardzo ślicznie dziękuję. Adje!

I za czapkę chwyciwszy, ze świetlicy wybiegał, ale Anastazja skoczyła za nim i z takim bólem serdecznym, z takim za-trwożeniem krzyknęła: »Apolek! Apolek!« — że, jak wryty, przed progiem stanął i złagodniałemi oczyma na nią pojrzał. Ona stała na środku izby żarem cała oblana i z wszystkimi rysami twarzy, a także rękoma załamanemi, prosząca, aby gniewać się przestał

i powrócił. Powrócił i nawet, za rękę ją ująwszy, objąć i pocałować ją spróbował.

— Ładnaś, Naściu, taka, ile razy się strwożysz. Nie wyrzawajże się! Te wstydy panięskie to zabobony, które mnie słodczy ust twoich pozbawiają!

O te pocałunki zdarzały się też pomiędzy nimi poróżnienia. Jej skromność panięska często obdarzać go niemi przed ślubem nie dozwalała. a on ich każdej minuty i każdej sekundy od niej żądał. Tedy wymawiał jej, że zabobonom jest podległa i że miłowanie ma zimne, nie takie, jakie bywa u inszych panien, które on zna, i które ani sobie, ani człowiekowi miłowanemu, dla jakichśiś staroświeckich przykazań i zwyczajów, szczęśliwości zażyć nie wzbraniają. Tym razeni przecie, Naścia, uradowana tem, że gniewać się przestał, nie tylko pocałować się dała, ale chwilę, jakby omdlewająca, pozostała w jego ramionach, poczem, gwałt widoczny sobie zadając, wyrwała się mu i ze świetlicy wybiegła, a on pogonił na nią, i oboje, wybiegłszy jedno za drugim z domu, wpadli pomiędzy śliwy zrazu, później pomiędzy berberysy gęste, w których też chwilę słychać było śmiechy ciche, szepty słodkie i głośniejsze nieco wołania na różne tony:

— Apolek!

— Naściu!

Kochali się. I wątpienia nie mogło być o tem, że się kochali, tylko dziwnie jakoś. Jednemi stronami istot swoich pociągali się nawzajem, a drugiemii odpychali. Anastazja przytem, w drobniejszych rzeczach łatwo ustępująca, w niektórych okazywała upór nieprzełamany. Tak było i z tym grobowcem. Pogodziła się z narzeczonym, kilka chwil miłych z nim spędziła, ale polecenia danego panu Wincentemu nie odwołała, i ani mówić z nią nie można było o tem, aby na mogile pana Cyrjaka piękny pomnik mógł nie stanąć.

— On u ludzi, a u mnie osobliwie już na to zasłużył, aby pamięć jego przystojnie uczcić! — rzekła i tego postanowienia, jak głazu, odwalić z niej nie było można.

Pan Apolinary tę oporność jej zapisał sobie gruntownie w pamięci i sercu, a ona, ile razy przypomniała sobie, że on żalobę po najdroższych zmarłych, zachowanie ich we wdzięcznej pamięci, skromność panięską i wiele inszych jeszcze rzeczy głupiemii zabobonami nazywał, uczuwała kamuszek twardy i zimny, wpadający jej do serca. A im więcej dni upływało, tem więcej w sercach obojga gromadziło się takich kamuszków, które kochanic to coraz częściej w udręczenie przemieniało.

Razu pewnego pan Apolinary w obecności Ewki i bynajmniej nie przez złość, ale owszem z dobrego humoru i żartobliwie mówić zaczął:

— Naścia pewnie myśli, że kiedy człowiek umiera, to dusza z niego, jak wróbel z gumna, wylatuje i frrrr! do nieba leci, abo: babach! na dno piekielne! Czy nie tak Naścia myśli? Prawda, że tak?

Pytania te zadając, śmiał się i w spuszczone oczy jej spojrzeć próbował, ale ona, z nad roboty ich nie podnosząc, odpowiedziała:

— Ja nie wiem, czy dusza ludzka, gdy ciało opuszcza, do ptaka, abo do czego całe inszego jest podobna, i nikt o tem wiedzieć nie może, bo nikt jej nie widział, ale to tylko wiem, że każdy człowiek duszę ma i każdy inszą...

Tu pan Apolinary zaśmiał się i zawołał:

— Złapałem Naścię za słowo! Jeżeli nikt duszy nie widział, to skądże wiadomo, że ona jest?

Zmieszala się dziewczyna i zarumieniona, milcząc, szyła. Nie była teologiem; trudno jej było argumentami dowodzić tego, w co wierzyła.

— Pana Boga też nikt nie widział — szepnęła — a wszakoż jest!

— A skądże wiadomo, że on jest?

Udręczenie odmalowało się na jej twarzy i obrazy też nieco, ale hamując się, po chwili namysłu rzekła:

— Każdy człowiek, jeżeli uczciwym jest i choć odrobinę dobrym, Pana Boga w sobie czuje...

— A ja — przerwał pan Apolinary — choć zdaje się, że łotrem nie jestem, całe go w sobie nie czuję i nijakiej pewności nie mam, czy nie jest to tylko wymyślenie, w które ciemnota jedynie wierzyć może. Słyszałem, a i czytać mi się zdarzyło niejednokrotnie...

Ale tu Naścia, jak oparzona, ze stolka się zerwała i, zalamując ręce, wykrzyknęła:

— Apolek bluźnierz jest! Kto w Pana Boga nie wierzy, ten i grzechu się nie boi, a kto grzechu się nie boi...

Powściągnęła się, zawahała, a on, już zachmurzony i rozgniewany, popędliwie zapytywać zaczął:

— To co? to co? jakież jest ten człowiek, który grzechu się nie boi?

A ona, od łez, które do gardła jej podchodziły, ledwo mogąc mówić, odpowiadała:

— Ja nie wiem... nie wiem... Ale bluźnierców boję się i proszę, aby pan Apolinary słów takich przede mną nie wypowiadał.

— Pani mnie prosi, a ja pani dziękuję, za takie kochanie ja dziękuję, w którym osoba kochająca, Pana Boga niewiadomego nad człowieka miłowanego przekłada. Jeżeli kto kogo prawdziwie kocha, to na wszystkie jego zdania przystaje, a skoro nie przystaje, to wnętrność ma nie przez kochanie, ale przez samą jedną ciemność i zimność napelnioną!

Anastazja rozplakała się i do bokówki wyszła, a Ewka, ujmując się za przyjaciółką, rzekła:

— Bo też pan Apolinary chce Naścię całę już w niewolniki swoje zapisać!

— Aha! — odparł, filuternie na hożą dziewczynę poglądając — a panna Ewa czy ma takie zdania i chęci, któreby zdaniom i chęciom Adasia Tuczyzny przeciwne były? Pewno nie; chociaż wielka różnica między mną a Adasiem zachodzi, i chociaż on jest mazgaj, który przeszkód pomiędzy nim a panną Ewą stojących przewyciężyć nie umie, a ja wszystkie te, co mnie od panny Anastazji przegradzały, z wielką dla siebie szkodą, przewyciężyłem. A no, proszę odpowiedzieć: czy ma pani myśli i chęci Adasiowym przeciwne?

— Nie mam — odszepnęła dziewczyna — mnie wszystko jedno, byle...

— Byle Adaś panią kochał? prawda?

— Prawda!

— A wie panna Ewa, dlaczego taka różnica pomiędzy panią a panną Anastazją zachodzi?

— Nie; nie wiem.

— To ja pani tę rzecz wytłumaczę. Są takie kobiety, które umieją kochać, i są takie, które nie umieją. Dla kobiety, która umie kochać, wszystko na świecie kromie mężczyzny miłowanego jest obojętne. Praca nie praca, wiara nie wiara, grzech nie grzech, wszystko dla niej nie ważne, tylko ten jeden człowiek i jego kochanie ważne. Rozumie teraz panna Ewa, co to jest umieć kochać? Co zaś do panny Anastazji, to coraz więcej ja postrzegam, że ona kochać nie umie. Ot, co jest!

To powiedziawszy, wziął czapkę i poszedł sobie, a Ewka do bokówki, gdzie Naścia ukryta siedziała, wbiegłszy, przy niej usiadła.

— Bój się Boga, Naściu, nie sprzeciwiaj się ty jemu, bo jeszcze weźmie i porzuci!

Dziewczyna hardo podniosła głowę.

— To niech porzuci! Prosić nie będę, aby słowa mi dotrzymał!

— Czy ty jego już nie miłujesz, abo co? — dziwiła się Ewka.

Anastazja, kędyś daleko przez okno patrząc, rzekła:

— Już i sama nie wiem, co to takiego! Podczas miłuję ją go bardzo, a podczas zdaje się, jakobym już nie miłowała. Inszym ją go sobie z oddalenia wystawiałam, a inszym w bliskości znalazłam.

— Święty Boże! — rękoma splasnęła Ewka — a czegoż jemu brakuje? Ładny taki, polerowny, górnienie myślący... a tylko to jedno, że poddania się twego za wiele żąda. A no, poddaj się tymczasem, a kiedy już po ślubie będzie, tak uczyni, aby górę nad nim wziąć. Co tobie szkodzi udać tera, że we wszystkim jemu podległa jesteś, i o niego jednego tylko na świecie dbasz, więcej zaś o nic? Później, kiedy kłamka już zapadnie, wynagrodzisz to sobie, a że pieniądze — i duże! — masz, tem łatwiej przyjdzie ci tego dokazać. Tera zaś, dopóki ptaszek do klatki jeszcze nie zamknięty, politykuj!

Naścia głową energicznie potrząsała:

— Ani udawać, ani politykować ja nie chcę i nie będę, bo by mi się zdawało, że robaki brzydkie mię oblażą, i że sama gadem nikczemnym jestem. Usta mi się na kłamstwo nie otworzą, choćbym tego i chciała. To tak samo, jak wtenczas z Mrukami i z Adasiem było. Za udawanie i kłamstwo spółnie z nimi żyć nie chciałam. Pamiętasz, Ewka?

— Pamiętam. Ja ci też wtenczas wdzięczność do grobu słu-bowałam.

— A no, widzisz! To jakżebym ja teraz człowieka miłowanego fałszywemi pozorami uwodzić mogła? Jemu, owszem, więcej jeszcze niż komu innemu prawdziwą okazywać się muszę, bo do czegożby to podobne było: miłować i oszukiwać?

— A jak porzuci? — szepnęła Ewka.

— A no, wola Boża! — odszepnęła Naścia, oczy jej i cała twarz zachmurzyły się, jak niebo w dzień jesienny, a nawet z oczu deszcz łezby popłynął, gdyby się nie wstrzymywała, bo snadź okrutnie ostrą strzałą przeszywało ją posądzenie, iż z panem Apolinarym inszy jeszcze koniec nastąpić może, aniżeli ten, którego od tak dawna żądało jej serce.

Ale wstrzymywała łzy i razem z Ewką poszła do jakiejś roboty gospodarskiej, a potem, przed samym już zmrokiem, sama

jedna na cmentarz pobiegła. Tylko co pobiegła, pan Apolinary do domu jej przyszedł i, od Lucji dowiedziawszy się, gdzie znaleźć ją może, tamże poszedł. Pewnie pogodzili się, bo kilka godzin przesiedzieli z sobą na cmentarzu, abo może w tym ładnym lasku, co za cmentarzem pagórek okrywał, a nazajutrz Anastazja była dość sobie wesołą, a więcej jeszcze niż wesołą: dla pana Apolinarego grzeczną i przychylną najlepszą okazującą. Częstowała go wszystkiem, co tylko najwięcej lubił, o różnych rzeczach mu rozpowiadając, a o insze zapytując, i kiedy odpowiadał, uważnie słuchając, ale on dnia tego żadnym sposobem rozweselić się nie mógł. Głowę na rękę sparł, po większej części milczał, i sęp dra pieżny siedział mu w oczach, a może i w duszy, o której wątpił, czy ją w sobie ma.

— Już mię też te cmentarze i mogiły, na które panna Anastazja chodzi i mnie za sobą ciągnie, miksturą nudną aż po gardło zalały. Ja do nijakich smętków stworzon nie jestem. Światłości żadnym, nie zmroków. A i bez cmentarzy nawet panna Anastazja zbyt jest mroczna i w myślach swoich zatopiona. Miłowanie wesołem powinno być i rozweselenie mieć na celu, a takie panny, co smętek i różne myślenia własne w sobie mają, cale zamaż wychodzić nie powinny, bo mężowie rychło w miłowaniu ich ustaną, jako w czemś, co samemi kwiatami życia im nie ubierze.

Tak przed osobą, do której szczególne zaufanie żywił, zwierzał się pan Apolinary, poczem arkusik papieru z kieszeni tużurka wyjąwszy, z tajemniczym uśmiechem szepnął:

— Od panny Eugenji dziś listek otrzymałem... Proszę powąchać, jak mile pachnie!

Arkusik nie duży i monogramem panny ozdobiony pachniał paczulą i od brzegu do brzegu okryty był pismem trochę nieporządne*m* i krzywe*m*.

— Oto rozumna kobieta jest! Ja tu siedzę i zdradzam ją, a ona, o niczem nie wiedząc, interesów moich pilnuje i najdelfaliczniej o nich donosi. Jak buchalter jaki, całą stronicę cyfr zapisała!

— Nic dziwnego! Niemłoda już będąc, na interesach znać się może!

— Wszak nie hańba! — odpowiedział — i nie taki to już wiek późny. Starsza ode mnie, ale ze wszystkiem starą jeszcze nie jest, a kochać, to pewno że lepiej umie od niejednej młodej, już przez to samo, że mało nadziei miała, aby kiedykolwiek jeszcze mogła kochania zażyć. Wzrost ma wysoki, figurę piękną,

a że nikomu w stroju prześcigać się nie daje, tedy zawsze wygląda, jak obraz, pięknie różnemi kolorami wymalowany. Szyk ma, a wiadomo jest wszystkim, co to jest szyk. Bez niego i najładniejsza kobieta wygląda, jak ten podły kwiatek, co na polu rośnie, a z szykiem to zaraz zapachnie, jak ta róża, około której uprawa chodziła. Przytem panna Eugenja, jak też i brat, do inteligencji należą. Doktorowie, profesorowie i inżynierowie u nich bywają, a podczas taka zbierze się tam kompanja, że człowiek, choć sam i gęby otworzyć nie potrafi, głowę wszakoż podnosi do góry, że do niej zaliczać się może... Ot, czego mi wyrzekać się przychodzi...

— To pocóż się wyrzekać? Najlepiej otwarcie powiedzieć o wszystkim Naści i do panny Eugenji powrócić...

Z nisko schyloną twarzą, chwiejnie jakoś sznurek od binokli na palec okręcał.

— Kiedy osobliwe jakieś upodobanie do Naści mam i, wszystkie jej niedostatki postrzegając, nijak o rozstaniu się z nią ze spokojnością myśleć nie mogę. Nieszczęśliwym się uczuвам, bo najgorsza to już jest rzecz, kiedy w człowieku takie podwójne serce i podwójne myślenie zasiądzie. I tu ciągnie i tam ciągnie. Rozedrzyj się tu, człowieku, na dwoje!

Tak przeminęło jeszcze tygodni kilka, aż razu pewnego pan Apolinary do kuchenki Naścinej, gdzie ona w szafie naczyń gospodarskie ustawiała, wszedłszy, oznajmił, że bracia mu już wszystkie pieniądze należne wypłacili.

— Zboże sprzedali, wszystko co do grosza wypłacili, i jutro już jadę starania o dzierżawę Retówki czynić. Chocia mi ta dzierżawa i nie w smak, ale cóż robić?

Markotny wydawał się i, w bliskości drzwi na stołku siadając, od niechcienia sobie nieco zagwizdał. Po oczach jego i po tem gwizdaniu Naścia poznała, że był w humorze takim, w jakim najmniej miłym wydawał się jej zawsze. Więc do szafy twarzą obrócona, różne przedmioty w niej porządkując, rzekła:

— Jeżeli dzierżawa Retówki nie w smak, to pocóż ją brać? Można przecie o jaką inszą się postarać.

— Mnie wszelka dzierżawa nie w smak, bo na wsi gospodarzyć, a na psa zejść — to jest wszystko jedno. Praca tylko a praca, i z różnem prostactwem zbliżenie nieuniknione.

— Mnie się zdaje, że Apolek pracy się nie lęka.

— I nie myli się Naścia. Żeby mi ja pracy lękał się, toby mi nie mógł być tem, czem jestem. W fabryce będąc, nietylko za siebie lecz, prawdę rzekłszy, nierzadko i za pana Rudnera pracow-

lem, ale w przestankach zabawy były wesole i kompanje takie, że człowiek, wśród nich znajdujący się, podnosił się, a nie spadał. Na wsi zaś, w takim folwarku wydzierżawionym, co będzie? Toż i toż, panie Bartosz! Nuda człowieka zje, i rdza pokryje.

Anastazja, ciągle jeszcze do szafki obrócona, odrzekła:

— Mnie o zabawy bynajmniej! Ale kiedy Apolkowi bez nich tęskno będzie, to proszę tam, gdzie się tylko upodoba, jechać. Ja żadnych co do tego dyspozycyj nie wydaję, ani żądań nie objawiam i za tym, któremu ślubować będę, wszędzie chętnie pojedę, chociaż sama do wsi zwykłam i rozstawać się z nią nie zamierzałam nigdy. Wszakóż niech będzie w tem wola Apolka, nie moja.

— Naścia to tak mówi, jakby łaskę jaką mi wyrządzała. Całe inszym głosem kobieta kochająca o przyszłym życiu swem z kochającym mężczyzną przemawia. Słyszałem ja nieraz panny o takich rzeczach mówiące, i Naścia może być pewna, że ogień i miód w mowie ich przytem bywał. Zadziwia mię, że moja narzeczona taką zimną być może!

Anastazja nie odpowiedziała nic, tylko naczynia, które ustawiała w szafie, z nagłym brzękiem jedno o drugie uderzyły. Pan Apolinary zaś, po chwili milczenia, rzekł znowu:

— Naścia nawet i ogarnąć tego myśleniem swem nie może, jaką ja ofiarę przez miłość dla Naści ponoszę.

Anastazja teraz twarzą się ku niemu obróciła, ręce jej z odwinietami po łokcie rękawami w dół opadły, przez oczy jej przeleciał błysk.

— Ofiarę! Apolek ofiarę czyni, mnie za żonę pojmując?

— A Naścia co myślała? — ze stolka zrywając się, zawołał. — Może to, że związek małżeński z Naścią wielki honor mnie przynosi? Abo, że te pieniądze dziaduniowe za wszystko wynagrodzić mię zdołają?

— Wynagrodzić? — zdławionym nieco głosem zaczęła — a za cóż to Apolkowi wynagrodzenie się należy?

On kręcił się tera po kuchence, łaską wywijając, a potem stanął przed nią i rzekł:

— A choćby i za te rękawy, które Naścia po łokcie odwija, co aby czynić zaprzestała, nie jeden raz prosiłem, bo mi proste dziewczki, nad baljami stojące, przypominają! Już nie mówię o tem, że nijakie pieniądze, po nijakich dziaduniach pozostałe nie mogą dorównać tym korzyściom, które tam udziałem moim staćby się mogły i tak wysoko mnie postawić, że Naści oczy zmruczyłyby się musiały, gdyby na te wysokości tylko spojrzała, ale czego Naścia ani odgaduje, to, że przez miłość dla Naści ja

jeden skarb niewynagrodzony tracę, taki, który sam w ręce mi lażł, a którego do niczego inszego porównać nie mogę, jeno do gwiazdy wysoko na niebie świecącej, albo do róży, przez osobliwych ogrodników w pałacowym ogrodzie wyhodowanej. Może ja i nie dobrze czynię, że Naści o tem wszystkim mówię, ale nie powiedziałbym pewno, gdyby Naścia była dla mnie posłuszniejszą i całkowicie oddaną, ale widząc, że ceny swej nie otrzymuję, muszę już do ostatka odkryć, czegom wart, i jaką jest moja przed Naścią zasługa!

Umilkł i ze wzburzoną od irytacji czupryną, nieco zasapany i zaczerwieniony, na stolku usiadł. Anastazja zaś stała przed nim tak zmieniona, tak insza, niżeli zazwyczaj bywała, jakby ją w tej chwili czarnoksiężnik jakiś różdżką swą tknął. Hardo głowę podniosła, w oczach jej błyskawice przelatywały, czoło ogniem zapłonęło, brwi, które miała gęste i złote, zsunęły się i co moment drgały. Jak do ziemi wryta, prosto i nieruchomie stała, a potem drżącym nieco głosem przemówiła:

— Ja od pana Apolinarego nijakiej ofiary nigdy nie domagałam się i teraz nie chcę. Jaką mnie Bóg stworzył, taką jestem i ani obłudnych zmian w sobie zaprowadzać, ani w niewolniki niczyje zapisywać się nie zamierzam. Myślałam, że najlepsze miłowanie to jest, że człowiek przed człowiekiem z duszą otwartą i nie w sobie nie kryjącą stoi i jeżeli życie za człowieka umiłowanego oddać gotowy, to, co jemu do robienia na świecie przeznaczonem zostało, uczciwie i jawnie robi. Ale kiedy panu Apolinaremu takie miłowanie nie w smak, to ja do inszego zdatności nie poczuwam. Niechże tedy pan do swojej fabryki powraca i tę gwiazdę, która jest niewynagrodzonym skarbem, z wysokości, na której świeci ona, zdejmując, we mnie przeszkody nijakiej do tego nie upatrując. Od tej minuty już my dla siebie narzeczonymi nie jesteśmy, i ja pana Apolinarego żegnam, podróży szczęśliwej i powodzenia najlepszego we wszystkim życząc.

Przy ostatnich słowach pierścionej, który przy zaręczynach od niego dostała, z turkusikiem perłami otoczonym, zdjęła z palca i na stole położyła, poczem ręce na piersi skrzyżowawszy, stała znów, jak w ziemię wryta, z głową hardo podniesioną i oczyma, które z za dwu lez nieruchomych dwoma grotami błyskawic świeciły. Pan Apolinary porwał się ze stołka i zrazu osłupiał ze zdziwienia, bo nigdy na myśl mu nie przychodziło, aby ktokolwiek na świecie jego, Apolinarego, mógł wyrzekać się dobrowolnie. Tedy z początku bełkotać począł:

— Zdziwiał mnie... zdziwiał...

Ale prędko zmiarkowawszy wszystko i obrazą wielką zapaliwszy się, pierścionek z brylancikiem, który od niej miał, na stole położył, a swój ze stołu biorąc, przez zaciśnięte zęby rzekł:

— Owszem! Jeżeli tylko taka jest wola panny Anastazji, to i owszem. Już ja i sam o takim zakończeniu nie jeden raz myślałem. Żegnam i nawzajem wszelkiego szczęścia i ukontentowania życzę. A d j e!

Powiedziawszy to, wybiegł z domu na ganek, ale tu, drzwi za sobą z niejakim stukiem zamknąwszy, zatrzymał się, z przyzwyczajenia na jednej nodze stanął i głowę nisko zwiesił. Anastazja zaś ze swej strony z kuchenki wyskoczyła i przy drzwiach od ganku stanęła, z ręką ku kłamce podniesioną. On miał taką postawę, jakby chciał okręcić się na jednej nodze i z powrotem do domostwa wejść, a ona taką, jakby pragnęła drzwi otworzyć i za nim na ganek wyskoczyć. Wszakóż cienkimi tylko drzwiami z sobą rozdzieleni, minutę tak postawszy, w jednej sekundzie rozeszli się na dwie strony. On zeskoczył z ganku i popędził przez podwórko, łaseczką wierzchołki traw na prawo i lewo zbijając; ona, blada jak płótno, z oczyma od łez nabrzmiałemi i rękoma utopionemi we włosach, najmniejszego głosu z ust zaciśniętych nie wydając, wolnusięńko przeszła świetlicę, i do borkówki wszedłszy, drzwi za sobą zamknęła. Co tam, w małej, ciemnej izdebce przez resztę dnia i przez całą noc następną czyniła, myślała i uczuwała? — nie wiadomo. Ale pana Apolinarego jakby wiatr poniosł w świat szeroki. Tego samego wieczoru już go w Tuczyńcach nie było.

VIII.

Kiedy ją po tem zerwaniu z narzeczonym pierwszy raz obaczyłam, była tak spokojna, jak gdyby nic ważnego w życiu jej nie zaszło. Tylko, że spokojność ta na powierzchni się znajdowała, a co tam we wnętrzu płakało lub desperowało, nie każdy mógł odgadnąć. Ewka, znowu dziwując się jej spokojowi, do głazu i marmuru ją porównywała, ale Ewka miała wzrok krótki, i który ledwo po skórze ludzkiej się prześlizgiwał.

Siedziała na kamieniu, tuż obok żółtej mogiły pana Cyrjaka, tak pilnie szyciem zajęta, jakby z ciałem i z duszą w robocie swej pograżała się i utapiała. Dzień był wrześnieowy, słoneczny i ciepły; liście poczynaly już barwę swą odmieniać i na zielone drzewa, które nad cmentarzem gałęzie swe rozpościerały, kłaść

plamy i centki brązowe, czerwone i żółte. Dokola krzyżów i kamieni grobowych niektóre rośliny odkwitały; wpobliżu mogiły pana Cyrjaka jak płomienie paliły się żółtością lnice wysokie, i dzwonki liljowe kołysały się w powiewach wietrzyka, jakby na nabożeństwo wzywając i dzwoniąc.

Niebo nad drzewami błękitem świeciło, a od borku, który okrywał pagórek, przelatywały niekiedy jałowcowe i grzybowe wonie. Ale słyszeć to nic się tu nie dawało; ptaki o tej porze roku nie śpiewają; ledwo też kiedy niekiedy wróbel w gałęziach zaćwierkał, albo z pola oddalonego doszło porykiwanie bydła, lub beczenie owiec. Wtem, wysoko, kędyś nad samem niebem, rozległy się słabe dźwięki, jakby wołania przynagłające, jakby wyrzekanie żalosne. Anastazja twarz i oczy ku niebu obróciła i patrzyła na długi łańcuch wielkich ptaków, u czoła w haczyk zagięty, który po morzu błękitnem zwolna żeglował.

— Żórawie odlatują — rzekła, i chociaż daleko już były, rzędem drobnych punkcików czarnych malując się na firmamencie, jeszcze nie przestawała na nie patrzeć.

Wtedy też, gdy twarz podniosła, postrzec mogłam, że usta miała pobladłe, na czole pręgę dość głęboką, a w oczach, któremi odlatujące żórawie ścigała, wyraz tęsknoty tak niezgłębionej i piekającej, jakby dusza jej gwałtem wydrzeć się z ciała pragnęła i z ptakami temi w dale nieznane i bezgraniczne ulecieć.

— Czy tak, pomiędzy mogiłami, często przesiadujesz, Naściu? Spuszczając znowu oczy na robotę, odpowiedziała:

— Często. Teraz przy gospodarstwie roboty mniej niż latem, czasu tedy więcej. A choćby jaka robota i nie wykonana była, to... co tam!

Na piersi jej czuć było ciężar taki, że ledwo mówić mogła, a ostatnie słowa szeptem już wymawiała.

— Więc pomiędzy panem Apolinarym a tobą wszystko na zawsze już skończone?

Ze zdziwieniem spojrzała i nieco wzruszyła ramionami.

— Albo to pani nie słyszała, że już braciom uwiadomienie przysłał o ślubie swoim z panną Rudnerówną, który odbyć się ma za dwa tygodnie?

Nie słyszałam o tem istotnie, a ona, znowu szyjąc i rękę z igłą to podnosząc, to opuszczając, tym swoim głosem, który ciężko z piersi wychodził, mówiła:

— Wszystko na tym świecie kończy się i przemija... Było, nie było... Cienie różne przesuwiają się przed oczyma i znikają. My wszyscy cienie, dni nasze cienie i miłowania nasze też cienie...

abo omyłki. Błąd wiek czlowieczny... Dziadunio zawsze mówił: »U Boga tylko wieczne trwanie i dobroć«. Prawdą to jest; bo reszta sam tylko błąd i... kalectwo.

Dziwnemi były słowa te w ustach tej młodej i prostej dziewczyny, albo też może i nie dziwne. Cóż? Pieszczoty rodzicielskiej i przyjaźni braterskiej nie zaznała nigdy; fałszu, niewdzięczności i lżenia ludzkiego zaznała niemało; ci, których jedynie na świecie miłowała, pomarli, lub na serce jej twardą nogą nastąpili: tedy z samego życia rozważania te wyszły i do głowy jej wstąpiły. Wszakóż, żal mi jej było niewymownie.

— Moja Naściu, nie darmo pani Wincentowa mówi, że chandryczysz odrobinę! Młoda jesteś, majątek i urodę masz, znajdzie się rychło, kto cię prawdziwie umiluje, i długo jeszcze szczęśliwości zażywać będziesz...

Trudno było wiedzieć napewno, czy słowa te słyszała, tak dusza jej zdawała się skupioną na jakąś daleką dal, w którą wlepiła oczy zapadłe i przepaścistosmętne. Wszakże po minucie, twarz ku mnie obracając, rzekła:

— To wszystko jest prawda; młoda jestem, majątek mam i los nie gorszy od inszych spotkać mnie może. Ale cóż ja pocznę, kiedy na tem wszystkiem nijakich nadziei ufundować już nie zdołam! O czem tylko pomyślę, wszystko przemijające, kalekie, fałszywe, albo też takie obojętne, że krokubym nie zrobiła, aby je doścignąć... Cóż ja pocznę? I sama odmieniłbym się żądała, ale to nie jest w mojej mocy...

— O ludziach zbyt złego myślenia nabrałaś! Są przecie pomiędzy nimi godni szanowania i lubienia.

Pierwszy raz z niejaką żywością odrzekła:

— Ja też nikogo nie oskarżam, ani nikomu źle nie życzę. Tylko żem ludzkiej dobroci i wdzięczności, a zarówno i ludzkiego miłowania dobrze skosztowała, to już i słodkości żadnej od nich się nie spodziewam. Owszem, niech sobie szczęśliwości wszelkiej używają, i samabym jeszcze czem tylko mogła dopomogła, ale ani weselić się z nimi, ani nadziei na nich ufundować za nic już nie mogę!

Prawda: na nikogo nie wyrzekała, nikogo nie oskarżała ani jednym słowem. Ale wiadomo, że boleść najgłębiej zasiada w tych właśnie, którzy jej złością, pomstą i oskarżeniami wylewać z siebie nie potrafią.

Po dość długiej chwili milczenia, niżej jeszcze nad robotą głowę chyląc, szepnęła:

— Tylko mi tęskno!... tak mi tęskno!...

Igła z palców jej wypadła, robota z kolan na murawę się zsunęła, a ona, wyprostowawszy się, z rękoma spuszczone na białym fartuchu, który żałobną sukienkę jej osłaniał, z dwoma fałdami na policzkach, z pasmami włosów na ramionach i piersi powtórzyła:

— Tęskno mi... ach, jak tęskno!

Do trwałości zjawisk, do czystej doskonałości uczuć, do piękności, dobroci i prawdy tęskniła. Do ideału tęskniła. Upragnienie to jest dusz niektórych takie, że na szczytach ludzkości nawet, w samych ogniskach jej słońce i gwiazd, o gaszące je napoje nie łatwo. O, biedna, nieuczona Naściu! Ani wiedzieć, ani nawet domyślać się mogłaś, ile razy ci nawet, co na najgórniejszych wierchołkach ziemi tej jaśnieją, ku temu samemu, do czegoś ty tęskniła, idą... idą... idą... i zachodzą na Ogrójce!

Tuczyńce oczekiwały nawiedziny Józefy, bo zbliżała się albo już nadeszła zwyczajna ich pora. Oczekiwała ich też Anastazja z upragnieniem daleko jeszcze większym, niż lat ubiegłych, jakby ratunku albo zbawienia samego od nich się spodziewając. Ale czas biegał, śty Michał już przeminął, od Różańcowej tygodni parę upłynęło, a o Józefie słuch żaden nie dochodził znikąd. Wtem, dnia pewnego, Ewka, do świetlicy Anastazji jak wiatr wpadając, oznajmiła:

— Naścia! a bieżaj żywo do Nawróciciela! List od Józefy z pocztą otrzymał, i dla ciebie, słyszę, ukłony w nim są zawarte!

— Nie przyjedzie! — krzyknęła Naścia. — List przysłała, tedy nie przyjedzie!

— Abo ja wiem? Bieżaj do niego, to powie. Ze mną on o takich rzeczach gadać nie chce, a ty co inszego. Mądrzejsza od nas i bogaczka!... Cóż ty w jednej sukience lecisz? Deszczu padać poczyną! Chustką się ogarnij! Naścia! Naścia! A nie leć-że w jednej sukni, bo to i nieprzystojnie nawet, w deszcz zwłaszcza! Chustkę narzuć, chustkę! Naścia! Naścia!

Nadaremno wołała i dużą chustką jak chorągwią kościelną powiewała z ganku: Naścia była już za bramą podwórka i we mgle chłodnego deszczu pędziła przez pole, ku temu końcowi okolicy, na którym znajdowało się obszerne, dostatnie i ludne domostwo Nawróciciela. Do dużej, czystej, jasnej świetlicy, w różne sprzęty i obrazki suto przybranej, wpadła bez tchu prawie, zdyszana, w sukni deszczem pokropionej, ze zwilgoconą kosą na plecach.

— List od Józefy przybył? Czy prawda?

Nawróciciel siedział u okna i list ten właśnie po raz wtóry

już głośno odczytywał a żona jego, syn Bolko i dwie dorosłe córki, naokoło niego stojąc, w prawie nabożnych postawach, czytania tego słuchali. Gdy Naścia wbiegła, kiwnął jej na powitanie głową i rzekł:

— Kiedyś ciekawa, to siądaj i słuchaj. Dla ciebie znowuż od początku zacznę.

— Zmokłaś nieco; osusz się wpierw przed kominem! — życliwie rzekła pani Wincetowa.

Na kominie palił się ogień duży, świetlicę przyjemnie oświecając i ogrzewając. Naścia pocałowała gospodarza domu w ramię, gospodynię w rękę i śpiesznie odrzekła:

— Nie trza mi się osuszać. Nie zmokłam. Czytajcie, otcze!... bójcie się Boga, czytajcie prędzej! Aż mi się serce trzęsie, tak żądam co w tym liście!

Nawróciiciel oczy miał dobre i do czytania nieco wprawione, a Józefa pisała wyraźnie, tedy czytanie skończyło się dość rychło, poczem wszyscy naokoło gospodarza przed oknem posiadali, ręce na kolana pospuszczali i zatopili się w zamyśleniu. Było też nad czem zamyślić się, było czem i zasmęcić. Józefa w tym roku, ani za dwa lata jeszcze, do Tuczyniec nie przyjedzie. Kto wie nawet, czy przyjedzie już kiedykolwiek? Ma pielgrzymkę do Ziemi Ś-tej i na kilka dni ledwo przed wyjazdem list ten pisze.

»Jadę, aby drogami, któremi Chrystus Pan chodził, nieco pochodzić i u grobu Zbawiciela o przebaczenie dla ciężkich win swoich poprosić. Nie łatwą drogą mi ta będzie, bo i nie dla rozkoszy lub zażycia zbytków ją przedsięwiorę. Ubogą pątnicą pojadę, a gdzieś niegdzie i pieszo pójdę, nie panią podróżującą przed ludźmi stawiać się, lecz pokutnicą, jako i jestem nią, niedostatki i ciężary cielesne za grzechy swe znosić pragnącą. Tak wielkiem jest we mnie upragnienie pokuty, a przez nią zatarcia plam, na przeszłości mej osiadłych, że pomiędzy wami, poszanowanie, słodycz i wszelkie wygody najdując, upragnienia tego nasycić nie mogłam.

Szczęśliwą owszem bywałam nieraz, i dobrze mi się działo, a gdyście po rękę mię całowali i prawie za świętą mieli, w sumieniu swem zapytywałam: zaco? — i wielkie czułam ugryzienie. Niechże więc w podróży tej oddalonej i trudnej, w ubóstwie i niewygodach, nacierpię się nieco, a u grobu Pana Jezusa za duszę ojca swego biednego pomodłę się i za szczęśliwość tego wszystkiego, czemu krzywdę zadałam i postępkami swymi zbluźniłam. Tego pragnę i pragnieniu temu folgę czynię, nie będąc przecie pewną, czy znowu, tak jak dawniej, miłość dla samej

siebie mię unosi; was bowiem opuszczam, którym, jaki mi to nieraz jawnem było, pożytki różne przynosić mogłam. Ach, ciemne i zawikłane są te drogi, które przed ludźmi po tej ziemi się ścielą, i nieraz trudno, abo i niepodobna, jasno rozpoznać, która do doskonalszego dobra prowadzi! Ale i tak znowu sobie myślę, że powrócę przecież, a powróciwszy tę robotę, którą pełniłam, pełnić będę. Ale teraz, to już muszę koniecznie jechać i iść, jechać i iść, ciałem cierpieć, a duszą z samym tylko Bogiem przedstawiać. Do Boga koniecznie chcę... bez wygód i pieśszot, bez ludzkiej miłości i czci, w umęczeniu i tęsknocie po swoich — do Boga».

Tu następowały pozdrowienia, ukłony, rady, które Józefa rozmaitym osobom w Tuczyńcach mieszkającym przesyłała, a potem całe pół stronicy poświęcone było dla Anastazji:

»Niech Naścia pamięta, że Bóg ją większem niż innych bogactwem obdarzył nie poto, aby dla siebie rozkosze i zyski z nich ciągnęła, ale poto, aby miała narzędzie do czynienia duszy swej lepszą, a bytu inszych ludzi bezpieczniejszym i szczęśliwszym. Uczniowie Chrystusowi całe majątki składali u stóp Tego, który mówił: »Co cierpiącym braciom swoim dacie, mnie dacie!« Dużo naokolo Naści jest bied nieprzeplakanych i potrzeb nienasyconych; niechajże Naścia dobrze otwiera oczy, aby widzieć, a ręce, aby czynić, tem więcej, że, jakem się o tem z listu Bolka Tuczyzny, do mnie pisanego, dowiedziała, znaczne bogactwo po śmierci dziadka na nią spadło. Niechajże Naścia strzeże się, aby jej to wzbicie się w dostatek duszy nie popsulo».

Milczenie i zamyślenie, które po przeczytaniu listu tego w świetlicy nastąpiło, przerywał tylko przez czas dość długi trzask drzewa, palącego się na kominie, aż łączyć się z nim poczęły wetschnienia najpierw, a potem i uwagi nieśmiele i zcicha wypowiedane; czy też Józefa dobrze, abo nie dobrze czyni, w długą i nieprzespieczną pielgrzymkę tę się puszczając, z której całe nie powrócić może, bo małoż to trudności i przygód śmiertelnych może drogę jej zastąpić na kolejach żelaznych, na morzu, w miastach różnemi ludnościami napelnionych, a nigdy prawie od zabójstw i łotrostw i zaraz morowych nie wolnych? gdyby zaś nie powróciła, to czy zasługa, po którą przez tę pielgrzymkę sięga, zdoła wynagrodzić przed Bogiem to, że biedni ludzie przestaną być pocieszani przez nią, poprawiani, oświeceni?

Mówiła o tem zwykłym sobie sposobem, pomału i z namysłem, pani Wincentowa; trzepała prędko i z oczyma od żywości charakteru zapalonemi starsza córka Nawróciciela; przemówił

i Bolko, który z małych lat pamiętał wszystkie pożytki i uciechy od Józefy, otrzymane, a podczas nawet listy do niej z prośbami o radę lub pocieszenie pisywał. Tylko Naścia i Nawróciciel nie odzywali się ani jednym słowem, aż nakoniec mądry człowiek przemówił:

— Czy Józefa dobrze, czy nie dobrze czyni, w tę pielgrzymkę się puszczając, nie my sędzie i nie nam o tem dekretować. Pan Bóg rozmaicie dusze ludzkie stwarza; ta widać jest taka, że jej za grzech popełniony nigdy pokuty zadość być nie może. A no, słusnie powiada, że pomiędzy nami nijaka udręka jej nie napotykała; umyśliła też ścigać ją tak, jak insi ścigają szczęśliwość. Dziw nad tem każdego zdjąć może, ale że od złego sądu język w tym wypadku strzymać się powinien. Bo słusnie też i to powiada Józefa, »że ciemne i zawikłane drogi Pan Bóg na tej ziemi przed człowiekiem rozłożył«. Tedy, którą obrała ona sobie, to obrała, a za to, co już dla nas ludzi biednych uczyniła i jeszcze może uczynić, niech błogosławieństwo Boskie zawždy nad głową jej będzie!

Ledwo Nawróciciel mówić przestał, Naścia wstała i, w ramię go całując, poprosiła, aby jej listu Józefy na dni parę pożyczyl, gdyż chce go w cichości nie jeden raz przeczytać i rozważyć. Zgodził się na to z ochotą i list jej oddał, poczem ona ze wszystkimi żegnać się poczęła, i choć pani Wincentowa grzecznie prosiła, aby z nimi posiedziała nieco i powieczerała, przystojnie podziękowawszy, odeszła.

Zmrok, razem z drobnym deszczykiem, sypał się na ziemię i szare zasłony siał po całym powietrzu, ale Naścia, bynajmniej na tę posępność pogody i na chłód, który się od deszczyku rozchodził, nie uważając, na kamieniu przydrożnym, w gołym polu leżącym, z godzinę może przesiedziała. W jednej sukience będąc, chłodu przecie nie czuła, ani tej mokrości, która od grubej a zmoczonej kosi szła jej przez plecy. W bliskości kamienia, na którym siedziała, kilka starych wierzb rośło, a w dziuplach ich puhacze hukać, lelaki zaś skomleć poczęły. Ona i tego nie słyszała, ani też może wiatru, który, polem lecąc, wzdychał, szumiał, a pod niebem gnał stada obłoków ciemnych, jak łąchmany żebracze poszarpanych. Z rękoma na kolanach opuszczonemi, siedziała na kamieniu i siedziała, myślała i myślała, aż jej od tego myślenia dwie faldy przez policzki poszły, i zmarszczka, przerzynająca czoło, uczyniła się głęboką i boleścią serdeczną, a namiętnym bezdennym napelnioną.

Od tego też dnia każdemu widnem było, że opanowało ją

myślenie jakieś niepozbyte i ani na jeden moment od niej nie oddzielone, które wszakoż nie wydawało się frasobliwem ani boleść sprawiającem, ale owszem rozweseliło ją i rozpogodziło. Odeszła od niej ta milczącość posepna, w którą po śmierci dziadka, ostatecznem zelzeniu przez krewnych i zerwaniu z narzeczonym była ją opanowała. Często poczęła do ludzi przemawiać z uśmiechem miłym, a nawet zaśmiała się niekiedy szczerze, po młodemu. Do roboty też, wpierv zaniedbanej, ochotnie się zabrała i, Ewkę całe już do domu swego wzięwszy, razem z nią dni i wieczory, na pracy, albo rozmowie podufalej przepędzała. I to tylko, że czy mówiła lub milczała, czy śmiała się lub pracowała, widać było, że ku jakiejś nad wszystko umiłowanej myśli swojej bezprzestannie powraca i nią sobie razem z sercem czoło i oczy rozjaśnia i rozwesela. Tydzień taki ledwo upłynął, a rozpoczęły się pomiędzy nią a Nawrócicielem tajemne jakieś spiski i konszachty. To on do niej, to ona do niego przychodziła, a zawsze szli na rozmowę do izby ustronnej, którą i na zasuwkę jeszcze zamykali. Ewka nawet, choć stałą towarzyszką Naścina była, nadarmo zapytywała, o czemby z Nawrócicielem tyle gadali pod sekretem, bo żartobliwie tylko i nic nie znaczące odpowiedzi dawała jej Naścia, a o tem, aby od Nawróciciela ktokolwiek mógł się o tem dowiedzieć, i pomyślenia być nie mogło. Dwa razy też oboje spółnie do miasta jeździli, bawiąc tam za każdym razem po całym tygodniu, ale czego by jeździli? za jakim interesem? — nikt nie wiedział, i różne tylko po okolicy szły o tem pogłosy.

Jedni domyślali się, że Naścia za Bolka wyjść namyśliła się; insi, że ktoś zdaleka, może nawet i nieduży obywatel jaki, przez list czy przez pośrednika jakiego o rękę się jej zgłosił, tedy Nawróciciela rad wzywa i do miasta po wyprawę jeździ. Ani chybi po wyprawę! bo nawet za drugim pojechaniem, dwie skrzynki spore, czemsis napelnione a dobrze zamknięte, z sobą przywiozła.

— Co to? — zapytała Ewka.

— Kamienie! — śmiejąc się, odrzekła Anastazja.

— Nie żartuj! Ja takie myślenie mam, że to wyprawa twoja?

— Wyprawa — rzekła znowu, ale już inszym zupełnie tonem, takim poważnym, że Ewka pomyślała: »Tak jest; wyprawę sobie w mieście kupiła... U! jakie ciężkie skrzynie! Plót na pewno w nich moc wielka«.

I załamała ręce dziewczyna czarnowłosa nad Naściniemi skrzyniami, a lży ciężkie stoczyły się po licach jej bladawych, bo myślała sobie, że ona sama nigdy wyprawy nijakiej robić

nie będzie, ani do ślubu z Adasiem nie pójdzie, z racji ubóstwa swego a nieubłagalności rodzicieli Adasiowych. Zazdrościła Naści odrobinę i w sercu wywyższała się nad nią nieco: »Ot, jak rychło o panu Apolinarym zapomniała! Jam Adasiowi wierniejsza!«

Razu pewnego, przez drzwi zamknięte, (do których tylko na dwie minutki przyłożyła), Ewka posłyszała, jak Nawróciciel mówił:

— A nie będziesz-że ty nigdy żałowała tego? Pomnij: życie długie!

Naścia zaś poczęła odpowiadać:

— Nie, otcze! boby mnie to bogactwo, a ich przekleństwo do śmierci kamieniem na sercu leżało!

Ewka aż przysiadła do ziemi ze zdziwienia i nic już dosłyszeć nie mogła.

Inszy razem znowu ją coś skusiło posłuchać pode drzwiami, i znowuż Nawróciciel mówił:

— Potrafisz-że ty? Zdołasz-że? nie mała to rzecz jest...

Resztę wyszeptał tak cicho, że już tylko potem Naścine przemówienie piąte przez dziesiąte posłyszeć można było:

— Napatrzyłam się i nasłuchałam... Dziaduńko powiadał... Bóg dopomoże... dobrzy ludzie poradzą...

Ot, tobie masz! Tajemnica taka, że z żadnej strony ani szczyłki zrobić w niej nie można! O weselu nie gadają, nazwiska nijakiego nie wymawiają... Może Naścia i co inszego, niż pójście zamaż, zamierzyła? Ale co? Tego już odgadnąć ani weź, ani rusz!

Wtem raz p. Wincenty Tuczyzna do Mrukowego domostwa wszedł, co osobliwością było, ponieważ stryjów Naścinych za ludzi zacnych nie mając, nigdy ich nie nawiedzał. To też i teraz za interesem tylko przyszedłszy, do Mruka, którego z całą familją w domu znalazł, rzekł:

— Przyszedłem z prośbą, aby pan Walerjan jutro w południe promocję mi uczynił i chatę moją nawiedził. Nie na zabawę zapraszam, ale na ważną rozmowę, którą panna Anastazja Tuczynówna ze stryjami swymi stoczyć żąda. Z przyczyny srogiej nieprzyjaźni, którąście jej nie jeden raz okazali, niepewną jest, jakieby ją w progach waszych przyjęcie spotkało, tedy prosiła, aby u mnie rozmowa ta nastąpić mogła, a ja, i owszem! zapraszam i o przybycie ich nalegam, gdyż rzecz jest ważna i wiele na niej zależy nietylko pannie Anastazji, ale wszystkim.

To rzekłszy, pan Wincenty po wszystkich obecnych wzrokiem powiódł i to jeszcze dodał:

— Całą kompanję zapraszam, lecz osobiwie Adasia, który koniecznie znajdować się tam powinien.

Od Mrukostwa Nawróciciel udał się do Piszczalkostwa i tam to samo zaproszenie co do słowa powtórzył, poczem przez cały następny dzień i wieczór, w obu domostwach, płonął taki ogień ciekawości, że dziw prawdziwy, iż się one nie zapaliły. A że wieść o zaprosinach p. Wincentego i o ich przyczynie rychle się na językach, babskich zwłaszcza, po inszych domostwach rozniosła, tedy i one stanęły całe w ogniu zapaleczywych domysłów, odgadywań i sprzeczek o to: jaką ma być ta rozmowa Naści ze stryjmi? o czym? dla jakiej przyczyny? Co to będzie? Co to będzie? Po największej części przypuszczali ludzie, że Naścia zamąż idzie i żąda przed ślubem ze stryjmi się pogodzić, a że rodziciele nie miała, błogosławieństwo od nich otrzymać.

Oj, pobłogosławiają jej oni, jak djabeł wodę święconą zwykł błogosławić! Niektórzy mówili, że na miejscu Naścinem będąc, stryjom takim w oczyby tylko pluli, i że chęć pogodzenia się z nimi poniżaniem się jest i brakiem ambicji. I za kogoby wychodzić mogła? Chyba za Bolka. A no, za kogo wychodzi, to wychodzi, ale pewnie w pójściu zamąż klucz do zagadki tej utkwiony, bo i o czymże inszem młoda panna myślećby mogła, jeśli nie o pójściu zamąż? Ale stryje poco jej potrzebni, a zwłaszcza Adaś, któremu Nawróciciel koniecznie przybyć rozkazał? Z tego Adasia, to już ciemność i tajemnica nieodgadnięta biła. A no, zobaczmy!

I znalazło się niemało takich, którzy postanowienie uczynili, na własne oczy obaczyć i na własne uszy posłyszeć, a przed tem postanowieniem naubocz zesła nawet przystojność, o której zachowywanie mieszkańcy wszystkich wogóle okolic szlacheckich wielce dbają. Chociaż to i nieprzystojnem jest bez zaproszenia do czyjegoś domu włożyć, do domu Nawróciciela w godzinie oznaczonej naszło sporo ludzi, a niemało ich jeszcze nieśmielszych lub mniej znajomych, w pobliżności krążyło, czatując na języki, które ani chybi z domu tego nowiny ciekawe wynosić będą.

W świetlicy Nawróciciela sporo mężczyzn i kobiet zasiadło na stolkach, na ławkach, na krzesłach z wyplataniem siedzeniami, a wszakoż nie zapanowała tam ciasnota nijaka; było gdzie sieść, a jeszcze poruszać się na przestrzeni luźnej.

Mruk i Piszczalka z całemi familjami swemi pierwsi przyszli, a gospodarz i gospodyni do zaproszonych i niezaproszonych

przemawiali grzecznie, chociaż niejednen z gości postrzegał, że obojgu ciężkość jakaś na sercach leżała.

Dość duży obraz Chrystusa na krzyżu jak raz naprzeciw drzwi od wejścia wisiał na ścianie i bladym kolorem ciała umęczonego, jako też obliczem miłosiernem i bolejącem, nad rozsypanemi po izbie głowami górował. Przez okna zaś, których w dwóch ścianach tej świetlicy znajdowało się aż cztery, nie widać nie było, okrom nieba smętną białością powleczonego i drzew, które, donaga z liści rozebrane, suchemi gałęziami razem z wiejącym wiatrem powiewały.

Wtem wszyscy ku oknom poobracali oczy, bo przed domostwo podjechał wóz jednokonny, a z niego kto wyskoczył? A no, nikt inszy, tylko Anastazja. Jej był konik gniady do woza zaprzężony. Jej parobczak na wozie siedział, i dwie skrzynie dobrze pozamykane i kilimkami okryte. Cóż to ma znaczyć? Dlaczegoż pieszo z takiej bliskości nie przyszła, lecz przyjechała? Nikomu język nie obrócił się w gębie, aby o to zapytać, bo wszystkim ledwo oczy na wierzch nie wylażyły od patrzenia na dziewczynę, która, nie spodziewając się ludzi tyłu tu znaleźć, stanęła na moment w progu zmieszana i co czynić nie wiedząca. Widać było po niej, że widok zgromadzenia tak licznego sprawił jej przykrość niewymowną.

W czerni była cała. Sukienkę i szubkę ciepłą miała na sobie czarną i chustkę takąż na złotych włosach pod brodę związaną, a w rękę trzymała sporej wielkości torebeczkę skórzaną. Strój był schludny i przystojny, ale smętny, a twarz jej, na widok licznego zgromadzenia rumieńcem oblana, wyglądała przy tym stroju, jak róża, rozkwitająca w cieniu głębokim. Niebawem przecie ośmieliła się, uspokoiła i, ukłonem wszystkich naokoło powitawszy, oboje gospodarstwo z uszanowaniem w ręce pocałowała. Potem, stanąwszy przy stole, za którym Mruk i Piszczątka z familjami swemi siedzieli, podniosła na Wincentego oczy błagające.

— Otcze kochany! — rzekła — zlitujcie się, powiedzcie wszystko, bo ja przy takiej dużej kompanji nie zdołam!

Ale Nawróciciel głową tak potrząsł, że aż czupryna, którą miał nadmiar wielką, czoło mu szpakowatemi włosami zasypała.

— Musisz zdołać — odpowiedział — trza koniecznie, abyś postanowienie swoje sama zadeklarowała, aby potem sporów i podejrzeń nijakich ludzie nie potworzyli.

Ona, widocznej trudności doświadczając, głowę spuściła i chwilę stała w postawie wahającej się i zawstydzonej, ale po-

tem oczy, które dnia tego osobiwie jakoś kryształowe i promieniejące były, wzniosła ku obliczu Chrystusa ukrzyżowanego, i znać po niej było, że wewnętrzną modlitwę odmawia. Jakoż zawstydzenie ją opuściło, i uśmiech prawie wesoły osiadł na twarzy, kiedy mowie zaczęła:

— A no, kiedy trza, to trza. Prosto z mostu powiem: Ponieważ Józefa do Ziemi Świętej pojechała i nie prędko wróci, abo i cale może nie powróci, tedy ja umyśliłam zastępczynią jej zostać i to czynić, co ona czyniła.

Znowu na twarz Chrystusa, która z pod belek sufitu górowała tu nad wszystkim, wzrok podniosła i. jakby od jej widoku natchnienie i siłę biorąc, cale już upewnionym głosem mówiła:

— Chcę tak, jak Józefa, sługą Boską i ludzką zostać, kochanej ziemi przeddziadowskiej i zlej doli ludzkiej życie i trudy swoje ofiarować. Pojadę wszędzie, dokąd ona jeździła, i starać się będę, aby ludzie pociechy i pożytki duszne za pośrednictwem rąk moich tak samo, jak od niej, otrzymywali.

— A potrafisz to ty, młodziutka taka, niebożatko? — z pod ściany ozwał się Żelazny.

Obróciła się ku mówiącemu i odpowiedziała:

— Nie we własny rozum ja dufam, ale w pomoc Bożą najpierw, a potem w rady ludzi nade mnie rozumniejszych. Pomnę zresztą dobrze, co i jak czyniła Józefa, a różne nauki przez dziaduńka dawane pokrzywą mi w pamięci nie zarosły. Ile sił starczy, starać się będę Józefę zastąpić, a jeżeli i omyłkę jaką z początku popełnię, Pan Bóg i ludzie mi to wybaczą, a ja na drugi raz mądrzejszą się stanę.

— A paszport i pozwolenie masz? — z pod drugiej ściany krzyknął Człowieczek, jako był zawsze prawności wszelkiej dozorcą.

— Mam jedno i drugie — odpowiedziała — potośmy właśnie, a to po towar też, z panem Wincentym do miasta jeździli.

Chwila milczenia nastąpiła, po której Piszczalka za stołem cienko zaskwierczał:

— Czy to już wszystko? Czy poto tylko, aby androny te posłyszeć, my tu przyszli?

— Androny to cale nie są — ozwał się znów Żelazny — owszem, ludziom biednym i nieuczonym służyć, jako Józefa służyła, rzecz przez Boga błogosławiona. Niech Anastazja próbuje, kiedy jej wola taka, a może z tego dobro jakie i wyniknie. Nie święci garnki lepią. I przez dziecinne usta Bóg podczas wole swoją objawia.

— A niech próbuje! — rzekł Mruk — niech sobie na wszystkie wiatry rusza! Szczęśliwej podróży życzę. Tylko poco my tu wezwani zostali? Czy poto, aby...

Ale nie dokończył, i wargi mu odemknięte pozostały, jak skamieniałe. Insi też powyciągali szyje i wytrzeszczyli oczy.

Cośśiś nadzwyczajnego dzieć się poczynąło. Anastazja torbęczkę swą rozwarła i ze spuszczoną głową, prędkiem poruszeniem rąk, wykladać z niej na stół poczęła pieniądze papierowe, w mniejsze lub większe paczki poukładane. A toż co? Dla jakiej przyczyny ona tak wiele pieniędzy tu z sobą przyniosła i ludziom prezentuje? Ale ciekawość ta wprędce przez samą Anastazję ugaszona być miała. Znowu zawstydzona i wahająca się, na pana Wincentego spojrziała:

— Otcze kochany, nie powiesz?

A on, posępny czegoś, znów głową strząsnął.

— Mów sama — rzekł. — Na wszystkoś się dobrowolnie zaofiarowała. Dotrzymaj.

Tedy chwilę jeszcze z zawstydzeniem powalczywszy i znowu na twarz Chrystusową popatrzywszy, mówić zaczęła:

— Kiedy trza, to trza. Juści, że powiem, bo jakożbym inaczej zamiaru swego dokonała? Tedy, oto są te pieniądze, wszyściu-sienkie, którem po dziaduńku otrzymała. Nie chcę ja ich. Dziaduńkowi do grobu wdzięcznam, że mię umiłował i za dziedziczkę swoją obrał, ale dziedzictwa nie chcę, bo na niem przekleństwo ludzkie ciąży, i czyni mię ono nadmiar już bogatą. Czym to ja nie napatrzyła się, jakie klótnie i grzechy wszelakie od pieniędzy pochodzą? A czym nie widziała też, w jakim uciemieniu żyją ludzie, którzy ich nadmiar znów mało mają? Uczniowie Chrystusowi do Pana swego przychodząc, całe majątki u stóp Jego składali, a ja jeszcze piękny kawał ziemi pòrodzicielskiej dla siebie ostawiam. Niechaj te pieniądze na chwałę Boską i szczęśliwość ludzką idą!...

To rzeklszy, jedną z paczek na stole leżących wzięła i z nią do Piszczalki zgrabnym ruchem podbiegłszy, w ramię go pocałowała, aż obejrzeni się wszyscy po, sobie, tak dziwnem się to zdało, że ona tego, który razem z famiją swoją najsrożej ją zelżył i potwarzami oblepił, w ramię całuje. A ona tymczasem, w długie kościste palce Piszczalki zwitek pieniędzy wtykając, ze słodkim uśmiechem mówiła:

— Weźcie to, stryjk, nowy dom sobie zbudujcie, długi popłaćcie, Stefka ze staraniem leczcie, aby uzdrowionym być mógł,

i co chcecie zresztą, czyńcie, byleście na starość kąt wygodny i spokojność otrzymać mogli...

Piszczałka osłupiał i, w trzęsących się palcach papierki przytrzymując, z oczyma wylupionemi, pary z ust nie wypuszczał, a tylko w gardle cościł mu charkać i lkać poczęło. Naścia zaś z drugą paczką w rękę ku Ewce poskoczyła i, w same usta ją pocałowawszy, rzekła:

— Przyjaciółką mi byłaś, w ciężkich momentach pocieszałaś, to niech ci Bóg nagrodzi wieczną w pożyciu z Adasiem szczęśliwością. Naści posag! większego rodziciele Adasiowi pewno żądać nie będą.

Ewka, we łzach stanąwszy, do nóg jej upaść chciała, ale Anastazja, ręką ją zatrzymując, ku Mrukowi się obróciła.

— Tera — rzekła — kiedy Ewka posag już ma, to już nie sprzeciwiajcie się, stryjkę, aby Adaś za żonę ją pojął. Przez tyle lat wiernymi sobie ostali: widać, że prawdziwie się miłują. Wy i Adaś oddawna już sępem za to na siebie patrzycie. Niechże teraz zamiast smętku weselość, a zamiast rozgniewania zgoda pomiędzy wami zapanuje! Adasia proszę, aby sercem chętnie przyjął od swojej strzeczonej to, co ona jego narzeczzonej, tedy i jemu także ofiarowała.

Z trzecią paczką pieniędzy obracała się do pana Wincentego i coś do niego poczyniała mówić, ale co, tego nikt nie posłyszał, bo przeszkoda zaszła: w świetlicy zapanowało powszechne ucieranie nosów. Ilasło k'temu dał Nawróciciel, który w bliskości okna stał, więc gdy w dobytą z kieszeni wielką chustkę zatrąbił, aż szyby nieduże zadrgały i zabrzęczały. Przy ścianach, mniej lub więcej głośno trąbili w chustki: Żelazny, Kwicoł, Burak, Człowieczek, a niewiasty, jak oto: Wincentowa, córki jej, Ewka i dwie czy trzy sąsiadki, bynajmniej w tem mężczyznom ubiec się nie dając, trąbiły także, cienie nieco, ale zało zapalczywiej i jakby na wyprzódki: która głośniej? A sprawczyni hałasu tego, widząc, że chustki idą od nosów do oczu, z których lzy mniej albo obficie się leją, stała zadziwieniem w słup obrócona.

— A no — pośród hałasu mówiła — co się stało? Przecie tu nic osobliwego się nie dzieje, ani też żalosego! Owszem, sama tylko radość!

Z samą tylko radością na twarzy, gdy w świetlicy uspokoiło się nieco, do Nawróciciela rzekła:

— A tego, coście mi przyrzekli, dokonacie, ja o tem nijakiego wątplenia nie mam. Na przyszłą wiosnę każecie w Tuczyńcach wykopać dwie studnie, na dwóch końcach okolicy, aby cała

ludność tutejsza na wspólność je miała i przestała ciągać wodę wiadrami na wysoką górę, aż z Niemna. Wiele potu ludzkiego i nawet ciężkich kalectw przez to ubędzie. A oto pieniądze macie, tyle, ile ten pan uczony w mieście wyliczył, że na te studnie trza.

Teraz izbę, naodwrot temu, co działo się przed momentem, cichość jakby kościelna zaległa. Wszyscy poczuli w powietrzu jakąś ważność, uroczystość: jeden człowiek coś ważnego i pożądanego dla ludzi wielu uczynił. Milczeli. Mógłby kto myśleć, że to była obojętność, a po prawdzie było to legnięcie na pierśsiach ludzkich jakiejś ważkości i błysnięcie przed oczyma jakiejś światłości. Kwiczół tylko z pod ściany, wśród cichości powszechnej, wykrzyknął:

— Zbawicielko ty nasza!

I umilkł, a gdy milczącość przez moment długi panowała w izbie, Anastazja stała przy stole z głową spuszczoną, a z pod belki sufitu Pan Jezus obliczem miłosiernem na wszystko, co się na dole działo, poglądał. Wtem, na podwórku, w bliskości okien dwa koguty jeden po drugim przeciągle zapiały, a wnet po kogutach i tonem do koguciego piania podobnym odezwał się Pi-szczalka:

— Naściu! Naściu! Serce moje! A cóż ty z dziaduniowym inwentarzem poczniesz? Piękny inwentarz! Czy go na cudzych rękach, aby zmarnował się, pozostawisz? Przecie ja stryj twój... dobra twego lepiejbym, niż cudzy człowiek...

Ale ona, dokończyć mu nie dając, śmiać się poczęła. Śmiech ja czegoś nieprzewyciężony brał, wszakoż razem mówiła:

— Jużem prosiła pana Wincentego, aby dwie krowy dziaduniowe wam oddał, bo jedną tylko, i to chudzinę, macie. A trzecią Ewce do wyprawy darowuję, a czwartą proszę, aby pan Kwiczół wziął dla tej małej Marylki, która urodziła się przed półroczem. Co zaś do pary koników dziaduniowych, to niech ją Adaś będzie łaskaw weźmie sobie i Ewkę nią od ślubu do domu swego zawiezie.

Tu wszakoż ozwały się zewsząd głosy zaprzeczające. Żelazny, jak był wysoki i barczysty, tak z ławy powstał i zawołał:

— A szafarkoż, rozsądku nie mająca. Toż ty całe dobro swoje pomiędzy ludzi rozsrafujesz!

— Nie całe! nie całe! — odpowiedziała — bo rodzicielską fortunę bez naruszenia dla siebie pozostawiam!

Człowieczek, malutki i szczupłutki, z biegającymi oczyma, ku stolowi przyskoczył, mówiąc, że prawo nawet na rozrzutność

taką nie dozwala, a Burak, nad wszelkie buraki w tej chwili czerwieński, do Nawróciciela się obrócił:

— Dziw mi, że opiekę nad sierotą przyjąwszy, na takie rzeczy jej pozwalacie!

— Los sobie tamuje i zamaż tak, jakby mogła, nie pójdzie -- ozwała się któraś ze sąsiadek.

Głosy mnożyły się, mieszały się z sobą, i gdyby to nie działo się w domu Nawróciciela, przysłoby pewnie do kłótni, albo do czegoś jeszcze gorszego, bo i dwaj stryje poczęli ze swej strony porywać się a wykrzykiwać, że: co komu do tego, jak bratanica ich z dobrem swoim poczyną? że niech każdy ptak swojego dzioba pilnuje! że to do nich przytyki są, a oni sobie w misy płuć nie pozwolą! i t. d., i t. d. Wszakóż, że działo się to w domu Nawróciciela, tedy on sam, wyprostowawszy się, po wszystkich ognistemi oczyma swemi powiódł, czoło nad czupryną strzępiastą zmarszczył i jak krzyknął: — Cichocie! Stulcie gęby! — tak i pomilkli wszyscy, w niego tylko jednego oczy wlepiając.

Okrutną siłę człowiek ten miał w sobie i to wszędzie: w oczach, w czuprynie, w karku, w głosie. Ile razy zaś widział, że perswazją i rozumem ludzkiej głupoty lub wrzawliwości pokonać nie zdoła, siłę tę, jako obuch, w garść brał i nią walił. Było w tem podobieństwo niejake do byka, który stada przewodniczy. Tylko, że skoro zapędliwość ludzką już uśmierzył, a po dobroci i wedle rozumu przemawiać począł, to trudno było uwierzyć, aby w jednym człowieku mieścić się mogła zdatność do takiego walenia po łbach siłą głosu, wejżenia i postawy, a razem z nią takie rozważne i miódopłynne mówienie. Tedy w sposób miódopłynny i rozważny powiedział, że on sam z początku zamiarowi Anastazji był przeciwny, ale potem rozmyślił się, że ani prawa do stawiania wpoprzek na drodze jej nie ma, ani godzi się mu to uczynić.

Prawa nie ma, bo Anastazja pełnoletności swej doszła, przeszłej wiosny rok 21 życia swego ukończywszy, a nie godzi mu się, gdyż każdy człowiek ma swoją osobną duszę, nad którą inszy człowiek władzy cesarskiej rozpościerać nie powinien. Nie poto on w opiekę swoją brał sierotę, aby ją w niewolniki swoje zapisywać, ale poto, aby dopomagać jej w różnych trudnościach i przeciwnościach tego życia. I tej tedy jej chęci, czem mógł, dopomógł, a przytem ziemię jej porodzielską w dzierżawę wziął, aby ją, w czasie wędrówek właścicielki, jak oka w głowie strzec, aby na tym pozostałym jej majątku nijaka szczerba nie powstała. Ile razy z wędrówki swej powróci, albo w słabość, czy umęcze-

nie, broń Boże, zapadnie, zawždy znajdzie tu własny dach nad głową i kawałek chleba nie bylejaki. A na wędrówkę tę, skoro Bóg do duszy jej tak przemówił, niechaj, Józefę naśladowując i zastępując, jedzie! Niech służy Bogu, ludziom i tej ziemi przedziadowskiej, słowa święte i mądre pośród ludzi ubogich i nieuczonych siejąc, jako mannę i jako rosę, i jako te promienie, które na niektórych medalikach padają z rączek Matki Boskiej.

— Czy zaś dobrze albo niedobrze uczyniła, ręce tak szeroko otwierając, że z nich dużo jej dobra rozsypało się na ludzi, niech Bóg sądzi! Powiadają tu niektórzy, że to niemądry jest postępek, ale ja gdzieśś, nie pomnę gdzie, wyczytałem, że dwie mądrości na tej ziemi są: jedna ziemską, a druga niebieską; która zaś mądrość ziemską jest, a która niebieską? — to i uczonym ludziom podczas rozpoznać nie łatwo, a cóż dopiero nieuczonym? Nikt z Bogiem narad nie czynił i sądów nie sprawował! Kto w górze bywał?

Umilkł po długiem mówieniu Nawróciiciel, a Naścia teraz, oczy lez pełne mając, ze wszystkimi żegnać się poczęła. Ale nie tak to łatwo było uczynić, jak zamierzyć. Otoczyli ją tera wszyscy kołem ciasnem, różne dobre życzenia i rady jej dając. Nawet Mrukowa i Piszczalkowa ramionami ją obejmowały, a dwaj stryjce, ręce nad nią podnosząc, błogosławili, chocia Piszczalka markotny był nieco w duszy, że z czterech krów dziaduniowych dwie mu tylko darowała. Ewka zato, na ziemi siedząc, obejmowała jej kolana i, jak chmura deszczowa, jak bóbr nad rzeką, tak płakała. Kiedy nakoniec Naścia, zdoławszy uwolnić się z tego ścisku, próg świetlicy przestąpiła, w ciemnawej sionce ktośś ją za rękaw od szubki pociągnął. Spojrzała: a to Bolko stał przed nią, jak ogień na całej twarzy czerwony, a tylko z czołem białem i błękitnymi oczami, które w niej, jak dwa groty gorejące, tkwiły.

— Powrócisz, Naściu? — zapytał, że to od dzieciństwa po imieniu sobie mówili.

— Jeżeli Bóg przy życiu mię utrzyma, to na lato powrócę! — odpowiedziała.

— Powróć; bo dziś, to jużem ja cię nad wszystko w świecie umiłował i, jeżeli każesz, dziesięć czy dwadzieścia lat będę na ciebie czekał, a nikogo inszego ani umiłuję, ani za żonę pojnę...

Ona cofnęła się od niego przestraszona.

— Nie czyn ty tego, Bolku, zmiłuj się, rodzicielom zgryzoty nie sprawiaj...

Ale tu roztrącili ich ludzie, że świetlicy do sionki wcho-

dzący, i niebawem Naścia, z lekką teraz torbeczką swą w ręce, na wózek swój wsiadała. Duża kupa ludzi w różnych ubiorach, ale najwięcej w ciemnych lub siwych, stała przed wrotami domostwa, którego jasne okna patrzyły na niebo, smętną białością powleczone, i na drzewa, które, donaga z liści rozebrane, suchymi gałęzmi razem z wiejącym wiatrem powiewały. Od tych drzew powiewających, na te wiatry wiejące, pod tę smętną białawość niebieską, potoczył się wózek z Naścią i polem pustem, głuchem, drobną mgiełką osnutem, poszeptami wiatru wzdychającym, toczył się wpierw wyraźny i jej postać wyraźnie malujący, a potem coraz dalszy, mniejszy, niewyraźniejszy, aż pod nachyleniem nieba dalekiem, pochmurnem, omglonem — zniknął.

KONIEC.

BENE NATI

Powieść wiejska

I.

Pomimo mrozu, Florjan Kulesza, dzierżawca Laskowa, stał na ganku długiego, niskiego domu i bardzo życzliwym wzrokiem ścigał przebywającego dziedziniec młodzieńca w obcisłym ubraniu, w zgrabnej czapeczce i z fuzją na plecach. Ścigał go wzrokiem jeszcze i wtedy, gdy za bramą, wśród pól śniegiem zasłanych, szedł on drogą wysadzoną wierzbami ku lasowi, który zbliiska otaczał dwór ogromnym, ciemnym wieńcem. Co mu tam mróz mógł szkodzić, temu krępemu, silnemu człowiekowi, z dobrze wypasioną, ogorzałą twarzą, wśród której, jak dwa bławatki w piwonję wetknięte, jaśniały śliczne, szafirowe oczy! Były to dobre, szczere, błyszczące oczy prostaka, zdrowego na duszy i ciele, z losu swego zadowolonego, a życzliwego ludziom, niebu i ziemi. Czy skwar letni palił, czy wichry szłały, czy mróz piekł, albo siekły szrony i ulewy, zgoda jego z niebem i ziemią nigdy mąconą nie bywała. One robiły swoje, on swoje: żyli się i godzili z sobą jak najlepiej. Jeżeli jakikolwiek kaprys nieba i ziemi sprawił nieurodzaj, Kulesza bywał zmartwionym, nie do tego jednak stopnia, aby chorować i rozpaczać. Zaradzał złemu jak mógł, orał, siał, młócił, rachował, oszczędzał, byleby właścicielowi gleby tenutę uiścić i jako tako z rodziną przeżyć. Przeżył też do lat pięćdziesięciu, co potwierdzało kilka zmarszczek na niskim czole i trochę siwizny w gęstej czuprynie, ale czemu zaprzeczał blask szafirowych oczu i śnieżna białość zębów, ukazujących się w uśmiechu. Dla tych oczu i dla tego uśmiechu, można było przebaczyć tej twarzy grubość skóry i rysów, niskie czoło a przede wszystkim pulchność warg i podbródka, na których jasno wypisany był jeden z grzechów śmiertelnych, a mianowicie: łakomstwo. Pracować, śmiać się i jeść musiał dużo, zdawało się to niezawodnem; również niezawodnie lubił, serdecznie lubił wychodzącego z bramy młodzieńca. Z lubieniem tem przecież

łączyła się widocznie troska, bo uśmiech wkrótce z ust mu zniknął i, siedzącej na ławce kobiecie ruchem głowy odchodzącego ukazując, z żalem w głosie, rzekł:

— Szkoda!

Ona, starą chustką tak od mrozu otulona, że z całej twarzy widać było tylko małe czarne oczki, mały zadarty nosek i małe przywiedle usta, zatrzęsła głową i smutnie odrzekła:

— O, szkoda!

Pierwszy to raz wspominali o przedmiocie, który na sercu im leżał, ale zrozumieli się odrazu. Nie darmo dwadzieścia kilka lat z sobą przeżyli. Po minucie milczenia, kobieta, patrząc na męża, zcichła rzekła:

— Awrelka zmizerniała!

On ramionami ruszył.

— Ot, zaraz już i zmizerniała! Babski zwyczaj z muchy wolu robić! Od czego tam mizernieć? Nie będzie ten, będzie drugi. Po targach obwozić jej nie będę, bo i z domu wezmą. Suchot u nas w familji nie było, dzięki Bogu, ani też umierania z miłości. Babskie bzdurstwa!

Kobieta pod chustką, rozkładając ręce, z żalonym wyrazem czarnych oczu rzekła:

— Cóż, kiedy zaręczony!

— Nowinę Teofila powiedziała! Już to jak Teofila co powie, to jest czego słuchać. Zdaje się, że zaraz po przyjechaniu powiedział, że zaręczony, i Awrelka jest głupia, kiedy, pomimo tej wiadomości, głowę sobie nim nabijała.

— Awrelka jest młoda — z nagłą żywością odrzuciła kobieta — a Florjan stary, więc powinien był mieć rozum i nie zapraszać go na stołowanie się u nas...

— Ot, i znów powiedziała! Czy to ja zwierz, abym takiemu porządnemu człowiekowi pozwalał marnować się na lichy wie jakim jedzeniu! I przewidzieć nie mogłem, że dziewczęta muszą kochać się w każdym, kto tylko stołuje się w domu. Może to taki u dziewcząt zwyczaj? Czy ja wiem? Teofila jest baba, więc zna babskie zwyczaje i powinna była ostrzec, że jak tylko dziewczyna zobaczy mężczyznę, jedzenie do gęby niosącego, zaraz i zakocha się! Jeżeli tak, to we mnie, jak Boga kocham, wszystkie dziewczęta, jakie tylko są na świecie, kochać się powinny, bo co, jak co, ale jeść, to już nikt lepiej ode mnie nie zdoła!

Z początku niby rozgniewał się na żonę za wyrzut, który mu czyniła, ale przy końcu mówienia śmiał się już i ją tym śmie-

chem zaraził. Z politowaniem głową w chustce wstrząsając, ze śmiechem jednak mówiła:

— Oj, Florjan, Florjan! Florjana zawsze trzymają się facecje! Florjan i na moim pogrzebie jeszczeby różne głupstwa wymyślał.

Pomimo tak bolesnego podejrzenia, znać było, że facecje męża sprawiały jej zadowolenie; on także, z ręką na kłębie, żartobliwie na nią patrzył.

— A cóż? Teofila lubi jęczeć: niechże ja sobie pośmieję się czasem. Dość jednego jęczenia w domu... Dzieci po mnie poszły: nie jęczą, ale śmiać się lubią... a jej!

— Awrelka teraz już nie tak... — z obudzonem na nowo zmartwieniem zaczęła kobieta, ale dokończyć jej nie dał hałas głosów i tętent stóp, które nagle, w sieni domu słyszeć się dały. Nagle też z sieni na ganek wypadł niezmiernie wesoły korowód, na którego czele pędziła dwudziestoletnia dziewczyna bosa, w różowym kaftanie i krótkiej spódnicy, z grubą złotą kosą na plecach, z wiadrem w ręku. Za nią, usiłując ją prześcignąć, biegła druga, nieco młodsza, ale bardzo do tamtej podobna, którą za błękitny kaftan przytrzymywał trzynastoletni podłotek w liljowym kaftanie. Zbliża za podłotkiem dreptał z wyciągniętymi rękoma dziewięcioletni chłopczyk, którego za zieloną bluzkę chwycić usiłowało dwóch rówieśników w białych koszulach, przepasanych paskami domowego tkania. Wszystko to z wielkim śmiechem i niezrozumiałymi krzykami przez ganek przebiegło i leciało dziedzińcem po iskrzącym się od słońca śniegu, w kierunku studni z wielkim kołem, znajdującej się wpobliżu stajen i obór, które w półkole dziedziniec otaczały, gdy od nich do domu, drugim półkołem, stały wysokie, pełne śniegu i szronu topole włoskie. W bladym świetle zimowego słońca, po usianym iskrami śniegu, w półkole pod topolami, leciał sznur różowy, błękitny, liljowy i czerwony, biały, złotymi kosami dziewcząt jak snopami promieni połyskując i chóralnym śmiechem dzwoniąc. Śmiechem tym wywabione z kuchni u końca długiego domu i z izb czeladnych w starej oficynie, wybiegły kobiety i dziewczęta z garnkami, nożami, mokremi szmatami w rękach, wyszło paru parobków z piłkami i siekierami, wypadło kilkoro dzieci różnego wieku, w koszulach, bosych i z jednostajnie lnianymi czuprynami. Starsi postawali u drzwi, głośno gwarząc, jedna z bab nożem do obierania kartofli wywijiała i aż pokładała się od śmiechu, dzieci puściły się po śniegu, zakreślając pod oborami i stajniami półkole w tym samym kierunku, w którym biegli tamci pod topolami.

Wmieszały się jeszcze do tego wszystkiego dwa kudlate kundle, w białe i żółte plamy, środkiem dziedzińca ku studni z przerażliwym poszczekiwaniami i rozmachanemi kitami sadząc, wmieszała się też i Teofila Kuleszyna, która, na brzeg ganku wyskoczywszy, z całej siły i przeraźliwie piskliwym głosem krzyczała:

— Awrelka! Awrelka! Awrelka!

A Florjan Kulesza, do scen takich znać przyzwyczajony, nie nie mówił, tylko nogi szeroko rozstawił, obie ręce na kłębach oparł i znowu w uśmiechu białe zęby pokazywał. Gdy jednak Kuleszyna nie przestawała wniebogłosy krzyczeć: — Awrelka! Awrelka! Zośka! Karolka! Antek! — i sama już, podnosząc z obu stron spódnicę, do biegu puścić się zamierzała, za chustkę ją przytrzymał i rzekł:

— Czego Teofila wrzeszczy? Czego Teofila leci? Czego Teofila dziwaczy się?

— Bose, w letnich kaftanach, po śniegu, w taki mróz... Jezus Marja! — załamując ręce, jęczała.

— No, to i co? — flegmatycznie zapytał Kulesza.

— Przeziębiam się! Zachoruję! Jezus Marja! jak te parobkowskie dzieci! jak te żebraki pod kościołem! jak te sieroty, odzieży nie mające!

Śmiejąc się tak, że aż łzy stanęły mu w oczach, Kulesza żonę reflektował:

— Niech Teofila na to plunie! Teofili każda przyczyna dobra, byle jęczeć! Czy one księżniczki, albo co, aby im bose nogi i letnia odzież zaszkodzić mogły? Może Teofila projektowała księżniczki na świat wydać, czy ja wiem? Ale projekt nie udał się, bo one szlachciankami zagrodowemi są, choć ojciec i po dzierżawach chodzi; po ojcu poszły, po babkach i prababkach też, które zawsze boso po śniegu latały. Ot, niech Teofila przestanie jęczeć, a idzie jeść mi dać, bo głodny jestem od tych kundłów gorzej...

— Florjana zawsze facecje trzymają się, a dzieci pochorują się, zwłaszcza Awrelka...

— Czemuż to zwłaszcza Awrelka? Delikatna taka, czy faworytka mamina? a? — przekomarzał się z żoną Kulesza, i oboje do domu weszli. W tej chwili, pośród różowych, błękitnych, liljowych kaftanów dziewcząt i białych koszul podskakujących dzieci, wielkie koło studni obracać się zaczęło szybko, coraz szybciej, a do taktu z jego obrotami rozbrzmiał na cały dziedziniec donośny śpiew dziewczyny w różowym kaftanie, na zrębie studni, ponad całą gromadką siedzącej:

Żeby was tu było, jak na drzewie liści,
Nie było, nie będzie, jak mój Jaś najmilszy.
Żeby was tu było, jak na morzu piany,
Nie było, nie będzie, jak mój Jaś kochany!

— Kiedyż nie Jaś, ale Juraś... i to zaręczony — mruknął pod wąsem Kulesza, zasiadając przy stole, nad salaterką bigosu z wędliną; Kuleszyna zaś, krajając chleb z wielkiego bochna, zaszeptała:

— Et! Zaręczyny — pajęczyny! Może Pan Bóg da, że i z tych jeszcze nic nie będzie!

— Teofila taka nabożna, że co piątek każe mnie głodem mrzeć, a obok tego bliźniemu źle życzy — zaczął Kulesza, ale dłużej już mówić nie mógł, bo dzień nie był piątkowy, a wobec takiego bigosu, przynajmniej na czas trwania jego w salaterce, żarty zarówno jak i strapienia znikać musiały.

Kuleszyna zato, która mniej często, niż mąż jej, jeść potrzełowała, na stolku u stołu przysiadłszy, mówiła dalej:

— Bo, słyszę, jej familja bardzo sobie tego małżeństwa nie życzy...

— Czemuż to? — pełnemi jedzenia usty wybelkotał Kulesza.

— Temu, że on chłop...

Kulesza nagle żuć przestał i, wytrzeszczonemi oczyma na żonę patrząc, prawie ze złością sarknął:

— Teofila głupstwa gada...

Składając na stole małe, ciemne ręce, kobieta monotonnym, trochę jęśliwym głosikiem prawiała dalej:

— Florjan mówi, że ja głupstwa gadam, a sam nie bardzo mądry, bo przecież powinien wiedzieć, że co szlachcianka, to szlachcianka, a co chłop, to chłop...

Zawzięcie teraz jedząc, mruknął tylko:

— Babskie bzdurstwa!

— Bynajmniej nie babskie — odrzuciła kobieta — bo to właśnie mężczyzna, brat jej, osobliwie temu małżeństwu na przeszkodzie staje! Bardzo, słyszę, ambitny i nie chce, żeby jego siostra pomiędzy chłopami poniewierała się. I szwagrów ona ma i innych tam krewnych, którzy także nie chcą...

— Osły, bałwany, barany! — z ust pełnych jedzenia i aż przewracając oczyma z gniewu, wyrzucił Kulesza.

— Florjan mówi: osły, bałwany, barany, a ja mówię, iż tak już widać Pan Bóg ustanowił, że co szlachcianka, to szlachcianka, a co chłop, to chłop...

Kulesza łyżkę na talerzu położył, dłonie na kolanach wsparł, a z twarzy mu widać było, że złość się w nim zagotowała.

— Teofila jest głę... — zaczął, lecz nagle ochłonął z gniewu i z wpół pogardliwą, a wpół wesołą filuternością na nią patrzył. Nachylił się potem i prawie do samego jej ucha szepnął:

— A jakżeby to było z Awrelką? a? Czemuż to Teofila tylko co mówiła: szkoda! a? Czemuż to życzyła, aby te zaręczyny były pajęczyny? a?

Zmieszała się ogromnie; malemi oczkami zamigotała, małym, zadartym noskiem czmychnęła; nie wiedziała, jakim sposobem sprzeczną swoich społecznych wyobrażeń ze swojami uczuciami pogodzić. Po chwilowem jednak milczeniu i myśleniu ręką machnęła i cicho odrzekła:

— Ot, Florjan nie wiedzieć co wygaduje! Awrelka jest mojem dzieckiem, i ja o szczęście jej dbam więcej, niż o wszystko, co może być na świecie. Niechby sobie był pan, czy cygan, czy chłop, czy szlachcic, byle jej dobrze z nim było...

Kulesza aż zaniósł się od śmiechu, a potem głową trząść zaczął.

— Wie Teofila co? — mówił — Teofila jest dobra kobieta, ale kobieta, a u baby rozum, to jak dwa psy ze związanemi ogonami... jeden w jedną stronę rwie się, drugi w drugą, i obydwaj na miejscu stoją.

Ale ona już go nie słuchała. Drobnym, zwinnym kroczkiem biegła do kuchni, z której na dom cały rozlegały się krzyki i śmiechy wracającej od studni gromady.

Tymczasem ten, którym Kuleszowie tak żywo się zajmowali, wąską i krętą drogą coraz głębiej w las się zapuszczał. Nazwisko jego zdradzało chłopskie pochodzenie, ale nie rysy i ruchy, które posiadały niezwykłą zgrabność i wytworność. W tej chwili Jerzego Chutkę można było wziąć za prawe dziecko cywilizacji, dla rozrywki odbywające po lesie myśliwską przechadzkę. W grubym, obcisłym surducie, ze strzelbą na plecach, wysmukły i prosty, szedł krokiem, w którym siła i lekkość tworzyły harmonję pełną naturalnego wdzięku; z twarzy zaś jego, delikatnie i z doskonałą prawidłowością zarysowanej, biła młodzińcza świeżość i radość. Szare, podłużne oczy z pod daszku małej czapki, a wąskie ponsowe usta z pod złotego wąsika wesoło, ufnie, trochę nawet zarozumiale śmiały się do świata. Świat był widać dla niego ponętym i łaskawym, a on uznawał się tych ponęt i łask zupełnie godnym. Kiedy z podniesioną nieco twarzą zagwizdał na wesołą nutę, czuć było, że pierwszy krok

życia powiódł mu się doskonale; kiedy rozglądał się dokoła, najpewniej myśleć musiał, że na to powodzenie zasługuje i wypuścić go z rąk ani myśli. Rok temu obowiązkową służbę w wojsku skończył, a od paru miesięcy półtora tysiąca morgów książęcego lasu do pilnowania mu dano; kilku leśników ma pod sobą i tytuł nadleśnego. Wprawdzie zawdzięcza to przeważnie długoletnim i wiernym służbom na książęcych leśnictwach dziada, ojca i stryja, ale też po części — wie o tem dobrze — roztropności i śmiałości własnej. Bo przecież, przed księcia samego zawezwany, nie stracił głowy i znalazł się tak, jak należało. Gdy szedł tam, gdzie go lokaj w liberji prowadził, czuł zalęknienie i zawstydenie pewne, lecz zupełnie uspokoił je myślą: — Ani jemu, ani nikomu nic złego nie zrobiłem, żadnego gałganstwa na mnie niema, czegoż tedy mam lękać się, albo wstydzić?

Bez trwogi też i bez zmieszania do wspaniałego pokoju wszedł i, niedaleko progu stanawszy, uklonił się z uszanowaniem. ale nie bardzo nisko, wcale nawet nie nisko, bo sam nie wiedział, jakie uczucie przytrzymało mu głowę, aby nie chyliła się zbyt, i zaraz potem wyprostowało go do postawy skromnej, lecz nie pokornej. Książę, siedzący na fotelu przy okrągłym stole, od stóp do głowy wzrokiem go obrzucił i zapytał:

— Czy jesteś synem Mikołaja Chutki?

A usłyszawszy twierdzącą odpowiedź, mruknął: — Hm, hm! — i wydawał się trochę zdziwionym. Jerzy nie wiedział napewno, ale domyślał się, iż książę dlatego przypatruje mu się tak długo i ze zdziwieniem, że znajduje go do ojca i stryja jego wcale niepodobnym. Tamci byli grubi, na twarzach ciemni i mieli zwyczaj chylić się przed panem do samej ziemi. On nawet oczu nie spuścił. Nie miał czego lękać się, ani wstydzić, i książę mógł długo patrzeć w bystre i śmiałe oczy młodzieńca, niedaleko od progu, z uszanowaniem. ale w wyprostowanej postawie stojącego. Widać podobały mu się i oczy i postawa, bo bardzo łaskawie przywołał go bliżej ku stolowi i wypytywać zaczął, czy i o ile zna się na gospodarstwie leśnem. Tu już Jerzy pewną stopą stanął na gruncie znanym i miłym. W lesie urodził się i wzrósł, leśnym robotom przypatrywał się, odkąd żył; nie na świecie milszem mu być nie mogło nad las. To też na zadane sobie pytania odpowiadał zrazu tylko z łatwością, ale potem i z zapalem. Że zaś głos jego, tak jak cała powierzchowność, nie miał w sobie nic szorstkiego i grubego, lecz owszem, metalicznym dźwiękiem przyjemnie w ucho wpadał, więc książę znowu przez chwilę na niego popatrzał, mruknął: — Hm! hm! — i zapytał

jeszcze, czy potrafi zarządowi dóbr składać miesięczne raporty? Na to mógł znowu śmiało odpowiedzieć, że potrafi. W pisaniu i rachunkach biegłym był, a zawdzięczał to naprzód guwernerowi, którego ojciec, na spółkę z kilku innymi leśnikami, przez trzy lata dla niego trzymał, a potem własnej pilności w douczaniu się i wprawianiu. Zapytał go jeszcze książę: czy jest żonaty? na co on odpowiedział, że dotąd tylko jest zaręczonym, ale że, skoro miejsce otrzyma, ożeni się natychmiast.

— Ładną musisz mieć narzeczoną! — bardzo łaskawie żartował książę, a on domyślił się znowu, że żart pochodził z myśli, iż tylko ładna narzeczona do pary mu być mogła. Skłonił się znowu nie tak, jak słudzy kłaniają się przed panami, ale jak to przyzwoici młodzieńcy czynią przed szanownymi i o wiele starszymi od siebie ludźmi. Przytem, z nagłym rumieńcem i blyskiem oczu, odpowiedział:

— Nie wiem, Jaśnie Oświecony Książę, czy jest ładną, ale dla mnie jest ona nad wszystko w świecie droższą.

Książę uśmiechał się ciągle, a po chwili dał mu znak do odejścia, lecz gdy był już we drzwiach, zapytał jeszcze:

— A z kim się żenisz?

— Z Osipowiczówną z Tolłoczek, Jaśnie Oświecony Książę.

— Ze szlachcianką tedy?

Coś, jakby filuterny uśmiech, przebiegło po twarzy Jerzego.

— Legitymowaną — odrzekł.

W kilka godzin po tej rozmowie do chaty Mikołaja Chutki przyszło z zarządu dóbr książęcych rozporządzenie, aby syn jego Jerzy jechał natychmiast do Laskowa, dla objęcia posady nadleśnego, wakującej po ostatecznie zestarzałym i na łaskawym chlebie pozostawionym poprzedniku. Nazajutrz, gdy żegnał się z rodzicami, ojciec nad pochyloną jego głową tyle drobnych krzyżyków w powietrzu kreślił, że chyba z tysiąc ich tam było. Matka i mała siostra w głośny płacz uderzyły, bracia stali przy drzwiach chaty z pozwieszanemi rękoma i głowami. On ojca w rękę ucałował, matkę pochwycił w ramiona, siostrę w obu rękach, jak piórko, pod sufit podniósł, braci prosił, aby go w Laskowie przy każdej sposobności odwiedzali. Lecz wszystkie rozczulenia, pożegnaniu towarzyszące, nie zdołały zgasić wesołości, od której ciągle rumieniały mu się policzki, błyszczały oczy, śmiały się usta. Ode drzwi coś go znowu ku ojcu rzuciło. Uczuł dla niego rzewną wdzięczność za to, że go nigdy nie bił i na żaden inny sposób w dzieciństwie nie krzywdził, że dla niego trzymał.

dużą część chleba od ust sobie odbierając, guwenera, że dla zdobycia mu posady w dobrach książęcych długie godziny, dni nawet, cierpliwie i pokornie wyczekiwał u wrót dziedziców, u progów kuchen, u stopni ganków, aż nareszcie, przed oblicze pana dopuszczony, czołem o ziemię uderzył i na rzecz syna o dawnych usługach i zasługach swojego rodu przypomniał. Pomyślał o tem Jerzy, od samego już progu wrócił i, z wilgocią w oczach, na jedno kolano przyklęknawszy, długim pocałunkiem przylgnął do bosej stopy ojca. Wtedy usta starego chłopca trząść się i powieki dziwnie latać zaczęły, matka i siostra wprost już ryknęły płaczem, i Jerzy, ramionami kolana ojcowskie oplatając, zapłakał także. Ale ta chwila rozczulenia prędko minęła; teraz w każdej kropli krwi i w każdym muskule czuł on młodość, zdrowie, ochotę i siłę do życia. Szumiały mu nawet w mózgu jakieś pojętne, choć nieokreślone, nadzieje i ambicje, majaczyły w myśli wysokie w dobrach książęcych posady, własny folwark, znaczenie pośród ludzi, ładne domy, śliczne konie, drogie strzelby. Nad żadnym jednak z tych szczegółów nie zatrzymywał długo myśli, dwóch rzeczy tymczasem będąc zupełnie pewnym: że musi zejść daleko, i że za kilka tygodni Salusia będzie już jego żoną. Strach, jak on mocno przywiązał się do tej dziewczyny! Od tej zaraz chwili, kiedy to, dopomagając w gaszeniu pożaru, ze skrzynką biednych ludzi, wyrwaną z płomieni, zstępował z wysokiej drabiny i zobaczył ją w dole stojącą z tak dziwnie błyszczącymi oczyma i w górę, jemu jakby na ratunek, wyciągniętymi ramionami, od tej chwili, kiedy jeszcze nie wiedział, ani kto ona jest, ani jak się nazywa, już uczuł, że ona dla niego nie taka, jak wszystkie, i on dla niej inny, niż wszyscy na świecie ludzie. Co tu mówić? Widział, że dziewczyna zakochała się w nim odrazu; to go naprzód zajęło i ujęło. Potem, podobało mu się w niej wszystko. Śliczna była, serdeczna, wesoła, śmiała, on zaś bardzo lubił w kobietach śmiałość. Kiedy u jej siostry, Anulki Końcowej, dzieci chorowały, sama wśród nocy do apteki i po doktora latała, o żadnym strachu ani myśląc. A jak pielęgnowała ten drobiazg, ile nocy nad nim nie spała! Prawda, że najczęściej chorą tę dziewczynę doglądali razem i wtedy to pokochali się najwięcej. Zresztą, jak żyje, nie widział, aby czyje oczy były takie, jak u niej, głębokie i gorejące; zdaje się, jeziora, w których utopić się można i na dnie wpaść w płomienie! Figurę ma piękną i twarz do róży podobną, ale te oczy jej najosobliwsze ze wszystkiego. Czasem, zdaje się, że napisane w nich stoi: twoją będę, albo umrę. Z za

lubienia wygląda z nich śmierć. Ona go na śmierć lubi — to rzecz pewna!

Tu Jerzy Chutko zarumienił się aż po brzegi płowych włosów i dlonią powiódł po czole i oczach. Bujna, zdrowa młodość wartkim prądem przepłynęła mu w żyłach, płomieniem stanęła w żenicach. Hej, kiedy ją jak swoją tu przywiezie, chyba na śmierć zacałuje jej oczy i usta, chyba duszę przed nią w gadaniu wyleje, tak mu już tęskno do jej ust i oczu, tak wiele ma jej do powiedzenia! Jak dobrze, jak dobrze im będzie żyć we dwoje, w tych dwóch sporych, widnych pokoikach z czystociuchną kuchenką, które im na mieszkanie w oficynie dworskiej wyznaczono! Inni tam po ślubie przywożą żony do chat, w których są świekry, siostry, bratowe, babskie kłótnie i zawiści, gospodarskie kłopoty, zgryzoty i brudy. Oni będą tylko we dwoje; nikt jej nie dokuczy, ani jemu nie przeszkodzi każdą minutkę wolną z nią przepędzać, wszystko, co tylko do głowy przyjdzie, przed nią wypowiadać, wszystko, co tylko zarobi, zdobędzie, jej jednej oddawać! Hej, raj, nie życie! niebo, nie świat!

Czapkę na bok przesunął i z podniesioną głową, rozbłysłym wzrokiem dokoła się rozejrzał. Nieruchomy, wysokopienny las stał w mroźnym, przeczystym powietrzu, z falisto wzdymającymi się puchami śniegu na dnie, z bladobłękitną kopułą nieba u góry. Z pod twardych i pogarbionych płacht śniegowych wydobywały się i zwieszały ku dołowi, ciężkie kiście zielonych sosnowych igieł; a drobne szrony, niestrudzenie i nieskończenie, od stóp do wierzchołków, przezroczyście rzeźby wily po brunatnych pniach drzew, czerwonych ich korach i oliwkowych mchach, posztywnie wyprężonych i pomiędzy pniami w napowietrzne koronki splatających się gałęziach i prętach olszy, brzozy i leśszczyzny. Ponieważ blaski słońca, ku zachodowi spływającego, mało w te zagęszczone miejsca dochodziły, połysków, blasków, nie było tu żadnych, lecz wszystko miało przeczystą nieskazitelną, twardą i zarazem łagodną białość. Tylko ze sfalowanego podścieliska wydobywały się gdzieś niegdzie rdzawe krzaki jałowcu i żółte pęki uwiedłych paproci, na pnie bladą czerwienią wybijały z pod szronów chorujące kory — daleko, tam gdzie rzedniały sosny i rozdzierały się koronki olchowych i brzozowych prętów, jedno cienkie wysokie drzewo srebrnym słupem płońło w ukośnym promieniu słonecznym, i mała przestrzeń białego podścieliska żarzyła się i migotała nakszałt ogniska brylantów i złotych iskier.

Jerzy, nie ścieżką już, lecz wprost przez leśną gęstwinę

szedł w kierunku posrebrzonego przez słońce drzewa. Co chwilę ze stron obu i przed nim wznosiły się, wichrami nawiane, wysokie wydmy śniegowe. Omijał je i tak lekko, jakby po gładkiej stapał posadzce, szedł po głębokiem, nierównem, śnieżnem posłaniu, gdzie niegdzie dobywające się zeń krzaki jałowców i pęki paproci przeskakując, lub wzniesionemi ramionami rozchylając gałęzie, które osypywały mu głowę krótką, twardą ulewą drobnych szronów. Dążył właśnie ku miejscu, w którem las rzedniał pod świeżo rozpoczętą trzebieżą, od którego też dochodziły tu bardzo jeszcze oddalone, głuche i krótkie stuki toporów.

Nagle stanął i z radością w oczach dokoła spoglądał. Stał na brzegu niedużej halizny, na której zrzadka rosły jałowce, a nad którą, krawędzią wsparta na ubielonych koronach drzew, wznosiła się blade błękitna kopuła, z podartą smugą różanego obloku pośrodku. Widniej tu było, niż wśród gęstwiny leśnej, ale niezbyt jasno. Tylko gdzie niegdzie, pod ciemnemi jałowcami błyskały srebrne iskry, albo wśród drzew, jak żółte świeczki, płonęły końce cienkich gałązek; odbłaski różanego obloku, błędząc tu i owdzie, zabarwiała zygzakowate ślady drobnych zwierzęcych stópek, które, we wszystkich kierunkach przebiegając haliznę, wyglądały teraz jak splecione sznurki paciorek.

Przez głowę przemknęła mu myśl:

— Trzeba podać do zarządu raport o tej haliźnie i zażądać rozporządzenia zasiania jej na wiosnę!

Przemknęła tylko i uciekła, przepędzona szmerami, niekiedy wzdymającemi się w hałas, które napelniały otaczające gęstwiny. W głębokich śniegach stojąc, mroźnem i cichem powietrzem nalany, szronem osypany, las żył. W jego chłodnem, cienistem łonie, pod pozorną skorupą śmierci, ukrywało się i trwało niezliczne mnóstwo istnień. W podziemnych korytarzach, tak długich i krętych, aby zmylały oko najbiegłego myśliwca, naksztalt chyżych płomyków przemykały rude lisy; w śniegach, pod kępami mchów siwych i wysterczającemi nad nie kamieniami w głębi rozłożystych krzaków, z wiecznie otwartemi oczami, drzemały szare zające, zrywając się do biegu przy szeleście sprawionym choćby przez marną mysz leśną, z nory po żer wybiegła, lub parę łasiczek niziuchnych, a długich, lekliwie śmigających po uschłych wiklinach, pod spletanemi zaroślami. Nikt zaś, ani zgadnąć, ani wyliczyć nie może, ile drobnych oczu otwierało się na olśniewającą białość śniegu i zamykało się do snu wczesnego, na korach drzew i we wszystkich najmniejszych ich wydrążeniach, ile śpiesznych, zygzakowatych chodów

przemykało w szczelinach pni, w osypanych śniegiem u ich stóp mrowiskach, we wzniesionych przez wiatry pagórkach gnijących liści, rozłupanych szyszek, zeschłych igieł, stwardniałych w mrozie jagód jałowcu, żurawiny, bruszniczy, kostnicy. Wszystko to było słabem, sennem, trwożnem, jednak w ogromnej swej zbiorowości wytwarzało nieokreślone szmery, które wydawały się to krótkimi i urywanymi, to przewlekłymi i głębokimi westchnieniami lasu. Trzebaby posiadać dla ucha narzędzie takie, jakim dla oka jest mikroskop, aby z tych szmerów wydobyć pojedyncze dźwięki; było to jakieś morze nieskończonej małości, które jednak oznajmiało, że pomimo pozorów śmierci — las żył.

Ale żył on nie tylko temi pokornymi, przełkniętymi, niezuchnymi istnieniami; było w nim także życie lotne, śmiałe, nawet świetne, albo psotne.

Na otwartym rozlogu halizny, spłaszczone szelestem kroków ludzkich, stado jemioluszek zerwało się z jałowców i, polyskując złotem nakrapianemi piórkami, uleciało w sosnowe gąszcze, gdzie długo jeszcze słyhać było przełknięty trzepot ich skrzydeł, nie wiedzących, czy mają osiąść w pobliżu, lub oddalić się śpiesznie od miejsca obfitego żeru. Daleko śmielsze sroki, ani zważając na obecność człowieka, to z kolei, to wszystkie razem, gadały i gadały na pobliskiem drzewie, ale zawzięty ich skrzekot nie zagłuszał bynajmniej dziarskiego śpiewu giłów, których czerwone lebki jaskrawo migotały pośród śniegowych marmurów i ciemnej zieleni sosnowej. Wierzchołkami drzew przelatywały z szumem błękitne skrzydła sojek, niżej żółwy i dziecióły dzióbami bily w drzewa, aż kora pękała, i otwierały się ze stukiem ziarn pełne szyszki. Do szyszek też, które, jak brunatne świece, lśniąc u gałęzi sterczały, biegły wiewiórki, rudemi kitami strąsając tumany białych pyłów. Jedna z nich wprost naprzeciw Jerzego usiadła na sztywnej i oszronionej gałęzi, w przednich łapkach szyszkę trzymając, a ostreimi ząbkami ziarnka jej tak chciwie i zawzięcie gryząc, że aż odgłos chrupania rozchodził się po haliźnie. Musiała być bardzo głodną i śmiałą, bo, chrupiąc, czarnych oczek ze stojącego naprzeciw człowieka nie spuszczała, owszem, filuternie zuchwałym ich wyrazem zdawała się mówić do niego: »możesz sobie stać tu i patrzeć choćby do końca świata, a ja będę sobie jadła, będę sobie jadła, bo to moja szyszka, moja gałąź, mój las!« Jerzy, patrząc na nią, zaśmiał się głośno, bo istotnie w żarłoczności i zuchwalstwie swoim, na tylnych łapkach z nisko zwieszoną kitą, siedząca, była bardzo

ucieszną i wdzięczną, lecz w tejże chwili pochylił się naprzód i takie uczynił poruszenie, jakby strzelbę z pleców zerwać miał. Niedaleko, pomiędzy pniami drzew, gorącym płomykiem przemknął lis i za łańcuchem wydmi śniegowych przepadł. Innym razem Jerzy strzeliłby pewnie, lecz teraz strzelba na plecach mu pozostała, a wzrok wznosił się coraz wyżej ku koronom drzew, ku wspartej na niej kopule błękitnej, ku spływającej z niej smudze różanej, aż zaszedł mgłą uroczystego, z dna duszy dobywającego się wzruszenia.

Przez lat kilka nie widywał wsi ani lasu; teraz doświadczał takiego uczucia, jakby te lata były snem albo wędrówką w nieznane kraje, i jakby dziś dopiero obudził się, albo do domu powrócił. Wszystko tu było dla niego bardzo znanem, swoim, kochanem, i w tej chwili wydało mu się tak wspaniałem, że aż podziw budziło, lub tak miłem i ślicznem, że radby to i owo ręką ująć i pogłaskać.

Z dna duszy jego, skorupę powszednich myśli, zabiegów, drobnostek przebijając, podniosło się pierwotne i nienazwane, lecz, jak każdy dar natury, niepozbyte przywiązanie do ziemi, nieba, powietrza, z których powstały i ciało jego i dusza. Wcale o tem nie myśląc, był w samej rzeczy jako dziecko, zawieszające się u łona matki i z rozkoszą ssące jego słodkie mleko. Wielka słodycz płynęła dlań z widoku zjawisk nieba i ziemi, do których przywykł był, odkąd żył, a których nie widywał długo; płynęła i ze wspomnień, które bezładną gromadą cisnęły się mu do pamięci. Było ich wiele, przelatywały szybko, a on, stosownie do ich natury, uśmiechał się, brwi ściągał, albo podnosił, wzruszał ramionami, trząsł głową.

Jedno z nich przecież, nie wiedzieć czem wywołane, błyskawicą w nim powstało i przed oczyma zawisło trwałym, niezmiennie jasnym obrazem. Może głęboka cisza halizny, tajemniczymi szmery napelniona, może białe tumanki śniegowego pyłu, tu i owdzie z drzew ulatujące, a do kościelnych dymów podobne, może żółte świeczki w gęstwinach, przed ołtarzami z marmuru pozapalane, przed oczyma jego postawiły obraz bardzo prosty, lecz dla niego pamiętny i ponętny. Był to drewniany kościółek, pośród rynku małego miasteczka, stojący w ogrodzeniu pełnem lip, klonów, malinowej, głogowej, berberysowej zarośli. Kiedy w zimową niedzielę niepodkutemi saniami pod ogrodzenie podjeżdżał, ojciec pierwszy z sań zsiadał i, jego z nich zdjąwszy, w głębokim śniegu stawiał. Matka już sama, z siana, z płacht, z pod kilimka wydobywała się jak mogła. Cmentarzyk sfalowa-

nym śniegiem zasłany, na lipach i klonach leży śnieg w twarde kamienie zbity, cienkie pręty krzaków, szronami oplecione, wklkają się i błyszczą jak sznury szlanych paciorek. Kościółek, prawie czarny, pośrodku stoi, a tu przy nim wysoka i cienka dzwonnica u samego wierzchu dzwoni i dzwoni tak dla jego dziecięcych uszu przesłicznie, że staje on na wydeptanej wśród śniegu ścieżce, głowę wysoko podnosi, palec w usta wkłada i słucha. Słuchając, w wierzch dzwonnicy zapatrzony, pomimo palca w ustach uśmiecha się szeroko do napowietrznej muzyki dzwonu, która podoba mu się bardzo, aż silnego szturchańca w bok i plecy dostawszy, zlatuje ze ścieżki i, padając, twarzą i kolanami zanurza się w mialkim śniegu. To jakiś przechodzeń popchnął stojącego mu na drodze małego gapia. Nic to, wygrzebuje się on z pod śniegu, twarz rękawem siermiężki ociera i z całej siły nóg, obutych w ciężkie, stukające buty, pędzi za znikającymi we wnętrzu kościółka rodzicami. Wnętrze to wydawało mu się podówczas ogromnem i wspaniałem. Teraz, gdy kilka naprawdę wspaniałych świątyń w paru miastach widział, śmieje się z dziecinnego tego złudzenia; niemniej uśmiecha się też do ścian wysokich, zgruba pobielanych, nad którymi zao krągła się małe sklepienie dla dziecinnych jego oczu dziwnie tajemnicze. Co chwilę, za ojcem klęcząc, wznosi oczy ku temu sklepieniu i zaraz je spuszcza, trwogą zdjęty. Wyobraża sobie, że tam właśnie, najwyżej, w ciemnawej głębi, z różgą na niegrzeczne dzieci w rękę, siedzi Pan Bóg. Nie powinienby przecież tak myśleć, bo oddawna już mu powiedziano, że Pan Bóg jest w ołtarzu, który w głębi, dla niego bardzo dalekiej, jaśnieje śnieżną białością płócien i gromadą palących się świec, a przed którym teraz stoi ksiądz w błyszczącym ubraniu i śpiewa. Zresztą, zajmują go nadzwyczajnie organy, wysoko nad kościelnymi drzwiami grające, huczące, czasem poskrzypujące tak przeraźliwie, że przypominają mu nienasmarowane koła u wozów; zajmuje go jeszcze i to, aby go nie uduszono, taki ścisk w kościółku panuje, tak jedno na drugie pchają się męskie i babskie kożuchy i siermięgi. Za ojcem klęcząc, i o ile tylko można, kurcząc się, patrzy na żółty kożuch okrywający ojcowskie plecy, na ciemną, żyłastą szyję, dobywającą się z kosmatego kołnierza, na głowę ze świecącymi od słoniny włosami, trzęsącą się w żarliwej modlitwie. Ojciec modli się z książki; na jej starej, czarnej okładce jest wyślacany krzyż, któremu przyglądanie się w chacie, ilekroć starsi na nie pozwolą, sprawia mu wielką rozkosz. Teraz jednak, z pomieszaniem uczuciami ciekawości i pociągu

spogląda na coś innego. Pomiędzy prezbiterjum a kościołem znajduje się, od ściany do ściany przeciągnięta, gruba belka, a na niej wysoki aż do sufitu krzyż, z rozpiętą na nim wielką, jak największy człowiek, figurą. I krzyż i figura z drzewa zrobione, grube, ogromne; na ciemnych włosach Chrystusa wianek z cierni, a z pod niego czerwone krople cieką na żółte czoło i policzki. Zdaje się, że ta zakrwawiona i nad wszystkim górująca postać powinna by w nim strach budzić. Przeciwnie jednak, zaciekawia go tylko zrazu, a potem, im dłużej na nią patrzy, coraz większy pociąg ku niej uczuwa. Jakkolwiek jest drewniana, żółta, na pierwsze spojrzenie brzydką, wyraźnie wyryto na niej, że Pana Jezusa bardzo rany bolały... On to widzi i robi się mu żal Pana Jezusa, jakaś mętna, lecz smutna litość go zdejmuje, ale wkrótce, pomimo rozczulenia, na skrwawioną, cierpiącą figurę i na wszystko patrzeć przestaje. Nudzi się, poziewa, rozmarza go chłód kościelny z zapachem kozuchów i upałem oddechów połączony, pochyła się i sam nie wie kiedy z czołem o podeszwę ojcowskiego buta opartem, usypia. Nagle budzi go wielki śpiew, tak wielki, że, zdaje się, pękną od niego pobielone ściany kościółka, a gruba belka, na której stoi krzyż z Chrystusem, drży. Ksiądz u stopni ołtarza klęczy, organy z całej siły grają, a ciżba ludzka, cała na klęczkach, z szeroko rozwartymi ustami, ze wszystkiej mocy śpiewa: »Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny!« Czy to dlatego, że wszyscy przyklękli, czy dla innej przyczyny, tak go teraz ludzie pomiędzy swemi bokami i łokciami ścisnęli, że prawie oddychać nie może. Bola go też od tego ścisnu plecy i ramiona. Zbiera tedy wszystkie siły i całą swą zręczność, chyłkiem wyslizguje się z pomiędzy ludzi i, u samego boku ojca uklękawszy, przytula się do niego, jak tylko może najsilniej i najszczelniej. Ojciec uczuwa to i, twarzą od ołtarza nie odwracając, obejmuje go tak, że tylko głowa jego, z jasnymi jak len włosami, u ojcowskiego pasa, wychyla się z pod ramienia w żółtym kozuchu. Teraz, bezpieczny, znowu słucha i patrzy. Śpiew rozlega się coraz pełniejszy, ogromniejszy, silniej blagający i jakby nieukojonny; ojca twarz, ku wielkiemu Chrystusowi na belce stojącemu podniesiona, a wyglądające mu z pod ramienia pyzate chłopię, to w nią, to w Chrystusa patrzy. Dziwi się ono, bo pomiędzy twarzą ojca i Chrystusa spostrzega niejaki podobieństwo. Wprawdzie na pierwszej czerwonych kropli niema, są zato stojące w oczach wielkie, szklane łzy, policzki jej także wydłużone i ciemne, tak jak u tamtej, i tak samo na niej, jak na tamtej, wyryte stoi, że ojca jakieś rany bardzo,

bardzo bolą. Sam nie wie dlaczego, ale zdejmuje go ochota do śpiewania tego samego, co ojciec śpiewa, więc z szyją nieco ramieniem w kożuchu przyciśniętą, z pucolowatym policzkiem, do ojcowskiego pasa przytulonym, niezmiernie ciekim i fałszywym głosem zawodzić poczyną: »Święty Boże, święty Mocny, święty Nieśmiertelny!«

Tu Jerzy obudził się jakby ze snu, sen jakby z głowy strząsnął, dłonią po czole i oczach przeciągnął. Obraz wspomnienia nawiany zniknął. Rozejrzał się po haliźnie, która pociemniała nieco, bo rozpromieniająca ją przedtem różana smuga niebieska zsunęła się nisko za drzewa i naksztalt dalekiej zasłony iskrzyła się przez gęstwiny. Jerzy błyszczącymi oczyma i z półuśmiechem na ustach chwilę jeszcze patrzył dokoła. »Święty Boże, święty Mocny« — jakże on mocno i z całego serca kochał w tej chwili ziemię, niebo, śnieg, drzewa, mroźne powietrze, muzykę dzwonu u wierzchu starej dzwonnicy, ogromną figurę Chrystusa na grubej belce i to ramię ojcowskie w baranich rękawie, które osłaniało go przed ludzką ciżbą, gdy we wzniesionych oczach stały wielkie szklane lzy...

Z mniejszego, niż przedtem, oddalenia, dały się słyszeć po niejakej przerwie stuki toporów. Pojedyncze, to po kilka razem, to jak wystrzały kilku oręży jedno po drugim szybko i miarowo uderzały kędyś, w nieprzejrzanym głębiu lasu, kędy uszione echa budziły się, porywały je i powtarzały, to tu, to tam, to silnie i krótko, to przewlekłe i słabo, coraz słabiej. Czasem słyhać też było głuche trzaski padających pni i suche trzeszczenie łamiących się gałęzi. Odgłosami temi zadziwione, czy przełknięte ptactwo przycichło, drzewa z rozpostartymi ramionami zdawały się ich słuchać, a nawet, górnym jakimś powiewem poruszone, wierzchołki dwu wysokopiennych sosen przechyliły się ku sobie i zaszeptaly smutnym, przyciszonym szmerem...

Jerzy przyspieszonym krokiem poszedł w stronę dokonywającej się trzebieży, kędy, za śnieżnymi rzeźbami i koronkami lasu, palił się na skłonie nieba coraz silniej czerwieniejący, coraz ognistszy obłok.

W parę godzin potem ten sam obłok jaskrawy i ogniem nalany stał pod seledynowym krańcem nieba i, bladą czerwienią zabarwiając szczyty topoli, krwiste smugi kładł na połyskującą tuż za nimi szybę zamarznętego stawu. Mróz stężał, w powietrzu ciszej jeszcze zrobiło się, niż było przedtem, nad dużym dziedzińcem zaświeciło kilka drobnych gwiazd. Na ganku długiego, niskiego domu stała dziewczyna w różowym kaftanie i widocz-

nie niespokojna, niecierpliwa, spoglądała, to na gwiazdy, to na zarumienione wierzchołki topoli, to na staw polyskliwy, tu i owdzie żarzący się czerwienią, to na bramę dziedzińca, lub na trzymany w ręku list w grubej kopercie. Szybkie poruszenia głowy, które czyniła, to w dół, to w górę, to w prawo, to w lewo spoglądając, czyniły ją podobną do ptaka, który czegoś lęka się i wygląda. Ubrana była tak samo, jak w południe, gdy z wiadrem w ręku po wodę do studni biegła; tylko na nogi, z pod krótkiej spódnicy widzialne, włożyła skórzane trzewiki, różowy kaftan przepasała czerwonym paskiem chłopskim i grubą kosę zwinęła u wierzchu głowy w koronę, z pod której na kark i czoło sywały się deszcze krótkich, blado złotych włosów. Kibić miała trochę przysadziłą i twarz zbyt szeroką, nosek za gruby, lecz z warg wypukłych i kształtnych krew zdawała się tryskać, a z pod niskiego, białego czoła i osypujących je drobnych promieni patrzyły zupełnie takie, jak u Kuleszy, duże, wesole, szczere, szafirowe oczy. Na tę twarz, niezbyt ładną, lecz świeżą i dobrą, wybuchnął rumieniec. Zeskoczyła z ganku i zrazu prędko, potem coraz wolniej iść zaczęła ku wchodzącemu na dziedziniec Jerzemu Chutce. W silnie zaróżowionych od mrozu rękach obracała, trochę nawet mięła, list w grubej kopercie. Jerzy z uśmiechem czapki uchylił, a gdy znaleźli się już blisko siebie, przyjacielskim ruchem rękę jej podał.

— Panna Awrelja po takim mrozie chodzi...

— O, mróz, bynajmniej... ja do tego przywykłam, ale posłaniec z miasteczka wrócił i list do pana Jerzego przywiózł...

Oczy zamigotały mu radością, rękę prędko po list wyciągnął, ale ona z filuterynym uśmiechem cofnęła swoją.

— Chciałam go sama panu oddać, bo pewnie bardzo miły, ale zaraz nie oddam! Niech pan Jerzy poczeka trochę... na miłe rzeczy i czekać dobrze...

On, ani gniewał się, ani niecierpliwił, lubił znać tę świeżą, wesolą dziewczynę, która teraz, z głośnym śmieszkiem, rękę z listem za plecy schowała.

— Jak panią bardzo pięknie poproszę, to pani odda...

— To niech pan prosi...

Z przechyloną nieco głową oczy ku niemu wznosiła, lecz on, listem cały zajęty, piękności tych oczu nie widział, tylko drugą, wolną jej rękę w obie swoje schwycił, pocałował ją, mocno uściśnął i, z pomimowolną zalotnością ładnego chłopca, w samą twarz jej patrząc, mówił:

— Proszę, proszę, moja miła, moja śliczna panno Awreljo, bardzo proszę!

Pięknie prosił, zbyt pięknie nawet, bo za plecami dziewczyny list na śnieg upadł, a ona sama, jak jaskrawy obłok zarumieniona, zwróciła się ku domowi i biec zaczęła. Na ganku zatrzymała się zdyszana i cała w ogniu; stała chwilę, na drzwi domu szklanemi oczyma patrzyła, aż przemocą wyrwała się z zamyślenia i do sieni wbiegła, wołając:

— Karolka, do wieczerzy nakrywaj, a ja do kuchni lecę. Tatko z obory idzie, i pan Jerzy już z lasu powrócił!

Jerzy zaś, w schludnym pokoju ze świeżo pobielonemi ścianami, białą, sosnową podłogą, i trochę nowych drewnianych sprzętów, u okna stanął i grubą kopertę rozdarł. Białe światło śniegu, z lekko różaną barwą zmieszane, padło na grube, niekształtne, niewprawną ręką kreślone pismo.

»Ach, najdroższy Jerzy! Zmartwiona jestem bardzo i smucę się okropnie, bo Konstanty, słyszę, coraz gorzej na ciebie wygaduje i odgraża się, że ani grosza posagu nie da. Ja nie wiem, jak ja wyjdę zamaż bez posagu i bez wyprawy. Wielki to będzie wstyd dla mnie, i ty swojej ziemi nie masz, a jak, broń Boże, miejsce stracisz, to co my wtedy zrobim? Ja zdrowa jestem, tylko bardzo zmartwiona, i bardzo mnie za tobą tęskno, bo ja bez ciebie to jużbym żyć nie mogła. Tak pobuntował siostry i szwagrow, że odgrażają się wielką nieprzyjemność twoim rodzicom zrobić, jeżeli ty mnie nie wyrzeczysz się...«

Tu Jerzy wyprostował się, brwi zmarszczył i, list mnąc w pięści, prawie krzyknął:— Moim rodzicom! a niedoczekanie ich! Wprzód ja im łby potrzaskam!

Ochłonął jednak wkrótce i dalej czytał:

»Anulka mnie namawia, żebym sama do nich pojechała i powiedziała im, że mam takie postanowienie, i że mnie nikt od ciebie nie odwróci. Ona tobie bardzo sprzyja i ze mną pojedzie. Już dziś biegalam do miasta fernalkę najmować, ale nie znalazłam takiego, coby niedrogo nas zawiózł. Może za kilka dni pojedziemy, i będę widzieć się z Konstantym i z siostrami, i niech tam sobie choćby mnie przeklną i wyrzekną się: ja dla ciebie zawsze zostanę jednostajną. Nigdy, nigdy ja ciebie nie opuszczę i o tobie nie zapomnę, ty mnie milszy nad wszystko w świecie. Oni ciągle krzyczą, że ty chamskiego urodzenia i ziemi swojej nie masz, i że mnie z tobą nędza czeka, bo ty ziemi nie masz. Może to i prawda, ale ja wolę z tobą nędzę, jak z drugim bo-

gactwo. Już żegnam ciebie, mój najdroższy Jerzy, i twego listu czekam.

Żeby on choć dwie krówki na pierwsze gospodarstwo nam dał, a tak, choć tam podobno i pięć można trzymać, to za cóż my kupim? W dzień to ciągle o tobie myślę, a jak noc przyjdzie, to tyle tylko co oczy zamknę, zaraz ty mnie śniesz się. Ach, kiedy my już będzie ciągle razem! Ten Kostanty jest złośnik i ambitny, gotów jeszcze doprawdy tobie, albo twoim rodzicom jaką nieprzyjemność zrobić. Jak tylko będę mogła, zaraz tobie doniosę, jaka to u nas będzie rozmowa, i jak ja od nich wyjadę, bo jeżeli on do końca nie upamięta się, tak postanowiłam, że do Anulki powrócę i od niej za ciebie wyjdę. Ona na to zgadza się, bo bardzo tobie sprzyja, ale ona jedna z całej familji, której daj Boże takiej nie mieć. Jak mnie w głowie kręci się od tego wszystkiego! Bądź zdrow, mój najdroższy Jerzy, i nie zapominaj o mnie, tak jak ja o tobie nie zapomnę, żeby tam nie wiem co. Twoja do grobu. *Salusia*».

U samego brzegu arkusika, ozdobionego czerwoną i pozłacaną różą, było jeszcze bardzo krzywo napisano:

»Podobno pan posesor w Laskowie ma ładne córeczki. Jeden człowiek stamtąd mnie to powiedział. Pewno tam u was wesoło czas przechodzi, a mnie bardzo smutno«.

Jerzy list na stół rzucił i prędko pokój przebiegl. Zgryziony był i rozniewany. Że *Salusia* brzydko, nieortograficznie pisała, o tem wiedział i o to nie dbał. Nauczy ją pisać lepiej, a jeżeli i nie nauczy, nie będzie przez to, ani brzydszą, ani gorszą, ani mniej jemu miłą. Ale poco powtórzyła w liście to, co ten dureń brat jej, i cała familja o nim i jego rodzicach wygaduje? Poco wymawia mu sama, że on swojej ziemi nie ma, i przypuszcza, że może ją z nim spotkać nędza? Nigdy przedtem o niczem podobnem nie mówiła i nie myślała. Mniejsza jednak z tem: nastraszona jest i od niego oddaloną, więc różne myśli do głowy przychodzić jej muszą. Ale od rodziców jego i wymawiania mu chamskiego pochodzenia, familji jej — wara!

Stał znowu przed stołem tak wzburzony, że aż z zaczerwienionem czołem i rozrzuconemi włosami gibkiem ramieniem rozpaczliwy gest uczynił i zawołał:

— Łby potrzebam! jak Boga kocham, pojedę i łby potrzebaskam!

Wkrótce jednak ochłonął, ręką machnął, a nawet zaśmiał się.

— Ot, mam też czego martwić się i irytować! Gdy wezmę

dziewczyne, skończy się wszystko, i kpów tych znać nawet nie chcę. Dla niej warto i coś przecierpieć, a im, no! pokażę kiedyś, com za jeden! Jeszcze oni kiedyś nisko pokłonią się przede mną!

II.

Białemi obłokami pokryte, szarzyzną omglone, niebo niskie i zadymione sklepienie wznosiło nad rozłogiem gładkim, monotonnym, powleczoneym nieskazitelną białością. Był to rozłóg pól urodzajnych, pszennych i łąk w innej porze wzrastających kwiecisto i bujnie; teraz przecież te, kiedy indziej złote, zielone, różnobarwne pola i łąki nawet uschłemi badyłami nie przebijały grubej warstwy śniegu. Panowała nad niemi cisza, niekiedy tylko chrapowatemi głosami wron przerywana, i monotonia, w którą zrzadka rozsypane wierzby i grusze wlewały tu i owdzie samotne i smutne nuty.

Nawet rozrzucone po wielkiej równinie wioski, z dachami i drzewami pokrytymi śniegiem, zlewały się w jedno z otaczającym je gładkim bezmiarem białości; nawet drogi, tu i owdzie rzędami drzew odznaczone, najczęściej puste, kiedy niekiedy tylko migotały ciemnym zoddali, szybko pomykającym punktem chłopskich sanek, lub rozbrzmiewały przewlekłemi nawoływaniami ludzi, zwolna kroczących przy szeregu sań, które ciężko i ze skrzypieniem płóz po śniegu wlekły się, spiętrzone drzewem z dalekich lasów, lub sianem z odległych siennic i stogów wierzionem. Strony te były pszenne, łączne, lecz bezleśne; zamieszkiwała je ludność, która po pracowitem lecie wraz z naturą usypiała na zimę, niby na długą, krótkimi godzinami dnia i roboty przerywaną, noc wczasu i ciszy. Powiększało to milczenie, pustkę, melancholję, które przewlekały się po niebie i ziemi, wisiały w chłodnem i zwilgoconem nieco powietrzu, a szумы nadlatujących i w różne strony pomykających wiatrów wydawały się przyciszonymi rozmowami i gwarnemi kłótniami duchów nieznanych, po zmartwiałem przestworzu w pokutnej i tęsknej gonitwie błędzących.

Tolloczki, stara siedziba rodzin Osipowiczów, Łozowickich, Brzozowskich, Strupińskich, pośród białego rozłogu stały długim szlakiem drzew obnażonych i pod odymione niebo wzbijały z kominów kręte szlaki dymów. Do połowy prawie zatopione w śniegu płotki drewniane i kamienne, nieprzejrzaną płataniną wiły się

dokoła czterdziestu przeszło zagród mniejszych i większych z większemi i mniejszemi domami w głębi podwórek i ogrodów. Strzechy domów całkowicie znikwały pod grubem okryciem śniegu, od którego kominy odbijały jak szarawe plamy, a pobielone ramy drzwi i okien, tu i owdzie też słupki, na których wspierały się ganki, mętnie bielewały na tle szarych, czasem aż prawie czarnych, ścian. Niebo, powietrze, otaczający rozłóg pól, napęniały ten długi szereg siedlisk ludzkich ogromną ciszą spoczynku i ukojenia, której nie przerywały, ale którą owszem uwydatniały i głębszą zdawały się czynić, porykiwania bydła w oborach, pochchrzakiwania nierogacizny w chlewach, krótkie i rzadkie szczekanie psów. Czasem kogut przeciągle zapiał, i wnet odpowiadały mu inne coraz dalej, coraz słabiej, aż gdy cała już ta warta hasła swoje odśpiewała, wszystko znowu milkło. Chyżych biegów kocich pod ścianami i wśród drzew, gnieźdzenia się tchórzy pod kamiennymi płotami, dowolnego żerowania zajęcy z pola przybiegłych, dosłyszeć nie było można. Wróble pod śnieżnemi okapami strzech świegotały, niezbyt przecież gwarnie, wrony czasem zakrzyczały głośno, tu i owdzie gołębie zagruchały. Ludzkie życie prawie się nie ukazywało, ani w podwórkach, ani w ogrodach, ani na ścieżkach, których przecież było mnóstwo, a które w śniegu, tak jak latem na trawie wydeptane, łączyły zagrody siecią dziwnie wymowną. W zakrętach ich, wydłużeniach, kryjomem zapadaniu pomiędzy najgęstsze drzewa, w gromadnem zbieganiu się u jednych punktów, wyczytywać można było odwiedziny, schadzki, wspólne roboty, gromadne rozprawy. Ale teraz wily się one, wydłużały i skręcały za ściany, lub w drzewne gąszcze, puste i bezludne; tu i owdzie przebiegały je chyba kudłate kundle ze spuszczonei pyskami, coś pilnie na nich węszące, lub skaczące i grubemi dziobami w śnieg uderzające wrony. Przez to lub owo podwórko, ku oborze lub śpichrzowi, pociągnął niekiedy leniwie mężczyzna w kozuchu, kobieta z wiadrem przebiegła ku studni, a wtedy wysoki żóraw długi dziób ze skrzypieniem opuszczał i podnosił, z wrót wybiegły małe sanki, jednym konikiem zaprzężone, i pomknęły w rozłóg. Zresztą, cisza i białość nieprzerwana, głęboki wczas natury i ludzi.

Jednak ludzie żyli we wnętrzach ścian ciemnych, ramami drzwi i okien mętnie bielejących, i zbliśka łatwo było dosłyszeć liczne odgłosy ich życia. Były to gwarzące po domach rozmowy, miarowe stukanie krosien tkackich, trzaski ognia w piecowiskach, turkoty kołowrotków, huczenie żaren, szecebioty, śmiechy

lub płacze dzieci, pośpiewywanie, czasem rozgłośnie śpiewanie dziewcząt i chłopców. Jeden tylko z domów, z pomiędzy wszystkich najmniejszy i najuboższy, wydawał się zupełnie bezludnym. Dwa kudłate pieski spały na malutkim ganku, jak pstrokate kłabki; wypasiony szary kot tuż za szybą okna siedział z sen- nemi żółtymi oczyma, a tuż przy nim stała w wazonie, cała od kwiatu różowa, pelargonja. Kłab białych i szarych królików, na glinianej podłodze zwinięty, dostrzec też można było przez okno, i krowa porykiwała w oborze. Ale ani rozmów, ani turkotów, ani śmiechów i śpiewów w tym domku nie było. Wydawał się bezludnym, tak był milczący wśród swoich ośnieżonych drzew i płotków. Jednak za oknem, na którym siedział kot, i kwitła pelargonja, ozwał się cienki i przeciągły dźwięk, coś jakby pociągnięcie smyczka po strunach skrzypiec; po nim nastąpił drugi, wyraźniejszy, — aż z wnętrza malutkiego domku wydobyła się na podwórko i po sąsiednich popłynęła czysto i smutnie grana melodia starej pieśni: »Tam na błoni błyszczy kwiecie«. Wszyscy w okolicy wiedzieli, że ta najmniejsza ze wszystkich zagroda dlatego wydawała się bezludną, iż właściciel jej mieszkał w niej sam jeden, z ciotką tylko jak świat starą, i ze swojemi kotami, psami, królikami. Nazywał się Gabrjel Osipowicz, lecz przezywano go już oddawna »głupim Gabrysiem«. Samotny był jak palec, ubogi jak szur, niczego od nikogo nie potrzebował, ale też nie u nikogo nie znaczył. W lecie orał i zbierał na kilku swoich morgach, w zimie hodował rośliny w wazonach i grał na skrzypcach.

Obok zato, tuż obok zagródki głupiego Gabrysia, za nią tylko i przed nią szeroko rozpostarta, znajdowała się najobszerniejsza w całej okolicy zagroda, której właścicielem był najbogatszy i najrozumniejszy ze wszystkich jej mieszkańców: przystojny, wymowny i dumny Konstanty Osipowicz. Bogatym był, bo, cztery siostry mając, brata nie miał, więc po rodzicach prawie całą, i nie ładająką, wziął puściznę; rozumnym był, bo mówił wiele, głośno i śmiało, duma zaś jego wypływała z wiadomości o posiadaniu bogactwa i rozumu, zarówno jak z wysokiego wyobrażenia o starości i godności, od trzech wieków uszlachconego i w tem miejscu osiadłego, rodu Osipowiczów. Trzydzieści morgów pola i łąki, ładny inwentarz, nieco gotowego grosiwa w kieszeni z jednej strony, — a z drugiej trzysta lat szlachectwa, jak słońce jasno przed urzędem dowiedzionego, były to rzeczy, które nie wzbilyby w dumę chyba głupca. Konstanty Osipowicz, jako człowiek rozumny i cenę każdej rzeczy

na świecie znający, dumnym był, a jak wyrażali się sąsiedzi. wielkim ambicjantem. Nietylko przecież dumę, ale i przystojność swoją czerpał z rodu, którego był synem. Piękny wzrost, regularne, jak na kamei, rysy, przy śniadej cerze włosy jak krucze pióra czarne i pod brwią wąską czarne, ogniste oczy, były to rodzinne przymioty Osipowiczów, oddawna z piękności dziewcząt i chłopców słynących. Wszyscy podobni do siebie bywali, z rodu kury czubate: bruneci i brunetki, wysocy, smukli, na twarzach gładcy. Takim był i Konstanty, a tylko czupurniejszym, wymowniejszym, głośniejszym od innych.

Najświeższym dowodem jego ambicji była niedawno wybudowana wielka stodoła, która pośrodku okolicy i u samego jej brzegu jak słońce świeciła nowiutkimi jeszcze, żółtymi ścianami. Niektórzy utrzymywali z przekazem, że dlatego zbudował on ją na brzegu, tuż przy drodze, aby jadący drogą ludzie dokładnie widzieć ją i wielkość jej oglądać mogli; inni, złośliwie uśmiechając się, w żywe oczy mu gadali, że gdyby nie wiedzieć jak obfite miał z gruntów swoich zbiory, jeszczeby niemi zaledwie do połowy napęlić mógł tak wielki budynek. Ale on bynajmniej o przycinki i uśmiechy sąsiadów nie dbał, a prawdziwej rozkoszy doświadczał, ilekroć ktokolwiek, stodołę jego obejrzawszy, głową pokręcił i zagwizdał: fiu! fiu! albo zawołał: ho! ho! jak u dobrego obywatela stodoła! Wtedy on ręce w kieszenie sukiennej kurty wkładał i, chodząc tu i owdzie po zagrodzie, gwizdał sobie także: fiu, fiu! fiu, fiu! a pokłóciwszy się z którym z sąsiadów, ręce na kłębach opierał i krzyczał: — Ja tobie nie równy! ja obywatel! — Były to przecież tylko chwilowe uniesienia dumy. W gruncie rzeczy wiedział o tem dobrze, że obywatelem nie jest, a nawet to, że jest zagrodowym szlachcicem, wysoko sobie cenil. — Wszystkie rody pańskie od nas poszły — mawiał — przeddziad mój równym był wojewodzie, a ja równy jestem panu Korowickiemu.

Pan Korowicki był najbliższym i dość majątnym sąsiadem Tolloczek. Cała też duma Konstantego nie przeszkadzała mu wraz z parobkiem za plugiem chodzić, kosić tak, że aż w kościach trzeszczało, snopów z pola zwozić, cepem bić o tok wspaniałej stodoły; nie przeszkadzała mu też ona żywić się i przyodziewać zupełnie tak samo, jak to czynili wszyscy jego sąsiedzi. Owszem, nowe pobudki do wywyższenia się z tego wszystkiego czerpał i niekiedy wyrażał to w słowach: — Gdyby mi tak wolno było, jak jest niewolno, rychłobym na miejscu pana Korowickiego w Jabłonnej siadł, bo on próżnuje i marnuje, a ja pracuję i grosiki

kuje. Cha, cha, cha! — Śmiech miał głośny, ale dźwięczny i przyjemny; czuć w nim było trzydziesty rok życia i hardą, zadowolona duszę.

Od owej wspaniałej, wśród powszechnej bielizny i szarzyzny jak słońce świecącej stodoly długi szlak warzywnego ogrodu, spory sad owocowy i dość obszerne podwórko ciągnęło się aż do domu, bokiem ku podwórku obróconego, a świecącego białemi prawie jak śnieg słupkami ganku i ramami czterech sporych, widnych okien. Stojące tuż przy ścianach cienkie brzozy i grube topole nagie, gałęzmi dotykały płachty śniegu, która szczelnie od okapu do okapu pokrywała strzechę; niżej rosły gęsto i cienkimi prętami na okna kładły się krzaki bzu, głogu i żółtej akacji. Każdy mieszkaniec jakiegokolwiek okolicy poznać mógłby odrazu, że dom, pomiędzy krzakami i drzewami stojący wyporzadzony był na dwa końce, to jest, że po jednej stronie miał świetlicę i bokówkę, po drugiej przeciwiek i kuchnię, a wszystkie te jego części, zwłaszcza świetlica, niemałemi być musiały.

Istotnie, świetlica była obszerna, z dwoma oknami w jednej ścianie, a jednym w drugiej, z bardzo długim piecem z białych kafli, który okrywał całą ścianę, od bokówki ją oddzielającą. Zresztą, prosta, lecz gładka i czysta podłoga z desek, niski, belkowany, lecz świeżo pobielany sufit, trochę drewnianych zydlów, krzeseł, stołów, szafek, pośród których królowały dwa bardzo stare i ciężkie sprzęty: żółta, jesionowa komoda pomiędzy oknami, i u ściany takąż kanapa, kilimkiem obita, ogromna, rozłożysta, z bocznymi poręczami, grubemi jak potężne wały, a oparciem ztyłu bardzo wysokiem i wyrzniętą w drzewie galeryjką przyozdobionym. Posiadanie takiej kanapy znaczyło prawie to samo, co dokument szlachectwa udowadniający; był to bowiem spadek po przedziadach, których udziałem musiała już być niejaka zamożność i dostojność, skoro na kanapie siadywali sami i gości swoich sadzali.

Konstanty Osipowicz w tej właśnie chwili na kanapie siedział, plecami o wysoką jej poręcz oparty, z nogą na nogę nie dbale zarzuconą, z rękami zanurzonemi w kieszeniach szarej kurty, czarnemi taśmami i szamerowaniami przyozdobionej. Ta kurta, jakkolwiek z grubego samodziłowego sukna zrobiona, ale z fantazją przystrojona, i długie do kolan, nowe buty, nie były jego codziennym strojem; przywdziewał go on dla gości, którzy od paru godzin jednokonnemi saneczkami pod ganek jego zajeżdżali, albo też z sąsiednich zagród przychodzili, a od których

teraz pełno i gwarno było w świetlicy. Wprawdzie była to tylko familja: siostry, szwagrowie, strzecny (tj. stryjeczny) brat z młodziutką żoną, ale Konstanty nie życzył sobie, aby nawet najbliżsi widzieli go w stanie jakiegokolwiek niedostatku lub zaniedbania. Po dwie siostry i ich mężów sam był posłał, gdy tylko dowiedział się od kogoś z miasta powracającego, że dwie inne dnia tego przybyć do niego mają. Jedna z tych ostatnich, Anna Końcowa, od lat kilku zamoznemu mieszczaninowi zaślubiona, stale w mieście zamieszkiwała, druga, najmłodsza z rodzeństwa, Salusia, pojechała była do tamtej na czas krótki i niespodzianie rok prawie cały u niej przebyła. W czasie tym właśnie popełniła ona wielkie głupstwo, a popełnić zamierzała jeszcze większe; ale on, Konstanty, nie pozwoli na to, jak Bóg na niebie, nie pozwoli, zapobiegnie jej zgubie i gąbnie, któraby z takiego postępuku tej dziewczyny spadła na całą familję, ale też i familja dopomóc mu w tem musi: poto ją i wezwał. Siostry zawsze bliższe są siostrze, aniżeli brat: niechże więc starają się od własnej zguby i gąbny ją odwrócić, co zaś do szwagrów, to jeżeli, pomimo namów i zakazów, Salusia zaskali się w swoim bałamutnem postanowieniu, pomocy ich potrzebować on będzie do czego innego... do czego? no! teraz o tej materji gadać nie pora, ale w czasie wszystko oświadczy. Zdaje mu się, że garnki, które te chamy do ognia przystawili, na ich głowach pękną, bo on, do ostatecznej pasji doprowadzony, na wszystko ważyć się gotów. Wszelako na świecie bywa, i nie jeden raz widziano ludzi mszczących się na tych, którzy ukrzywdzić ich chcieli. I on zrobić to zdola, choćby i na kryminal wystawić się miał. Wszystko to mówił, zrazu powoli, ważąc i wybierając słowa, z widoczną przyjemnością im się przysłuchując, ale potem temperament wziął górę nad krasomówstwem, głos podniósł się i napelnił całą świetlicę, rumieniec wytrysnął na policzki, oczy zagorzały. Rąk już nie trzymał w kieszeniach, ale czynił niemi roznachliwe gesty, aż pięścią w stół uderzył i krzyknął: — Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży! U mnie tak! Gdzie dobrocią nie utrafię, tam złością dokonam, siostrze zaś, którą mnie umierające rodzice przyporuczyli, zmarnować się nie dam!

Do złości, którą zawrzał, przyłączył się żal, głos mu opadł, i zwilgotniały rozplomienione oczy. Otarł je wierzchem ręki, znowu opuszcł się na kanapę i ciężko westchnął, westchnieniu zaś temu zawtórzyło w świetlicy kilka innych, kobiecych i męskich.

Trzy kobiety i trzech mężczyzn siedziało na zydłu i krze-

ślach przy stole u okna, który zastawiony był jadłem dobrze już napoczętem. Była tam zupa mleczna z makaronem, kielbasa gotowana, ser, bochen chleba, fajansowa masielnica z czerwonym kogutkiem na wierzchu. Obsiadujące stół osoby od czasu do czasu niosły do ust kęs jedzenia, składały ręce na kolanach i, bardzo powoli przeżuając, mowie gospodarza na różne głosy potakiwały: — A jakże! pewno! ma się rozumieć!

Osipowiczówny, po mężach: Pancëwiczowa z Kublak i Zaniewska z Zaniewicz, daleko za trzydziestkę liczyć mogące, z dawnej piękności zachowały już tylko wysokie wzrosty i silną czarność włosów i oczu, które to ostatnie, błyszczące i biegające, zapowiadały, wspólnie z zaostrzonymi rysami twarzy, niepospolitą żywość temperamentów i popędliwość języków. Wełniane suknie i zgrabne czepeczki, które na sobie miały, nie były codziennym ich strojem; jadąc przecież w gościnę, choćby do brata, musiały przystojnem ubraniem i siebie i gościnę uszanować. Mężowie ich wyglądali daleko spokojniej i stateczniej od nich, niemniej znać było, że wiedzieli dobrze, kim byli, i co się im od ludzi należało; zwłaszcza Pancewicz, który oprócz swojego, wcale porządnego gospodarstwa niedużą dzierżawkę w sąsiedztwie trzymał, siedział na zydlu bardzo wyprostowany w jasnym krawacie i, słuchając mowy Konstantego, nadzwyczaj pojętnie uśmiechał się pod żółtym wąsem i bardzo mądrze brwiami poruszał. Strzeczny brat, Michał Osipowicz, i młoda jego żona, zaledwie przed kilku tygodniami zaślubieni, daleko więcej zajmowali się sobą, niż tem, co działo się wkoło nich; co moment mrugali ku sobie, rzucali na siebie galki, a nawet całe skórynki chleba, i parę razy najniespodzianie i najniepotrzebniej, z jakiegoś powodu im tylko wiadomego, wybuchnęli śmiechem. To lekceważenie familijnego interesu, a szczególnie to śmianie się wtedy, gdy jemu chciało się bić i płakać, irytowało Konstantego, który też parę gniewnych, a jedno wściekle poprostu spojrzenie na młodą parę rzucił. Ale w tejże chwili powolutku i pocichutku otworzyły się drzwi od sieni, i wszedł przez nie wysoki, chudy, przeszło czterdziestoletni człowiek w grubej kapocie, dużo poniżej kolan sięgającej, z gładko przyczesanemi włosami nad twarzą długą, żółtawą, kościstą, jakby wyschlą, a uderzającą zdala silną czarnością oczu i krótkiego gęstego wąsa. Był to Gabrjel Osipowicz, głupim Gabrysiem zwany. Wszedł, milcząc, głową na wszystkie strony kiwnął i tuż przy progu, na zydelku, u samej ściany stojącym, usiadł. Takie przychodzenie i siadanie przy drzwiach głupiego Gabrysia było znać zwyczajnem, bo przyjęte

zostało przez wszystkich w sposób najzupełniej obojętny. Wszyscy kiwnęli mu głowami, bo przecież bądź co bądź Osipowiczem się zwał, ale do stołu go nie zapraszano, i nikt już na niego ani spojrzal. Słuchano Pancewicza, który, powoli żując kielbasę, z nadzwyczaj znaczącym ruchem żółtych brwi rozpowiadał o tem, że był niedawno u Kazimierza Jaśmonta w Jaśmontach i widział te dwa konie, które on u Onufrego Cydzika kupił. Konstanty, nie rad, że do rozmowy wtrącono inną materję, niż ta, która jego dziś nadewszystko zajmowała, mruklawie nieco odpowiedział, iż trzy dni temu jeździł także do Kazimierza Jaśmonta z jednym bardzo ważnym interesem, takim ważnym, że od niego może w drugim interesie wszystko zależeć... Chciał on o tem siostry i szwagrów w czasie dopiero uświadomić, ale ponieważ zgadło się już o tej materji...

Tu przerwał mu przyciszony i powolny głos siedzącego u drzwi gościa.

— Słyszę, Salusia ma dziś przyjechać? — nie zmieniając swojej pozycji u drzwi, zapytał Gabryś.

— A przyjedzie, przyjedzie, obie z Końcową przyjadą -- odpowiedziało mu parę głosów, a Konstanty, na kanapie rozparty, z tajemniczą miną wyrzekł:

— Kazimierz Jaśmont dziś tu przyjedzie...

— Czego? Poco? czy konia masz do sprzedania? — jedno-głośnie u stołu zapytano.

Konstanty głową pokręcił i z tajemniczym uśmiechem odpowiedział:

— Większy tu troszkę targ nastąpi, niżeli o konia...

Pełen powagi i zadowolenia z siebie, z kanapy powstał, uśmiechał się wciąż tajemniczo i patrzył przebiegle.

— Na różne choroby są różne sposoby — zaczął — otóż na tę chorobę ja jeden sposób wymyśliłem: pojechałem do Jaśmonta i powiedziałem: — Jeżeli będzie tak a tak, to jest podług mojego życzenia, ja Salusi sześćset rubli posagu na stół wypłacę...

Pancewiczowa i Zaniewska aż podskoczyły na stolkach, a on, prostując się i ręce w kieszenie wkładając, dokończył:

— Bo kiedy ja coś przedsięwzięmę, to już niczego nie pożałuję, aby dokonać... choć własnej krwi utoczę, a dokonam... Może mnie przyjdzie tego siebie w garści ścisnąć, głodem przymrzeć, bez butów pochodzić, ale co powiedziałem, dokonam. Jeżeli stanie się tak a tak, to jest podług mojego życzenia, sześćset rubli posagu na stół jej dam... Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży! U mnie tak!

Skończył, i czas jakiś trwało milczenie, które przerwała Pancewiczowa, z dłonią przy policzku i dziwnie migocącymi oczyma wtył i naprzód kołysząca się na stołku.

— Jednakowoż — głośno, prędko i piskliwie mówić zaczęła — jednakowoż Kostanty jest bardzo niesprawiedliwy! Dla jakiejże to przyczyny najmłodszej siostrze aż sześćset rubli posagu ma wypłacać, kiedy starsze dostały tylko po trzysta?

— To jest prawda! — kręcąc się na stołku i jeszcze głośniej, powtórzyła Zaniewska — wszystkim trzysta, a jednej sześćset. Dla jakiejże przyczyny? Czy dla tej, że ona takie zgryzoty familji robi, których my nigdy nie robiły?

— Albo dla tej — podjęła znowu Pancewiczowa — że Kostanty jest niesprawiedliwy i własną swoją krew chce ukrzywdzać...

— Że Kostanty jest krzywdzicielem — wpadła jej w mowę młodsza, o tem już mniej i wtedy wiadomem było, kiedy to trzy krowy przyobiecał dać, a dał tylko dwie...

Tu ozwał się gruby bas Zaniewskiego:

— To jest prawda, na Kostantego obietnicę nie zawsze spuszczać się można.

Obie siostry zaś razem już krzyczały:

— My takie same córki swoich rodziców, jak i Salusia, i to samo należy się nam, co i jej... Tylko u Kostantego fantazja więcej znaczy, aniżeli sprawiedliwość... U Kostantego ten najlepszy, kto najgorzej postępuje...

Tu przecież oskarżonemu cierpliwości brakło. Wszczynając się kłótni słuchał zrazu z lekceważeniem, ale teraz, zaczerwieniony, nogą tupnął i krzyknął:

— Czego rozjadłyście się, jak psy na dziada? Czy z waszego daję? Nawet nie z rodzicielskiego! Dorobek własny posiadam, i co moja łaska dać komu z niego, to dam, a do swoich garnków nikomu zaglądać nie pozwolę!

Kobiety pozrywały się ze stołków.

— A to nas tak Kostanty w domu swoim przyjmuje! A to na takie piękne słowa Kostanty nas zaprosił! Ślicznie dziękujemy za taką uprzejmą gościnę!

— To jest prawda — wstając także, zahuczał Zaniewski — że Kostanty aż nazbyt niegrzecznie z siostrami postępuje... — Ale Pancewicz, niezmiernie już przebiegle ruszając brwiami i wąsami, za szwagra ujmować się, a kobiety miłygować zaczął. Wszyscy z miejsc powstawali, wszyscy razem mówili: kobiety rozmachiwały ramionami, Pancewicz pociągał je za czarne rękawy,

a żonie dłonią usta zamykał, gruby Zaniewski huczał, że idzie konia zaprzęgać. Konstanty cały czerwony krzyczał, że jest panem swoich pieniędzy i może rozdawać je według wszelkiej swojej fantazji i upodobania.

W całym tym gwarze i zamieszaniu trzy osoby tylko nie brały udziału żadnego: stryjeczny z młodą żoną, którzy, trzymając się za ręce, obojętnie i z niejakim zgorszeniem klótni się przysłuchiwali, i Gabrys Osipowicz, w jednej ciągle pozycji u drzwi siedzący. Gdy tylko dwie kobiety spór o posag zawiodły, uśmiechać się on zaczął pod gęstym, krótkim wąsem, a teraz, gdy klótnia na dobre już wrzała, powolnem spojrzeniem po wszystkich twarzach wodził, głową trząsł i śmiał się cichym wewnętrznym śmiechem, od którego drgała mu na piersi brunatna kapota. Można byłoby przypuszczać, że litował się lub naigrawał, gdyby znowu zbiedzona powierzchowność i pokorna u drzwi pozycja przypuszczeniu temu nie zaprzeczały.

Nagle, wśród najwyższego wojennego zapалу, rozległ się czyjś głos u okna:

— Przyjechały! przyjechały! Końcowa i Salusia przyjechały!

W świetlicy uciszyło się, jak makiem zasiał; w mgnieniu oka wszyscy z gniewu ochłonęli i, jak się byli poróżnili, tak znowu sprzymierzyli się nagle i niespodziewanie. Siostry, brat i szwagrowie na znak porozumienia zamrugali ku sobie oczami i pokiwali głowami, kobiety uroczyście za stołem u okna zasiadły, Konstanty z ręką na kłębie przy kanapie stanął, aż drzwi od sieni otworzyły się ze stukiem, i do świetlicy wpadły dwie kobiety w dużych salopach, z głowami w wielkie chustki pozawijanemi.

— Jak się macie? — zawołała jedna.

— Święty Boże! I Kazia, i Marylka, i wszyscy tu! czy to tak zgromadzili się na moje przywitanie?

Głosy były młode i wesole; w mgnieniu oka też z salop i chustek, jak motyle z gąsienic, wywinęły się dwie młode i żwawe kobiety.

Końcowa wyglądała na nieubogą i w świetle trochę otartą mieszczańkę; włosy miała podniesione w górę i u wierzchu głowy zgrabnie zwinięte, suknię po miejsku skrojoną i przybraną; młoda była i jeszcze ładna, ale obok towarzyszkii prawie niemłodą i nieładną wydawać się mogła. Piękna ta dziewczyna wysmukłą i gibką była jak brzoźka, a świeżą jak maj. Drobne jej rysy ocieniała gęstwiną czarnych włosów, ciężkim warkoczem

na plecy opadających, policzki tryskały rumieńcem, oczy iskrami, z za warg czerwonych błyskały białe zęby. Na uroczyste miny i postawy obecnych uwagi nie zwracając, w mgnieniu oka stół obiegła, kobiety wycalowała, mężczyznom ręce uściśliła, a wypadkiem ku drzwiom spojrzawszy i zobaczywszy siedzącego przy nich na zydelku gościa, zawołała: — Gabrys, jak się masz?—i jemu także rękę podała. On, odkąd weszła, oczu z niej nie spuszczał, a gdy przybliżyła się, twarz jego z żółtawej stała się czerwoną. Zerwał się z zydlu i, we dwoje złamany, wąsate usta w ręce jej tak wlepił, że zdawać się mogło, iż ją pochłonie. Ona drugą ręką po kapocie go poklepała i żywo zwróciła się ku bratu.

— Jak się masz, Kostuś? Czegoż to takim słupem stanął? Nie kontent, że do domu powróciłam, czy co?

Śmiejąc się, szła ku niemu, ale on, ku samej ścianie się cofnął i z niskimi ukłonami, urągliwie uśmiechając się, mówić zaczął:

— Owszem, owszem! Wielka to jest promocja dla mnie i dla mojej chaty, że pani Chutkowa była łaskawa do niej wstąpić! Niech pani Chamowa nie uważa, że ja prosty szlachcic, może i nie umiem takiej osobie atencji przystojnej okazywać, ale pomiędzy chamami jeszcze nigdy nie bywałem i nie wiem jak tam oni witają się i atencje swoje składają! cha, cha, cha, cha, cha!

Aż trząsł się z gniewu, a śmiejąc się na całą izbę, siostrę piorunującym wzrokiem przeszywał. Ona, jakby jej nogi w ziemię wrosły, stała zdziwiona, bo, jakkolwiek spodziewała się gniewów i wyrzutów, ale takiego aż przyjęcia nie przypuszczała. Już siostry, kiedy na powitanie je całowała, odwracały od niej twarze, szwagrowie palcami, jak patyki twardemi, zaledwie ręki jej dotknęły, a teraz ten z takim naigrawaniem się do niej przemawiał!

— A toż co? — zawołała, ale Pancewiczowa mowę jej przerwała:

— A to, że jakie »dopomóż Boże«, takie »Bóg zapłać!« Jaka ty dla nas, takie my dla ciebie!

— A cóż ja wam złego zrobiłam?

— A to — zaczęła jedna — że umyśliłaś siostry zakasować... My sobie biedne szlachcianki, za prostą szlachtę wyszły, a ty weale inszą partję sobie wynalazłaś... toż i zazdrosne jesteśmy o to, że nas chłopci za żonki nie pobraли, a ciebie jeden bierze...

— A jaki jeszcze! Z majątkiem! — dorzuciła druga — **ziemi** dużo ma, ale nie tyle, aby na niej budę dla psa zbudować!

— Ani domu, ani łomu — zahuczał Zaniewski.

— Bezrolny chłop! — powtórzył Pancewicz.

— Ale co za tytuł jest, ho, ho! — śmiał się znowu Konstanty — pan... przepraszam... jaśnie wielmożny, jaśnie oświecony pan Cham.

— Dobry los! inszego widać warta nie była!

— A widać zmiarkowała, że lepszy nie weźmie, to sobie sama siakiego takiego bierze!

— *Siakij takij cialepiej, kali swoj, to lepiej!*

— Ot, i dobrze utrafiłeś, bo jej chłopskie mówienie najmilsze!

Salusia, wśród tego plutonowego ognia drwin i przycinków, stała jak niema, z głową schyloną, ze wzrokiem wbitym w ziemię i płomiennie zarumienioną twarzą, na której widać było przygniatające uczucie wstydu i upokorzenia. Z całej postawy jej poznać było można, że w głębi mówiła sobie: — To jest prawda! to jest prawda! on chłop, ziemi nie ma! wszyscy naigrawają się ze mnie! Ach, jaka ja nieszczęśliwa! — I już łyż do oczu nabiegać jej zaczynały, gdy Zaniewska, z tonu szyderskiego w gniewny wpadając i na stolku aż podskakując, krzyknęła:

— Chyba nas wszystkich do grobu położą, wprzód nim ty za tego oberwańca pójdziesz!

— Co za oberwaniec! — przywodziła, kołysząc się, Pancewiczowa — to jest łotr, wisielec, powroźnik, łańcusznik...

Salusia wtedy nagle głowę podniosła, wyprostowała się, błyskawicami z oczu sypnęła i, cała trzęsąc się z oburzenia, ku siostrom skoczyła:

— A wy jakim prawem takie przezwiska jemu dajecie? Chwytajcie się za swój nos, a cudzych nie tykajcie! Jaki on łotr, i wisielec, i łańcusznik? Co on komu złego wyrządził? Dla jakiej przyczyny wy go swemi gadzinowemi językami sieczecie?

Teraz dopiero poznać można było, że i ona należała do tych, którzy siebie w kaszy zjadać nie dają. Była bardzo do brata podobną, a teraz stała się jeszcze podobniejszą. Ta sama, co u niego, hardość i gniewliwość głowę jej wysoko odrzuciły, zmarszczyły brwi i różzarzyły oczy. Jedną ręką na kłębie oparta, wyprostowała się, jak struna, i ku bratu obrócona krzyknęła:

— Ja waszym językom nie pozwolę, aby na mojego narzeczonego pluły! Słyszysz, Kostanty? On cham, to jest prawda, ale cham chamowi nie równy, i on nie taki, jak wszystkie chamy,

a daj Boże, aby wy jego warci byli! Słyszysz, Kostanty! I niech was Pan Bóg broni, żebyście na niego wygadywali i od łańcuszników go przezywali, bo jak Boga kocham, jeszcze skoczę i komukolwiek oczy wydrapię, słyszysz, Kostanty!

Tu odwróciła się i wypadkiem spojrzała na Gabrysia, który, do ściany plecami przytulony, jak w tęczę w nią zapatrzony, głową potakująco trząsł i śmiał się bardzo pocichu, ale innym, niż przedtem, bo jakby rozkosznym, śmiechem. Nie miała jednak czasu zwrócić na to uwagi, bo wkoło niej powstała już teraz prawdziwa orgja językowa. Wszyscy obecni, z wyjątkiem tylko młodej bratowej i Gabrysia, protestem jej rozjątrzeni, zrywając się z siedzeń, chodząc po izbie, znowu siadając, mówili i krzyczeli. Nie była to już rozmowa, ale wrzawa, w której drwiny i przycinki zastąpione zostały przez wyrzuty, zarzuty i groźby. Zarzutów wprowadzie było tylko dwa: że Jerzy Chutko jest chłopem i że ziemi swojej nie ma, bo co się tyczy łotra, wisielca i łańcusznika, te, jako przygodne i na niczem nieufundowane, po długich zaledwie przerwach na języki powracały, i to tylko w najwyższem już natężeniu językowej furji. Z dwu zaś zarzutów w rzeczywistości podstawę mających, jeden dla jednych, drugi dla drugich posiadał wagę większą. Zlewało się to przecież wszystko w jedną całość, która wzrastała, przybierała coraz groźniejszą i bardziej zawstydzającą postać. Co to jest człowiek, który ani kawaleczka swojej ziemi nie ma? Włóczęga, żebrak, dziad kościelny! Miejsce dobre dostał, pensję dobrą bierze, nazywa się nadleśnym! Bajki babom! Miejsce dobre! a stracić to go nie może? A jak straci? Wtenczas manatki na furę, i jedź w świat, gdzie oczy poniosą. Drugie dostanie? Pewno! Wszyscy tylko i czekać na niego będą z miejscami! tyle tych miejsc jest w teraźniejszych czasach! A jeżeli nie dostanie, to w miasteczku osiadaj i z fancikami do żyda chodź po trzy grosze na kawalek chleba! Żeby jeszcze samym cierpieć? a dzieci? Będiesz ty miała pięcioro, sześcioro, ośmioro dzieci, najpewniej będziesz miała ośmioro dzieci, które karmić i przyodziewać przyjdzie — a z czego, kiedy niema o co rąk zaczepić? A na wypadek wojny, gdy jego do wojska zawezwą? Insze kobiety choć i bez mężów, ale na swojej ziemi i w swoich chatach ostaną, a pani Chutkowa co zrobi? Też w służbę pójdzie? Ładny los! niema co mówić. A no, na dziewczkę do dojenia krów i prania cudzych brudów widać rodziła się, kiedy takiego losu pożąda! Tylko z dziećmiakami i na taką dziewczkę nikt nie przyjmie. Przyjdzie może brata i siostry w ręce całować, aby przyjęli — ale oni nie

głupi. i temu, kto na ich zakazy i prośby uszy zamykał, ku pomocy nie staną. Niech ten, kto ich za nic sobie poczytywał, sam sobie we wszystkim radę daje, a oni, choćby go głodem mrącego widzieli, obojętnymi pozostaną. Przytem i poniżenie. Jaka służba jest, to jest; choćby najlepsza, zawsze to służba, osobliwie, jeżeli kto, swojego kąta nie mając, trzymać się jej musi, jak ślepy płotu. Nadleśny czy podleśny, zawżdy to co inszego, niż pan w swoim domu, choćby najmniejszym. Każą być lokajem — będzie! Każą językiem proch przed pańskimi stopami zlizywać — będzie! Wszystko spełni i wszystko zniesie, choćby szturchańce i najgorsze ubligi, byle miejsca nie stracić i na psa nie zejść. A co mężowi, to i żonie. Wstyd jego, jej gańba. Jemu zresztą to i przyrodzone, aby służył i wszystko znosił, bo tak z chamami zawżdy bywało. ale dla jakiej przyczyny ona zdrową głowę pod ewangelję kładzie? — to już chyba dla tej, że Pan Bóg ją opuścił, djabeł opętał, i siostrzyczka zbałamuciła.

Tu burza wzdęła się, wzrosła w moc i spadła na Końcową, która daremnie po razy kilka usiłowała głos zabrać. Teraz wyrzucać jej zaczęto, że siostrze na niegodne romanse pozwalała, że sama pierwszą przyczyną wszystkiego była, hołysza tego do domu zapraszając, przyjmując, częstując, że nawet bratu, kiedy to on do miasta jeździł, w żywe oczy ważyła się wypowiadać swoje zdanie o wielkich doskonałościach pana Chutki i o szczęściu, które Salusie z nim oczekuje, że zresztą po niej, po Końcowej, spodziewać się tego było można, ponieważ i sama nie wynalazła sobie lepszego kawalera, jak syna takiego, co może tam niegdyś ulice w mieście zamiatał. Ale dla siebie to jednakowoż mądrzejsza była — nie bój się! męża choć i miejskiego śmieciucha, lecz z ładnym domem i zyskownem rzemiosłem, wzięła, a siostrę gotowa była za żebraka wydać, zgubić, w łzach wiecznych i nędzy utopić!

Końcowa, łagodniejsza i gładsza od swoich napastujących sióstr, broniła się, jak mogła, siebie uniewinniała, za Jerzego ujmowała się, aż gdy coraz srożej na nią nacierano, gdy i Konstanty krzyczeć zaczął, że jeżeli siostra zginie, to ona Panu Bogu za nią odpowie, zerwała się z gniewem i obrazą, wołając, że wcale nie poto tu przyjechała, aby nią poniewierano, że do poniewierki nie przywykła, swój dom, chwała Bogu, i swego męża i swoje uważanie w świecie ma, konia, którym z miasta przyjechała, natychmiast założyć każe i ani momentu dłużej tych impertynencyj nie znosząc, do swego domu, męża i uważania odjedzie.

Tego znowu obecni wcale sobie nie życzyli, bo w gruncie rzeczy Końca poważali, Końcową lubili, i była im ona teraz, jako najbliższej z Salusią sprzyjażniona, bardzo potrzebną. Więc ją jako tako ułagodziwszy, znowu na Salusię całym ciężarem runęli... Ale dziewczyna, po środku izby stojąc, wyprostowana, zuchwała, rozogniona, jak osa odcinała się dokoła, najczęściej do brata się zwracając, tak, że w ogólnym gwarze wyraźnie rozróżnić można było ich dwa głosy, jakby w nieubłaganym pojedynku na piłki czy kule, rzucające ku sobie szybkie, zacięte pociski słów.

— Psy wyją, a miesiąc świeci! Nie znasz, a wygadujesz! Wpierw poznaj, potem gań! — wołała Salusia.

— Właśnie, że znam! Ze wszystkich stron go obejrzałem i z żadnej nic dobrego nie увидziałem — odkrzykiwał Konstanty. — Ani wełny, ani mleka; ani z mięsa, ani z pierza... cham — i kwita!

— Lepszy od ciebie, bo edukowany. Ty takiej edukacji i nie widział, jaką on ma!

— Nie pomoże krukowi mydło! brudnego gałgana edukacja nie wybieli!

— Kostanty arystokrat, to niechaj sobie wielkiej pani szuka, a ja dla siebie zamąż idę, nie dla Kostantego...

— Cha, cha, cha! Bieda tylko, że nie pójdziesz...

— I czemuż to?

— Bo ja zabraniam!

— Już moje dzieciństwo przeminęło! Dwadzieścia trzy lata mam, i nikt mi nie nakazać, ani zakazać nie zdoła!

— Sluchaj, Salusia, u tego tańca dwa końce: albo posłuchasz, i ja ciebie uszczęśliwię, albo grosza posagu nie dam, jednego łachmana nie dam, na próg nie puszcze...

— Mnie i w jednej koszuli wezmą, a na próg twój moje nogi łakome nie będą!

— Z tobą gadać to samo, co wodę rzeszotem czerpać!

— A z takim, jak ty, naigrawaczem i krzywdzicielem to i wcale gadać nie warto!

— A z chamem warto?

— Na was dwóch spojrzawszy, jego za pana, a ciebie za chama poczytać można!

— Niech go psy zjedzą!

— A żebym ja była wskrós ziemi poszła, nim do tego domu przyjechałam! — z ogromną już żalością krzyknęła, twarz rękoma zakryła i z głośnym płaczem do wpółotwartej bokówki wybiegła. Konstanty czapkę z okna schwycił i, głośno sapiąc,

cały gniewem ziejący, na podwórko wypadł. Wszystkie pozostałe w świetlicy kobiety porwały się z miejsca i do bokówki za Salusią wpadły. Czy im się jej żal zrobiło? czy uczuły, że na tę hardą dziewczynę złość i krzyki nie podziałają, i trzeba innych sposobów użyć? — dość, że za przynkniętymi drzwiami bokówki dały się wkrótce słyszeć głośne pocałunki, pieszczotliwe nazwy, tajemnicze szept, pojękiwania, wzdychania. Szwagrowie i stryjeczni, pocichu z sobą o czymś gadając, za Konstantym na podwórko wyszli; w świetlicy pozostał sam jeden Gabrys. Przez cały czas kłótni ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Salusi, przy każdym jej poruszeniu oczyma za nią wodził, a po każdym słowie, które wymawiała, potakująco głową trząsł i śmiał się z zadowoleniem widocznym. Najmniejszym słowem ani poruszeniem nie mieszając się do nader żwawej rozprawy, brał w niej przecież udział widoczny i gorący. Teraz, gdy w świetlicy zrobiło się cicho i pusto, spuścił głowę i ze splecionymi na kolanach rękoma zamyślił się głęboko. Ręce jego były chude i spracowane, czoło wysokie i zorane mnóstwem drobnych zmarszczek, o których przedwczesności świadczyły czarne włosy; zamyślony, usta wydymał tak, że wśród wklęsłych, podługowatych policzków wąsy sterczały mu naprzód, jak gęsta i twarda kępa szczeciny. Widać było, że mętnie nad czymś dumał, bo parę razy głową pokiwał, westchnął i ręką uczynił gest jakby zniechęcenia, albo wzgardy. Mogło się zdawać, że mówił do siebie: »nie-ma dobra na świecie!« albo »wszystko głupstwo!« Obudził się z zamyślenia wtedy dopiero, gdy kobiety jednocześnie do świetlicy powróciły i u stołu z jedzeniem zasiadły, powróciły zaś widocznie w stosunkach jak najłepszych, pogodzone i wzajem dla siebie rozczulone. Idąc, obejmowały się, szeptały pomiędzy sobą, chichotały; jedna tylko Salusia nie śmiała się, milczała i chociaż z gniewu ochłonęła, a nawet przymilające się do niej siostry od czasu do czasu całowała, w ściągniętych jej brwiach i wydętych ustach widać było rozżalenie i zamyślenie. Cokolwiek przecież czuła, nie odjęło to jej apetytu młodego, a zaostrzonego kilkomilową, odbytą dziś jazdą. Zapraszana więc przez siostry, jeść zaczęła ser, chleb z masłem, kielbasę, krajała, smarowała, mlekiem, które Panciewiczowa w dzbaneczku jej przyniosła, popijała; ale jakkolwiek czyniła to ze smakiem i dość żwawo, nie pozbyła się wyrazu zamyślenia i zmartwienia. Wtem wzrok jej padł na Gabrysia, i zgryziona twarz błysnęła przyjaznym uśmiechem.

— Gabrys — zawołała — dlaczego nie siadasz przy stole?

On znowu zaczerwienil się, jak burak, i z wielkiem zmieszaniem, kręcąc się na zydlu, swoim cichym, przytlumionym głosem odpowiedział:

— Dziękuję Salusi, bardzo dziękuję, mnie i tu dobrze!

Skinieniami głowy, z której opadał na plecy ciężki kruczy warkocz, przyzywała go ku sobie.

— Chodź! chodź! siądź tu przy mnie! tak dawno nie widzieliśmy się z sobą!

Ale on ani poruszył się, głową przecząco pokręcił.

— Dziękuję, — powtórzył — mnie i tu dobrze!

— Głupi! — szepnęła do Końcowej Pancewiczowa.

— Czy zawsze taki, jaki był?

— Taki sam! głupi Gabrys! gamoń, harbuz!

Ale Salusia odezwała się znowu:

— To zjedzże przynajmniej cokolwiek.

I z porcją chleba, masłem posmarowanego, w jednej ręce. a dużym kawałem kielbasy w drugiej, szła przyjaźnie uśmiechnięta, filuternie ku niemu mrugając. Ale on, z podniesionemi na nią oczyma, podawanej mu żywności nie brał, głową przecząco wstrząsał i odpowiadał:

— Dziękuję Salusi, bardzo dziękuję, ale nie głodnym, jeść nie będę!

Nalegać zaczęła. Usiadła przy nim na zydelku i, ręką głaszcząc go po ramieniu, prosiła:

— Zjedz-no, zjedzże, mój Gabrysiu!

Znać było, iż z tym zbiedzonym, pokornym człowiekiem łączył ją stosunek zażyły i bardzo życzliwy. Wypraszał się od jedzenia zrazu nieśmiało, zmieszany i razem uszczęśliwiony, lecz gdy nalegać nie przestawała, uśmiechać się przestał i prawie szorstko mruknął:

— Nie chcę, nie chcę! Niech Salusia wybaczy, ale jeść nie będę. Nie głodnym!

— Daj pokój, Salusia! — zawołała od stołu Pancewiczowa — powinno ci być wiadomem, że Gabrys u nikogo nie do gęby nigdy nie bierze. Widać pierogi u siebie je, kiedy go u ludzi chleb w zęby kole!

On zcicha odpowiedział:

— Pierogów u siebie nie jem, ale chleba od ludzi nie potrzebuję.

— Głupi! — szepnęła Zaniewska.

— Niby to taki dumny! — sarknęła Pancewiczowa.

— A dziurami w butach świeci! — zaśmiała się pierwsza.

Istotnie, Gabryś miał na nogach buty z długimi, mocno zrudziałemi od wynoszenia cholewami i gotującą się do odpadnięcia podeszwą.

Salusia do stołu wróciła, trochę na nieposłusznego gościa nadąsana, a gdy tylko usiadła, Pancewiczowa w jedno ucho, a Zaniewska w drugie szeptać jej zaczęły o czemś, z czego od czasu do czasu dosłyszeć było można: »chłopy, grubjany«, »jeżeli nie on, to rodzice«, »czy ty jego rodziców w ręce całować będziesz?«. »Ociec jego za pańszczyznę jeszcze w skórę brał!«

Tu do świetlicy weszli i mężczyźni: Konstanty, dwaj szwagrowie, strzeżny. Pierwszy wydawał się już ulagodzonym, nawet dość wesolym; chodził po izbie z rękami w kieszeniach i w zamyśleniu pogwizdywał zeicha: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! Co chwilę też stawał przed oknem i spoglądał na drogę, jakby kogoś na niej wyglądał i oczekiwał. Raz, przechodząc około stołu, Salusię po włosach pogłaskał, ale ona nic na tę pieszczotę nie odpowiedziała, tylko łzy do oczu jej nabiegły. Kiedy tak w padającym z okna, białem, śniegowem świetle siedziała nieruchoma, w ciemnej sukni, szczelnie ościskającej jej wysmukłą kibić, z chmurą czarnych włosów nad drobną różową twarzą, z ciężkim warkoczem na plecach i szkłem łez w oczach, wyglądała na istotę, która ciężko i prawie z rozpaczą nad czemś głowę sobie łamie, z czemś walczy, jakieś sprzeczności pogodzić usiłuje. Pancewiczowa zaś i Zaniewska ciągle jej coś do uszu szeptały. Kończowa, przysłuchując się cichemu ich mówieniu, zaczynała potakującą głową trząść, młoda bratowa zaś, obu łokciami o stół oparta i z brodą w dłoniach, na wszystkie otaczające twarze błękitnymi oczyma strzelała, to w tę, to w drugą stronę ucha nstawiała, aż nagle, na całą świetlicę donośnym, przewlekłym i gapiowatym głosem odezwała się:

— Wiesz co, Salusia? a jaby nie słuchała, żeby na twojem miejscu była! Dalbóg nie słuchałaby nikogo! Żeby Michał, zdaje się, sto razy chłopem był i ziemi swojej nie miał, jaby za niego poszła. Rodzonego ojca nie posłuchałaby i za Michała poszła!

Salusia drgnęła, zaczerwieniła się aż po brzegi włosów i nagle rozbłysłem okiem na bratową spojrzała.

— Dobrze tobie tak gadać, Emilka — szorstko sarknęła — kiedy twój Michał i nie chłop i ziemię swoją ma!

— Emilka tak gada, bo jest smarkata i rozumu żadnego nie ma! — gniewnie na bratową patrząc, zawołał Konstanty.

Ale mąż zgromionej kobiety w tejże chwili wyprostował się, ciemną rękę podniósł do czarnego wąsa i zawołał:

— Za pozwoleniem, Kostanty! Ja Kostantemu oświadczam, że do mojej żony takim sposobem przemawiać nie wolno! Ja nikomu nie pozwalam ubliżyć jej wyrządzać!

— To nacóż głupia? — odkrzyknął gospodarz.

— My u Kostantego o pożyczenie rozumu nie prosim...

Zaperzyli się obydwoj, jak dwa koguty. Michał na żonę wołał: — Chodź, Emilka — i za rękę ją już brał, z za stołu chcąc wyciągnąć, ale Pancewicz za ramię go pochwycił i perswadować zaczął. Nie łatwe to przecież było zadanie.

— Niechaj Kostanty gęby pilnuje! Moja żona nie jego sługa, aby na nią złość wywierał!

— Wolna droga do proga! Jeżeli komu w chacie mojej nie miło, może sobie miłszej gościny poszukać!

Pancewicz, z rozpostartymi ramionami, z jednej strony Konstatego, z drugiej Michała gestem i ruszaniem brwi powścią-gając, perorował:

— Człowiekowi na to rozum przez Pana Boga jest dany, aby pasjami swojemi rządził. Pasje, panie dobrodziej, to są djabły w człowieku umieszczone, a kto niemi nie rządzi, przemienia się w bydlę, panie dobrodziej! Michał! Kostanty! pocałujcie się!

— Bajki babom! Mam go całować za to, że mnie żonkę zlażał!

— Mnie też twoje całowanie tak pachnie, jak psu padlina!

Ale z za stołu ozwał się cienki, wcale tym razem nie gapiowaty, tylko rozkazujący głos Emilki:

— Michał, pocałuj się z Kostantym!

Trzy inne głosy kobiece zawołały:

— Kostanty, słyszysz? pocałuj się z Michałem!...

A Pancewicz za polę kurt ciągnął ich ku sobie, mówiąc:

— Na to Pan Bóg krewnych stworzył, panie dobrodziej, aby w zgodzie z sobą żyli...

— Michał, słyszysz? pocałuj się zaraz z Kostantym...

Minutę jeszcze nasrożeni i wahający się stali, aż Michał pierwszy do szwagra przystąpił i, za oba ramiona go ująwszy, w jeden policzek, a potem w drugi głośno pocałował, poczem już i Kostanty względem niego to samo uczynił, tak, że cztery pocałunki, jak cztery wystrzały, rozległy się po świetlicy, a kobiety za stołem w ręce klasnęły i zaniosły się od śmiechu.

W tej samej chwili, w drzwiach nagle i szeroko otworzonych, zabrzmiało silnym głosem wymówione pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu!

Kłótnią i godzeniem się zajęte, osoby znajdujące się w świetlicy nie patrzyły w okna i nie widziały wjeżdżających na podwórkę ładnych, podkutych sanek, z których wysiedli dwaj mężczyźni i, pod stajenką lejce dokola drzewa okręciwszy, ku domowi poszli.

Teraz we drzwiach stał człowiek z rudą jak ogień czupryną i wielką, wąsatą, piegowątą twarzą, rosły, okazały, a pogrubiony jeszcze przez biały barani kożuch, rzemiennym pasem przepasany, który miał na sobie, a z którym sprzeczność stanowiły zarówno świecące, wysokie buty, jak zgrabna, w rękę trzymana czapeczka.

— Pan Jaśmont! Pan Kazimierz Jaśmont! — jednogłośnie krzyknęły kobiety, a Konstanty, na którego twarz padła wielka radość, obydwie ręce gościa pochwycił i zawzięcie trząsł niemi dopóty, dopóki ten, uchylając się od progu, nie odsłonił stojącej za nim, wcale nie podobnej do niego figury.

Ręką na stojącego za nim młodziutkiego, cienkiego chłopca wskazując, przemówił:

— Mam honor rekomendować! Oto jest pan Władysław Cydzik, jedyny i najmilszy syn pana Onufrego Cydzika, z okolicy Cydziki Mniejszej...

— Znamy! Od dziecka znamy! — zawołały Pancewiczowa i Zaniewska, wstając i na spotkanie przybyłych idąc; Salusia zaś bardzo pobladła i, jak złękniony cień, cicho usunęła się daleko od kanapy i stołu, pod sam koniec pieca, w poblizze zydelka, na którym siedział Gabryś. Bo trzeba było chyba nie być szlachcianką i o Kazimierzu Jaśmoncie nic nie wiedzieć, aby nie domyślić się, co znaczyło, gdy przybywał w kożuch przyodziany i kawalera za sobą wiodący. Dostatni, wesoly, bardzo towarzyski, najlepszy na wiele mil orator, Kazimierz Jaśmont, dopóki się nie ożenił, bywał na godach weselnych najpożądańszym z družbantów, a po ożenieniu stał się pożądanym dla wszystkich uroczystości i obchodów, na których żonaci w pierwszych rolach występować mogli. Takiego białego kożucha zazwyczaj on nie nosił — gdzie tam! elegantem był i nawet złotny zegarek posiadał, a skoro kożuch taki na siebie włożył i tam, gdzie znajdowała się panna, z kawalerem przyjeżdżał, były to, tak, niewątpliwie i niezawodnie były to — swaty! Oprócz Salusi, żadnej panny w domu tym nie było. Więc swaty przybywały do niej, do niej zaręczonej, do niej w narzeczonym tak zakochanej, że i w tej chwili,

w tej chwili nawet więcej, niż kiedykolwiek, stał on przed jej oczyma, jak żywy, patrzył na nią, uśmiechał się do niej, — jej Jerzy, jej śliczny, dobry, najmiłszy Jerzy!

Spojrzała na brata i z rozradowanej jego twarzy, z hucznego i zamaszystego sposobu, w jaki przeze drzwi wołał na parobka, aby konia pana Jaśmonta do stajni wprowadził, odgadła, że te swaty były umyślną jego sprawką, że to on sam na dzień przybycia jej do domu przysposobił je i sprowadził. Doświadczyła takiego uczucia, jakiego doświadczać musi mucha, gdy jedną nóżkę uczuje już zaplątaną w pajęczynę — więc pobladła, zmieszana stała w kącie izby i, gibką, wysmukłą kibić naprzód nieco podając, wylęknionemi, ale zarazem i zaciekawionemi oczyma na dwu przybyłych patrzała.

Jeden z nich, Kazimierz Jaśmont, wyciągnięte ku parobkowi ramię Konstantego powstrzymującym gestem ujmując, mówił:

— Za pozwoleniem! Niewiedziomem jest jeszcze, czy ko-byłka nasza do stajni wprowadzoną ma zostać, lub też wspólnie z nami wprędce za wrota się wydalić. To się dopiero okaże, gdy o dekret dla siebie i dla niej zapytamy, a tymczasem pięknie proszę, aby w oczekiwaniu na ten dekret pod boskim dachem sobie powstała!

Jeżeli przedtem mogła była jeszcze istnieć wątpliwość jaka, teraz rzecz stała się jasną jak słońce. Koń pod boskim dachem na dekret oczekujący nie mógł przywieźć kogo innego, jak tylko — swata.

III.

Siedzieli obok siebie na wielkiej kanapie: jeden w białym kożuchu, jak dąb silny i rosły, drugi z całą możliwą wytwornością w czarny tużurek i jasny krawat ubrany, do latorośli cienkiej i wybującej podobny. — Zaledwie dwudziestoletni, wysoki a cienki, na twarzy bladawy i chudawy, Władysław Cydzik siedział bardzo wyprostowany, z otwartemi trochę ustami, nad którymi wysypywać się ledwie zaczynał ciemny puszek wąsów. Nie był brzydkim, w przyszłości nawet, ze swemi gładkimi plecami i dość delikatnie zarysowaną twarzą, mógł stać się przystojnym, ale teraz z całej jego postaci biła nieśmiałość, niezgrabność, niedojrzałość i można go było nazwać pacholęciem raczej, niż młodzieńcem.

Pancewiczowa, z energją, która malowała się wyraźnie

w wyostrzonym, jak nóż, jej profilu i żywych, jak wichurach, objawwszy ster gospodarstwa braterskiego, w pożyczonym od sąsiadki fartuchu, na wysoko podniesionej sukni, krzątała się po kuchni, sieni i przeciwku, odpowiedni traktament dla gości przygotowując. Z jej rozkazu szwagrowie i strzeżny stół od okna przed kanapę przynieśli, a ona resztki żywności, przez cały dzień spożywanej, szybko uprzątnąwszy, zasłała go grubem, lecz jak śnieg białem i w piękne desenie wytkanem, płótnem. Wszyscy dokoła stołu, lub nieco dalej, u ścian, posiadali i rozmawiali gwarnie, tłumliwie.

Ciemniało. Do napełnionej gwarem świetlicy wpływać zaczynał ten lekki zmrok, który w zimowe wieczory towarzyszy leżącemu na ziemi śniegowi i blademu światłu występującego na niebo księżycą; w zmroku zaś tym kształty i rysy ludzi, gęsto przy stole siedzących, mętnieć i szarzeć zaczynały. Przez jedno okno widać było gwiazdę, która pośród rozdartych obłoków zaświeciła wprost nad jaśniejącą w powszechnej szarzyźnie żółtą stodołą, przez drugie padł ukośny promień niewidzialnego stąd księżycą i złotą kratę położył na białej ścianie. Wtedy, z zapaloną niewielką lampą w obu rękach, weszła z sieni Salusia i, zwolna świetlicę przeszedłszy, lampę na stole postawiła. Siostra kazała jej zanieść światło do bawialnej izby, więc je przyniosła, ale dlaczego miała na szyi nieobecna przedtem czerwoną wstążkę, a kosę, która wpierv na plecy jej opadała, z tyłu głowy w węzeł zwiniętą? Jaśmont na jej widok porwał się z kanapy i łokciem szturchnął Cydzika na znak, że i jemu uczynić tak samo należy. Obaj kłaniali się: swat uśmiechnięty, przymilony, wyrażający uradowanie swoje nad tem, że panna Salomea po tak długim oddaleniu do ojczyzszego gniazda powróciła, kawaler, wyprostowany jak kolek, z szeroko otwartemi, w nią wpatrzonemi oczyma, w których, kędyś na dnie, ogniste iskierki zamigotały. Ona dwa razy dygnęła i po brzegi włosów zarumieniona, z uprzejmym jednak uśmiechem, śmiało odpowiedziała, że miło jej bardzo pana Jaśmonta widzieć, bo przecież pamięta, jak na weselu siostry jej, Zaniewskiej, družbował i z nią, wcale jeszcze pod ten czas niedoroślą, krakowiaka tańczył.

— Jeszcze, da Pan Bóg, i na pani weselu, choć już żonaty i podstarzały, tańcować będę! — wesoło zawołał Jaśmont i usiadł. szturchnięciem w łokieć dając znać Cydzikowi, aby uczynił to samo, czemu on był posłuszny, ale tylko jak maszyna, bo cała jego przytomność i uwaga skupiły się w oczach, ścigających odchodzącą od stołu Salusię. Odeszła najdalej, jak tylko mogła, bo

aż do drzwi, u których obok Gabrysia na zydelku usiadła. Gabrys powoli ku niej twarz obrócił, popatrzał na nią, uśmiechnął się i znowu siedział, jak przedtem, nieporuszony, a tak, zda się, z zydelkiem i ścianą zrosnięty, że żadna siła oderwałby go od nich nie zdołała. Może istotnie wielka jakaś siła zatrzymywała tu tego człowieka teraz, gdy tuż, tuż rozstrzygnąć się miał los tej dziewczyny. Ale Jaśmont z niczem nigdy ani śpieszył się, ani późnił. Nikt od niego lepiej nie wiedział, kiedy i co w jakich okazjach poczynać i kończyć wypada. Więc i teraz nic jeszcze o celu swojego przybycia nie powiadał, tylko szeroko rozprawiał o przedmiotach innych, jako to: o gospodarstwie i handlu końmi, który zyskownie prowadził, o świeżo zmarłym dziaduniu żony swojej i o wielkim żalu, którego z tej przyczyny taż żona jego, Jadwiga z Domuntów, doświadcza. Tymczasem jedni z pomiędzy obecnych głośną rozmowę z gościem prowadzili, inni czynili ciche uwagi nad przywiezionym przez niego kawalerem.

— Młodzieniaszek taki, że żał się Boże!

— A smarkaty jeszcze, ale tem łatwiej Salusia i kozła i barana zrobić z niego zdoła!

— Ze wszystkich kawalerów, jakie tylko są w powiecie, najbogatszy!

— Żeby i brylantowy cały był, jaby za niego nie poszła. Taka niedostała trawa!

— Jedynek, do wojska nie pójdzie, to i żenić się jemu pora, a gospodyni, slysze, potrzebują w chacie.

— Ociec, slysze, wszędzie oświadcza, że z pięknego domu żonkę dla syna wziąć życzy...

— Temuż go tutaj w swaty przysłał!

— Niczego nawet sobie, tylko że jeszcze bardzo niezgrabny... czysty kolek w ziemię wkopany!

Tu Pancewiczowa wniosła i umieściła na stole bochen chleba, talerze, łyżki cynowe i sztucce w drewnianej oprawie; Jaśmont też zaraz mniej mówić i bardzo zamyślać się począł, a gdy na stół butelka z wódką i druga z pitnym miodem jeszcze przybyły, ruchem głowy bujną czuprynę wtył odrzucił, po wszystkich spojrzął, chwilę jeszcze milczał, aż głosem zniżonym i jakby zasmuconym mówić zaczął:

— Otóż i nadszedł ten moment, w którym o losie naszym dowiedzieć się nam przyjdzie, a chociaż serce od niespokojności bije, lecz na dłuższe odkładanie też zgodzić się nie chce i rozkazuje mi wszystkich państwa pięknie prosić, abyście tego, co powiem, życzliwemi uszyszysłuchali.

Słuchali. Świetlicę zaległa cisza, wśród której słychać było lekkie szmery drzew za oknami. Jaśmont obie duże, piegowate ręce na stole położył i znowu mówić począł:

— Małżeństwo, wspólność żywota nierozdzielna mające, w kościele siódmy sakrament święty, rzecz przyrodzona człeku i pocziwa. Dobrze jest je zawierać, dobrze i zawieraniu jego ku pomocy stawać. Z tą pomocą ja panu Cydzikowi, tu przytomnym będącemu, chętnie przybiec zgodziłem się, do zacnego tego domu wspólnie z nim przybyłem, aby w interesie jego, najważniejszym, jaki tylko na świecie człowiek mieć może, życzliwem a prawdziwem słowem przemówić.

Tu zaczął wychwalać osobiste przymioty kawalera, jako to: pocziwość, trzeźwość, delikatność, synowską miłość; warunki urodzenia jego, jako pochodzi z familji godnej, u wszystkich w poważaniu będącej; warunki majątkowe, jako jedynakiem jest u ojca, bo choć siostry ma, ale te wyposażone i zamąż wydane, a ociec, można powiedzieć, że nie na zagrodzie już, ale jakby na osobnym folwarku siedzi, z półtory włoki dobrej ziemi mając, dom na dwa końce wyporzadzony, dziesięć pięknych krówek w oborze, sto drzewek fruktowych w młodym sadziku. A co tam u niego, obok tych rzeczy widzialnych, należeć się może takich, których nikt nie widzi, bo są ostrożnie schowane, ale które on, jako dobry ociec, dla najmilszego syna jedynaka pilnie zgromadza, o tem mówić nie potrzeba, ponieważ na dłoni okazać ich nie można, ale wszyscy znają pana Onufrego Cydzika i wiedzą, że syn i sukcesor pustych skrzynek i próżnej sakiewki po nim nie odziedziczy.

W tem miejscu mowę zawiesił i ruchem głowy ognistą czuprynę wtył odrzuciwszy, po obecnych wzrokiem wodził, wyraźnie wśród nich jakiejś jednej twarzy wyszukując; nie wynalazł jej jednak, bo ta, dla której głównie płynął potok jego swady, plecami stojących mężczyzn zasłonięta, w oddalonym kącie świetlicy stała. Stała i płonęła zarówno gorącemi, chociaż zupełnie sprzecznemi uczuciami gniewu i dumy. Gniewała się na brata, który tę pułapkę na nią nastawił, i zarazem olśniewała ją świetność tej pułapki. Już dawniej o bogactwach Onufrego Cydzika nieraz słyszała, a gdy teraz Jaśmont obszernie wyliczać i opowiadać je począł, aż jej się w głowie zakręciło na myśl, że panią ich zostać może.

Jaśmont zaś, po chwilowem milczeniu, znowu mowę swą rozpoczął:

— A dla jakichże to przyczyn kawaler tak zaletny, osobli-

wie tu, w tym domu, dozgonne szczęście swoje upatrzył i tę pannę, która jest jego najpiękniejszym przyozdobieniem, prosić i zaklinać postanowił, aby mu to szczęście zaofiarowała? A to dla tych przyczyn: że dom ten jest godnym, a zdawna urodziwością i cnotliwością swoich białych głów słynącym, i że ta panna jest tak zaletną, iż jej równej trudno byłoby na całym świecie znaleźć.

I jak przedtem zalety kawalera, tak teraz te, które pannę przyozdabiały, wyliczać począł. Czynił to zaś w dość osobliwy sposób, bo, powiedziawszy naprzód, że przeddziady w doskonałej pannie sześć przymiotów na *p* rozpoczynających się upatrywali, z twarzą, niby w wysiłku pamięci ku sufitowi podniesioną, na szeroko rozstawionych palcach rąk owe sześć *p* wyliczał. Pierwsze tedy: pobożna, Boga obrazić jakimkolwiek grzechem albo przestępstwem bojąca się; drugie: piękna, co tłumaczenia nie wymaga, bo wszelkiemu oku jest widzialnem; trzecie: pracowita, czyli rączek na krzyż nie zakładająca i wszelkiej roboty potrzebnej i pożytecznej imająca się chętnie i umiejętnie; czwarte: pokorna, mężowi, jako też rodzicom jego i wszelkim dobrym przykazaniom ludzkim ulegać lubiąca; piąte: przystojna, co znaczy, że skromną, grzeczną, wszystkim przypodobującą się być potrafi; szóste: posażna, ale to choćby i przekreślić można, bo gdzie znajduje się pięć *p*, tam szóste, jeżeli znajdzie się, to dobrze, ale jeżeli i nie znajdzie się, to o nie bynajmniej! Panna Salomea Osipowiczówna pięć *p* posiada, a z szóstym niech już będzie podług woli i łaski jedyne go jej brata i opiekuna, bo chociaż pan Cydzik tej łaski nie odrzuca, lecz też i granic żądanych jej nie naznacza i, nie jeszcze o szóstym *p* nie wiedząc, przez usta jego prosi i zaklina, aby panna Salomea Osipowiczówna rączki swojej i dobrego serca mu nie odmawiała, i aby jedyny jej brat i opiekun był przed najmilszą siostrą swoją jego życzliwym pośrednikiem i orędownikiem.

Skończył i chustką z za kożucha wydobytą pot z czoła otarł. Gorąco mu też musiało być w kożuchu; świetlica bowiem, z dobrze ogrzany m piecem i pełna ludzi, napełniała się coraz większą ciepłością i duchotą. Ale taki już z Kazimierza Jaśmonta człowiek był, że gdy raz przyjął do spełnienia jakąś towarzyską i sąsiedzką misję, żadna przykrość przykrością mu się nie wydawała. Teraz także, pocąc się i na całej piegowatej twarzy gorząc, minę miał rozpromienioną, siebie i swojej sprawy pewną, i tylko nieduże, siwe jego oczy ciekawie pośród obecnych jednej jakiejś twarzy upatrywały. Ale Salusia stała ciągle w kącie izby,

plecami mężczyzn zasłonięta i ze spuszczoną głową tak się zamysliła, że aż czarne brwi zbiegły się nad jej oczyma i utworzyły chmurę prawie posępną. Wzaniem na twarzy Konstantego nie było żadnej chmury. Ponieważ u końca mowy swojej swat odwołał się do jego pośrednictwa i orędownictwa, więc z głową podniesioną i jedną ręką na kłębie opartą, wnet odpowiedział:

— O mojem przyzwoleniu i życziwem do siostry pośredniczeniu niech pan Władysław Cydzik nie ma żadnego wątpienia. Owszem: przyzwałam, błogosławię i za promocję dla siebie, jako i dla siostry mojej, poczytuję... A, żeby na to dowód złożyć, oświadczam, że siostra moja i bez szóstego p nie pozostanie i jeżeli za pana Cydzika wyjść się zgodzi, 600 rubli posagu na stół...

Urwał, spuścił głowę, chwilę pomilczał, poczem ciszej nieco mówić dalej zaczął:

— Choć niektóre ludzie inaczej mówią (tu ukosem na starsze siostry zerknął), podług zdania mego, najmłodszej siostrze najwięcej ode mnie się należy, bo maleńką jeszcze i ledwie troszkę od ziemi odrosłą umierające rodzice mnie ją przyporuczyli, i ja jej prawie ojcem byłem...

Głos mu drgnął, oczy zwilgotniały, więc otarł je wierzchem ręki i. prędko głowę podnosząc, przyśpieszoną mową kończył:

— Sześćset rubli posagu ona ode mnie otrzyma na stół, w gotówce. Trzy krowy też z obórki mojej niech sama sobie wybiera, a o kobiecych łachmanach to już starsze siostry pomyślą, ja zaś i w tem dopomogę.

Mówił teraz bardzo głośno, wysoko głowę trzymał i z energicznym gestem dokończył:

— Tak obiecuję i obietnicy dopelnię, choć mnie to może i z wielkimi trudnościami przyjdzie. Ale, kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży. U mnie tak!

Zaraz też, oglądając się za siebie, zawołał:

— Salusia!

Z rękami skrzyżowanemi u piersi, co postawie jej wyraz energii nadawało, zbliżyła się, przed stołem stanęła i zaraz niewątpliwie posiadania dwóch przynajmniej p jasno dowiodła. Piękność jej, według słusznego wyrażenia się Jaśmonta, wszelkiemu oku była widzialną, a przystojność okazała się w zgrabnym, ku swatowi zwróconym dygu, w uprzejmym uśmiechu, do którego usta zmusiła, i w bardzo grzecznym sposobie, jakim wypowiedziała słowa następne:

— Za honor i greczność ślicznie dziękuję i panu Cydzi-

kowi życzliwą jestem, ale, zaręczoną już będąc, nikomu innemu, oprócz narzeczonego swego, nie obiecywać nie mogę.

Konstanty aż zatrzęsł się od gniewu; on pewny już był, że świetnemi zaletami konkurenta i braterską hojnością olśniona, Salusia żadnego oporu stawiać nie będzie. Była też ona istotnie olśniona, niemniej przecież opór stawiała. Tuż za nią stojąca Panciewiczowa, z gniewu czy dla przestrogi, szturchnęła ją w bok pięścią, szwagrowie stęknęli i sarknęli, Końcowa do ucha jej szeptała:

— Salka! bój się Boga! taki los!

Ten tylko, kto najwięcej zmieszać się i obrazić był powinien, mianowicie swat, zachował całkowitą pogodę i pewność siebie. Przyjaźnie, trochę filuternie na dziewczynę spoglądając, swobodnie po stole grubemi palcami przebierał i z uśmiechem mówić zaczął:

— O tem, że panna Salomea jest zaręczoną, już nas głosy publiczne uwiadomiły, ale my, nie zważając na to, przybyliśmy z nadzieją, że ten węzeł rozwiązany, a drugi zawiązany być może. Ja o narzeczonym pani nic złego nie wiem i nie powiem; może on i dobry jest, ale dobre przy lepszym taniej. Kiedy zaś jeden kawaler cudzy a drugi swój, jeden poważny, a drugi upośledzony, jeden dozgonnej towarzysze swej dostatki i wygody wszelkie ofiarowujący, a drugi nie posiadający i takiego nawet kamienia, na którymby mu wolno było głowę położyć — to który lepszy?

Dla nikogo z obecnych rozstrzygnięcie tego pytania najmniejszej wątpliwości nie pozostawiało; to też kilka głosów męskich i kobiecych ozwało się chórem:

— A jakże! a pewno! ma się rozumieć!

— Może być, że mój naręczony jest cudzy, i upośledzony, i własnego swego kamienia nawet nie posiadający, ale ja jemu przyrzekłam i słowa dotrzymać muszę.

Tu wypadkiem wzrok jej padł na konkurenta, który, z otwartemi wciąż ustami, jak kolek wyprostowany, wlepił w nią takie smutne, rozżalone i razem błyszczące oczy, jakby wszystko, co w nim było życia, uczucia, przytomności, w tych oczach zebrało się i zapaliło. Przy gapiowatej minie i kołkowatej figurze, te rozkochane i zasmucone oczy tak śmiesznie wyglądały, że pomimo wielkiego i wcale nie wesołego wzruszenia Salusia o mało śmiechem nie parsknęła. Jak krew czerwone jej wargi drgnęły, i zatrzęsa się broda; jednak silnie w zębach język ścisnęła i śmiech zdławiła w gardle, bo niechże Bóg broni,

aby miała naigrawanie jakie okazać tak grzecznym i zaszczytnym swatom! Jaśmont, powtórna jej odmowną odpowiedzią jeszcze nie zrażony, poważnie, pogodnie przemawiał, że dane słowo jest rzeczą ważną, i pięknie to za panną Salomeą przemawia, iż dotrzymać go żąda, ale, że co się tyczy małżeństwa, to tutaj przysięga tylko przed ołtarzem świętym złożona dwoje ludzi na wieki wiąże, a dopóki jej nie było, wszystko można pocziwie i przystojnie rozwiązać, nikomu ubliżyć nie czyniąc, ale jednej stronie zarówno jak drugiej, drogę do szukania szczęścia wolną pozostawiając.

Tu Pancewiczowa swatowi w mowę wpadła i donośnie zawołała:

— A pewno! ten pan może sobie inszą żonę znaleźć i dla niego daleko od Salusi stosowniejszą. Chłopinek, chwała Bogu, niemało na świecie!

— Temu panu, jeżeli dobrowolnie od mojej siostry nie odczepi się, ja wszystkie zęby w gardło wepchnę! — prawie zaręczał już Kostanty.

Salusia zaś z błyskawicą w oczach zaraz odpowiedziała:

— Do tego pana ja bardzo przywiązana jestem, a żebym też i przywiązaną nie była, słowa jemu dotrzymać muszę.

Tym razem Jaśmont już zmarkotniał, rudawe, gęste brwi zjeżył i ze spuszczoną głową zamyślił się. Wśród obecnych zaś zakotłowało jak w garnku, ale zcicha, wrzawy bowiem przy obcych i w tak uroczystej okazji robić nie wypadało, więc mężczyźni sarkali:

— Babskie bałamuctwa!

— Ot, jak zaskaliła się w postanowieniu swoim!

— Ziółko mieć będzie, kto taką weźmie!

Konstanty, za siostrą stojąc, za rękaw ją targał i, jak mu się zdawało, pocichu, w rzeczy samej wściekle, więc głośno, szeptał:

— Salusia, upamiętaj się, bo, jak Boga kocham, wyrzeknę się ciebie, grosza nie dam, na próg nie puszczę!

Siostry wzdychały, jęczały, szeptały, ale Salusia stała, jak słup, niczego dokoła zdając się nie widzieć i nie słyszeć, tylko amarantowe rumieńce policzki jej okryły i z pod spuszczonych powiek stoczyły się dwie łzy.

Jaśmont głowę podniósł, głęboko westchnął i zaraz potem, uprzejmie uśmiechając się, rzekł:

— Choć nas tutaj i niespodziewana konfuzja spotkała, my jednakowoż interesu naszego za przegrany nie uważamy. Czas

traci, czas płaci. Nie skrzywdzi siebie pan Cydzik, jeżeli tak zaczęj pannie czas do namysłu zaofiaruje. Smętnie to jest w oczekiwaniu na dekret zostawać, ale cierpliwość w niebo wwdzi. My też cierpliwymi będziemy. Wszystko jedno, trzeba nam stąd do Bohatyrowicz jechać, gdzie ja żonine dziedzictwo do obejrzenia mam, a pan Cydzik krewnych swoich odwiedzi. Wracając zaś, czy tak, czy inaczej, tędy nam droga, więc pan Konstanty Osipowicz wybaczy częstych gości, ale jutro o tej samej porze wstąpimy znowu, aby raz jeszcze do rozwagi i dobrego serca panny Salomei zakolać.

— Proszę, owszem, najpiękniej proszę! ślicznie prosimy! tak miłych gości z niecierpliwością oczekiwać będziemy — ozwali się wszyscy, i na wszystkie twarze spadł wyraz uradowania z tego, że sprawa stanowczo rozstrzygniętą jeszcze nie została. Filut-bo z tego Jaśmonta! krótko, zdaje się, myślał, a jak wymyślił! Noc i dzień wiele znaczą, i kto wie czy do jutrzejszego wieczora tej upartej kozie rozum i ambicja nie powrócą. Pancewiczowa, jak wichurka szybka, przyniosła z kuchni dwie dymiące się salaterki, z których wychodziło piskliwe skwierczenie dosmażającej się w gorącej strawie słoniny, i wszyscy razem goście na wieczerzę zapraszać zaczęli. Jaśmont przecież z czapką w ręku za stołem wstał, Cydzikowi szturchnięciem w łokieć oznajmił, że tak samo ma uczynić, i zaczęły się ceremonje. Swatowi i odpalonemu konkurentowi jeść, zwłaszcza też pić, w domu panny nie wypadało; z drugiej jednak strony, odpalenie za stanowcze uznanem nie było, ani przez swata, ani przez familję panny, i jutro we wcale inszy dekret przemienić się mogło. Przytem z salaterek buchały wraz z parą zapachy nadzwyczaj smakowite i obiecujące; więc skończyło się na tem, że obaj usiedli znowu i do jedzenia zabrali się z apetytem, który wszelkie przypuszczenie rozpacz lub nawet smutku stanowczo oddalał. Na wypicie jednak czegokolwiek Jaśmont za nic zgodzić się nie chciał, a naśladował go w tem Cydzik, niebawem też, o tem i o owem przy jedzeniu pogadawszy, swat powstał i oświadczył, że pora w drogę ruszać, tem bardziej, że do Bohatyrowicz jadąc, Niemen, choć i po łodzi, ale zawsze z ostrożnością przebywać trzeba. — Ze wszystkiemi żegnał się pięknie, ale najpiękniej może z Salusią, którą w rękę pocałował, poczem, pilnie i dość długo w same oczy jej popatrzywszy, zcichą rzekł:

— Taki kwiatek do kożucha przypinać, krzywdą ludzka i obraza boska!

Nakoniec, we drzwiach jeszcze odwrócił się do wszystkich i z czapką w rękę, kłaniając się, rzekł:

— Pokój temu domowi!

— I temu, co mówi! — kłaniając się także, chórem odpowiedziały kobiety.

W kilka minut potem Salusia stała pośrodku izby, tak przez siostry otoczona i ściśnięta, że ledwo ją z za nich dostrzec było można. Obejmowały jej kibić i szyję, głaskały, upominały, groziły, prosiły.

— Dla jakiej przyczyny ty, Salka, nas wszystkich żalem karmisz?

— Czy ty cudzego człowieka nad familję własną, nad dom rodzony, nad strony swoje wyniesiesz?

— Szcześnie to jeszcze, że ten Jaśmont taki rozumny człowiek, a żeby nie to, jużbyś zginęła...

— Sióstr i brata za grosz nie dostaniesz, a nie zastąpi ci ich mąż — zwłaszcza taki!

Końcowa nawet, zupełnie już przez dzień ubiegły, a szczególnie przez zaszle swaty, na stronę familji przeciągnięta, perswadowała:

— O niego ty się nie bój! Pocieszy się prędko, o jej! Ja tobie tego wpierw nie mówiłam, ale wiem dobrze, że on wielki bałamuć, do zakochania się łatwy. Wprędce też pewnie drugą sobie znajdzie.

— O sobie najwięcej pamiętaj — mówiły inne — domu ani łomu mieć nie będziesz, w garść chuchać będziesz, łzami do grobu ścieczesz — z ośmiorgiem dzieci!

Z paplającej gromadki wydobył się rozpaczliwy głos Salusi:

— Dlaczego z ośmiorgiem? ot już koniecznie i z ośmiorgiem? Ty sama masz tylko troje, a Marylka dwoje...

— To nic, że mam troje, a Marylka dwoje, ty ośmioro będziesz miała, z pewnością ośmioro, jak Bóg na niebie, ośmioro! gdzie ty to podziejesz, kiedy on ani ziemi, ani chaty nie ma, brat zaś tobie ani grosza posagu nie da?

— Ot, podziękowałabyś bratu, pocałowałabyś go w rękę, że taki hojny dla ciebie, jakim nigdy dla nas nie był, i skorzystałabyś z jego łaski!

— To i podziękuję! — zawołała Salusia i, wyrwawszy się ze ściskającej ją gromadki, podbiegła do Konstantego, który, u okna stojąc, do niczego się już nie mieszał i, wściekle kręcąc

wała, z niedbałością niby pogwizdywał: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! Podbiegła i w oba policzki kilka razy go pocałowała, mówiąc:

— Dziękuję, Kostuś, za twoje dobre chęci, za twoje żalowanie, za twoją życzliwość, dziękuję Kostuś, dziękuję!

On usuwał ją i odwracał się niby gniewnie, ale zukosa ruchy jej twarzy wzrokiem śledził, a widząc, że naprawdę wdzięczną jest i rozrzewnioną, parę razy też ją wzajemnie pocałował i zapytywać zaczął:

— A będziesz jutro grzeczną? a będziesz rozumniejszą?

W tej chwili z gromadki niewiast wyskoczyła mała, szczupła, płowowłosa Emilka, strzeczną bratowa, i jako to młoda, bo zaledwie ośmnastoletnia, była kobieta, jęła jak fryga okręcać się po świetlicy, w ręce klaszcząc i przyśpiewując:

— A jaby nie poszła! a jaby nie poszła! Żeby on i bryljantowy cały był, ten kolek, jaby za niego nie poszła!

I kręciła się póty, póki nie dokręciła się do męża, na którego kolanach usiadłszy, dośpiewała:

— Żeby Michał sto razy chłop był i żeby sto razy swojej ziemi nie miał, jaby za niego poszła, dalibóg za nikogoby nie poszła tylko za niego!

Rozśmieszony i może uradowany, niewiele zresztą familijną tę sprawę do serca biorący, Michał na całą izbę wybuchnął głośnym, dźwięcznym śmiechem.

— Niech Emilka przestanie wyrabiać i wygadywać głupstwa! — krzyknął Konstanty, a Salusia, rękę swoją z jego ręki wyrwawszy, jak strzała wybiegła do sieni, na ganek i na podwórko.

Ta głupia Emilka i ten jej mąż Michał przez cały dzień serce jej szarpali. Ile razy na nich spojrzała, zawsze musiała pomyśleć, że jej z Jerzym byłoby tak samo mile i dobrze, jak im jest z sobą, a teraz znowu ten Michał zaśmiał się zupełnie tak samo, jak śmiał się Jerzy, ile razy mu coś uciészego i miłego powiedziała. Ten śmiech, do śmiania się tamtego zupełnie podobny, tak jej w samą głąb serca poszedł, że wyleciała z izby, nie nie myśląc, ale tylko czując, że musi gdzieś lecieć, tak, jak to czuje człowiek, na którym zapali się suknia. Ona także była cała w ogniu: policzki jej, czoło, oczy i ręce płonęły. To też wprost z ganku, aż na środek podwórza wybiegła, jakby uciekać zamierzała. Istotnie, na środku podwórka stojąc, patrzyła na drogę, której nieduży kawałek widzialnym był pomiędzy dość wysokim plotem a wielką, żółtą stodołą. Po głowie jej kręciły się myśli: żeby tak na tę drogę wylecieć i lecieć, uciekać od

tych krzyków i naigrowań, od tych prośb i gniewów, od swoich własnych strachów i niepewności! Boże, jak dobrze byłoby, żeby mogła zalecieć aż do niego, poskarżyć się, uspokoić, upewnić się znowu o swoim postanowieniu tak, jak upewnioną była dopóty, dopóki widywać go nie przestała, a ludzie nie zaczęli kłaść jej w uszy różnych okropności! Sześć mil tylko stąd do Laskowa: co to dla niej znaczy, dla niej, silnej, zdrowej i nie wiedzieć ile mil ująć mogącej?

Zdjęła ją tęsknota ogromna i taka chęć zobaczenia Jerzego, wygadania się przed nim, że ptakiem, zdaje się, leciałaby po tej drodze, przez te białe pola, których pustki i rozległości nie lękała się bynajmniej, bo były jej dobrze znane, swoje, a teraz nawet udręczoną przez swarliwą wrzawę i nakładane na nią kajdany, nęciły ją ku sobie ciszą i swobodą. Leciałaby do niego temi polami, jak ptak, jak błyskawica, i zdaje się, że, lecąc, śpiewałaby jak ptak i paliłaby się jak błyskawica od radości, że do niego leci — ale nie można! Przystojność i ambicja nie pozwalają. Byłby to wielki wstyd i grzech; myśleć nawet o tem nie podobna.

Odwróciła oczy od drogi i zwolna poszła ku niskiemu płotkowi, który rodziną jej zagrodę od najbliższej sąsiadującej rozdzielał. Nogi jej po kostki w śnieg zapadały, ale nie dbała o to wcale, bo wszelkie drogi: ośnieżone, albo ulewą zmoczone, kamieniste czy gęstemi trawami zarosłe, były jednostajnie dla stóp jej, bosych czy obutych, znane, swoje, zwyczajne. Nie wiedziała nawet czem jest, i że jest na świecie troska o wygodne i zdrowe chodzenie. W śniegu przy płotku stanęła i łokciami na nim wsparta, z brodą w dłoniach, zaczęła się przypatrywać sąsiedniej zagrodzie, którą dobrze widziała, bo księżyc, jakkolwiek ukryty za białemi obłokami, całe niebo oblewającami, rzucał przez nie na ziemię przyćmione srebrnawe światło. Z tem łagodnem i monotonnem światłem łączyło się w przestrzeni powietrze spokojne, trochę zwilgłe i tak ciche, że tylko kiedy niekiedy wiatr z pola lecący, szemrząc, przebiegał drzewa i na chwilę gałęzie ich rozchyłał. Wtedy, z za rozchylonych i trochę chwiejących się gałęzi, pobłyskiwały tu i owdzie oświetlone okna domów, od których zresztą nie dochodziły żadne gwary, ani głosy. Koguty nawet nie piał w tej chwili, i psy nie szczekały. Na rozłogu niezmiernym, gładkim, białym, od przyćmionego księżycowego światła smętnym i tajemniczym, szereg nierówno rozstawionych domostw, z okienkami, jak zaspane oczy, mętnie pobłyskującami, w swoich śniegach i drzewach,

w swoim samotnem oddaleniu od gwarne go świata, układał się do przespania długiej, zimowej nocy.

Zagroda, na którą patrzała Salusia, była za ledwie malutką zagródką. Domek o dwóch okienkach, chałupa raczej, niż domek, podwórko wąskie, jak zaułek, i cudzemi plotami zewsząd ściśnięte, w jednym małym budynku obórka i stajenka — ciasnota i ubóstwo — a za całą ozdobę kilka grubych, wyniosłych drzew.

Na tę zagródkę patrząc, Salusia myślała: oto jakie są skutki poniewierania radami ludzkiemi i majątkiem! Ten Gabrys mógłby być, tak jak inni, dostatnim sobie gospodarzem, gdyby był ludzi posłuchał i należące się mu grunta przez proces od brata odebrał. Kiedy to po kilkoletniej służbie w sąsiednim, wielkim dworze do okolicy wrócił, i całą prawie swoją posiadłość przez brata zagrabioną znalazł, wszyscy mówili mu, doradzali, krzyczeli na niego, aby bratu proces wytoczył. On zaś chciał i nie chciał, namyślał się, zwlekał, aż ręką machnął, te kilka morgów, które brat był łaskaw mu wyznaczyć, przyjął, tę chałupkę sobie zbudował i na zawsze już wyrzekł się i procesu i pięknego kawałka swojej ziemi. Tłumaczył się z tego przed ludźmi tak i owak: że brat kilkoro dzieci ma, że chociaż i ukrzywdził go teraz, ale wprzód hodował i edukował, że jeżeli z bratem za czuby się weźmie, sam jeden na świecie zostanie, bo oprócz jednej jeszcze siostry żadnej bliskiej familji nie ma. A ludzie śmieli się tylko z tych wszystkich jego tłumaczeń i wtedy to po raz pierwszy nazwali go »głupim Gabrysiem«. Lecz on i przedtem i potem jeszcze mnóstwo podobnych głupstw nawyrabiał. W tym wielkim dworze, do którego brat młodym jeszcze chłopcem na obowiązek go wyprawił, miejsce było bardzo korzystne, i gdyby na niem dotąd był pozostawał, możeby już i piękny majątek sobie zebrał. On zaś to miejsce rzucił i wrócił do okolicy, bo jacyś wyżsi oficjaliści niegrzecznymi względem niego się okazali: wołał więc, jak sam powiadał, chleb z wodą jeść, niż marcepany z ubliżą i hańbą. Tego także ludzie bynajmniej mu nie pochwalali, bo rzeczą jest wiadomą, że, na obowiązku będąc, zawsze coś znieść trzeba, o lepszej przyszłości myśląc, taka zaś duma, która choćby największych korzyści wyrzeka się, byle swoje zadowolenie mieć, jest głupią i grzeszną. Potem... no, co on zrobił potem, to już wszelkie wyobrażenie przechodzi. Na obowiązku będąc, choć i niedługo, ale zawsze przez lat kilka, trochę grosza zebrał, trochę, niedużo, ze dwieście rubli podobno, które tak przez brata obdarłemu i na nędznych kilku

morgach ziemi pozostawionemu, wielce przydać mu się mogły. Miał też na nie różne projekty: krówkę drugą kupić, bryczuszkę okutą sporządzić, szczepków fruktowych do zasadzenia sadziku sprowadzić zamierzał. Wtem przyjeżdża siostra, ta, co za młynarzem o półtorej mili stąd siedzi, i jak zacznie jęczeć, jak zacząć nie prosić: — Pożycz mnie swoje pieniądze, pożycz i pożycz, bo młyn u nas taki stary, i reparować go potrzeba, a nie mając za co uczynić tego, z dziećmi poginiemy! Sprzeciwiał się z początku, odmawiał, własną biedę siostrze pokazywał, aż gdy ona siedziała mu wciąż nad karkiem i siedziała, jęczała i płakała, wziął i pożyczył — na wieczne nieoddanie. Poprostu: ostatni grosz siostrze oddał. Wtedy już ludzie o mało ze śmiechu nie popękali, i przydomek głupiego Gabrysia ostatecznie przykleił się już do niego. Ale on o to jakby nie dbał i dwa razy jeszcze po swojemu zrobił: raz, kiedy stare ciotczysko niedołężne, swarliwe, którego nikt trzymać u siebie nie chciał, i które na żebrzy już miało iść, do swojej chalupy przyjął; drugi raz, kiedy z panną niemłodą i na twarzy bardzo czarną, ale posażną, ożenić się nie chciał. Sama Pancewiczowa swatała mu tę pannę; bo choć on i we wzgardzie zaczynał być u wszystkich, ależ zawsze krewnego jakkolwiek ratować i z biedy podnieść wypadało. Żadna posażna i młoda nie poszłaby za niego, wynalazła więc posażną i starą, a szpetną. On zaś za nic! — Naco mnie to? — mówił. — Mnie i tak dobrze. Ja nie niewolnik, aby mnie ktokolwiek, choćby i za największe pieniądze, kupował! — Tak i pozostał: biednym, że aż podeszwy od butów mu odpadają, i pustelnikiem; tylko zwierzątkami, kwiatkami i skrzypcami umila sobie życie. I cóż za korzyść z takiego życia? Ani wygody i przyjemności żadnej, ani honoru żadnego nigdy nie ma. Jedna krowa, jeden mizerny konik, kilka kur, które ciotka hoduje; przyjdzie gdzie, nikt nawet nie zauważy i siedzieć nie poprosi; odezwie się z czem, wszyscy, i nie słuchając, śmiać się już zaczynają, bo zgóry wiadomo, że głupi Gabrys nic mądrego powiedzieć nie zdoła. To też oddawna już nie chodzi nigdzie i nie odzywa się do nikogo. Jeżeli dla interesu lub innej jakiej przyczyny wsunie się gdziekolwiek, to zaraz przy drzwiach siada, aby nikomu na drodze nie zawadzać, i milczy, najmniejszego zaś jedzenia za nic w gościnie do gęby nie weźmie, widać dlatego, aby ci ludzie, którzy naigrawają się z niego i we wzgardzie go mają, nie pomyśleli czasem, że głodny jest i chleba ich pożąda. Miał i on swoją ambicję! i jaką! — Biedny jestem, to biedny — mawiał — głupi, niech sobie będę głupi, ale żebrakiem nigdy się

nie okaże, choćbym i z głodu zdychał! — Biedny, głupi Gabryś, ale dobry. Salusia zawsze lubiła go bardzo, i wiele dobra od niego doznała. Kiedy powrócił ze służby dworskiej i nazwę »Głupi Gabryś« dostawać zaczął, ona jeszcze małą dziewczynką była, więc tu, przy płocie brata chałupkę swoją wzniosłszy, często wołał ją do siebie, zabawki różne z drzewa dla niej strugał, ogródki zasadzał, płotki z kamuszków stawiał, a potem, ofiarowawszy się bratu na jej guwernera, czytania i pisania ją nauczył. To ostatnie wprawdzie udało mu się nie arcy-doskonale, bo za wielką miał do niej słabość, aby do nauki napędzać ją mógł, jak należało. Zawszeż jemu to winna, że całkiem ciemną i nieumiejętną nie pozostała.

Twarz na dłonie opuściwszy, Salusia myślała: — Żeby Gabryś zamiast tej chałupki miał ładny domek i zamiast małego kawaleczka ziemi wielki jej kawał, ludzie pewnie nie przezwaliiby go byli głupim i na jego dobroci poznali się doskonale. Chociaż procesowania się z rodzonym bratem, ani puszczenia na żebry starej ciotki, ani żenienia się ze szpetną panną dlatego, że jest posażną, nikt nie pochwala, jednakowoż, gdyby Gabryś to wszystko był uczynił, a przy tem dobry majątek miał, ludzieby go chwalili, poważali. Ot, co majątek znaczy! Nietylko wygody i dostatki przynosi, ale daleko ważniejszą rzecz, bo chluby i honory. Nietylko od głodu broni człowieka, ale i od tego, co nad głód boleśniejsze — od poniewierki i upośledzenia. Nic tak człowieka wysoko nie wyniesie i takiej spokojności do śmierci mu nie zapewni, jak majątek; nic też takiego naigrzawania się pomiędzy ludźmi nie obudzi, jak gdy kto, dla jakiegokolwiek przyczyny, majątku się wyrzeczce. Ot, jak na świecie jest! Boże mój, Boże, czemu to tak jest na świecie?

Pogrążona w tych myślach, które opłatywały zagadkę własnego jej losu, nie słyszała cichych stąpań człowieka, który wyszedł z chałupy i, spostrzegłszy ją za płotkiem stojącą, ku niej zmierzał. Cicho po śniegu szedł, bo na nogach nie miał butów, tylko grube, płócienne szmaty. W kapocie, poniżej kolan sięgającej, bez czapki, stanął przy niej i z cicha wymówił: — Dobry wieczór Salusi!...

Podniosła głowę, uśmiechnęła się do niego. Tak potrzebowała wygadać się przed kimś, wyskarżyć się przed jaką duszą przyjazną, a nięswarliwą, że ogromnie ucieszył ją jego widok.

— Jakże to dobrze, że Gabryś tu przyszedł! — zawołała — może Gabryś mnie co powie, może co poradzi. Ja taka biedna, biedna, biedna!

Z załamanemi rękoma, cicho i prędko szeptać zaczęła:

— Co mnie tu czynić? co mnie tu robić? Tak mnie oni męczą, tak straszą, takim wstydem karmią! Czy ich posłuchać, czy jemu słowa dotrzymać? Czy familji i majątku wyrzec się? czy jego opuścić? Oj, nie mogę ani jednego, ani drugiego zrobić! Niech Gabryś mnie poradzi! Mój drogi, mój złotny Gabrysiu, poradź ty mnie cokolwiek! pomóż ty mnie jakim sposobem, bo ja już taka biedna, biedna, że i sama nie wiem, co stanie się ze mną!

Po drugiej stronie niskiego płotku stojąc, słuchał tej skargi z pochyloną głową i policzkiem na dłoni opartym. Milczał dość długo, a potem powoli, z głębokim namysłem mówić zaczął:

— Co ja tobie poradzę? jak mi tobie radzić? Jeżeli za sercem pójdziesz, naubocz zejdziesz, dla ścieżki gościniec porzucisz, i źle tobie będzie na świecie. Tym ludziom, którzy, za sercem idąc, naubocz schodzą, zawsze na świecie źle.

Ona potakująco i z żalem głową wstrząsnęła.

— Gabryś sam na sobie tego doświadczył.

— A jakże! — odpowiedział krótko.

— No, to co? — zawołała — opuścić mnie jego...

I nie mogła dokończyć, bo łkanie zdławiło jej głos w gardle. Splecione ręce podniosła nad głowę i, walcząc z płaczem, mówiła:

— Ja jego nigdy nie zapomnę... nigdy nie zapomnę... nie zapomnę!

On z wahaniem się w głosie zauważył:

— Tego nie można wiedzieć. Jedno zachodzi, drugie wschodzi. Może też i dla Salusi insze słońce, tak samo, jak to, świecić będzie.

— Gabryś tak mówi — pośpiesznie zaszeptała — bo Gabryś jego nie zna i nie wie, jaki on śliczny, rozumny, dobry!

Możność mówienia o nim przed kimś, o kim była pewną, że przyjaźnie i bez naigrawania się jej słucha, sprawiła jej wielką ulgę, prawie rozkosz. Więc też, pośpiesznie, jednym tchem prawie szeptała:

— Osobliwie dobry. Wie Gabryś, że ja nawet i nie wyobrażałam sobie, aby na świecie mógł być taki dobry człowiek. Nie wiem jak tam dla kogo, ale dla mnie to taki był dobry, że czasem aż dziękowałam Bogu za to, że mnie takiego dobrego człowieka napotkać pozwolił. Podobałam się ja jemu, i on mnie podobał się odrazu, od pierwszego spojrzenia, zaraz też potem

do Końców przychodzić zaczął, bo Końca i wprzód już znał. Anulka zapraszała go, pięknie przyjmowała, bo mówiła, że na takiego ślicznego chłopca i mężatce popatrzeć miło. My też już i wiedzieliśmy o tem, co między nami jest: ja do domu nie chciałam powracać, a on do rodziców nie jechał, choć już i skończył służbę wojskową; ale nie mówił jeszcze ani słowa, i ja nie mówiłam, aż tu Anulki wszystkie dzieci okropnie się pochorowały, i taka bieda, taki smutek, i postrach zrobił się w domu, że niech Pan Bóg broni. Wtedy ja Anulce do pomocy stanęłam, a on mnie. Snu mu nie było, jedzenia nie było, ani żadnej najmniejszej zabawy. Ciągłe na nogach był, na usługach naszych, popychadłem naszym zrobił się, posłańcem, felczerem, pocieszycielem, towarzyszem. Bywało, mówię mu: — Niech pan choć na spacer pójdzie! — a on tylko ramionami ruszy: — Będzie pora do spacerów, kiedy bieda przeminie! — mówi. Wtenczas już ja poczułam, że na wieki przywiązałam się do niego; wtenczas też, jednej takiej nocy, kiedy i sam Koniec na tę zarazę zachorował, i Anulka przy nim, a my przy ich biednym synku, który potem umarł, siedzieli, on mnie wszystko powiedział. Kiedy biedy pokończyły się, my z wiedzą i przyzwoleniem Końców zaręczyli się z sobą, on mnie ot ten pierścioneczek na palec włożył... Boże mój, Boże! czy ja spodziewałam się wtenczas, że taka nieszczęśliwa i tak od niego odgradzona będę!

Ukazywała Gabrysiowi mały pierścionek z perelką, który na palcu miała, a potem mówiła znowu:

— Raz to i ja troszkę chorowałam, nie długo, trzy dni tylko, ale gorączka była taka, że musiałam leżeć. To, czy uwierzy Gabrys? — że kiedy Anulka w drugiej izbie dziećmi zatrudniona, on, bywało, przez całe szare godziny u łóżka mego klęczy i w nogi mnie całuje...

Twarz na dłonie spuściła, zalkała i nie spostrzegła, że człowiek, z drugiej strony plotku przed nią stojący, westchnął cicho, ale tak głęboko i ciężko, że aż zadrgała mu na piersi gruba kapota. Dotknęła ręką stanika, za którym zaszeleścił papier.

— Ot, dziś, przed samym wyjazdem, otrzymałam list od niego, odpowiedź na moje doniesienie, że brat rozgniewany i grozi, iż ani grosza posagu mnie nie da. Więc on na tę wiadomość odpowiada: — Ty o to nie dbaj, że posagu nie dostaniesz: mnie twój posag nie potrzebny. Ja ciebie choć w jednej koszuli wezmę, a jeszcze za szczęśliwego będę się poczytywał przez to, że wszystko ode mnie tylko jednego będziesz miała. — Ot, jaki on!

I jak mnie tu jego wyrzec się! jak mnie o nim zapomnieć, jak tu jego przehandlować na tego kolka!...

Tu, pomimo lez, które napelniały jej oczy, zaśmiała się:

— O, Jezu! jaki on śmieszny ten Cydzik! jaki niezgrabjasz! i taka niedostała trawa, taki smarkaty! Jaż od niego pewno ze trzy lata starsza!

— A pewno! — potwierdził Gabrys — jemu dziewiętnaście lat skończyło się niedawno. Ja o tem wiem.

I po chwilowem milczeniu, bardzo cicho, z trudnością jakby, rzekł:

— To niech Salusia za sercem idzie... niech na nic nie uważa, niczego nie lęka się i za sercem idzie!

Ona znowu, o płot oparta, nisko pochyliła głowę i znowu szeptać zaczęła, a w szepcie jej slychać było żal i nadąsanie:

— Łatwo to Gabrysowi mówić. Mnie familji szkoda. Brat dla mnie też dobry, i sióstr ja nigdzie na świecie drugich nie najdę. Oni mnie wyrzekną się, i noga moja nigdy już w tym domu, w którym rodziłam się i wyrosłam, nie postanie...

Rozzaliła się znowu i z płaczem walczyć zaczynała.

— Przytem okropny mnie wstyd zdejmuję, kiedy ludzie naigrawają się, że on jest nieszlachetnego urodzenia, i okropny strach, kiedy pomyślę, że on ani kawałka swojej ziemi nie ma, ani domu swojego, ani takiego kamienia, któryby miał prawo pod głowę sobie podłożyć. Jak, broń Boże, miejsce straci, to co będzie? Tulać się przyjdzie po świecie z manatkami. Nędza i hańba. A ten Cydzik z takiej familji i taki bogaty... i Kostanty tak wiele mnie da, jeżeli za niego pójdę, dwa razy więcej, niż dał siostrze... Co to jest na całe życie swój dom, swoją ziemię, swój posag i zgodę z familją i uważanie na świecie mieć! Oj, czemu to on nie z takiej familji jest i nie taki bogaty! Boże mój, Boże, jaka ja szczęśliwa byłabym, gdyby tak było! A teraz, to sama nie wiem, co mnie robić i w którą stronę iść! Sępy drapieżne w sercu mnie zasiadły i drą, zdaje się, na kawałeczki! Jak pomyślę, że jutro znowu te swaty przyjadą...

Zaniosła się od placzu, ale cichego, bo nie chciała może, aby ktokolwiek w domu rozmowę jej z Gabrysiem dopatrzył i podsłyszał.

On długo milczał, aż powolnym, miękkim gestem gładzić zaczął dłonią jej nisko pochyłoną głowę i z zamyśleniem, powoli mówił:

— Wyniesienia chce się, chluby, honorów, pewnych dostatków...

Urwał i jakby pożałował tego, co powiedział, smutnie głową zatrzęsł...

— Nic ja tobie nie doradzę, nic doradzić mocen nie jestem. Ja tego tylko żądam, aby tobie dobrze było, a po której stronie znajduje się twoje dobro? nie zgadnę. Sam sobie ja tak poradziłem, że drugim radzić sumienie mnie nie pozwala. Ludzie przezwali mnie głupim, może też i nie innym jestem, tedy nie mogę być swojej rady pewnym. Ale tego tylko pewny jestem, że czy ty za sercem, czy za ambicją pójdziesz, ja dla ciebie przygany nie najdę, bo jednego tylko żądam, aby tobie dobrze było...

I jeszcze ciszej dokończył:

— Niczego innego ja nie spodziewam się i nie żądam...
Niczego!

IV.

W laskowskim dworze obszerny dziedziniec napelniony był ruchem ludzi i zwierząt, mnóstwem zmieszanych głosów ludzi i rzeczy. Przedewszystkiem toczył się tam i aż na sąsiednie pola zataczał się turkot młócerni, potężny, basowy, do nieustającego ani na chwilę i tylko słabnącego czasem, a czasem wzmagającego się, grzmotu podobny. Przez bramę wjeżdżały i przez dziedziniec ze skrzypami ciągnęły szeregi sań przywożących drzewa przy leśnej trzebieży ścięte, długie pnie sosnowe z szeroko na wsze strony sterczącemi i w szyszki ustrojonemi gałęzmi. Stuki tych pni na ziemię zwalanych rozlegały się razem ze zgrzytaniem pily i stukaniem siekier, które wpobliżu wznoszonych stosów opałowego drzewa, przy każdym podnoszeniu się i opadaniu rzucały ostre, zimne połyski. Wielkie koło studni obracało się często, wyciągając z głębokości wiadra pełne wody lub napelniając nią koryta, do których przychodziły liczne i piękne stada koni i bydła. Ludzie donośnemi głosami przyzywali się i nawoływali; na stawie, za topolami kilkoro dzieci ślizgało się z głośnym krzykiem; psy oszczekiwały każde wjeżdżające na dziedziniec sanie, poczem śpiesznie wracały ku drzwiom piekarni i kuchni, które z kominów buchaly kłębamii dymu, a z otwierających się co chwilę drzwi zapachem razowego pieczywa i blaskami palących się w piecach ogni. Ruch, życie, dostatek, minuty zapelnione po brzegi, ręce zajęte po krańce sił, królestwo, w którym pod panowaniem Florjana Kuleszy wesołość, zarówno

jak praca, musiała być rzeczą znaną, powszednią. Pomiedzy błękitnem niebem, z bladżółtą tarczą słoneczną pośrodku, a iskrami zasianą białością ziemi, w czarnym wieńcu lasów, w powietrzu lekko mroźnem, rzeźwem, czystem, był to akord ludzkiego życia, triumfującego nad pozorną śmiercią natury, wrzątek ludzkich zabiegów i nadziei, zwyciężający jej chłód i srogość.

Florjan Kulesza ukazał się w otwartych wrotach stodoly, rumiany, z błyszczącemi pod barankową czapką oczyma, w krótkim, obcisłym kożusku i długich butach, krępy, raźny i silny. W ciemnawej głębi stodoly, wśród zasieków do połowy jeszcze zapelnionych i pachnących uszlęmi kłosami i ziołami, pozostawił on maszynę, która, warcząc, turkoczając, huczając, wybijała z rzuconych jej na pastwę więzi zbożowych twarde grady ziarn i szleszczące deszcze zmiętej słomy. Ziarna były czyste, równe, ważkie, słoma obfita, więc Kulesza miał minę i postawę człowieka zupełnie zadowolonego. Zziębłe ręce zacierając, rozglądał się po dziedzińcu, aż patrząc zaczął w stronę, w której zrzucano z sań przywożone drzewo, ogałacano je z szyszek, piłowano i rąbano. Ej, nastał-bo też teraz ruch i porządek z tem drzewem, które przedtem tyle kłopotu i zmartwienia mu przyczyniało! Za czasów starego nadleśnego nigdy go ani na opał, ani do poprawiania dworskich budynków we właściwej porze i w należytyim gatunku otrzymywać nie mógł. Przypominał, prosił, klócił się, skarżył nawet: nie nie pomagało, a szkody i niewygody wynikały z tego ważne i niemiłe. Teraz wcale co innego; wszystko idzie prędko, rześko, akuratnie, kiedy i jak potrzeba. Ten młokos wybornie zna się na tych rzeczach, a przecież i czyta o nich jeszcze, całemi niekiedy wieczorami zanurzając się w tych książkach, które sobie u głównego zarządu książęcych lasów uprosił. Do pracy ochotę ma wielką, ale jeszcze większą ambicję, i ta pchałaby go naprzód wtedy nawet, gdyby go kiedy i lenistwo opanowało. Zdaje się, że o przyszłości swojej nie byle jak myśli, to też i pewno będzie ją miał nie byle jaką. Onegdaj jeszcze przy wieczerzy powiedział:

— Gdybym był szkoły skończył... ho, ho! Ale i samemu wiele nauczyć się można, byle zdatność i ochota były. To już wiem, że z moich raportów tam w zarządzie kontenci, więc tak im w Laskowie las urządzę, aby za dwa, trzy lata do większego mię przenieśli!

Powiedziawszy to, zerwał się od stołu, a że wieczerza skończona już była, więc zawołał:

— Panno Aureljo! Panno Zofjo! Panno Karolino! Cztery kąty, a piec piąty!

Dziewczęta migiem w trzech kątach stanęły, ale Antek gdzieś się przepadł, więc, Boże odpuść! matkę, jak te drapieżne ptaki, porwali, aby czwartym kątem była. Jęczała, piszczęła, ale w kącie stanęła i dawaj latać od pieca, który pośrodku pokoju z rozpostartymi rękami stał, uciekając. Latając, jęczeć i pisać nie przestawała, co, przy malej i cienkiej jej figurce, czyniło ją bardzo do myszy podobną. Kulesza myślał, że pęknie od śmiechu, aż mu się też żal zrobiło żony, przez dzień cały dobrze stuptanej i. posadziwszy ją na stolku, sam latać zaczął. No, było to latanie, aż okna trzęsły się i podzwaniały, wcale też nie szybkie, a jednak dziwna rzecz, piec ani razu go nie złapał. Co złapie który z kątów, to pewnie dziewczyna, najczęściej Awrelka. Wiadomo, młody, choć zaręczony i zakochany, woli zawsze zakręcić nilynka z córką, niż z ojcem. Ale nie w tem złego, ani nieprzystojnego niema, broń Boże! Grzeczny jest, delikatny, nikomu nigdy ubliżenia nie wyrządzi, Awrelka zaś, zdaje się, że już amory z głowy sobie wybiła, jeżeli jeszcze miała je kiedy, bo mogło też to być wymysleniem matki, we wszelkiej rzeczy będę upatrywać, nad wszelką rzeczą jęczeć lubiącej. Tak zawsze z nią bywało. Urodzi się córka — jęczy: czemu nie syn? Urodzi się syn — jęczy znowu: czemu nie córka? Nieurodzaj — jęczy: z nędzy poginiem. Urodzaj — jęczy znowu: a co na przyszły rok będzie? Zachoruje ktokolwiek — jęczy: umrze już niezawodnie! Wszyscy zdrowi — jęczy jednak: pewnie wkrótce kto zachoruje! Tak i teraz do Awrelki upatrywała: »dziewczyna mizernieje, smętnieje, apetyt traci!« Złoży, bywało, ręce na kolanach i wzdycha: — Ach, Boże, mój Boże, do czego to miłość bez wzajemności doprowadzić człowieka nie może! — Ot, przypomniwała sobie babka dziewczęcy wieczór! pora jej o miłości bez wzajemności myśleć! Ale te baby, żeby nie wiedzieć jakie pocziwe i sterane, zawsze mają głowę do romansów przygotowaną. Dziewczyna tymczasem zdrowa jak ryba, czerwona jak róża, je jak rodzona córka Florjana Kuleszy, a w czterech kątach i piątym piecu lata, aż podłoga pod nią się trzęsie! W przyjaźni jest z Jerzym, to prawda, gadają z sobą często, ona mu czasem smaczniejsze jedzenie przysunie, albo, kiedy on w lesie, w pokoiakach jego porządek robi; ale cóż w tem osobliwego? Chłopiec jest miły, roztropny, do familji jakby już należący, a dziewczyna, zwłaszcza w ojcowskim domu, dla wszystkich grzeczną być powinna. Ot, ożeni się niebawem, żonkę tu przywiezie, i Teofila swoje babskie androny

pleść przestanie, bo co do jęczenia, to to jest w niej nieśmiertelnem. Nad tą materją już jęczeć nie będzie, nad drugą będzie... Zresztą, może i istotnie szkoda, że... W teraźniejszych czasach tacy, jak on, z pod każdego kamienia nie wyrastają. Pocziwość żony i krwawice teścia szanowaćby umiał, a może też czasem żonę wyniósłszy wyżej, niżby to jaki kiepski panicz potrafił uczynić. No, co z pieca spadło, to przepadło, i niema o czem myśleć! Lepiej oto trzeba jemu powiedzieć, aby nie dwadzieścia sążni drzewa ustawić kazał, jakem go był prosił, ale dwadzieścia pięć; bo nuż zabraknie?

W tej chwili ozwał się z ganku cienki, donośny głosik:

— Tatku! czy tatko zaraz na obiad przyjdzie?

Kulesza z połowy dziedzińca odhuknęła:

— Nie zaraz jeszcze, bo z panem Jerzym pogadać muszę.

Aurelka z ganku zbiegła i wkrótce znalazła się obok ojca; wysunęła się też z sieni Kuleszyna i zdaleka jęczała:

— Jezus Marja! A to już dawno pora ci jeść! Jak wygłodniejesz, to objesz się zanadto i, broń Boże, zachorujesz!

Ale za córką żwawo ku mężowi po śniegu dreptała.

Z oficyny wypadła średnia z sióstr, Karolka; ze stawu, gdzie ślizgały się z kilkorgiem chłopskich dzieci, jak ptaki zerwały się i przez dziedziniec leciały dzieci najmłodsze. Wszyscy już razem zbliżyli się ku miejscu, gdzie kipiała różna około drzewa robota. Opróżnione sanie z powrotem ku lasowi odjeżdżały, kilku ludzi z powalonych na ziemię drzew obierało szyszki i zsypywało je do wielkich worów, inni stukali siekierami, inni jeszcze wznosili stosy.

— Od strony słońca składać, od słońca, lepiej wysychać będą! — wołał Jerzy, a obracając się ku tym, którzy nad szyszkami pracowali, nadchodzących spostrzegł:

— Dzień dobry państwu!

Czapki grzecznie uchylił, do Aurelki uśmiechnął się i szepnął:

— A z panny Aurelji fałszywy jest prorok!

— Cóż ja panu Jerzemu przepowiadałam? już i nie pamiętam!

— Że dziś list miły będę miał.

— Czy nie przybył?

— Posłaniec z poczty przybył, lecz bez listu.

— A pan Jerzy niespokojny?

Zmarkotniał i cicho do dziewczyny mówić zaczął:

— A niespokojny jestem. Pani o wszystkim wie, bo ja

wszystko pani powierzyłem. Zdaje się, że lepszej przyjaciółki nad panią mieć nie mogę, więc i to powiem, że cały dzień dzisiejszy takie myśli mam w głowie: może oni ją za mnie bardzo męczą i prześladowają, może ona zachorowała, może jej w pisaniu do mnie przeszkody stawiają...

Chmury przechodziły mu po oczach i czole, gdy to mówił, Aurelka zaś, ze spuszczonei oczyma, końcem stopy, obutej w skórzany trzewik, esy na śniegu kreśliła, a po chwili zcicha odezwała się:

— Niech tylko pan Jerzy o jej wierności żadnego wątpienia nie ma, bo toby panu bardzo bolesnem było.

— Ja też tego wątpienia nie mam — z wyrazem silnego przekonania odparł — wiem dobrze, iż ona dla mnie, tak jak ja dla niej, zmienić się nie może... Ale zawsze takie przeszkody i nieprzyjemności...

— Kochającemu sercu wszystko łatwo, aby tylko do swego celu dojść zdołało...

— A skądże panna Aurelja wiedzieć o tem może, kiedy niedawno mówiła, że nigdy jeszcze w życiu nie była zakochaną?

Zmieszała się ogromnie i, jak zwykle bywało, gdy zmieszana lub niespokojną się czuła, zaczęła we wszystkie strony oczyma rzucać, a zarazem szyją i głową poruszać to w prawo, to w lewo, to wgórę, to wdół, co czyniło ją podobną do przełkniętego lub zaciekawionego ptaszka.

Kulesza tymczasem oglądał wzniesione już sążnie, i Kuleszyna też dokoła nich dreptała, jęcząc, że bardzo mokre, że z samego sosnowego drzewa zbudowane, że podpalek za mało w nie włożono... Zośka i Antek huścili się na jednej z leżących dokoła desek, Karolka i Aurelka, na wiórach przysiadłszy, zaczęły szyszki z leżących sosen obrywać, niemiłosiernie koląc sobie ręce o sosnowe igły. Wszyscy aż po kostki stali i chodzili w wiórach i miałkich opiłkach drzewa, które na znacznej przestrzeni, niby piaszczystymi wzgórkami, okrywały ziemię. Jerzy pokazywał dziewczętom szyszki, które na nasienie obrywać z gałęzi potrzeba: brunatne, błyszczące, z łuszczkami zasklepionemi żywicą, takie bowiem tylko są pełne ziarna, która zaś łuszczyki ma już otwarte i z żywicy ogolocone, ta na nic; nasienie z niej wysypało się, lub je wiewiórka i ptaki wyjadły. Dziewczęta usiłowały otwierać szczelnie zwarte łuszczyki szyszek i tego tylko dokazały, że na palcach ich osiadły bursztynowego koloru kryształki, z których ulatywał, do przeczcucia wiosny podobny, zapach żywicy. Wtem psy z zaciekłem ujadaniem rzuciły się ku bramie,

przez którą wjechały sanki, w ładnego, spasego konika zaprzężone. Siedział na nich człowiek w kozuchu, który też, konia u pierwszej topoli zatrzymawszy, z sań wysiadł i przez dziedziniec iść zaczął. Obcym był widać i pierwszy raz tu się znajdował, bo od psów, które go napastowały, batem się opędzając, szedł powoli i nieśmiało oglądał się na wszystkie strony. Zanim ktokolwiek słowo mógł wyrzec, Antek z zaimprovizowanej huśtawki zeskoczył, pędem puścił się ku przybywającemu i, psy rozpędziwszy, z zadartą głową, bo przybysz dość wysoki był, a on maleńki, kilka słów z nim zamienił, potem zaraz, równie wielkim pędem biegł napowrót, trzepocząc ramionami i zdala krzycząc:

— Do pana nadleśnego!... posłaniec z listem! pooo-słaaa-nieeec z Tooo-łooo-czek!

— A co? czy fałszywy prorok ze mnie? — szepnęła Aurelka do Jerzego.

On jakby w płomieniach cały stanął. Widać było, że ucieszył się ogromnie i wielką niecierpliwość uczuł, jednak, ku nadchodzącemu posłańcowi patrząc, krokiem nie ruszył się z miejsca. Może przez wstyd i dumę nie chciał przed wszystkimi okazywać, jak bardzo listu od narzeczonej pożąda. Wszyscy też pomilkli i z ciekawością na niego patrzyli; nawet trzej leśnicy, jego podwładni, przestali obrywać szyszki i, z pospuszczanemi rękami stanawszy, w niego wlepili oczy. Posłaniec też, od psów uwolniony, szedł prędko i wkrótce, ze stopami w opilkach i wiórach grzęznącemi, przed Jerzym stanął. Był to człowiek w znoszonym kozuchu i starej czapce, napozór gapiowaty, w gruncie jednak może i przebiegły, bo z pod brwi gęstych żartobliwy jakby wzrok w Jerzego wlepił. Naprzód nieco pochylony, za kozuchem u piersi szukał czegoś dość długo i ciągle na Jerzego patrzył.

— Kto ty taki? — zapytał Jerzy.

— Parobek od Konstantego Osipowicza — odpowiedział i nakoniec wyciągnął z za kozucha list, a Jerzemu go podając, rzekł:

— A to od Salusi Osipowiczówny... od panienki...

Przy ostatnim wyrazie uśmiechnął się pod zbiełałym od mrozu wąsem, ale Jerzy tego nie widział, bo, z niepodobnym już do ukrycia pośpiechem list pochwywszy, prędko rozdarł kopertę i nagle, ze zsuniętymi brwiami, z żyłami na czole krwią nabiegłemi, ręce opuścił. Z rozdartej koperty wypadł i u stóp jego, na pagórku miażdżących piłowin leżał, w promieniu słońca

błyszcząc, mały, złoty pierścionek z perelką. Aurelka krzyknęła, poczem, nierada z siebie, w obu garściach ukryła usta, Karolka i Zosia parsknęły śmiechem, Kulesza zaczerwienił się i szeroko wytrzeszczył oczy, Kuleszyna splasnęła rękoma i zajęczała: Jezus Marja!, jeden zaś z leśników poskoczył, pierścionek podniósł i Jerzemu podał. Uczynił to niby z grzeczności względem zwierzchnika, ale, młodziak i filut, niedawno przez Jerzego za niedopilnowanie jakiejś defraudacji w lesie zgromiony, z uciechy nad tem, co się zdarzyło, aż oczyma błyskał. A co się zdarzyło, wszyscy odrazu zgadli, bo i dziecko wie przecież, co znaczy, gdy z listu narzeczonej pierścionek wypada. Jerzy z pierścionkiem w ściśniętej ręce, w drugiej list trzymał i z zarumienionem czołem czytał. Nie długo czytał, bo list był krótki:

»Bardzo mnie jest przykro i boleśnie, że pana Jerzego pożegnać muszę, i to już na zawsze, ale widać taka jest wola Boska, i podług woli familji mojej postąpić mi trzeba, która mnie pięknie prosi, a jak nie, wyrzec się i przekląć obiecuje. Niech pan Jerzy będzie upewniony, że z wielką trudnością to postanowienie dokonywam, ale muszę, bo gdyby tak stało się, jak kiedyś myśleliśmy sobie i pragnęli, pewnie obojgu nam nie byłoby dobrze na świecie. Niech pan Jerzy będzie jak najszczęśliwszy, i niech wszystko na świecie panu sprzyja. Ja dla pana na wieki zostanę życzliwą, a teraz bardzo smutna jestem i, lzy wylewając, to piszę. Ten zaręczynowy pierścioneczek, który mam od pana, odsyłam, a ten, który pan ma ode mnie, proszę bardzo, aby pan na pamiątkę schował, od nieszczęśliwej i wiecznie panu życzliwej *Salomei*«.

Skończywszy czytać, Jerzy chwilę jeszcze na list patrzył, jakby przytomność odzyskać usiłował. Spokojnym też głosem, i tylko z czerwonym ciągle czołem, posłańca zapytał:

— Czy panna Osipowiczówna sama tobie ten list oddała?

Chłop, kłaniając się, odpowiedział:

— Sama, a jakże, sama! A Kostanty Osipowicz to tylko przykazał mnie panu powiedzieć...

Tu zawahał się, na wszystkie strony pokłonił się i dokończył:

— Kostanty Osipowicz kazał to tylko powiedzieć: że nie dla psa kielbasa, i jego siostra nie dla takiego, którego baćko jeszcze w skórę brał...

Mętą mgłą przysłonięte oczy Jerzego spotkały się w tej chwili z drwiącym trochę wzrokiem młodego, przed paru dniami zgromionego leśnika i z pełnemi zmieszania twarzami dwu in-

nych; na całym ciele drżeć zaczął, a na całej twarzy, tak płonąc, jakby krew z za skóry wnet mu trysnąć miała, z podniesioną ręką rzucił się ku posłańcowi. Ale Kulesza w mgnieniu oka pochwycił go za tę podniesioną rękę.

— Daj pokój! daj pokój! — śpiesznie i głośnie sapiąc mówił — posłanica nie wieszają i nie ścinają... Awrelka, zaprowadź go do kuchni i jeść mu daj... Chodźmy, panie Jerzy, do domu, bo i na obiad czas...

Chciał go pod ramię wziąć, ale Jerzy, cały kipiący, pierścionelek z małym turkusem z palca zerwał i na posłańca rzucił.

— Masz! Pannie Salomei powiedz ode mnie, że ja żadnych pamiątek od niej nie potrzebuje... a panu Osipowiczowi, że ja pięknie kłaniam się jemu i zapowiadam, że nie daj, Boże, aby on kiedykolwiek jeszcze przeciw ojcu mojemu językiem chlasnął, bo jeżeli to do uszu moich dojdzie, przyjadę i łeb roztraskam... Nie kijem, ani toporem to uczynię, bom nie zbójca, ale wprost kulą... ze strzelby!...

Wyprostował się, czapki uchylił i, rzekłszy: — Do widzenia państwu — szerokim krokiem ku oficynie poszedł. W kwadrans potem ze strzelbą na plecach szedł ku bramie. Karolka przez okno to zobaczyła i chciała biec na obiad go zapraszać. Ale Kulesza córkę powstrzymał.

— Daj pokój! Niech wysapie się z żalu i gniewu. W samotności łatwiej mu to przyjdzie, aniżeli pomiędzy ludźmi.

Po obiedzie Kuleszyna przybiegła do męża, który w pokoju, kancelarją nazywanym, do pisania rachunków zasiadł. Wydawała się nadzwyczaj zajęta, ożywiona i, na biurku mężowskim łokcie kładąc, zaszeptała:

— Czy Florjan wie, że ta panna już z kim innym zaręczona?... słyszę z Cydzikiem, który jeszcze smarkaty jest, ale jednak u ojca i bogaty...

— Od jakiejże to sroki Teofila wiadomość tę powzięła? — drwiąc niby z babskiej chętności do plotek, ale w gruncie zaciekawiony, zapytał Kulesza.

— A toż ten posłaniec Awrelce rozpowiedział, kiedy mu w kuchni obiad dawała. Dużo tam hałasu było — mówił — i prośnienia i grożenia, dwa razy swaty przyjeżdżały, za pierwszym razem zrekurowała, a za drugim zgodziła się narzeczoną pana Cydzika zostać...

— Taka to babska stałość! — mruknął Kulesza.

— Kiedyż, słyszę, familja tchnąć jej nie dawała... ciągle jej wyrzucali, że on chłop i ziemi swojej nie ma...

— Kpy, osły, bałwany, barany!

— Florjan mówi kpy, osły, bałwany, barany, a ja mówię, że pomyślawszy, to może oni rację mieli... Zawszeż to prawda, że on chłop...

Kulesza wyprostował się i tak na żonę spojrzął, że umilkła. Z wielką też stanowczością mówić zaczął:

— Niech Teofila posłucha. Ja Teofilę szanuję, bo matką moich dzieci jest i, zawsze pocztuwa, pracowitą kobietą będąc, mojego przywiązania nigdy nie zawiodła. Ale teraz, to mówię i poprzysięgam, że jeżeli Teofila kiedykolwiek przy nim, albo też i bez niego, choć słoweczko o jego chłopstwie **piśnie**... to... to...

Widocznie groźby dość silnej przez chwilę nie znajdował w głowie, aż pięścią w biurko uderzył i zawołał:

— To ja z Teofilą do rozwodu pójdę!...

Jak piorunem rażona, znieruchomiała, oczy wytrzeszczyła; jednak zarazem i śmiać się jej zachciało.

— U Florjana zawsze facecje... — zaczęła.

On przerwał jej mowę.

— To nie facecje... do rozwodu z Teofilą pójdę... jak Bóg na niebie...

Tu jednak na osłupiałą i przestraszoną żonę popatrzył, i aż wargi zaczęły mu latać od powstrzymywanego śmiechu.

— I z młodszą ożenię się, z ładniejszą, a zwłaszcza z mądrzejszą — dokończył.

— Florjan plecie... — zdołała nakoniec wymówić Kuleszyna.

— Wcale nie plotę i Teofilę upewniam, że jeżeli mnie w tym razie nie posłucha, coś złego zajdzie między nami... cokolwiek, ale złego! Bo to nie żadne facecje, komuś pochodzenie wypominać, ale po pierwsze — głupi zabobon, a po drugie — wielki grzech... daleko większy, niż w piątek i sobotę mięso jeść... Niechże Teofila lepiej już w piątki postu mi nie nakazuje, a głupią być przestanie i grzechu względem bliźniego swego nie popełnia...

Kuleszyna, wybornie męża znająca, spostrzegła, że z gniewu już ochłonął, i raz jeszcze do sprzeczki stanęła.

— Florjan o bliźnich mówi, a i Osipowicze, zdaje się, chrześcijanie tak jak my, jednak w nim bliźniego nie uwidzieli...

— Ot, i powiedziała! Wiadomo, że nawet Pan Jezus nie

zdołał wszystkich osłów i baranów w ludzi poprzemieniać! Ale co Teofili do tego? Byleby sama osłem, ani baranem nie była!

Tego dnia Jerzy przyszedł na wieczerzę o zwykłej porze, ale wyglądał wcale niezwykle. Zmieniony był, nie na twarzy, która owszem od długiego chodzenia po lesie żywiej niż kiedy była zarumienioną, ale w obojętności i postawie. Malowała się w nich niezwykle spokojność i obojętność; wydawał się więcej niż zawsze wyprostowanym i ze sposobu, w jaki powitał osoby, przy stole już zebrane, powiał chłód. Wyglądało to tak, jakby drugi lub trzeci raz zaledwie widział te osoby i nie życzył sobie wchodzić z nimi w stosunki poufale. Niegrzeczności najmniejszej nikomu nie zrobił; owszem, z Kuleszą rozmawiał przy wieczerzy o gospodarstwie rolnem i leśnem, Kuleszynie z pośpiechem podniósł i podał chustkę, która zsunęła się jej z pleców, do Aurelki poszedł i, wazę z zupą z rąk jej wzięwszy, na stole ją postawił. Ale wszystko to czynił nie tak, jak zwykle: bez zwykłej wesołości i poufaleści. Zaraz też po ukończeniu wieczerzy wziął czapkę i z grzecznym ukłonem, wszystkim życzenie dobrej nocy oddawszy, wyszedł. Ale przed nim jeszcze Aurelka wymknęła się z pokoju i, kiedy na ganek wychodził, zobaczył ją przy jednym ze słupów stojącą i prędko poruszającą głową, to wdół, to wgórę, to w prawo, to w lewo.

— Dobrej nocy, pannie Aurelji — rzekł i, minąwszy ją, już z paru wschodów gankowych zstąpił, gdy ona odezwała się zcicha:

— Panie Jerzy!

Obrócił się ku niej i stanął.

— Co pani każe?

Dziewczyna aż zatrząsła się cała.

— Ja nic nie każę! — zawołała — dlaczego pan taki jakiś... taki jakby pan nas wszystkich pierwszy raz w życiu swoim widział? Ja chciałam tylko panu powiedzieć, aby pan nie martwił się bardzo... mój panie Jerzy, mój drogi panie Jerzy, proszę bardzo nie martwić się... Wszystko przejdzie... może też Pan Bóg da, że szczęście znowu kiedykolwiek dla pana zaświeci... może...

Widocznie nie wiedziała już co mówić dalej, jak pocieszać; w zmroku wieczornym twarzy jej dobrze widzieć nie mógł, ale przyciszony głos jej był tak żalonym, że aż w jęklive tony wpadał.

— Mój panie Jerzy, — zaczęła znowu — niech pan choć ze mną nie będzie taki jakiś... obojętny, czy też ambitny i tak, jak

dawniej, wszystko mnie powierza... przecież to źle jest, kiedy człowiek może komukolwiek wszystko powierzyć...

Stał przed nią, milcząc, i istotnie postawa jego wydawała się obojętną, czy dumną, po chwili dopiero zcicha zaczął:

— Ja pannie Aurelji bardzo wdzięczny jestem za przyjaźń, którą mnie pani okazuje, ale przyjąć jej mnie nie wolno, ona pomiędzy nami być nie powinna. Dobrze życząc pannie Aurelji, nie chcę swoją przyjaźnią ubliżenia pani sprawiać...

— Co pan wygaduje? — krzyknęła.

Ale on żywiej, niż przedtem, mówił dalej:

— Wczoraj jeszcze inaczej myślałem, ale dziś taką srogą naukę mi dano, że o niej, póki życia, nie zapomnę i na zawsze już będę wiedział do kogo powinienem przybliżać się, a od kogo trzymać się w oddaleniu, aby mnie potem nie oddalono. Wiele z tego, co było we mnie, przewróciło się dziś do góry nogami, albo też i zupełnie znikło, a choć życzliwość moja dla pani nie znikła, jednakowoż okazywać mi jej nie trzeba, aby czasem przez to kogoś nie obrazić i pani nie pokalać. Dobranoc pani!

Czapki uchylił, ze wschodów zbiegł i ku oficynie poszedł. Nazajutrz o bardzo wczesnej porze wszedł do kuchni, już ze strzelbą na plecach, i, krzątającą się tam Kuleszynę w rękę pocałowawszy, przeprosił, że ani na obiad, ani na wieczerzę nie przyjdzie.

— Wiele zajęcia mam, i w lesie, i z rachunkami — mówił — zjem sobie cokolwiek u którego z leśników, a wieczorem w swoim mieszkaniu herbaty się napiję, i dosyć mi będzie!

Kuleszyna, jak mogła najspieszniej, do męża pobiegła, i kiedy on piwo grzane ze śmietaną i serem zajadał, usiadłszy przy nim, jęczeć zaczęła:

— Czy wie Florjan, że dziś to już wielką desperację po nim widać! Wczoraj jeszcze udawał, że nic nie czuje, ale dziś to z niego całego aż bije desperacja! Gadał do mnie, a w drugą stronę patrzył... jak warjat! Żeby on sobie tylko czego złego nie zrobił! Co to jest fuzję ciągle na plecach trzymać, w desperacji będąc! Niech Florjan cokolwiek na to poradzi, żeby on sobie czego złego, broń Boże, nie zrobił!

Przeciw zwyczajowi swemu Kulesza nie żartował z nieśmiertelnych, jak się wyrażał, jęków żony, tylko, zapalczywie jedząc piwo i znajdujący się w niem ser przeżuwać, z niebywałą szybkością wąsami poruszał, a nieruchomemi oczyma w przeciwną stronę patrzył. To zmieszanie lakomstwa z zamyśleniem nadawało jego twarzy wyraz bardzo pocieszny, ale Kuleszyna

wcale tego nie spostrzegła i, małe ręce na kolana opuściwszy, małą główką smutnie trzęsąc, westchnęła:

— Ach, ach, ach, do czego to zawiedziona miłość doprowadzić człowieka nie może!

Tym razem Kulesza nie wytrzymał już i zażartował:

— Czy Teofila zawiedzionej miłości doświadczała, że tak o niej mówi? Zdaje się, że ja nigdy takiego zawodu nie sprawilem, więc chyba ołok mnie był u Teofili jeszcze kto inny...

— Florjan plecie... — szepnęła.

Ale i on też zaraz żartować przestał. Duża salaterka, wpierv pełna jak oko, pustem dnem już świeciła, więc usta i wąsy starannie serwetą otarł i z powagą do żony rzekł:

— Niech Teofila żadnych strasznych myśli do głowy sobie nie przypuszcza. Jerzy jest zanadto rozsądny, aby dla lekko-myślnej dziewczyny, która go opuściła, życia siebie pozbawiać miał. Posmęci się trochę, posmęci i przestanie. Najlepiej go przez czas jakiś w spokojności pozostawić. Niech je, gdzie chce, i robi, co chce, dopóki się nie wysapie, a jak wysapie się, taki będzie, jaki był!

Kilka dni minęło, w czasie których Jerzy zaledwie parę razy do Kuleszów zaszedł, i to na krótko, widocznie przez grzeczność tylko, i aby niewdzieczności względem nich nie okazać. Rozmowa i obęjście się jego były grzeczne i spokojne, ale od dawnej, przyjacielskiej poufałości bardzo dalekie; co zaś do wygłądania, Kuleszyna utrzymywała, że okropnie zmizerniał, Karolce i Zośce zdawało się, że wcale się nie odmienił. Kulesza śmiał się z bab, że widać nie do roboty nie mają, skoro tak pilnie przypatrują się chłopcu, czy zmizerniał, albo utył. Aurelka tylko nigdy o Jerzym nie mówiła, ale raz, po krótkiej jego bytności, gdy ze stosem talerzy w rękach przez pokój szła, Karolka krzyknęła na nią:

— Awrelka! co ty tak z błędnymi oczyma idziesz, jakbyś Błektu sie objadła? Na ścianę wleziesz i talerze potłuczysz!

Istotnie, szła z szeroko otwartemi, jakby osłupiałemi oczyma i, drzwi od kuchni ominawszy, całym stosem talerzy mało co o ścianę nie uderzyła. Zresztą nie zmieniła się w niczem: jak dawniej, dopomagała matce w gospodarstwie, krzątała się po domu i dziedzińcu, szyła, ojcę wieczorami czytywała głośno małą gazetkę, którą dwa razy na tydzień posłaniec z poczty przywoził, czasem nawet, choć rzadziej, niż dawniej, śmiała się i swawoliła z siostrami i małym bratem. Z Jerzym od tego wieczoru, w którym odmówił jej swojej przyjaźni, nie rozmawiała ani razu

i wcale do tego sposobności nie szukała, tylko, kiedy przychodził, cichła jakoś, rzucała oczyma na sufit, na podłogę, na drzwi, na okna, aż zatrzymywała je na jego twarzy tak, jakby zbadać chciała, co mu najbardziej dolega, i skąd pochodzi zmiana, która w nim zaszła.

Zresztą nikt nie zajmował się bardzo, ani osobą Jerzego, ani tem, co mu się wydarzyło. Kuleszyna z córkami i sługami ledwie że głów nie traciły przy kluciu wieprzy i urządzaniu z nich całorocznych dla dużego dworu zapasów, a Kulesza tak był zajęty pośpiesznem młóceniem zboża i dostawianiem go do miasta, że w domu czasem po całych dniach nie bywał. Jedzenie nawet noszono mu do stodoły, albo do śpichrza, skąd powracał tak zmęczony, że ochota do rozmów i facecji zupełnie go opuszczała. Raz przecież usłyszał rozmowę Jerzego z jednym z leśników, którą potem przy wieczerzy żonie i córkom opowiedział. Przechodził około oficyny, w której drzwiach stał Jerzy, rozmawiając z leśnikiem, proszącym go o pozwolenie pojechania na dni parę do wsi rodzinnej. Miał tam jakiś interes, chciał z bratem zobaczyć się, za dni parę z pewnością wrócić przyrzekał.

— Dobrze — rzekł Jerzy — jedź sobie, a tylko dłużej nad trzy dni nie baw...

Chwilę zdawał się nad czemś myśleć, a potem znowu do leśnika mówił:

— Ja ciebie, Antoni, przy tej okazji o jedną przysługę poproszę. Będiesz tam niedaleko chaty mojej przejeżdżał... Wiesz tę grobelkę, co to przez las idzie, a z dwóch koło niej stron krzaki malinowe rosną? Otóż zaraz za malinami droga na prawo skręca w piękny dębowy las... dęby rzadko stoją, a pomiędzy nimi gdzie niegdzie brzozy i jarzębiny... tą drogą, z grobelki skręciwszy, dwie małe wiorsty będziesz miał do chaty leśnika, Mikołaja Chutki... to jest mojego ojca. Bądźże łaskaw dojeżdż tam i powiedz, że ja bardzo proszę, aby ktokolwiek z domu jak najprędzej do mnie przyjechał, czy ojciec, czy matka... najlepiej matka... niechby który z braci matkę tu przywiózł... Powiedz tylko, że ja bardzo pięknie proszę i koniecznie, koniecznie...

Leśnik poklonił się, żądanie zwierzchnika spełnić przyrzekł i odszedł, a Kulesza, który się był nieco na stronie zatrzymał, przybliżył się do Jerzego. Nikt z tych, którzy go częściej nawet od Kuleszy widywali, nie zauważył, że w dniach ostatnich nikomu on pierwszy, przy żadnej sposobności, ręki nie podawał. I teraz także, gdy Kulesza zziębłe ręce w kieszeniach trzymał,

Jerzy czapki tylko uchylił i na powitanie jego odpowiedział grzecznie, ale obojętnie, bez uśmiechu i pośpiechu.

— Pan Jerzy — zaczął Kulesza — bardzo widać zatęsknił do domu i do familji, skoro tak nagli rodziców o prędkie przybycie.

— A zatęskniłem — odpowiedział — prawie trzy miesiące nikogo ze swoich już nie widziałem.

— Spodziewam się, że pan i tu nie jesteś pomiędzy cudzymi...

Jerzy uklonił się.

— Za życzliwość bardzo dziękuję, ale wiem dobrze, jak daleko do tego, abym był państwu swoim.

Zanim Kulesza, trochę zirytowany, mógł cokolwiek odpowiedzieć — dodał:

— Co się zaś tyczy rodziców moich, to nic dziwnego, że mam dla nich i serce i uszanowanie. Ojciec jest człowiekiem poczciwym i wiele dobrego dla mnie zrobił, a matka taka, że chyba lepszej nikt na świecie mieć nie może.

Kiedy to mówił, taka hardość wybiła mu się na twarz, a w oczach błysnęła taka tkliwość, że Kuleszę to zastanowiło. Idąc ku domowi, pod wąsem mruczał:

— Dobry syn! dobre serce! Ale skąd mu ta obojętność względem nas do głowy strzeliła?

Zmiany w zachowaniu się Jerzego wcale nie rozumiał i silne miał na żonę podejrzenie, że przed kimkolwiek, może i niechcący, z chłopstwem jego wyjechała. Przy wieczery też o Jerzym mówić zaczął i rozmowę jego z leśnikiem i z nim opowiedział. Potem, przenikliwie na żonę patrząc, zapytał:

— Czy Teofila głupstwa jakiego nie pałęła? Niech Teofila dobrze sobie tylko przypomni!

Gdy zaś Kuleszyna, palce na krzyż składając, z wielkim jejkiem przysięgała, że o Jerzym nie miała nawet czasu przed kimkolwiek wspominać, będąc w tych dniach urządzaniem wieprzowiny bardzo zajęta, głową pokręcił i rzekł do siebie:

— To już, jak Boga kocham, nie rozumiem! chyba z desperacji bzika dostał!

Aurelka, ojcowskiego opowiadania słuchając, bardzo prędko głową we wszystkie strony obracała i nadzwyczaj już była podobna do przeleknionego ptaszka. Potem wybiegła z pokoju i tak gdzieś przepadła, że ledwie dowołać się jej mogli do przeczytania ojcu gazety. Kuleszy to czytanie wielką rozrywkę sprawiało, zwłaszcza w zimie, ale nikt mu w niem oprócz Aurelki dogodzić

nie mógł. Żona zanadto piszczała czytając, Karolka wyrazy lykła, Zośka znów przekreślała je, nie mogąc powstrzymać się od rzucania oczyma na wszystkie strony: jednej tylko Aurelki czytanie zupełnie milem mu było. Czytała też i tego wieczora, tak jak zwykle, a on w kancelarji, na twardej kanapie leżąc, fajkę palił i słuchał, a gdy, skończywszy czytanie, odeszła, czas jakiś jeszcze nad rachunkami przesiedział, aż wszystko w domu ucichło, wszystkie światła prócz jego lampki pogasły, i wiszący w jadalnej izbie stary zegar jedenastą godzinę wydzwonił. Kuleszy też oczy zaczynały się kleić do snu, ale musiał jeszcze ostatni w dniu obowiązek gospodarza spełnić: dom cały obejrzyć dokładnie, czy na noc wszystkie drzwi i okna pozamykane a ognie pogaszone. Na nikogo nie spuszczał się z tem nigdy, często też jeszcze oficynę i parobczyńskie mieszkania w ten sposób oglądał. Z kawałkiem świecy zapalanej w mosiężnym lichtarzu z kancelarji wyszedł i zaraz w sieni spróbował drzwi od podwórza, poczem w dwóch innych jeszcze izbach popatrzał na okna, dziewczęta bowiem przez roztrzepanie często o zamykaniu lufcików zapominały. Bardzo cicho, bo w pantoflach z grubego wołoku na nogach z przyzwyczajenia promyk świecy dłonią osłaniając, jak grube i szare, a na twarzy czerwone widmo przesuwiał się po niskich, prostemi sprzętami dostatnio napelnionych izbach, aż nagle stanął, głowę podniósł i przysłuchiwać się czemuś zaczął. Z przyległej, jadalnej izby doszedł go odgłos tłumionego, niemniej wyraźnego płaczu.

— Co za djabel! — mruknął — ktoś ciś płacze, czy co? A tak jest! płacze!

Płacz w tym domu był rzeczą tak niezwykłą, że Kulesza zadziwił się, a nawet zląkł się trochę; śpiesznie też wszedł do jadalnej izby, ale daremnie, świecę jak najdalej wysuwając, dokoła się rozglądał: nikogo dostrzec nie mógł. Nic też już nie słyszał; płacz umilkł i tylko wśród ciszy nocnej rozchodził się po izbie równy, powolny tętent starego zegara. Kulesza, myśląc że mu się coś wydało, miał już odejść, gdy tak poruszył świecą, że promyk jej upadł na świecącą w najgłębszym kątku izby, pomiędzy ścianą a stołem jadalnym, białą spódniczkę.

— Kto tu taki? — zapytał.

Najmniejszej nie było odpowiedzi, tylko biała spódniczka poruszyła się lekko i za stołową nogą zaszemrało znowu tłumione łkanie. Tym razem Kulesza, parę stojących mu na zawadzie stołków ze stukiem potrącając, prędko zbliżył się do tajemni-

czego kątką i, za nogę stołową zajrzawszy, ze zdziwieniem wykrzyknął:

— Awrelka! A ty tu co robisz?

Co robiła? Poprostu ukryła się w tym kącie dlatego, aby wypłakać się do woli. Nieco pierwiej musiała zapewne przed siostrami udawać, że rozbiera się i do snu kładzie, bo miała na sobie tylko koszulę i białą niedługą spódniczkę. Zresztą, bosa była, a na ramiona jej, białe i okrągłe ramiona młodziutkiej blondynki, których nie zakrywała, tak, jak i szyi, nisko opadająca koszula, rozsypywały się bladozłote włosy. Temi włosami wpół zasłonięta siedziała na ziemi, z łokciami na podniesionych kolanach i z twarzą w dłoniach.

— Awrelka — zawołał Kulesza — co to jest? czego beczysz?

Chwilę jeszcze nie odsłaniała twarzy i nie odpowiadała, aż nagle zerwała się z ziemi, oba ramiona ojcu na szyję zarzuciła i ruchem pieszczonego dziecka tuląc się do niego, drżąc, z płaczem mówić zaczęła:

— Mój tateczku! niech się tatko na mnie nie gniewa, ale niech tatko co takiego zrobi, aby jego pocieszyć, aby jemu cokolwiek poradzić, aby jego wyratować... Mój tateczku kochany! niech tatko tylko pomyśli, a pewnie cokolwiek wymyśli, bo starszy jest i więcej ma doświadczenia. Jeżeli tatko jego nie wyratuje, to kto go wyratuje?... rodzice pewnoby chcieli, ale nie zdołają, a więcej nikogo on nie ma i zginie pewno, zmarnuje się, przepadnie...

Placz mowę jej przerwał, twarz ukryła na piersi ojca. Kulesza, ze świecą w jednej ręce, a drugą przytuloną do niego córkę ogarniając, stał chwilę z ustami od nadzwyczajnego zdziwienia szeroko otwartymi.

— Ehe! ot, gdzie raki zimuja!

Lichtarz ze świecą na stole postawiwszy, do córki mówił:

— Co się tobie stało, Awrelka? co ty wygadujesz? Od czego ja go mam ratować? dlaczego on ma ginąć i przepadać? Babskie bzdurstwa! zwarjowałaś!

Ona zaś, z ukrytą ciągle twarzą, szeptała:

— Tatko nie wie... już on wcale nie taki, jak był!... Leśniczyna jedna do naszej kuchni wczoraj za interesem przychodziła i mówiła, że w lesie na nic już on tak, jak pierwiej, nie nagłada, roboty wszystkie nie tak, jak pierwiej, idą, raportu do zarządu w tym tygodniu nie posłał... a u tego leśnika, do którego teraz na obiady chodzi... jakie tam obiady: groch, albo kartofle... wczoro-

raj aż trzy kieliszki wódki odrazu wypił... Boże mój, Boże, jaki on musi być nieszczęśliwy, kiedy i pracować już nie zdoła i w wódce pocieszenia dla siebie szuka!

Znowu rozplakała się, a Kulesza, ze zwieszoną głową, smutnie dumiał. O tem, co mu córka teraz powiedziała, istotnie nie wiedział. — Żle — myślał — obowiązek zaniedbuje... grochem i kartoflami żyje... Szkoda chłopca!

— Żle! — powtórzył głośno — ale cóż ja na to poradzić mogę? Jeżeli jest taki głupi, że dla dziewczyny, która go opuściła, tak warjuje, toż ja mu ani rozumu do głowy nakłąć, ani tej dziewczyny powrócić nie zdołam! Zresztą, nie wiadomo dla jakiej przyczyny, oddalił się od nas i nie okazuje tego wcale, aby naszej pomocy i przyjaźni potrzebował.

Aurelka twarz podniosła, ramiona z szyi ojca zdjęła i, plecami o ścianę oparta, włosami sobie lzy z twarzy otarła. Kiedy rozgarnęła i wtył odrzuciła włosy, twarz jej ukazała się spłakana, ale zarazem bardzo zamyślona. Głowę przecząco kilka razy potrząsnęła.

— On nie dla tej dziewczyny tak warjuje — z zastanowieniem i zwolna mówiła — on takiej, co go tak łatwo na innego przehandlowała, długo ani pamiętać, ani żałować nie może...

— No, to cóż mu się stało do diabła? — sarknął Kulesza. Stali oboje w tak ciasnym kącie, że on, do stołu przyparty, ją wzajem do ściany przypierał i bardzo zbliśka na nią patrzył. Zdziwił go też wyraz dojrzany w oczach córki. Te oczy, zawsze tylko łagodne lub wesołe, teraz miały wyraz takiej roztropności i takiego głębokiego namysłu, jakiego, zdawało mu się, u nikogo jeszcze nie widział.

— No, no! W młodej dziecinie nauka słyńnie! — szepnął.

A ona, bosc stopy jedną na drugą zakładając i nagię ramiona u nawpół odsłoniętej piersi krzyżując, mówiła:

— On nie z zawiedzionego kochania warjuje, ale z obrazy i z tego, że, przez jednych ludzi skrzywdzony, wszystkim już przestał ufać... Ponieważ oni jemu wzgardę okazali, więc boi się i od innych jej doświadczyć, dlatego też oddalił się od nas...

— To głupi! — przerwał Kulesza.

Znowu przecząco wstrząsnęła głową.

— Nie, tatku, on nie głupi jest, tylko bardzo ambitny.

Kulesza uderzył się dłonią w czoło.

— A prawda! a pewno! To, to, to! ambicja obrażona! Temuż to tak przede mną rodziców swoich wysławiał! Tak jest.

Prawda. Ja i nie zgadłem tego, a ty zgadłaś. No, ale teraz to już spać idź i mnie do łóżka puść, bo ledwie na nogach stoję...

Ona jednak czepiała się ciągle jego szyi, a ręce pocałunkami obsypywała, prosząc, aby cokolwiek zrobił, poradził, ratował...

— Hm, hm! — mruczał Kulesza — hm, hm! — i, dłonią głaszcząc jej włosy, półgębkiem obiecywał:

— No, zastanowię się, pomyślę, może co i poradzę, ale przestań beczeć i spać idź... słyszysz? przestań zaraz beczeć, bo jak nie, to... dam różgami!

Na wspomnienie różg, podniosła splakaną twarz, spojrzała ojcu w oczy i zaśmiała się:

— Tatko żartuje — szepnęła.

On ją z kąta wyciągnął i ku drzwiom pokoju, w którym z siostrami sypiała, popchnął. Gdy już zniknęła za temi drzwiami, dość długo jeszcze stał ze świecą w ręku pomiędzy stołem a ścianą, w ciasnym kącie.

— Sprytna dziewczyna! — szeptał — oho, rozumna dziewczyna!

Do wszystkich dzieci swoich był przywiązany, ale dla tej najstarszej miał większą, niż dla innych, słabość. To samo było i z Kuleszyną. Dawno, dawno temu, utracili byli troje dzieci; Aurelka rozpoczęła szereg tych, które zdrowo i szczęśliwie hodować się miały. Może więc podstawą ich wyjątkowej dla niej słabości była wdzięczność za to, że pierwsza rodzicielskim ich uczuciom pociechę przyniosła.

— A Teofila miała rację!

Najzupełniej już przyszedł do przekonania, że spostrzeżenia żony nad Aurelką słusznymi były i, z kąta wyszedłszy, pośrodku izby jeszcze przystanął, głową potrząsł i w zamyśleniu do siebie zaszeptał: — Matczyne oczy! matczyne oczy!

Kiedy ze swoim kawalkiem zapalonej świecy wszedł do ciemnego pokoju, w którym sypiał, rozchodził się po nim odgłos, mogący każdemu obcemu uchu dziwnym się wydać, mianowicie gwizdanie, czasem bardzo cienkie i przewlekłe, czasem grubsze i w drżące trele wpadające, ale zawsze głośnie i nie przerywające się ani na moment. Było to zupełnie podobne do świegotania ptaszka. Kulesza jednak wiedział, iż w pokoju żadnego ptaszka nie było, i przyczynę tej szczególnej, wygwizdywanej melodji tak dobrze znał, że już nawet nigdy nie zwracał na nią uwagi. Teraz przecież, gdy ona o słuch mu się obila, uśmiechnął się i, swoje łóżko ominawszy, zbliżył się do drugiego, które

w głębi izby u przeciwległej ściany stało. Na tem łóżku, starą watowaną kołdrą szczelnie owinięta, twardym jak kamień snem usypiała kobieta mała, szczupła, w nocnym czepku, z pod którego wychylały się gładkie pasma ciemnych włosów, z drobną twarzą o małych ustach i małym nosku, z którego to właśnie wychodziło owe zawzięte i trelujące gwizdanie. Było to stałą jej wadą, że śpiąc, przez nos gwizdała. Zresztą, starą jeszcze nie będąc, utraciła już całkowicie świeżość i wdzięk młodości. Kiedy Kulesza za żonę ją brał, wesołą była i wcale nieszpętną. Teraz, mała i przedtem, twarz jej skurczyła się i bardziej jeszcze zmalała, skóra na niej stała się ciemną, grubą, czoło uwiedło i okryło się drobnymi zmarszczkami, na drobnych rękach zgrubiały i powypreżwały się żyły, osiadły różne, dziwne jakieś guzy i blizny. A wszystko to stało się od pracy, zresztą wcale nie ciężkiej. Gdzie tam! jaką tam ciężką pracę kobiecina taka spełniać mogła! O! poprostu, od dwudziestu kilku lat stała przy olbrzymim warsztacie świata i jedno malutkie kółeczko ciągle, nieustannie, z żarliwością niezmierną obracała. Nic więcej. Lecz przy tem obracaniu oblewała się cała potem i troską, i ta to kąpiel zmyła z niej do szczętu wszystkie powaby młodości, przemieniając ją też w katarynkę, przy każdym dotknięciu rozlegającą się jękami. Kulesza jednak przez chwilę na nią popatrzał, głową potrząsł, aż nachylił się i coraz zawzięciej przez nos gwizdzącą w biedne, uwiedłe czoło pocałował.

Nazajutrz, w poobiednich godzinach, turkot młocarni przestał rozchodzić się po dziedzińcu, młócenie i odsyłanie do miasta zboża na czas jakiś ukończone było. Kulesza ze stodoły wyszedł, zamknął ją i, zamiast ku domowi, ku bramie dziedzińca się skierował. Zamyślony był, widocznie plany jakieś w głowie układał. Za bramą, wśród drogi przystanął, fajkę na krótkim cybuszku zapomocą hubki zapalił i poszedł ku lasowi, kędy też przed paru godzinami udał się był Jerzy. Wkrótce potem znajdował się już w głębi lasu i dążył w stronę, z której dochodziły stuki siekier i kiedy niekiedy padających na ziemię drzew. Niebawem też znalazł się w miejscu dokonywającej się trzebieży. Las rzedniał, drzewa zdawały się rozstępować, pomiędzy niemi ukazywały się coraz większe plachty szarego nieba, aż nakoniec kręta wstęga dymu potoczyła się nisko nad białem podścieliskiem lasu, i na małej przestrzeni, zupełnie z gęstwiny оголоconej, błysnął promyk. Przy tym niskim, jaskrawo wśród białości lasu świecącym ogniu stało, grzejąc się, czy żywność jakąś sposobiąc, paru ludzi; kilku innych, zrzadka na wielkiej przestrzeni róż-

rzuconych, pracowało nad takim przerzedzaniem lasu, któreby drzewom swobodny i zdrowy wzrost zapewniało. Stuki siekier szybko następowały jedne po drugich; zresztą wszystko milczało. Ptaki uciekły stąd, zapewne także i drobne zwierzęta; może nawet owady przeleknione, w swoich gniazdach pod mchami i korami, w zupełniejszą jeszcze od zwykłej zimowej martwość zapadły. Raz tylko załopotало i zakrakало coś w górze; była to para odważnych kruków, które, niby straż dokola rodzinnego drzewa odbywając, zakrążyły nad jego wierzchołkiem.

Kulesza szedł i tak rozglądał się dokoła, jakby kogoś wzrokiem szukał, aż zobaczył Jerzego, który, z odpowiednim narzędziem w ręku od drzewa do drzewa chodząc, znakami opatrywał te, które nazajutrz wycinanemi być miały. Czynił to w milczeniu, prędko, jakby co rychlej pozbyć się chciał roboty, poczem, chwilę jeszcze z dwoma leśnikami półgłosem porozmawiawszy, skierował się w inną stronę. Kulesza zaszedł mu drogę.

— Pan Jerzy do domu już wraca?

— A tak; spodziewam się, że ktokolwiek z domu przyjedzie dziś do mnie, i chciałbym na tę porę być już u siebie.

Rzekłszy to, miał już Kuleszę ominąć, ale ten go zatrzymał:

— Kiedy pan do domu, to i ja także. Poto tylko tu przyszedłem, aby z panem na osobności pomówić... a w lesie osobność lepsza, niż w domu, gdzie ktokolwiek zawsze przeszkodzić może.

Mówiąc to, pilnie przypatrywał się młodzieńcowi i po raz pierwszy spostrzegł zmianę, która w nim zaszła: przychudł i ściemniał. Czoło miał zamysłone, z pod spuszczonych powiek patrzył w ziemię. Były to te same rysy kształtne i niszczącem dłutem czasu jeszcze nie nadwreżone, lecz życie położyło już na nich pierwszą chmurę, która przyćmiła ich blask i świeżość. Jeżeli boleść wgryzie się w nie i przejmie je swoim jadem, wkrótce zmieniają się do niepoznania.

Kulesza pomyślał:

— Teofila miała rację: zmizerniał. Zgryzota, a do tego codzień groch i kartofle na obiad!

Jerzy zaś, nie podnosząc oczu, zapytał:

— A o czym pan ma ze mną do pomówienia? Może o tem drzewie do reparacji budynków?

Głos jego zmienił się także. Trochę szorstki był, trochę leniwy.

— Mówienie o drzewie osobności nie potrzebuje — żywo

odparł Kulesza. — Moje mówienie z panem wcale o czym innem będzie. A oto o czym: czy pan mnie i moją familję za dzikie zwierzęta poczytujesz, albo też sam siebie masz za dzikie zwierzę, co sobie osobną norę w lesie lub też i w polu wykopuje? Jakiż z ciebie człowiek, kiedy dobrymi sercami ludzkimi, jak śmieciem, gardzisz? jaki z ciebie mężczyzna, kiedy dla babskiego bzdurstwa ręce od roboty odrywasz i pocziwość pod nogi sobie chcesz brać? Pfuj! i to wszystko przez jedną dziewczynę, która może i podeszwy twojego buta nie warta! Wstydziłbyś się i oczów ludzkich i samego siebie! Pfuj, spodziewałem się, że wcale inszym jesteś; jak Bóg na niebie, spodziewałem się po tobie wcale czego innego!

Przed wyjściem z domu i po drodze, Kulesza układał dla załatwienia sprawy z Jerzym wielce dyplomatyczne plany, ale kiedy popatrzał na niego i mówić zaczął, dyplomacja w łeb wzięła, a im więcej mówił, tem większy gniew go porywał. Zaczzerwienił się, zaindyczył, z pana wpadł na ty, mówiąc, dwa razy w bok splunął. Jerzy podniósł na niego zdziwione oczy, lecz wnet spuścił je znowu, a gdy Kulesza umilkł nakoniec i tylko głośno sapał, zniżonym trochę głosem odpowiedział:

— Ja panu bardzo wdzięczny jestem za życzliwość i naukę, ale pan o mnie wcale nieprawdziwe ma wyobrażenie, skoro myśli, że ja dla babskiego bzdurstwa i dla dziewczyny...

— Wiem! wiem! — przerwał Kulesza — ale to też jest głupstwo, może jeszcze większe, aniżeli tamto. Dlatego, że na świecie kupę bałwanów znalazłeś, to już zwątpiłeś o tem, czy na nim ludzie być mogą!

— Przepraszam pana, ludzie na świecie są pewno i dobrzy, ja o tem wątpienia nie mam... tylko nie dla mnie!

— A toż czemu?

— Temu — podnosząc oczy, w których przeleciała błyskawica, odpowiedział Jerzy — że na taką poniewierkę, jaką raz zniosłem, drugi raz nie narażę się pewno i wszystkim, oprócz swojej familji i innych ludzi sobie równych, na zawsze obcym, pozostanę!

— Wiem, wiem! — powtórzył Kulesza — a jakże! Dla tej przyczyny odstrychnąłeś się od naszego domu, dla tejże i rodziców swoich wczoraj przede mną wysławiałeś! Oho! chcesz, abym powiedział, coś sobie wtenczas myślał? A ot, coś myślał: »Masz wiedzieć, kpie szlachcicu, że choć mnie ludzie za pochodzenie moje sponiewierali, ja go nie wstydzę się, owszem, wysławiam,

a was bałwanów, znać nawet nie chcę!« Może nie prawda? Powiedźże, nie prawda? zełżyj!

Jerzy uśmiechnął się. Niepodobna było, choćby najsmutniejszemu człowiekowi, nie uśmiechnąć się z gestów Kuleszy i głosu, którym myśli Jerzego przedrzeźniał.

— Łgać nie będę — rzekł — zupełnie tak, jak pan mówi, nie myślałem, ale że względem pochodzenia mojego nigdy Judaszem nie zostanę i że go wcale nie mam za gorsze od innych, to jest prawda. A czemuż ono gorsze? Nie od złodziejów, ani inszych zbrodniarzy pochodzę, ale od takich, którzy w pocie czoła dostarczali chleb sobie i drugim. Ojciec mój, prosty człowiek, często nawet w łapciach chodzi, bo go nie zawsze stać na buty, ale przez to samo, co w życiu swoim przepracował i przecierpiał, wart każdego inszego pocziwego człowieka, choćby na największych wysokościach urodzonego.

Podniósł głowę, rozbłysłym wzrokiem przed siebie patrzył.

— Masz rację, masz rację — potwierdził Kulesza — kto z nas gorszy, a kto lepszy, i czyi ojcowie byli gorsi, a czyi lepsi, Bóg niech sądzi, Bóg niech sądzi... wszystkich zarówno ojciec...

Jerzy, może szczerością Kuleszy rozgrzany, może też to, co go dręczyło, wypowiedzieć nakoniec pragnący, mówił dalej:

— Jak ja do tej dziewczyny przywiązany byłem, jak mnie serce rozdarło się, gdy przekonany przez nią samą zostałem, że ona nie tyle warta, ile ją ceniłem, ile razy przez te kilka dni ona ukazywała się mnie i we śnie i na jawie, i zrana i wieczorem, aby znów rozwiąć się jak mara i mnie w żalości pozostawić — to już ja jeden wiem i o tem pewno nikomu opowiadać nie będę... bo i nie potrzeba i trudno...

Istotnie, z głosu jego poznać było można, że trudno mu było o tem mówić; umilkł też i po chwili dopiero zaczął znowu:

— Ale właśnie dlatego, że ona mego serca niegodną się okazała, i że sam przed sobą wstydzę się swojej słabości i tego swego zdradzonego kochania, wpředce może pozbyłbym się żalu, a na żadną desperację pewnobym sobie nie pozwolił... Ale to, czego od jej familji, a zwłaszcza od jej braciszka, doznałem, na wieki, zdaje się, jadowitym wężem we mnie ugrzęzło. Bo kiedy oni uczciwego człowieka za nic mieli i jak brudny gałgan nogą podrzucili, to pewnie i insi tak samo myślą i postąpić są zawsze gotowi. A kiedy tak, to nacóż mnie starać się, pracować, o dobrem umieszczeniu na tym świecie myśleć? Żebym i gwiazdę z nieba

na ziemię przeniósł, tobym jeszcze na niej nic nie odmienił i sam się z pod ludzkiej pogardy nie wymknał!

Ręką uczynił gest zupełnego zniechęcenia; gniewu nie znać było po nim w tej chwili, ale oblekła go jakby całego ciężka posepność.

Kulesza też zmarkotniał i przez chwilę milczał, głową tylko czasem trzęsąc, smutnie i z namysłem.

— Słuchaj-no, Jerzy — zaczął — nie zupełnie to tak jest, jak ty myślisz: nie jedna była przyczyna tego, że oni cię odtrącili, ale dwie, a druga pewno dla nich ważniejsza jeszcze, niżeli pierwsza. Ja również z okolicy szlacheckiej rodem jestem, z Kuleszów, pod Lidą; znam też dobrze i zabobony i chciwość, które w zapłotkach tych panują. Sam ich pozbyłem się, chwała Bogu, ale to dlatego, że zamłodu w świat wywędrowawszy z niejednego pieca chleb jadałem, nieraz znajdowałem się na wozie i pod wozem, a różnych wielkości i małości ludzkich napatrzyłem się tyle, że jednemu już tylko Boga za wielkiego uznał... Ludzie zaś wszyscy pod nim żyją, a wielcy czy mali, zarówno ułomni są i na tym świecie cierpieć muszą...

Umilkł na chwilę, parę razy nosem czmychnął, namyślał się, a Jerzy po raz pierwszy uważny i trochę zadziwiony wzrok na twarz jego zatrzymał.

— Otóż widzisz — ciągnął Kulesza — oni ciebie nietylko z przyczyny zabobonu, tyczącego się pochodzenia twego odtrącili, ale także, i jeszcze więcej, dlatego, że ty swojej ziemi nie masz...

— Głowę i ręce mam! — sarknął Jerzy.

— Ja to przyznaję — odparł Kulesza — ale oni i największy na świecie honor i uciechę i spokojne ubezpieczenie — w ziemi tylko upatrują. I nie można powiedzieć, aby na dnie tego naczynia krzły prawdy nie było. Ziemia to taka piękna i droga rzecz, że przy niej wszystkie brylanty tanieją; ona wyleczeniem jest dla człowieka z troski o ciało i z wszelkiej desperacji dusznej; ona matką jest, która czasem chłoszcze, ale często też mile pieści, a zawsze karmi...

Rozczulił się, ziemię matkę, pocieszycielkę i karmicielkę wysławiając; to samo tętno, które od wieków w rodzinnych jego Kuleszach w krwi i sercach ludzkich dzwoniło, jemu także, po tyle już leciech, sprowadziło krew do skroni i wilgoć do oczu. Po chwili przecież mówił dalej:

— To jest prawda; ale znowuż ja ze swojego choćby doświadczenia i o tem wiem, że i bez posiadania ziemi można so-

bie uczciwie i pomyślnie wiek przez Boga przeznaczony na tym świecie przeżyć. Kiedy z Teofilą żeniłem się, goły byłem, jak bizun, a ona także tyle posagu mnie wniosła, że i kot na ognie mógłby go unieść. Ot, tak, jak ty teraz: głowę i ręce miałem — więcej nic, a jeszcze wielką ochotę do pracy i ambicję, aby na psa nie zejść, akurat jak ty teraz. Prawda, że różnie z nami bywało, czasem to i wcale ciężko i niemile, lecz koniec we wszelkiej robocie najważniejszy, a u jakiego końca ja stanąłem, sam widzisz. Za nieszczęśliwego się nie poczytuję, ani za ubogiego, owszem za bogatego, bom nikomu nic nie dłużeń, niczyjej krzywdy na sumieniu nie noszę, a chleba tyle mam, że jeszcze z biedniejszym nie jeden raz podzielić się nim mogę! Ziemi swojej wprawdzie nie posiadam, ale choć i na cudzej, więcej niż sto sztuk bydelka mam, tysiąc owieczek, dwanaście sprzęgów koni i wszystkie tam różne ruchomości, gospodarstwu i dostatkowi potrzebne... Może też i groszyk jaki, choć nie duży, na nagłą potrzebę w kieszeni najdę! dzięki Bogu! Sześcioro dzieci Pan Bóg mnie pozostawił, troje najstarszych odebrawszy... inni narzekają, że z dziećmi trudno, a ja cieszę się, że je mam... dzięki Bogu! Dziewczęta jak łanie powyrastały, starszy chłopiec w szkołach nieźle się uczy, młodszy, choć teraz bęben jeszcze, ale spodziewam się, że tak jak i inne zgryzoty mi nie przyniesie... dzięki Bogu!

Teraz cała optymistyczna, gołębia natura człowieka tego wybuchnęła mu na twarz szczerym, szerokim uśmiechem. Śmiejąc się, dłoń na ramieniu Jerzego położył i mówił:

— Tak i z tobą będzie, kochanku! tak i z tobą będzie! Zgryzotę pod nogi rzuć, do roboty rękawy zawiń, lamentować napróżno przestań. Lamenty babom właściwe; toć przecież i one, obok lamentowania, co innego jeszcze robić muszą. I moja wiecznie jęczy — a jak przytem pracuje! hej!

Jerzy zdawał się być rozmową bardzo zajęтым.

— Już to pewno — po chwili rzekł — że pan ma rację, i że jeżeli ktokolwiek na świecie smutnemu człowiekowi odwagi dodać, a wątplenia ująć może, to nikt lepiej od pana uczynić tego nie zdoła.

— To i czegoż puszyłeś się przede mną jak indyk, a od nas wszystkich jak leśny odyniec stroniłeś? — z triumfem zaśmiał się Kulesza.

Ale Jerzy na pytanie jego nie odpowiedział. Z posępnym blaskiem w spuszczonej oczach zamyślił się znowu.

— Aha! — nagle wybuchając, zawołał — żebyśmy ja mógł

jakim sposobem pomścić się na nich za tę obrazę, którą oni mnie wyrządzili, zdaje się, że wąż jadowity wypadłby ze mnie! Już parę razy bliski byłem tego, aby do Tolłoczek pojechać i Osipowiczowi w łeb z fuzji wypalić, ale powstrzymywało mnie, po pierwsze: zbrodniarzem być nie chcę, a po drugie: ona mogłaby sobie pomyśleć, że ja o nią, choć mnie za innego prze-handlowała, tak dbam, iż sumienie i wolność moją niżej od niej stawię... Ale żebym mógł jaki sposób wymyślić, żebym mógł... aby pokazać im, żem od nich nie gorszy, a jeszcze lepszy, że i o nich i o nią dbam, ile o ten śnieg, który w przeszłym roku padał...

Zakipiał cały, ogień buchnął mu z oczu, a suchą gałązką, którą był sobie z drzewa ułamał, tak o krzak jakiś uderzył, że zlamala się na drobne szczęty. Kulesza uśmiechnął się pod wąsem; parę razy zukosa na niego zerknął, aż półgębkiem wy-mówił:

— Ano, to klin klinem wybij... zakochaj się w drugiej i...

Chciał coś jeszcze powiedzieć, ale powstrzymał się z widocznym wysileniem, bo wszelkie przemilczenie i ukrywanie myśli ogromnie trudnem mu było. Jerzy z uniesienia ochłonał, pobladł, ręką znowu gest zniechęcenia uczynił.

— Kiedyż bo ja wcale już nie wiem, czy prawdziwe kochanie jest na świecie, albo też każde oszukaństwem tylko być musi — rzekł zcicha.

— Toś głupi! — nagle wybuchnął Kulesza i z niezwyklego rozszerzenia się jego oczu, zarówno jak z rozmachliwych gestów, poznać można było, że nic już na świecie nie zdołałoby słów jego powstrzymać.

A tak jest, jeżeli dla kupy bałwanów wszystkimi ludźmi, a dla jednej niestałej frygi, wszystkimi kobietami i ich kochaniem poniewierasz — toś głupi! Otóż, na złość ci powiem... tak jest, na złość, i abys zawstydził się... że może jest na świecie taki szlachcic, któryby za ciebie chętnie córkę wydał, i taka panna, od tamtej może nawet troszkę lepsza, któraby dla ciebie może stałe kochanie miała... żebyś... żebyś... żebyś... nie był głupi!

Zasapał się i wnet po uniesieniu wpadł w markotność. Zalował tego, co powiedział; tak daleko zająć w rozmowie z Jerzym nie chciał i nie zamierzał, ale, jak zwykle z nim bywało, to, co na sercu i w myśli miał, wybuchnęło mu na język, który teraz trochę zębami przygryzał, ale już nie w czas, — nie w czas, bo Jerzy sens słów jego odrazu zrozumiał i nie zadziwił się na-

wet, tylko długo i uważnie na niego popatrzał. Nie zadziwił się może dlatego, że i dawniej już miał te i owe domysły i spostrzeżenia, ale po chwili opanowało go wzruszenie wielkie i bardzo widoczne, a w całym wyrazie twarzy, z jakim na Kuleszę patrzył, widać było rzewną życzliwość i wdzięczność. Zanim jednak cokolwiek mógł odpowiedzieć, usłyszał tuż za plecami głuchy po śniegu tętent konia, obejrzał się i z okrzykiem: »Mama!« rzucił się ku nadjeżdżającym jednokonnym sankom, na których siedziała przygarbiona, w płachty szczelnie owinięta postać kobieca. Było to już na dziedzińcu dworskim, blisko oficyny, więc gdy sanki przed drzwiami tej ostatniej podjechały, Kulesza, który zatrzymał się był w pobliżu, widział Jerzego, jak objawszy kobietę, niby piórko zdjął ją z sani, a powożącemu wyrostkowi rękę tak ścisnął, że aż nią mocno zatrzęsł. Na twarz wystąpiła mu radość; o Kuleszy i rozmowie z nim, zdawać się mogło, że zapomniał.

Kulesza zaś wszedł do jadalnej izby, w której wszystkie dzieci swoje znalazł. Ponieważ był to dzień niedzielny, więc Aurelka, w tym samym kątku, w którym wczoraj rozmawiała z ojcem, smutnie jakoś do ściany przytulona, książkę w starej oprawie czytała, Antek z głową na jej kolanach opartą spał; Karolka i Zośka, szepcząc i chichocząc pomiędzy sobą, trochę bąki po izbie zbijały, trochę nakrywały stół do wieczery. Jękliwy głosik Kuleszyny dochodził tu z kuchni, przez drzwi przymknięte, razem z zapachami smażącej się tłustości i świeżego jakiegoś pieczywa. Kulesza, wszedłszy, zapachy te nosem pociągnął i zaraz odgadł z nich doskonałą hreczaną babkę ze słoniną. Uśmiechnął się.

— Ehe! Teofila dziś występuje!

I, na żadną z dziewcząt nie patrząc, rzekł:

— Do pana Jerzego matka i brat przyjechali. Niech która koza skoczy i poprosi ich do nas na wieczrę.

Dwie młodsze kozy spojrzały po sobie.

— Niech Awrelka skoczy, bo ubrana — odezwała się Karolka.

Istotnie, one same były w zupełnych negliżach: bosc, z roz-targanemi kosami, w codziennych spędnicach i kaftanach. Zbyt młode, aby w stroju kochać się już mogły, swawoląc i pomagając w kuchni matce, o ubieraniu się zapomniały. Aurelka, przeciwnie, była po niedzielnemu ubrana, miała na sobie czarną, wełnianą sukienkę, z obcisłym stanikiem, błękitną wstążkę na szyi i prunelowe buciki na nogach. Od starannego uczesania gruba jej kosa, nad głową zwinięta, połyskiwała jak blade złoto.

Pomimo niewysokiej i nieco krępej kibici, zbyt szerokich policzków i zbyt małego noska, wyglądała w tym stroju na zgrabną, świeżą i ładną panienkę. Gdy tak ubrana i wyglądająca do mieszkania Jerzego weszła, zobaczyła starą, szczupłą, pomarszczoną na twarzy chłopkę, przy stole na jednym stołku siedzącą, a przystojnego wyrostka w siermiedze, na drugim. Jerzy stał przed nimi i z ożywioną twarzą słuchał tego, co mu na wyścigi oboje opowiadali, aż usłyszawszy otwieranie się drzwi, obejrzał się i wprost oczyma spotkał jej oczy.

Ona przez króciutką chwilę zatrzymała się u drzwi, na sufit, na podłogę, w prawo, w lewo okiem rzuciła, i gdy uspokoiła się zupełnie, zamyślona, poważna, zwolna przez izbę przeszedłszy, przed starą chłopką pochyliła się i milcząc w pomarszczoną, ciemną rękę ją pocałowała, potem z uśmiechem rzekła:

— Tatko i mama kazali mnie panią Mikołajową i pana Jerzego...

Tu do Jerzego brata zwróciła się:

— I pana... bardzo pięknie na wieczerzę prosić. Niech pani Mikołajowa i pan Jerzy i brat pana Jerzego będą łaskawi nas odwiedzić i wieczerzę z nami zjeść. Tatko i mama pięknie proszą, i my wszyscy także.

W godzinę lub nieco więcej potem Kuleszyna i Mikołajowa, przy stole jeszcze siedząc, prowadziły z sobą głośną i zawziętą sprzeczkę o to, czy przed rozścielaniem łnu na trawie trzeba go moczyć, czy nie trzeba; Kulesza, po obfitej kolacji szeroko na krześle rozparty, fajkę na krótkim cybuszku palił; młodsze dziewczęta ze stołu zbierały i przystojnego lecz bardzo nieśmiałego wyrostka w siermiedze z żartami i śmiechem przyzywały co chwilę do różnych usług i pomocy; Jerzy z Aurelką w cieniu nieco u okna stał, bo na stole paląca się nieduża lampa nie wszystkie kąty izby dobrze oświecała.

— Czy panna Aurelja przebaczy mi kiedykolwiek, że, w żalu i gniewie na cały świat będąc, przyjaźń pani odrzuciłem? I czy ta przyjaźń kiedykolwiek przywróconą mi zostanie?

Aurelka żartobliwie odpowiedziała:

— Ja nie zawzięta, i jeżeli pan Jerzy życzy sobie, abyśmy znowu w przyjaźni z sobą byli, to i owszem. Tylko już teraz to proszę mnie wszystko mówić i powierzać, bo za każdą skrytość okropną pokutę zadam.

— Jakaż to będzie pokuta? — zapytał.

— Taka, że pan Jerzy będzie musiał przynajmniej przez cały dzień o pewnej rzeczy i o pewnej osobie nie myśleć.

— Ja i teraz już o niej myśleć przestaję — szepnął.

— To znów źle, to już zbyt wielka jest niestałość! — sprzeciwiła się niby nadąsana, ale usta jej drżały tłumionym śmiechem. Była wesolą, a z pod białego czoła i blado złotych brwi oczy jej, tak jak u ojca, pogodne i szczerze, świeciły, jak szafiry najczystszej wody.

On stał jeszcze chwilę zamyślony i milczący, aż odezwał się znowu:

— Panno Aureljo!

— A co?

— Pani więcej wie o tej rzeczy ode mnie. Czy ten posłaniec mówił pani: na który dzień naznaczony jest ślub tej osoby?

— A jakże! — mówił — na zapustną niedzielę!

— To jeszcze do tej niedzieli trzy tygodnie.

— A trzy.

Znowu zamyślił się i znowu odezwał się po chwili:

— Panno Aureljo!

— A co?

— Niech mnie pani rączkę swoją poda!

Bez chwili wahania wyciągnęła do niego rękę. On, schylony, kilka razy ją pocałował, za każdym razem mówiąc:

— Za ten pocałunek, który pani na rękę mego biednego matczyśka złożyła... za pani przychyłość i dobroć dla mnie... za te śliczne oczy, które na mnie tak mile teraz patrzą... na wieczną przyjaźń... na dożgonną zgodę...

Kuleszyna i Mikołajowa sprzeczały się jeszcze, czy len przed rozesłaniem lepiej moczyć, czy nie moczyć, a Kulesza, pykając z fajki, ku oknu zerkał, zerkał, aż się zdrzemnął.

Okolo północy w jednej z izdebek przez Jerzego zamieszkiwanych rozlegało się sapanie i chrapanie dwóch śpiących osób; w drugiej on sam stał przed oknem i, patrząc na dziedzińiec pełnią księżyca oświecony, myślał długo, aż ręką triumfujący gest uczynił i zcicha zawołał:

— Otóż i pokażę wam, że dbam o was równo tak, jak o starą podeszwę!

Potem jednak smutek spadł mu na twarz.

— A z tobą, Salusiu, tak jak żądaliśmy i zamierzali, jednego dnia przed ślubnym ołtarzem staniemy... jednego dnia... tylko w oddaleniu i rozłączeniu wiecznem...

Ręką otarł mokre powieki, na stolku usiadł i ze spuszczoną głową długo siedział, bardzo smutny.

V.

Konstanty Osipowicz w swojej nowej, wielkiej stodole młócił owies, który dobrze obrodził w tym roku, i którego ani części jeszcze nie sprzedał. To powstrzymywanie się ze sprzedażą głośno i otwarcie przypisywał swojemu rozumowi. — Bo do wszystkiego — mówił — trza mieć rozum. Ja czego nie wiem i wiedzieć nie mogę, bo w Boskich rękę jeszcze pozostaje, to odgadnę, albo i przeczuję. Drugi dawno polakomilby się na ceny i pozbył się owsa, a ja odgadłem potrzebę, w jakiej się najdę! Tak jakby mnie coś do ucha szeptało: niech to ziarno poleży jeszcze sobie! A cóż to szeptało? rozum i kwita! fiu! fiu!

Potrzeba zaś była taka, że weselników zjechać się miało wielu, a on był zbyt ambitnym, aby mógł nie zasypać każdemu »gościowemu« koniowi choćby małego i choćby z sieczką zmieszanego garnczyka owsa. W innym czasie ta ujma w dochodach martwilaby go ogromnie, ale teraz pomyślny obrót małżeńskiej sprawy siostry taką mu sprawiał uciechę i dumę, że czasem tylko i trochę jedynie markotniał, starając się w dodatku tego po sobie nie pokazywać.

Pancewicz, którego żona ciągle teraz u brata przesiadywała, wczoraj tu przyjechał i aż do bliskiego już wesela miał pozostać. Wstawszy więc zrana, po zagrodzie pochodził, braterskie budynki tak uważnie i ze stron wszystkich obejrzał, jakby po raz pierwszy w życiu je widział, na chałupę Gabrysia z politowaniem i większem jeszcze lekceważeniem popatrzał, aż znudził się, surdut zdjął i bratu do pomocy w młóceniu stanął. Bez surdutów i kamizelek, tylko w białych jak śnieg koszulach, pomiędzy dwoma pachnącemi zasiekami zboża, niedaleko od siebie stojąc, podnosili obaj cepiska i, spuszczając je w leżące na toku snopy, biczami walili. Pancewicz czynił to powoli i poważnie, Konstanty — prędko i zapalczywie, tak, że na jedno uderzenie pierwszego dwa drugiego wypadały, aż z głuchych lecz silnych odgłosów tych uderzeń utworzył się rytm stały, jednostajny i przez otwarte drzwi stodoły nieustannie, jednostajnie rozchodził się po zagrodzie. Na dziedzińcu, w sadzie, około obory i stajni, nawet na wyboistej drodze, biegnącej brzegiem pola, słychać było głośne, ciągle, równe trzy tempa: Taf, taf, taf! Taf, taf, taf! Zdawać się mogło, że duża, żółta, białą koldrą w górze przykryta stodoła gałała.

Pośród długiego szlaku okolicy były i inne jeszcze stodoły,

które gadały tak samo; komuś więc, ktoby drogą szedł lub jechał, wydawałoby się mogło, że budynki te prowadziły z sobą zawziętą i gadatliwą rozmowę. Mieszaly się do niej czasem głuchoe stukoty sanek, skaczących po twardych wybojach drogi, i przeraźliwe świegoty wróbli, których ogromne stada z głośnym trzepotem wznosiły się w powietrze, to znowu na ziemię opadały u rozwartych i zmiętą słomą usianych wrót każdej stodoły.

Wcale inne odgłosy z za zamkniętych okien wychodziły z domu Osipowicza, w którym, niby rój pszczół, brzęczały rozmowy i śmiechy. Łatwo było odgadnąć, że garstka młodzieży napelniała świetlicę, i że było tam bardzo wesoło. Jakoż ze studkiem, szeroko otworzyły się drzwi domu, i na ganek, ścigana widocznie przez dwóch młodych i urodziwych chłopców, wybiegła dziewczyna wysoka, zgrabna, piękna, w czarnych warkoczach nad śniadą twarzą, po miejsku ubrana, w suknię z obcisłym stanikiem i turniurą. Jeden ze ścigających chwycił ją za fałdy sukni, drugi za rękę, a obaj wołali i zaklinali się, że jej nie puszcza, że nie po to przyszli, aby ich ona w smętku i samotności pozostawiała, że jeżeli już nieszczęsny los tak zdarzył, iż pan Cydzik wprędce porwie ją i w dalekie strony uwiezie, to oni choć tymczasem widokiem jej nacieszyć się żądają. Jeden, z niejaką elegancją w szarą kurtkę, zielonemi taśmami naszytą, ubrany, półgłosem jej mówił, że tego Cydzika zastrzeli chyba za pozbawienie całej okolicy najpiękniejszego kwiatka, który w niej wyrósł! Drugi coś jej także do ucha szeptał. Parę dziewcząt, w samodziiałowych spódnicach i codziennych kaftanach, przez drzwi z sieni wyglądało, szczerząc zęby i przyglądając się triumfowi towarzyszek. Widocznie bowiem była ona triumfatorką i z zadowoleniem przyjmowała sypiące się na nią komplementy i czułości. Zadowolenie, rozbawienie, zalotność tryskały z jej twarzy, spojrzeń i ruchów. Ten Adaś Strupiński szczególnie był takim przystojnym i dowcipnym chłopcem, że wesoło było z nim pożartować, a ponieważ uchodził za bałamuta i wielu już pannom w okolicy głowy napróżno pozawracał, więc nawzajem zawrócić mu głowę nie małym musiało być triumfem. Że zaś głowę miał już zawróconą, to wyraźnie widziała i była pewna, że, gdyby nie zaręczyny z Cydzikiem, on teraz oświadczyłby się o nią. Jednak choć kompanja była tak wesołą, umyśliła porzucić ją na chwilę, a myśl ta niewiedzieć skąd i nagle strzeliła jej do głowy, gdy, u długiego pieca na kołowrotku przędąc, z chłopcami i dziewczętami rozmawiała i żartowała. Niewiedzieć dlaczego

i nagle wśród największej wesołości pomyślała sobie: — Dość już tego! nie chcę już ich! do Gabrysia polecę! — Zerwała się od kołowrotka, na ganek wypadła, gdzie ją znowu te męciwody i pochlebniaki bardzo zabawili i rozśmieszyli. Jednak, gdy Strupiński zbyt już mocno rękę jej ścisnął i zbyt zuchwale w same oczy zajrzał, zaczerwieniła się, po ramieniu go uderzyła i, wyrwawszy się mu, jak strzała ku zagrodzie Gabrysia pobiegła. Płotek, dwie zagrody rozdzielający, nie był dla niej żadną przeszkodą, bo od dzieciństwa przebywać go przywykła w taki sposób, w jaki uczyniła to i teraz. Przeskoczyła go, jak sarna, i tylko fałdy miejskiej sukni, nie bardzo do przeskakiwania płotów odpowiedniej, zaczęły się o coś i na chwilę znajdującą się pod nimi kraćciastą, samodzielną spódniczkę ukazały. Przystanąła i, nachyliwszy się, z niepokojem obejrzała, czy się czasem nie rozdarły. Od powrotu swego z miasta nie ubierała się już inaczej jeno w takie miejskie suknie, których dwie miała: jedną od Końcowej, drugą, którą sprawiła sobie za pieniądze, otrzymane ze sprzedaży utkanych własnymi rękoma kolder i kilimków. Ponieważ za bogatego wychodziła, mogła sobie tedy na ten zbytek pozwolić i suknie te znosić choćby jeszcze i przed ślubem. Nie raz wkładając je i nowe wstążki na szyję zawiązując, myślała, że przecież teraz takie rzeczy, to całe już jej szczęście, więc też pewno nie będzie ich sobie szczenić. Ile razy tak pomyślała, zawsze lzy zakręciły się jej w oczach, ale przy zapinaniu i zawiązywaniu kokardy osychały.

Przez podwórko Gabrysia szła nieco wolniej, słuchając rozlegającego się w chacie ciągłego, monotonnego stukania.

— Gabryś sieczkę rznie! — pomyślała.

Istotnie, w ciemnawej sionce, przy ustawionem w głębi razidle Gabryś stał bez kapoty, w grubej koszuli i, bosą stopę na podnożu opierając, wielki nóż w drewnianej rękojeści prędko jedną ręką na podsuwany drugą snop słomy opuszczał. Z pod rzezaka spadała żółta ulewa na drobną sieczkę pokrajanej słomy; czoło pracującego było trochę zwilżone potem, a czarne jego wąsy na wydętych od wysilenia i zamyślenia wargach sterczały pośród chudych policzków, jak kępa twardej szczeciny. Wtem, tuż za jego plecami, zadzwonił świeży, donośny głos kobiety:

— Dlaczego to Gabryś, choćby i do rznienia sieczki, nie ubierze się porządniej! Bosy, z rozczochranemi włosami, w rozpiętej koszuli, tak jak ostatni kapcan! fi!

Zmieszał się tak ogromnie, że, słomę i rzezak z rąk wypuszczając, jak mały chłopczyk na gorącym uczynku schwytyany,

z opuszczonemi w dół ramionami i zwieszoną głową stanął. Ona cała rozweselona komplementami i żartami, z pośród których tylko co się wyrwała, stała przed nim z rozblyśnemi oczyma, teraz wreszcie zbliżyła się, ręką odgarnęła mu z czoła zwilżone nieco od potu włosy i koszulę u szyi zawiązała. Bardzo lubiła Gabrysią, i im więcej ludzie nim gardzili i głupim go przezywali, tem więcej go lubiła. Czasem zdejmował ją żal nad nim, że był takim biednym i samotnym, czasem też śmiała się i żartowała z niego sama, bo śmiesznie wyglądał, gdy tak, jak teraz naprzykład, z rozczzerwienioną twarzą i obwisłemi rękoma, stał jak kolek i patrzył na nią, lypiąc powiekami i uśmiechając się gapłowo. Głos miał zawsze cichy, przytłumiony, jakby od nieśmiałości, czy też od braku wprawy w mówieniu. Tym więc głosem zapytał ją nakoniec:

— Czy Salusia jaki interes ma do mnie?

— Ej, nie, zachciało mi się tylko Gabrysią odwiedzić, a przy tem już i zapytam: czy Gabryś da mnie swój wazonik mirtu na wianeczek i bukieciki?

— To niech Salusia do izby wejdzie i ten mirt zobaczy, a ja zaraz też tam pójde.

Przez niskie, szerokie drzwi, na drewnianą klamkę zamykaną, do izdebki wbiegła i natychmiast, niby wonna fala, ogarnęły ją silne zapachy geranium i heljotropu. Tem silniejszymi wydawały się te zapachy, że izdebka była malutka. Stał tam pod ścianą szeroki łapczan z siennikiem, samodziałową koldrą przykrytym, i z dostatnią czystą poduszką; nad nim, obok kilku jaszkrawych obrazków, wisiały skrzypce. Zdesztą, oprócz starego stołu, na którym stała lampka i leżało parę książek w zniszczonych oprawach, zydelka, paru stołków, nie tam nie było i prawie nic zmieścićby się już nie mogło. Podłogę, z gliny ubitą, wysoki próg, w wąskich drzwiczkach położony, przedzielał z kuchenką, w której palił się w piecu mały ogień, i stały przed ogniem dwa niewielkie garnki. Jedynym zbytkiem tego ciasnego i ubogiego wnętrza były dwa dość duże okna, w spore i czyste szyby zaopatrzone, a jedyną ozdobą — umieszczone przy nich rośliny. Weale nie dużo ich było: okwitająca już pelargonja i w pełni rozkwitły heljotrop, rozłożyste geranium i dwa mirty, które, nie mieszcząc się w oknie, na stołkach przy niem stały, całe w słońcu, którego południowe blaski z za zielonych liści sypały na glinianą podłogę deszcz złotych kółek i esików. Cisza tu była wielka, czasem tylko ogień w kuchence zatrząsał, i od strony Osi-

powicza dochodziło zgłuszone oddaleniem, rytmiczne stukanie cepów.

Salusia, uśmiechnięta, cała w słonecznej smudze, obu rękoma obejmowała wazonik z heljotropem i z całej siły wciągała w siebie zapach drobnego, bladego kwiatu.

— Salusi podoba się mój heljotrop? — usłyszała za sobą przyciszone pytanie — to niech go sobie Salusia na nowe gospodarstwo weźmie.

Gabrys stał za nią w kapocie już i w butach z odpadającymi podeszwami.

— Niech Salusia mirty zobaczy.

— Prawda, Gabrys ma teraz dwa mirty, dawniej przecież miał tylko jeden!...

Delikatnie dotykając palcami drobnych listków mirtowych, z uśmiechem mówił:

— A tak; ten starszy zasadziłem dziewięć lat temu, kiedy Salusia niedoroślą jeszcze była, myśląc sobie, że jak raz na tę porę wyrośnie, w której Salusia zamąż wychodzić będzie. Ale potem, cośś trzy lata temu, zasadziłem drugi, aby Salusia dostatnio go miała na ślubny wianuszek i bukietiki dla asysty...

— To Gabrys umyślnie dla mnie te mirty hodował?

— A jakże! — odpowiedział z takim zadziwieniem, jakby przypuszczenie, że mogło być inaczej, wydawało mu się zupełnie dzikiem i niesłychanem.

Dziewczyzna, kręcąc się po izdebce, szczebiotała:

— U Gabrysia jest ładnie — ciasno, ale ładnie, bo czyściutko, i kwiaty przyozdabiają. A czemu Gabrys jeszcze ptaków jakich, szczyglów lub czyżyków, w klatce nie trzyma? Wesoło byłoby, żeby sobie pośród tej zieloności szczebiotały.

— Nie mogę, żaluję — odpowiedział. — Ptakom w klatce męka okropna. I naco? Pod dachem kryje się przed zimą mnóstwo wróbli; ja im poślad przez okno sypię... kiedy wysypię, to zlatują się prawie chmurą, i dawaj ziarenka w plewach wyszukiwać, chwytac, nawzajem sobie odbierać... czysta pociecha! Prawie jak pośród ludzi! Ale nasycone odlatują i może po swoich ukrytych gniazdach dziękują tej ręce, która je nakarmiła.

Salusia, wachając kosmate liście geranium, zaśmiała się.

— W takim razie, wróble są lepsze od ludzi, którzy Gabrysiowi nigdy, zdaje się, nie dziękują za to, że dla nich się ze wszystkiego ogolocił. Słyszę, brat to nigdy Gabrysia nie odwiedza, a synowczyki jeszcze i naigrawają się ze stryja!... Czy to prawda?

— A prawda! — odpowiedział i ręką machnął, gdy zaś ona odwróciła się od wazonów, śpiesznie zauważył:

— Salusia piesków moich jeszcze nie widziała.

Drzwi od sieni otwierając, zawołał:

— Sargas! Wilczek!

Dwa kudlate kundelki do izdebki wpadły i, wesoło kitami wywijając, zwijać się zaczęły około jego wysokich zrudziałych cholew. Salusia ku sobie je przywoływała, Sargasa zwłaszcza, który był stary i swawolił z nią wtedy jeszcze, gdy była niedoroślą. Gabrys zaś, znowu o czymś sobie przypominając, z niezwykłą sobie żywością zawołał:

— Gołębie piękne mam... jak śnieg bielutkie... chce Salusia zobaczyć? Zaraz przyniosę.

Widać było, że pragnął wszystkie bogactwa swoje jej pokazać, wszystkim, co tylko posiadał i lubił, przyjąć ją i zabawić.

Z żywością młodego chłopca do sieni wyszedł, i zaraz słyszeć się dały ciężkie stąpania jego po drabinie na strych wiodącej. Salusia tymczasem, po izbie wzrokiem wodząc, zatrzymała go na wiszących nad tapezaniem skrzypcach i, wskoczywszy na tapezian, zdjęła je ze ściany i smyczkiem po strunach powiodła. Po izdebce rozszedł się ostry, piskliwy dźwięk, ona zaśmiała się głośno. Padająca z okna smuga słoneczna opasywała ją i skrzypce; Gabrys, białego gołębia w obu rękach trzymając, stał w progu ze wzrokiem ku niej wzniesionym i ustami w zachwyconym uśmiechu otwartymi. Ale ona w mgnieniu oka na ziemię zeskoczyła i, skrzypce na pościel rzuciwszy, znalazła się tuż przed nim.

— Ładny gołąbek! miły gołąbek! — wołała, ponsowe usta przykładając do dzioba oswojonego i spokojnego ptaka, dłonią delikatnie muskała śnieżne jego pióra, a głowę tak pochylała, że warkocze jej muskały także schyloną twarz Gabrysia. Wtem, podniósłszy oczy, spotkała się niemi z jego oczyma i nagle przycichła. Pod czołem drobnymi zmarszczkami okrytem, wśród twarzy chudej, długiej, kępą twardych wąsów sterczącej, były to oczy młode, czarne i ogniste, oczy rodu Osipowiczów, tylko w tej chwili do głębi zmaczone i wzruszone. Nad niemi, po drobnych zmarszczkach czoła, błędziły rumiane smugi. Salusia przycichła, gołębie pieścić przestała i, odszedłszy, usiadła na zydlu przy stole, z twarzą na dłoń spuszczoną. Posmutniała, lecz wcale, wcale nie dlatego, że niezwykle wyraz spostrzegła na twarzy Gabrysia. Ani myślała odgadywać, co czuł on lub myślał, gdy tak

wzruszonym wzrokiem na nią patrzył. Co on tam osobliwego mógł czuć lub myśleć? Posmutniała, bo oczy Gabrysia przypominały jej w tej chwili inne, w dalekiej już, jak się jej zdawało, przeszłości pozostawione. Tak samo z nią bywało, ilekroć usłyszała głośny śmiech stryjecznego brata, który, trzebaż trafia! zupełnie był podobny do śmiechu człowieka daleko też w przeszłości na zawsze pozostalego! Ale trafia podobne zdarzały się jej nie rzadko. Czasem ktoś wyraz jakiś wymówi, ruch zrobi, spojrzy na nią w jakiś sposób — co więcej, wiatr czasem tak jakoś powieje, niebo przyćmi się, lampka zamigocze, że trafia! i jest już przypomnienie jego, albo jakiejś rozmowy z nim, albo jakiejś chwili, często malutkiej, która im wspólnie była zleciała i na zawsze stopiła się w przeszłości.

Gabrys gołębia do sionki wpuścił i do Salusi miał się zbliżyć, gdy w kuchni coś przeciągle zastękało i zajęczało.

— Gabrys! daj ziólek! Oj, Boże mój, Boże! człowiek bez kropli wody umierać musi! Gabrys, czy ty masz Boga w sercu, że mnie tak opuszczasz i garnka z ziółkami nawet nie podasz... Gabrys! oj, oj! oj, oj, oj!

On zniknął już w kuchence i przez wąskie drzwiczki wiadać było, że komuś niewidzialnemu śpiesznie garnuszek jakiś podawał, i słyhać, że do kogoś, wciąż jęczącego i gderliwie zrzedzającego, zcicha kilka słów powiedział. Potem, gdy stękanie i zrzedzenie umilkło; do izdebki wrócił i na tapczanie usiadł.

— Ciotka chora? — zapytała Salusia.

Skinął twierdząco głową.

— A Gabrys jej słuuguje?

Nic nie odpowiedział. Patrzył na nią, ale inaczej, niż przed chwilą: uważnie i niespokojnie. Teraz, gdy przestała śmiać się i szczebiotać, a zamyślona i chmurna, z twarzą na rękę opartą, siedziała, można było zauważyć zaszle w niej zmiany. Świeża zawsze jak majowa róża, twarz jej była przecież nieco szcuplejszą, niż dawniej, i pod oczyma rysowały się ciemne kółka. Jakby cień, jakby leciuchna zasłona przyćmiewała blask jej zdrowej i pięknej młodości; czerwone usta wydawały się bledsze i smutne. Milczała, patrząc w ziemię. Gabrys zcicha zapytał:

— Czego Salusia posmutniała?

Wtedy ona, ręką zakrywając oczy, szeptać zaczęła:

— Żeby Gabrys wiedział jak mnie czasem ciężko, ciężko, ciężko...

Umilkła, a on, zasmucony także, oczu z niej nie spuszczał.

— Czasem to i wesoło mnie bywa, nawet cieszę się... Co

to? na takie gospodarstwo iść, w zgodzie być ze wszystkimi, u wszystkich w uważaniu... ale czasem to znów myślę sobie: żeby ich djabli wzięli za to, że oni zrobili mnie taką nieszczęśliwą! nieszczęśliwą!

Za głowę się schwyciła i zerwała się ze stołka.

— Nie trzeba przeklinać... — nieśmiało zaczął Gabryś, ale ona go nie słyszała, cała w ogniu, z wargami żałośnie wzdętymi, z rozognionym wzrokiem.

— Ja jego nie chcę, nie chcę, nie lubię, nienawidzę... — wołała i ręką w pięść złożoną uderzyła w stół.

— Kogo? — z przerażeniem zaszeptał Gabryś.

— A Cydzika tego... żeby on wskrósł ziemi poszedł, nim do mnie ze swatem przyjechał... berbec ten, smarkacz, niedojda... kiedy on do mnie podchodzi, to mnie się zdaje, że ślimak lezie i nawet suknię swoją uchylam, aby nie dotknął...

Aż zdyszana od uniesienia, twarzą obróciła się ku oknu i widać było, że załamała ręce. Gabryś, naprzód pochylony, chwilę z otwartymi ustami i przerażeniami oczyma siedział, a potem z trwogą mówić zaczął:

— To jakżeż?... to cóż z tego będzie? Przecież on przyszedł maż Salusi...

— Jeszcze niewiadomo! — sarknęła i, nagle odwracając się od okna, mówić zaczęła:

— Żeby ja choć jaką wiadomość o nim miała! żebym choć cokolwiek o nim posłyszała! Boże mój, Boże, jak ja przyjazdu Końcowej czekam... Może już jutro, albo pojutrze przyjdzie! Tak jej czekam, jak nigdy niczego nie czekałam!

— A na cóż Salusi Końcowa potrzebna?

— Gabryś głupi i nic nie rozumie! Ona pewno cokolwiek o nim wie, a może go i widziała, może on i przyjeżdżał do niej, ażeby dowiedzieć się, co to takiego stało się ze mną i z nami obojgiem... Oj, co to stało się? co to stało się? ja i sama tego nie wiem i nie rozumiem...

Z załamanemi rękoma stojąc, osłupiałemi, nieruchomemi oczyma zdawała się coś lub kogoś zapytywać o zagadkę swojego losu i swojej boleści. Boleść pogięta w zmarszczki jej zazwyczaj gładkie jak marmur czoło i kąty ust drobnych w dół opuszczała.

Gabryś w obiedwie dłonie głowę ujął i, kolysząc się na obie strony, zcichu szeptał:

— Jezus Marja! Jezus Marja! cóż z tego będzie? cóż z tego będzie?

Nagle zerwał się, do kuchni wybiegł i wrócił, niosąc spory garnek, z którego łyżka drewniana sterczała i który na stole postawiwszy, nieśmiało prosić zaczął:

— Może Salusia zje troszkę bobu... może zje... dawniej bardzo bób lubiła, no, zjedz troszkę... pamiętasz, jak kiedyś często do mnie na bób przychodziłaś? zjedz i teraz, no, zjedz!

— Nie chcę, niech Gabrys mnie swoim bobem nie duka! — rzucając ramionami, sarknęła i nadąsana na stolku usiadła. — Jednak — myślała — ludzie prawdę mówią, że Gabrys jest głupim. Przyszedł mu też ten bób do głowy, kiedy mnie tak smutno, tak smutno, tak źle! Przecież ja wiem, że u Cydzika nie bób, lecz jakie tylko zechcę przysmaki będę jadła, a pomimo to, tak smutno, tak źle...

On tymczasem pomyślał chwilę, aż cichutko na swoich podartych podszewkach stąpając, jakby skradając się, podszedł do okna i, parę kwitnących gałązek heljotropu zerwawszy, przed Salusią z niemi stanął.

— To może Salusia kwiatek sobie do włosów przypnie? Proszę przypiąć? taki pachnący! Ale pewnie bez lusterka uczynić tego nie można? u mnie jest kawaleczek lusterka, zaraz przyniosę...

I już po kawaleczek lusterka iść miał, kiedy ona wstała, splecione ręce nad głowę wyciągnęła i mówić zaczęła:

— Nie chcę ja kwiatka, nie chcę lusterka, nie chcę niczego... pójdę już sobie...

Poszła, o pożegnaniu się z nim ani myśląc, a on jej nie zatrzymywał, z gałązkami heljotropu w palcach, na środku izby stał, jak skamieniały. Z zamyślenia wyrwało go stękanie i jęczenie w kuchence.

— Gabrys... oj, oj, oj! bój się Boga, Gabrys! Czemu ty garnków od ognia nie odstawisz? Toż wykipią i łyżki ciepłej strawy do gęby wziąć nie będzie! Gabrys... pewno tam na co zagawronił się, gamoń, harbuz! Oj, oj, oj! Gabrys, głupi Gabrys... choć ziólek napić się daj!

W godzinę później Salusia z Pancewiczową do bliskiego miasteczka pojechała po niektóre jeszcze przedślubne sprawunki, a gdy około wieczoru wróciła, kilka dziewcząt i kawalerów przyszło prosić, aby z nimi na *hurbę* czyli na tańczące zebranie poszła. Od przejażdżki zarumieniona, porobione sprawunki z zadowoleniem dziewczętom pokazując, drożyła się jednak, odma-wiała, lecz aby tylko podrażnić się trochę z tymi, którzy ją otaczali, prosili, zaklinali. Nigdy przedtem w całej okolicy tak nie

lubiono jej, jak teraz, nigdy nie miała tylu asystentów i pochlebników. Zdarzyło się jej było i przedtem parę partyj nie bardzo złych, ale nie bardzo i dobrych, za którymi ani brat, ani siostry, ani jej własne upodobanie wcale nie obstawały, więc je odrzuciła. Bywali też i dawniej tacy, którzy dawali jej do poznania, lub też i wyraźnie mówili, że jest najładniejszą panną w okolicy i na wiele mil dokoła, że pięknego losu warta, że przy niej niejedna i wcale droga panna tanieje. Ale nie zdarzało się to ani tak ciągle, ani od takich ludzi, jak teraz. Teraz ceny wprost na nią nie znano. Adaś Strupiński desperował przed Pancewiczową, że Cydzikowi dał się uprzedzić; Józik Łozowicki i paru innych przy każdej wzmiance o tem, że była zaręczoną, sępa pokazywali i zcicha wygrażali nawet, że tego młodzika, który im taką pannę z przed nosa zabiera, kiedykolwiek na gorzkie jabłko stłuką. Konstanty z wielkiem zadowoleniem na te triumfy siostry spoglądał i z ręką na kłębie głośno śmiał się.

— W ręce całować mnie powinna za to, żem ją na taki brylant, dla wszystkich pożądaną, wykierował! Dawniej, to na dwa lata znajdował się jeden konkurent i to lada jaki... a jak ją jedynak pana Onufrego zatargował, to i wszyscy kupićby radzi! Cha, cha, cha! kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży! U mnie zawsze taka robota!

Pancewiczowa, jako niemłoda i doświadczona kobieta, niedowierzająco uśmiechała się i złośliwie czarnemi oczyma błyskała.

— At — mówiła — wiadomo, koń zatargowany, panna zaręczona — największą cenę mają. A żeby teraz z Cydzikiem rozeszło się, to i wszyscyby od niej poodpadali.

Salusia tymczasem w swojej miejskiej, zgrabnej sukni, z czerwoną kokardą na czarnych warkoczach, szła ścieżkami i podwórkami przez okolicę, na czele gwarnej gromady dziewcząt i kawalerów, która, to gęsim sznurem rozwijała się na ścieżkach, to w ciasnych przejściach pomiędzy płotami stłoczona, wpośród psot i śmiechów po kostki grzęzła w śniegu. Szła prędko, zamasyście, z podniesioną głową, z oczyma dumą i zadowoleniem rozbłysłemi. Mówiła głośno, żwawo odcinała się na zaczepki, żarty i komplementy, rozbawiona, dumna. Jednak zdarzało się nierzadko, że po przetańczonym kontredansie lub krakowiaku liczne i hałaśliwe towarzystwo, w obszernej, prawie pustej i jedną lampką słabo oświeconej izbie zgromadzone, spostrzegało nagle jej nieobecność. Niepostrzeżenie dla wszystkich, w połowie zabawy znikająca, pogoni bojąc się, jak strzała przebywała okolicę

i na braterskie podwórko wpadłszy, zdyszana opierała się o płotek. Gdyby ją aż tu ścigano, gotowa była płotek przeskoczyć i skryć się w chacie Gabrysia. Nie ścigano jedna przez urazę lub przystojność, a ona długie kwadranse z łokciami o płotek opartemi i twarzą w dłoniach stała i myślała.

Czasem, nie codzień, ale czasem, Gabrys w swojej chałupie na skrzypcach grał. Z za dwu sporych i blade połyaskujących okienek wydobywały się przewlekłe melodje różnych starych pieśni: »Tam na błoniu błyszczy kwiecie«, albo »Idzie żołnierz borem lasem«, albo jeszcze »Poleć, motylku, pleć tam dalej«. Powiewy wiatru porywały tony tych melodyj i niosły je nad owiniętymi w śniegi dachami, nad domami uciszonymi, w których jedno po drugim gasły światła, przez szumiące zlekka sploty gałęzi, aż na drogę wybojami powyżłabianą, biegnącą brzegiem rozłogu, mętnie i zda się bezgranicznie bielejącego w ciemności. Z innego końca okolicy, tym jakby na spotkanie, nadlatywały dźwięki wcale inne, skoczne, wesole, przy których późno w noc, gdy starszyna twardo już spała, i okna wszystkich domów pogasły, młodzież na *hurbę* zebrana kręciła się w polce, lub holubce w krakowiaku wybijała. Salusia, twarz zakrywając dłońmi, pod gwiazdami czy pod chmurami, w grubym zmroku, w powiewach wiatru, w lecących powietrzem tonach muzycznych, u płotka stojąc — płakała.

Kiedy przed trzema tygodniami po raz drugi przybywające swaty przyjecha, a kobyłkę Jaśmonta do stajni wprowadzono, doświadczyła takiego uczucia, jakby spadł z niej wielki ciężar, jakby z kłótni, trwogi, walki, wstąpiła do milej ciszy i spokoju. Stało się! klamka zapadła, mnóstwo krewnych i znajomych, którzy dnia tego do domu Konstantego schodzili się jak na odpust, świadkami było jej postanowienia i przyrzeczenia. Wiedziała, że cofnąć się już nie może pod karą publicznego pośmiewiska i potępienia, nie czuła zresztą do cofania się żadnej ochoty. Głowę miała nabitą tem wielkiem gospodarstwem, którego panią miała zostać, uszy napelnione powinuszowaniami najpoważniejszych w okolicy ludzi, policzki wygniecione pocałunkami sióstr i przyjaciółek. Cieszyła się, gości częstowała, w kuchni, razem z Pancewiczową, z zawiniętymi po łokcie rękawami, oładki z kartofli, jajecznicę i inne przysmaki smażyła, wysokich progów nie przebywała inaczej, jak z wysokimi też podskokami, z narzeczonym wyprawiała żarty i śmiechy, mustrując go, do wszystkich usług popychając, trochę wyśmiewając, drażniąc się z nim i wogóle obchodząc się jak z niedorosłym chłopczykiem. On zaś, niczem

nie zrażony, lecz owszem, zachwycony wszystkim, co tylko od niej pochodziło, ze swoją kolkowaną figurą i prawie dziecienną twarzą, jak cień za nią laził, ogień w piecu na rozkaz jej rozniecał, wodę ze studni przynosił, drewka na trzaski rozłupywał, a gdy drwiąc, nazywała go niezgrabiaszem, harbuzem, niedostała trawą, patrzył na nią z zachwyceniem, dwa rzędy białych, jak kość sloniowa, zębów w szerokim uśmiechu ukazując. Wszyscy też już widzieli i nie porochu wcale mówili, że łatwo jej przyjdzie kozła i barana z takiego męża zrobić, i że teraz już zgadnąć można, kto w dostatnim domu Onufrego Cydzika wszechwładnym panem zostanie. Bo ona i teścia zawojować potrafi — przepowiadano; a pan Onufry, choć gruby i pieniędzmi nadziany, tak skakać będzie, jak mu synowa zagwiżdże! Przepowiednie te pochlebially jej i mile w niej głaskały chęć i nadzieję panowania, rządzenia, różnorodnych chlub i blasków.

Trwało tak przez całe trzy dni, to jest, aż do wyjazdu Końcowej, która, choć przez rodzeństwo zatrzymywana, do męża i dzieci powracać musiała. Już przez cały ranek wyjazd jej poprzedzający Salusia chodziła po domu nagle jakoś uciszona, z omglonemi i zamyślonemi oczyma, aż gdy Końcowa salopę kłaść i głowę chustką owijać zaczęła, na szyję jej się rzuciła i wybuchnęła głośnym, rzewnym płaczem. Tak silnie ramionami objęła siostrę, tak mocno przycisnęła się do niej i tak gwałtownemi pocałunkami ją okrywała, łzami przytem oblewając, jakby ta siostra była jedynym i drogim skarbem, od którego ona za nic oderwać się nie mogła. Sama Końcowa i wszyscy obecni, zrazu zdziwieni tym gwałtem żalu i płaczu u dziewczyny, która wczoraj jeszcze była wesołym skowronkiem i skaczącą kozą, wkrótce zarazili się nim sami, i gdy Końcowa na ganek wyszła, podniosło się dokoła niej takie powszechne i głośnie wzdychanie, łkanie, jęczenie i ucieranie nosów, jakby ją w trumnie z domu wynoszono. Ona, na własnych nogach stojąc, także łkała i nos ucierała, a Salusia czepiała się jej wciąż rękoma jak skarbu jedynego, jak ostatniej, zda się, deski ratunku i zbawienia. Pierwszy Konstanty, zalzawione oczy ręką ocierając, energicznie zawołał:

— No, dość! kiedy bieży, to bieży... Anulka, siadaj i jedź, bo ta warjatka zapłacze się na śmierć!

Warjatka na saniach siedzącą siostrę jeszcze obejmowała i całowała, przyczem, nie wiedzieć kiedy na sanie wskoczywszy, krzyknęła na parobka: — Jedź! — i tak jak stała, bez wszelkiego okrycia w jednej sukni pojechała. Rodzeństwu, które z ganku na

nią wrzeszczało, aby wysiadła i wracała, odkrzyknęła płaczącym głosem: — Ja tylko trochę Anulkę przeprowadzę!

Przeprowadziła o całe pięć wiorst i byłaby może dalej jeszcze przeprowadzała, gdyby, jak opowiadał powożący parobek, Kończowa nie kazała stanąć i prawie gwałtem z sanek na ziemię jej nie zepchnęła. Z wycieczki tej powróciła bynajmniej nie zziębła, owszem, szybkim biegiem rozgrzana, z karmazynowemi od mrozu policzkami, uszami, ale jak struta, jak zabita, taka smutna, zamyślona i milcząca. Nikt nie rozumiał i zresztą nie dochodził bardzo, co jej się stało; ona sama dokładnej sprawy z tego przed sobą nie zdawała, tylko doświadczała takich uczuć, jakby wraz z odjazdem Kończowej coś się w niej z wielką boleścią zerwało, coś ostatecznie i na wieki dla niej przepadło. Potem, zastanowiwszy się, zrozumiała i jasno powiedziała sobie, że Kończowa była świadkiem jej na wieki utraconego szczęścia, jedyną osobą, która niegdyś przynajmniej sprzyjała Jerzemu, która nawet do zbliżenia jej z nim dopomagała, że zatem, rozłączając się z nią, znowu i po raz już ostatni rozłączyła się z Jerzym. Teraz już samych tylko wrogów jego dokoła siebie widzieć będzie, albo takich, którzy jego nie znają i nic o nim nie wiedzą, a o których ona ani myślała wtenczas, gdy była szczęśliwą!... Wtedy też, po raz pierwszy od chwili, w której list z rekuzą i zaręczonowym pierścionkiem do niego wysłała, stanął przed nią jak żywy, a taki smutny, taki na nią rozżalony, z taką desperacją na nią patrzący, że nie mogąc dłużej z tym obrazem przed oczyma na miejscu usiedzieć, z domu wybiegła i, z ganku na drogę wyboistą, na szerokie, białe pole patrząc, pomyślała: — Żeby tak polecieć! żeby do niego polecieć! Ach, jakbym leciała! leciała! — I patrząc na niebo, myślą modliła się: — Boże, Boże! przemień ty mnie w wolnego ptaka, abym więzów ani złych ludzi nie знаła i mogła lecieć do niego, lecieć! — Nie przemieniła się w wolnego ptaka, nie poleciała, i sama nie spostrzegła, że po raz pierwszy w życiu brata i siostry nazwała złymi ludźmi. Tego też wieczora takimi jakimiś zlemi oczyma na wszystkich patrzyła, tak opryskliwie odpowiadała siostróm, gdy ją do pomocy w jakiejś robocie wzywały, że Pancewiczowa ją upominała:

— Czegoż to ludziom osą w oczy się rzucasz? Nie wczas ci jeszcze z przyczyny Cydzikowego bogactwa nos do góry zadzierać!

Ona zerwała się i ofuknęła:

— Niech Cydzika razem z jego bogactwem djabli wezmą!

Poczem do przeciwka, w którem z siostrami sypiała, wypadła, dwoje drzwi zamykając za sobą z takim trzaskiem, jakby dwa pistolety jeden po drugim wypaliły.

Ale nazajutrz pan Onufry Cydzik sam już przyjechał, aby za przyjęcie synowskich swatów podziękować i przyszłą synową poznać. Konstanty z wielkimi honorami go przyjmował, sąsiadów i sąsiadek zeszło się tyle, że w świetlicy zrobiło się ciasno, a Salusia, wystrojona i triumfująca, z uśmiechami i rumieńcami, dygała przed grubym i czerwonym teściem, który wobec wszystkich w rękę ją całował, bardzo czule na nią przebiegłymi oczkami starego dusigrosza patrzył i w pięknych słowach dziękował za promocję, którą chacie jego uczyniła, zgadzając się gospodynią i panią jej zostać. Potem też zaraz dzień zaręczyn za tydzień, a ślubu za trzy tygodnie wyznaczono.

Trzy tygodnie — czas duży; o tem, że koniec mieć muszą, Salusia myśleć nie chciała; myśl o skończeniu się tych trzech tygodni odpędzała od siebie, jak złą zmoreę.

— Kiedy to jeszcze będzie! — mówiła sobie i, machnąwszy ręką, szła wszystkie kąty rodzinnej zagrody oglądać. Cały rok tu nie była, u Końcowej bawiąc, więc witała się ze wszystkim, i wszystko ją cieszyło: bydelko, owieczki, piękna stodoła, kury, z których parę sama była wyhodowała, kogut z jaskrawem opierzeniem, który ją znał i na wołanie jej do ręki przychodził, kilkoro kwiczących w chlewku prosiątek, nawet drzewa w sadzie, które, choć śniegiem osypane, albo od szronu błyszczące, jedno po drugim oglądała.

Raz z budynku, w którym stało ze trzydzieści owiec, wychodząc, do brata, który, gwiżdżąc sobie: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! z rękami w kieszeniach kurty szedł przez podwórko, z unizgiem rzekła:

— Koszuś, daj ty mnie na nowe gospodarstwo choć dwie owieczki! Niech ja tam, w cudzym domu wszystkiego swego potrosze mam!

— Sześć dam! sama sobie wybierz! — odpowiedział — kiedy bieży, to bieży...

I poszedł dalej, gwiżdżąc ciągle, tylko ciszej trochę, niż przedtem. Co to małżeństwo siostry kosztować go będzie — strach! Ale panowie Cydziki nie powiedzą, że do ich domu siostrę z gołymi rękami wepchnął. Że pięć p wniesie, było to dla wszystkich widocznem; niechże i szóste ma nielada jakie, i niech panowie Cydziki panów Osipowiczów znają!

Salusia zaś, prawie przez pół dnia w oborze siedząc, z trzy-

dziestu owiec sześć wybierała, wybrane pieścila, po obficie już odrosłych runach głaskała, na ziemi przysiadłszy, gadała do nich, nazywała je swojemi. Potem, gdy całe stadko, jakby zadziwione, czy przeleknione, z żalosnem beczeniem gęsto dokola niej się zbilo, ona, w tym kudlatym ścisku na zgniecionej słomie siedząc, wybranym swoim dla odznaczenia ich od innych, zawiązywała na szyjach czerwone tasiemki, które w tym celu z sobą przyniosła, i aż głowę na obie strony przechylała, przypatrując się, jak te tasiemki ładnie odbijały od run szarych, czarnych i brunatnych. Jeszcze nie skończyła tego zajęcia, gdy we wrotach obory aż zdyszany od pośpiechu rozległ się głos Pancewiczowej:

— Salusia! do domu! Cydzik ze swatem i z obrączkami przyjechał!

Teraz dopiero przypomniała sobie, że był to dzień na zaręczyny wyznaczony. W tym też dniu, a raczej tego wieczora, po raz pierwszy prosto w oczy losowi swemu spojrzała, bo Władysław Cydzik, złote obrączki na swój i jej palec włożywszy, we wcale osobliwy sposób asystować jej począł. O zuchwałości jakiegokolwiek nie myślało, ani też jej czuło to zaledwie dorosłe chłopię, które miłość po raz pierwszy i nagle w pułapkę, pochwyciła, żyły warem, a serce zaledwie zrozumiałem dla niego zachwyceniem napelniając. Pokazano mu dziewczynę piękną jak marzenie upalnego lata i powiedziano, że żoną jego zostać może. Od pierwszego spojrzenia zapragnął, aby została, i po pierwszych odrzuconych swatach, przez całą drogę do Bohatyrowicz w ramię i ręce Jaśmonta całował, prosząc i jęcząc, aby od zamiaru pojechania z drugimi swatami nie odstępował i aby cokolwiek takiego zrobił, coby Salusię do przyjęcia ich skłoniło. Nigdy przedtem żadnej kobiety zbliśka nie znał, do żadnej się nie zalecał i ani wiedział, ani myślał o tem, w jaki sposób najzgrabniej i najskuteczniej czynić to należy. Siła nieznana, pierwszy raz do życia obudzona, popychała go ku narzeczonej, nieśmiałość przezwyciężała, różne nieznane dotąd ochoty i myśli budziła; więc gdy Salusia, dla ugoszczenia swata i kilku przybyłych na zaręczyny krewnych, z kuchni do świetlicy i napowrót przechodziła, on, jak kółkowy cień, krok w krok za nią chodził, ciężkimi butami stukając i zatrzymując się wszędzie, gdzie stawała, a idąc znowu, gdy skierowywała się w którąkolwiek stronę. Miał przytem ciągle usta w szerokim i dziwnie błogim uśmiechu otwarte, a oczy w nią, jak w tęczę, wlepione i bardzo błyszczące. Możliwy myśleć, że gdyby go ktokolwiek teraz w gład-

kie i wyprostowane plecy pięścią uderzył, albo i batem ćwiknął, onby tego nie uczuł i nawet nie zauważył. Salusia przez czas jakiś nie zwracała na niego żadnej uwagi, aż gdy parę razy na suknię jej nastąpił, a raz odwracającej się z pośpiechem tak niezgrabnie włożył w drogę, że niesioną salaterką w bok go stuknęła i o mało jej z rąk nie wypuściła, spojrzała na jego tyczkowatą, cienką figurę, otwarte usta, wytrzeszczone i w nią wlepione oczy i zrazu śmiech, a potem gniew ją ogarnął.

— Czego pan Władysław chodzi za mną, jak cielę za krową! — sarknęła — proszę się i ludziom nie plątać się pod nogami!

Złękniiony, natychmiast na najbliższym stolku usiadł, a na jej usta wystąpił i długo z nich nie znikał uśmiezek ledwie widzialny, lecz zły i wzgardliwy. Rozmowy nie starał się zawiązać z nią ani razu, ale kiedy do wieczery zasiadano, z wielkim gwałtem zerwał się ze swego stolka i Pancewicza z jednej strony, a Jaśmonta z drugiej łokciami roztrącił, aby przy Salusi usiąść. A jaką korzyść w tem siedzeniu przy niej mógł dla siebie upatrywać, nie rozumiała, gdyż ani słowa do niej nie przemówił, tylko ciągle na nią patrzył i raz bardzo delikatnie pod stołem za suknię ją pociągnął. Uczynił to dlatego, aby wzrok jej ku sobie skierować i dlatego także, aby dotknąć się choćby jej sukni; ale ją od stóp do głowy przebiegł dreszcz taki, że aż wstrząsnęła się i pierwszy raz uczuła do tego dzieciaka taki wstręt, jaki od dzieciństwa czuła do ślimaków. Jego powolne, niezgrabne ruchy, podługowata, blada twarz, nawet miodowy wyraz oczu i uśmiechu, nieprzeparcie przypominały jej ślimaka. Uczucia te wzrastały przy każdych nowych odwiedzinach Cydzika, które powtórzyły się jeszcze parę razy, aż nakoniec nie miała dla niego w myśli nazw innych, jak mazgaj, kolek, gawron, ślimak, snarkacz — tę ostatnią szczególnie. Prawie pacholęcy wiek narzeczonego wzbudzał w niej odrazę, ze wzgardliwym lekceważeniem połączoną. Wolalaby już — o, sto razy wolalaby — wyjść za starego. Wiedzialaby przynajmniej, że powinna go szanować, że bez uhlżenia sobie może mu być posłuszną, że w każdym wypadku znajdzie u niego rozumne i doświadczone zdanie. Ale ten! Boże, zlituj się! ze swoim rozkochaniem wydawał się jej czemś budzącem takie obrzydzenie i zarazem taką ochotę do śmiechu, jak żeby naprzykład dwunastoletni synek Pancewiczowej w niej się rozkochał i żenić się z nią zapragnął. Wszystkie jej moralne i fizyczne siły, cała dojrzałość i świadomość miłosnych wzruszeń, ze stosunku z Jerzym zacerpnięta, podnosiły

bunt przeciw wszelkiemu zbliżeniu się ku niej tego dzieciaka. Każdy zaś gwałtowny poryw tego buntu sprowadzał przystęp tęsknoty za tamtym... dalekim, utraconym, którego teraz chwilami, zapewne przez ciągle porównywanie go z Cydzikiem, tak uwielbiała, że gdyby znagła przed nią stanął, na klęczki by przed nim upadła.

— Nie mój on już, nie mój, nie mój! — myślała tej nocy, która po zaręczynach nastąpiła — ale taki piękny, taki rozumny, taki śmiały, miły, dobry!

A potem zaczęła w myśli z nim rozmawiać. Narzekała przed nim, że do domu odjechała, że ślubu z sobą nie wzięli przedtem choćby, nim on miejsce w książęcych majątkach otrzymał, że teraz już z tej pułapki, w którą ją ulowiono, nijak wydostać się nie może; a on wyrzuty jej czynił, mówił, iż bardzo jest nieszczęśliwy, i patrzył na nią tak smutnie, że ona przepraszać go zaczęła, błagać, aby jej przebaczył, aby o niej zapomniał i z drugą był szczęśliwy, ale trochę, trochę o niej zawsze pamiętał... czasem, czasem do pamięci przywracał ją — i ją, i te chwilki, które im niegdyś razem upływały.

— Salusia! czego przewracasz się, aż łóżko trzeszczy, i stękasz? — odzywała się ze swego łóżka Pancewiczowa. — Może ci się co złego przyśniło? To przeżegnaj się i »Zdrowaś Marja« zmów...

Może siostra dobrze radzi, może istotnie pacierzem odeгна tęsknotę. Zaczynała szeptać: »Zdrowaś Marja, laskis pełna!« ale zanim zdążyła wyszeptać: »Pan z tobą« ,już znowu do Jerzego mówiła: — Żebyś ty wiedział, Jerzy, jaka ja biedna! Ani mnie u kogo poradzić się, ani kogo o ratunek poprosić... Jeden Gabrys taki, że mogę przed nim o swoim smutku gadać, ale cóż on pomoże, kiedy — głupi!

Jednak nazajutrz dzień błysnął, choć bladym, ale złotem słońcem, błękit nieba przez koronki bezlistnych krzaków do okien świetlicy zajrzał; Zaniewska przyjechała i przywiozła siostrze trzy spódnice, które sama utkala, dywanik kupny z jelonkiem i parę funtów najpiękniejszego w świecie lnu. Spódnice, jak spódnice, choć piękne i mocne, były jednak dobrem, którego znakomitą ilość Salusia już posiadała; ale jelonek na dywaniku wydał się jej cudem piękności, a wobec lnu poprostu wpadła w zachwycenie. Po babkach, prababkach miała odziedziczoną namiętą słabość do lnu i prąść lubiła ogromnie, a od roku już nie przędła. Zaraz też kołowrotek swój ze świronka przyniosła, w świetlicy u długiego pieca go umieściła, garść lnu przytwierdziła do

osady i, na stolku usiadłszy, palcami w wodzie umoczonemi cieniutką nitkę wysnuwać, a stopą o ponoże rytmicznie uderzać zaczęła. Kółko w ruch się puściło, kręciło się, warczało, aż migotało, nitka coraz gęściej, coraz grubiej owijała się koło szpulki, a prządce, z krwi babek i prababek, z bujnej a ulubioną pracą rozkołysanej młodości, na myśl z ust wypływała wesoła piosnka:

»Nad strumykiem stała,
Tra la, la, la, la,
Rączki załamała,
Tra la, la, la, la!
Cóż ja pocznę biedna,
Tra la, la, la, la,
Że ja jestem jedna?
Tra la, la, la, la!

Kiedy tak siedziała przed warczącym i migocącym kółkiem, z opuszczonym na plecy warkoczem i rozbłysłemi oczyma, z rękoma nieco ku osadzie podniesionemi, ze stopą rytmicznie ponoże poruszającą i na całą świetlicę, na cały dom, prawie na całe podwórko, skoczną piosnkę śpiewała, znajdujący się w świetlicy kawalerowie oczu od niej oderwać nie mogli i kołowrotek ścisłem kołem otaczali. Potem Adaś Strupiński, najlepszy śpiewak w okolicy, a teraz jej najgorętszy asystent, w niezmiernie dobry humor wpadłszy, z kolei intonował:

»Hej jejmoście, hej kobiety,
Skąd bierzecie te podniety
Do wiecznego trajkotania,
Do zrządzenia i łajania!«

albo:

»Szynkareczko, szafareczko,
Bój się Boga, stój!
Tam się śmiejesz,
A tu lejesz
Miód na kaftan mój!«

Inni dopomagali mu zrazu od niechcenia, potem coraz żwawiej, aż nakoniec ściany prawie drżały, i heł precz, nad drogę, nad polne śniegi leciało, gdy zgodnym chórem huknęli ostatnią strofę:

»Biegnij, dziewczę, wczas,
By pogodzić, nie zaszkodzić,
Miodem oblej nas!«

Salusi było znowu wesoło. W ogólności, czuła w sobie zawsze jakby dwie oddzielne istoty, z których gdy jedna szczebiotała, śmiała się, śpiewała, druga kędyś głęboko, na dnie, smuciła się i wzdychała. Wzajemnie, ilekroć, z jakiegokolwiek przyczyny, pierwsza milkła, druga podnosiła się, rosła i napelniała ją całą ciemnymi myślami, tęsknotą, buntem, wstrętem. To drugie zdarzało się zawsze, ilekroć zobaczyła stryjecznego brata Michała i jego żonę. Gdy on zaśmiał się — a śmiał się często — jej jakby ostra szpilka przez serce przechodziła; żona zaś jego miała upodobanie przy Salusi siadać i różne, dziwne zwierzenia jej czynić. Ta mała, chuda, bladawa blondynka przed kilku miesiącami zaślubiona, zawsze, przy każdym spotkaniu mówiła jej na ucho mnóstwo rzeczy, od których słuchania twarz Salusi stawała się aż karmazynową, których jednak słuchała z palącą ciekawością i nieznosną boleścią dokoła serca. Ta młoda mężatka niezmiernie lubiła mówić i szeptać o swoich małżeńskich sprawach, szepcząc chichotała, a w oczach słuchającej kręciły się łzy. W gruncie rzeczy Salusia poczytywała młodziutką bratową za głupią i wcale nie ładną gąskę. — Mój Boże — myślała — nawet takie osiąga ją na świecie szczęście, a ja!... I potem, gdy Emilki już nie było, często zamyślała się i wzdrygała. — Więc jej przypadnie w udziale z Cydzikiem... z tym kółkiem, ślimakiem, dzieciuchem żyć w takim przybliżeniu, o jakim opowiadała Emilka...

Przez czas pewien odpędzała od siebie trwogę i odrazę, do pewnego stopnia uspokajała się myślą: kiedy to jeszcze nastąpi! Jeszcze za trzy tygodnie, za dwa, za dziesięć dni; aż przyszedł dzień, w którym powiedziała sobie: za tydzień! i przeleżała się tak okropnie, jakgdyby o tem, co ją ma spotkać, dowiadywała się po raz pierwszy. Jezus Marja, już za tydzień! ej, nie! to żadnym sposobem być nie może! Dotąd miewała często chwile, w których zamiar wyjścia za Cydzika wydawał się jej czemś tylko tymczasowem i nie mającem nigdy naprawdę dojść do skutku. — Często, gdy słyszała mówiących o rychłym jej ślubie i zawczasu Cydzika mężem jej nazywających, myślała: — jeszcze niewiadamo! jeszcze niewiadamo, jak to będzie! — Ale gdyby ktośkolwiek zapytał ją, jakie dla tej wątpliwości ma powody — nie potrafiłaby na to pytanie odpowiedzieć, bo nie miała żadnych. Wprost instynkt samoobrony w niej pracował i głucho, biernie dotąd, lecz nieustannie, sprzeciwiał się, nie tylko wywieranym na nią wpływom zewnętrznym, ale i jej własnym ambicjom i pożądaniom. Teraz trudno już było pociechę i zapomnienie znajdować w pustych wyrazach: jeszcze niewiadamo! Z bardzo

bliskiego faktu zsuwała się mglista zasłona; przyszłość, którą ona umyślnie dotąd starała się zdaleka sobie przedstawiać, następowała na nią, pleców jej dotykała. Oj, oj, już za tydzień! Wyraźnie słyszała za sobą stuk zamykających się drzwi i brzęk zapadającej klamki. Za temi drzwiami pozostawał Jerzy; ta klamka zamykała ją sam na sam z Cydzikiem. Czuła cierpienie skóry na plecach i chwilami taki strach, że aż nogi jej drżały, aby z zagrody wylecieć i lecieć prosto przed siebie, niewiedzieć dokąd, dokądkolwiek, gdzie oczy poniosą... Ej, nie, myślała, to nie może być za tydzień. Niech tam już sobie będzie później, owszem, niech sobie będzie, ale później, później, nie tak już zaraz! Żeby to ślub odłożyć... trzeba koniecznie odłożyć, ale jakim sposobem? Wszystko już przygotowane, umówione, goście weselni zaproszeni. Uprzeć się, powiedzieć, że ona inaczej nie chce i nie zgodzi się, jak tylko, ażeby ślub odbył się po Wielkiejnocy? Będzie okropna kłótnia i zawierucha w domu, Kostanty chyba ją wybiję, ludzie na języki wezmą, Cydziki zaraz z gniewami, z żalami wystąpią. Co tu robić? Myślała, myślała, i nic wymyślić, na nic jeszcze odważyć się i zdecydować nie mogła, aż raz, dla siebie samej niespodziewanie, gdy, u okna świetlicy nowe koszule sobie szyjąc, sam na sam znalazła się z bratem, głowę z nad roboty podniosła i przemówiła:

— Kostuś, a żeby to mój ślub do wiosny odłożyć?

Powiedziała to bez żadnego uprzedniego zamiaru, tak bardzo pod wpływem pracującego w niej instynktu, że aż zdziwilo ją brzmienie własnego głosu, i wydało się jej, że nie ona, ale kto inny słowa te wypowiedział. Konstanci, który wybierał się do stodoły, na środku świetlicy stanął.

— A toż co? a toż dla jakiej przyczyny? — zapytał.

Nie patrząc na niego, zcicha szepnęła:

— Po Wielkanocy tak pięknie będzie, zielono...

— U ciebie samej zielono w głowie, a i wróbli też tam skacze co niemiara! żartując jeszcze, odrzekł Konstanci i ku drzwiom zmierzał, ale ona zerwała się z siedzenia, robotę na ziemię rzuciła i, do niego przypadłszy, pochwyciła go za obie ręce.

— Kostuś — ze wzniesionemi ku niemu oczyma śpiesznie mówiła — jeśli Boga kochasz, jeśli mnie co dobrego życzysz, zlituj się, bądź laskaw, odlóż do wiosny... ja tobie do śmierci za to będę wdzięczna...

— Zwarjowała! jak Boga kocham, zwarjowała! — gniew-

nie już odtrącając ją, zawołał — co ty bałamucisz? Babskie bzdurstwa! wlaż na gruszkę, kopał pietruszkę...

Ale ona osunęła się na ziemię i kolana jego już obejmowała.

— Kostuś, ty mnie jak ociec był... mnie tobie umierające rodzice przyporuczyli... wyświadczy ty mnie tę łaskę, odłóż do wiosny... co tobie szkodzi? Ja, czy tak czy tak, podług życzenia twego uczynię... ale po Wielkanocy... mój drogi... mój złotny...

On teraz rozgniewał się już na dobre.

— Bajki babom! — krzyknął — ot warjatką! Ja starania i serce swoje dla niej wykładam, koszta ponoszę, szczęście jej upewniam, a ona tu warjactwa jakieś wyprawuje! Żebyś rozumna była, to do takiego szczęścia, jak to, które ja tobie przygotowałem, biegłabyś i leciała, nie to, ażeby o odwleczenie jego prosić! Ot, szkoda psu białego chleba! Lepiejby pewno było czarny chleb z chamem na spółkę gryźć! Głupia! ani ty waż się o tem odwlekaniu jeszcze raz choćby pisać, bo o umierających rodzicach zapomnę i wytłukę, jak Boga kocham, wytłukę... bo kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży! to sobie pamiętaj!

Odepchnął ją i, szerokimi krokami ze świetlicy wyszedłszy, drzwiami na cały dom trzasnął. Ona podniosła się z ziemi i prawie nienawistnym wzrokiem za nim strzeliła.

Wkrótce potem stała w kuchni przy niedużej angielskiej maszynie, pod którą palił się wielki ogień, a na której w dwu garnkach gotowały się groch i kapuśniak na obiad i w ogromnym żelaznym saganie grzała się woda. Panciewiczowa w chustce po chłopsku na głowie zawiązanej, bosa, w wielkim fartuchu, jak wicher krzątała się i szumiała po kuchni, obiadu doglądając i bieliznę do prania przygotowując. Salusia, z założonemi na piersi rękoma, czas jakiś przy maszynie wprostowana stała, nieruchomemi oczyma z pod brwi ściągniętych przed siebie patrzyła, aż donośnym i cieńszym jakoś, niż zwykle, głosem, nie patrząc na siostrę, przemówiła:

— Wiesz, Kazia? Ja za tydzień ślubu z Cydzikiem nie wezmę.

Jakby gwałtownie szumiący wicher nagle ustał, tak cicho zrobiło się w kuchni. Panciewiczowa, z balją w rękach, jak wryta stała.

— A toż dla jakiej przyczyny? — po chwili milczącego osłupienia zapytała,

— Dla tej, że nie chcę — jeszcze donośniej i cienie odparła Salusia.

Pancewiczowa balję ze stukiem na ziemię postawiła.

— At — zaśmiała się, ale zgryźliwie — myślałam, że już rozumu nabrałaś, a ty jak byłaś głupia, tak i jesteś! Nie chcę! nie chcę! Święty Boże, czego tu nie chcieć? Może młodego chłopca z pięknej familji i jak kot marcowy w tobie zakochałego? Może dziedziciwa takiego, na jakim ledwie która szlachcianka siedziała? Może tego zdwojonego posagu, którym ciebie braciszek, z krzywdą innych siostr, równie rodzonych, obdarza!

— Ja jego o to nie prosiłam, i Kazia niech mi tego nie wymawia, bo wezmę, wszystko wam w oczy cisnę i — bywajcie! na Berdyczów do mnie drobnemi literkami pisujcie!

Z podniesionego i bardzo ciekłego jej głosu, wyprostowanej postawy i oczu błyskawice ciskających, widać było, że porywała ją nieprzewyciężona ochota do kłótni. Pancewiczową wcale też łatwo było ochotą taką zarazić; tym razem jednak gniew jej przewyciężało zdziwienie.

— Salusia — zaczęła — co się tobie dziś stało? Blekotu najadła się, czy co? Ja tu dla niej pracuję, haruję, dom i dzieci opuściwszy, a ona przychodzi głupstwa mnie gadać! Ot, lepiej elegancką sukieneczkę zdejść, rękawy od koszuli zawiąć i do prania się włożyć. Twoją bieliznę wyprać trzeba, bo przecież z brudną do mężowskiego domu nie wejdiesz, a i Kostanty praczki dla swojej najmować nie będzie, kiedy nas dwie tu siedzi. Słyszysz, Salusia? pomóż sagan z maszyny zdjąć!

Prędkimi, niecierpliwymi ruchami, z zaciśniętymi ustami, Salusia rozpinając i zdejmowała stanik miejskiej sukni i spódnice z turniurą, a w samodziślowej spódnicy zostawiając i rękawy koszuli wyżej niż po łokcie zawiąawszy, wspólnie z siostrą bez wielkiej trudności sagan z maszyny zdjęła i gorącą wodę do balji z niego wylewać zaczęła. Ze strumienia wrzątku, lejącego się do balji, wybuchała ogromna para, napelniała kuchenkę nieprzejrzaną prawie mgłą, owijała obie kobiety i na ich twarzach osiadała kroplistą rosą. Uwiędłe, ostre rysy Pancewiczowej, o czarnych jak smoła brwiach i oczach, kruczemi włosami i czerwona chustką otoczone, w tej szarej mgle miały wyraz energiczny i zacięty. Nie od niej, nie od niej to z pewnością przyjsć mogła dla Salusi łagodna rada i pociecha! Gdy sagan, do połowy już wypróżniony, na maszynie napowrót już był ustawiony, Salusia nad balją stanęła i rękoma do roboty przygotowanymi otarła z twarzy zgęszczone krople pary.

— Jednakowoż — odezwala się bardzo głośno i cienko — ja za tydzień z Cydzikiem ślubu nie wezmę.

Poczem nie odzywała się już do siostry ani jednym słowem. Nad balją schylona, z rękoma zanurzonemi w rozmydlonej wodzie, z zaciśniętymi wargami, prala, mydlila, szorowała, wyciskała tak zawzięcie, tak nieustannie, zarazem tak głośno i zamaszycie, jakby w tej robocie zatopić się z duszą i ciałem, jakby ogłuszyć się nią pragnęła.

Cale dwa dni zeszły jej na tej ciężkiej i nieustannej pracy; przez cale dwa dni nikt słowa wychodzącego z ust jej nie usłyszał. Ponura i milcząca była, jak grób; oczy jedne zdawały się w niej żyć, rozmyślać, tęsknić, rozpaczać. Pancewiczowa, która wcale nie lubiła milczeć, ze złością przeżywała ją sępem i mruczylem; Konstanty ręką lekceważąco machał i śmiał się:

— Panieńskie fochy przedślubne! Babskie bzdurstwa, głupi byłby, ktoby dbał o to! fiu, fiu! fiu, fiu!

Pancewicz, mądrze żółtemi brwiami ruszając, z powagą prawił:

— Na to skromność panieńska przez Boga jest sworzoną, aby panny po swoim wianeczku, i nie utraciwszy go jeszcze, lamentowały!

Gości w domu nie bywało przez te dni żadnych, bo kawalerów, którzy według zwyczaju w odwiedzinę przychodzili, Salusia, ze stosami mokrej bielizny w gołych rękach, popędliwie odprawiała.

— Proszę tu teraz nie przychodzić! Teraz ja na zbijanie bąków czasu, ani też ochoty wcale nie mam!

Kilka razy na dzień przed dom wybiegała i, machinalnie ręce fartuchem ocierając, na drogę patrzyła. Dlaczego ta Końcowa już nie przyjeżdża? Czekala jej, jak kropli wody w pragnieniu, jak promyka nadziei w rozpacz, i doczekać się nie mogąc, parę razy do chaty Gabrysia wpadła z wołaniem:

— Gabryś, czemu ta Końcowa nie przyjeżdża?

A gdy on za każdym razem dziwił się i zapytywał: naco jej ta siostra tak bardzo potrzebna? — odkrzykiwała: — Gabryś głupi, Gabryś nic nie rozumie! — i, trzaskając za sobą drzwiami, z powrotem do balji leciała; Gabryś zaś długo, jak do miejsca przykuty, stał z wyrazem zmartwienia i coraz większego zakłopotania na długiej, żółtej, kościstej twarzy.

Doczekała się nakoniec i wnet po wejściu do domu tej najmilszej siostry, salopę i chustkę prawie z niej zerwawszy, ze śmiechem i płaczem rzuciła się jej na szyję. Potem pozostania

z nią sam na sam tak niecierpliwie czekała, że na ślubny strój, który Kończowa przywiozła jej w prezencie, zaledwie parę razy rzuciła okiem. Nakoniec, kiedy Kończowa na przeciwek wyszła i w przywiezionym z sobą kuferku czegoś szukać zaczęła, Salusia na palcach za nią wbiegła, niespokojnie spojrzała dokoła i, na ziemi przy niej przysiadając, zaszeptała:

— Anulka, gadajże, co się z nim dzieje? Co on tobie mówił? Czy bardzo desperuje? Czy okropnie na mnie narzeka? Czy zmizerniał? A co ty jemu powiedziała?

— Kto? komu? — bardzo zajęta wydobywaniem czegoś z kuferka, z roztargnieniem zapytywała Kończowa.

— Kto? komu? — przedrzeźniała ją Salusia. — Jezus, Marja! jacy wy wszyscy niedomyślni! No, gadajże, Anulka, jeżeli Boga kochasz, gadaj! ty o nim pewno wszystko wiesz, on do ciebie pewno przyjeżdżał...

Mówiła jak w gorączce, oczyma pożerała siostrę, która nakoniec domyśliła się, o kogo i o co jej chodzi.

— W imię Ojca i Syna — żegnając się, zaczęła — a jaż skąd mogę cokolwiek o nim wiedzieć? a jaż jakim sposobem...

— Jakto skąd? jakto jakim sposobem? czyż on do ciebie nie przyjeżdżał?

— Ani go widziały moje oczy, ani oczekiwałam jego przyjazdu, ani on też o przyjeździe pewno nie myślał!

— Nie myślał! — jak echo, powtórzyła Salusia i dalej zapytywała:

— Ale list to najpewniej od niego miałaś!

— Ani mru mru nie odezwał się do mnie!

— Nie odezwał się!

Ręce jej, jakby czemś uderzone, wdół opadły.

— No, to gadajże przynajmniej, co o nim słyszałaś? Może chory? Może jeszcze wszystkiego między nami za skończone nie uważa? Czy bardzo rozgniewany?

Kończowa ramionami wzruszyła i rozłożyła ręce.

— Ani ja go widziałam, ani ja o nim słyszałam, ani mnie nawet w głowie postало dowiadywać się o niego. Bo i poco już teraz dowiadywać się, kiedy on cudzym dla nas jest i cudzym na zawsze pozostanie, a może jeszcze i wrogiem.

— Może on czym wrogiem jest, ale pewno nie moim — sarknęła Salusia, a potem, siostrę ramieniem obejmując i w twarz jej zaglądając, z umizgiem zaszeptała:

— Prawdę mówisz, Anulka? a? prawdę mówisz? Nie wi-

działaś? nie słyszałaś? Moja najdroższa, moja ty miła, moja ty złotna, powiedz prawdę, powiedz!

Kończowa zżymnęła się.

— A odczepże się ty ode mnie ze swojemi głupimi zapytaniem i proszeniem! Co ja ci gadać będę? Nie widziałam, nie słyszałam, nie dowiadywałam się — i tyle! A i tobie już nie wczas dowiadywać się o niego, kiedy za dwa dni ślub z drugim będziesz brała...

Salusia wstała, z opuszczonemi rękoma do sieni wyszła i tam, jak słup stanawszy, z oczyma w ziemię wlepionemi szeptała:

— Jak kamień do wody... jak kamień do wody!...

Miała takie uczucie, jakby teraz, teraz dopiero, gdy Kończowa żadnem słowem i żadną wieścią nie zawiązała na nowo starganej pomiędzy nimi nici, nic ta zerwała się ostatecznie i już na zawsze. Jeżeli od niej niczego nie dowiedziała się o Jerzym, to już od nikogo nie usłyszy o nim nigdy... nigdy... nigdy! Jak kamień do wody wpadł i przepadł! Żyje kędyś na świecie, chodzi, mówi, pracuje, może kiedy z drugą szczęśliwy będzie, ale dla niej — jak kamień do wody wpadł! Przepadł!

Dotąd, glucho i dla niej samej nie zupełnie świadomie tłała w niej była myśl, że jeśli Jerzy przez Kończową prześle jej jakie słowa prośby, żalu, choćby najokrutniejszego wyrzutu, jeżeli upomni się o przyrzeczenie, które mu dała, i spełnienia jego zażąda, ona zbuntuje się, narobi kłótni, wrzawy, piekło w domu podniesie, lecz z Cydzikiem zerwie, wszystko, co jej dano i dać obiecano, familji w oczy ciśnie i z Kończową do miasta odjedzie. — Ale on nie! Ambitny! Ambicja większa w nim widać nad kochanie: zaciął się w obrażonej ambicji i palcem nie kiwnął, okiem nie mrugnął dlatego, aby ją odzyskać; jak do wody wpadł — przepadł.

Kiedy tak, to tak. Skoro on nie dba o nią, więc i ona bardzo kontenta jest z tego, że mu pokazała, iż bez niego żyć może. Dobrze. Na weselu swoim tańczyć będzie, aż ha! aby potem wszystkiego dobrego, na bogatym gospodarstwie siedząc, kosztować i używać. Jeżeli zaś kiedykolwiek w życiu spotka go i zobaczy, pokaże mu i miną i wszystkiem, że co on, to nie ona, i że familja miała rację, nie chcąc jej wydać za człowieka wcale innego urodzenia i majątku!

Przez cały dzień następny bawiła się bardzo dobrze. Ledwie nie wszystkie dziewczęta z okolicy zbiegły się dla oglądania jej ślubnej sukni z białej alpagi, tiulowego welonu i pomarań-

czowego wianka. Piękne palto z syberyjny, na które złożyły się trzy siostry, powszechne też uwielbienie obudziło. Nad wieczorem przyjechała pani Bohatyrowiczowa z Bohatyrowicz, na swanię zaproszona, i przywiozła, oprócz prawdziwie już całej fury pierogów i pieczeni, czepeczek różowy, jak cukierek śliczny, w mieście zrobiony. Swania przyjechała tak wcześnie raz dlatego, że było jej do Tolloczek dość odległe, a powtóre, że pochlebiając i ucieszoną się czuła tem, iż ją właśnie na swanię zapraszano, nie zaś drugą ciotkę Salusi, niedaleko stąd na osobnym folwarku siedzącą, Steckiewiczową. Wieczorem dnia tego przybyli też dwaj panowie Bohatyrowicze i jeden pan Steckiewicz ze Stecek, w domu zapanowały gwarne rozmowy, a nietylko po domu, ale po całej zagrodzie i po całej prawie okolicy zapachniały, zaszemrały, wstępną przygrywką w powietrzu, zda się, zagrały weselne gody. Salusia ciotkę swanię za różowy czepeczek z uniesieniem uściśkała i poprosiła, aby, jako doświadczona gospodyni, pomogła jej w braterskiej oborze dwie krówki wybrać; potem jej i wszystkim zebranych dziewczętom pokazywała swoje owieczki, len, dywanik z jelonkiem i różne inne drogocенności, które znajdowały się w jej wyprawie, potem jeszcze Pancewiczowej do pomocy stanęła w kuchni, w której ogień smalił się wciąż, jak w piekle, a gdy z zawiniętymi po łokcie rękawami, w wielkim fartuchu z panami Bohatyrowiczem i Steckiewiczem głośno i ciągle gawędziła, Adaś Strupiński i Józik Łozowski ledwie sobie wąsów nie powyrywali, tak zapalczywie kręcili je z zazdrości i udawanej fantazji. Późno i bardzo zmęczona spać poszła, usnęła prędko i spała twardo, aż obudziły ją czyjeś uściśnienia i pocałunki. Otworzywszy oczy, zobaczyła Końcową, która, na pościeli jej siedząc, obejmowała ją, całowała i ze łzami kręcącemi się w oczach mówiła:

— Salka! dziś twój dziewiczy wieczór! Jaka ja kontenta, Salka, że ciebie jutro już mężatką zobaczę, że ty już upewnioną przyszłość będziesz miała, że wszystko tobie tak dobrze poszło! Ja ciebie zawsze z całej familji najlepiej lubiłam, ty dla moich dzieci taka dobra byłaś, gdy chorowały... to też cieszę się, tak cieszę się, że dziś już twój dziewiczy wieczór!

Salusia porwała się, jak struna wyprostowana usiadła na łóżku i z szeroko otwartymi oczyma, które, przy rozługanych we śnie włosach, nadawały jej wyraz prawie nieprzytomnego przestachu, krzyknęła:

— Jezus Marja! jutro! już jutro!

I zanim Końcowa słowo przemówić mogła, ona już na

szyj jej wisiała, tuliła się do siostry i. cała jak w febrze trzęsąc się, mówiła:

— Ja nie chcę... ja nie chcę... ja tak prędko nie chcę!... Anulko, moja Anulko, moja ty droga, moja ty złotna, ratuj mnie, dopomóż, powiedz Kostantemu, żeby odłożył... poproś ty ich wszystkich za mnie, wstaw się, orędowniczką moją bądź... kiedy Boga kochasz... kiedy dzieciom swoim szczęścia życzysz... ratuj... niech ślub odłożą... ja tak prędko nie chcę, ja nie chcę...

Ręce siostry całowała i oblewała łzami. Kończowa, zdziwiona, przerażona, zrazu z pieszczotą i łagodnie jej perswadowała, tłumaczyła, że to, czego żąda, stać się nie może, że na utratę takiej partji przez głupie kaprysy narażać się nie powinna, że Kostanty za nic na odłożenie ślubu się nie zgodzi; a potem, gdy Salusia wciąż prosiła i w ręce ją całowała, zniecierpliwiała się i wprost jej oświadczyła, że ani myśli dla jej głupich kaprysów z familją się różnić, że chybaby ją za warjatkę poczytano, gdyby z czemś podobnem tak już nie wczas wystąpiła, że radzi siostrze, aby fonfry stroić zaprzestała, bo jeżeli, broń Boże, jaką awanturę robi i Cydzika od siebie odtrąci, to ona sama, Kończowa, choć zawsze w największej przyjaźni z nią żyła, za siostrę jej nie uzna, wyrzeczce się, znać nie zechce i w każdym wypadku drzwi swego domu przed nosem jej zamknie. To wypowiedziawszy, zagniewana i płacząca, bo pomimo wszystko do Salusi wielką słabość miała, wyszła i udała się do kuchni, aby dwom starszym siostrom dopomóc w robieniu ciasta na gąski, ciastka podługowatej formy, któremi każda panna na swoim dziewiczym wieczorze gości częstować powinna.

Dzień przeszedł w zamięcie, na rozmowach, przychodzeniu i wychodzeniu gości i domowych, na gotowaniu i na pieczeniu, na żartach przez młodzież wyprawianych z panny młodej, która, wbrew zwyczajowi swemu, niedbale ubrana, z roztarganą kosą na plecach, w krzywo zapiętym staniku, z zapadłemi oczyma i prawie karmazynowemi rumieńcami na policzkach, chodziła pośród całej tej krętaniny jak nieprzytomna, ni w pięć ni w dziewięć na zwracane do niej słowa odpowiadała, albo i wcale nie odpowiadała, a siostrom w zajęciach, zamiast pomagać, tak przez roztargnienie przeszkadzała, że ją nakoniec z kuchni wypędzily. Zmrok zapadać zaczął, gdy do sieni wszedł Gabrys i, jakby przełknięty panującym w domu ruchem, zrazu u drzwi się zatrzymał. W długiej kapocie, wysoki, prosty jak tyka i tylko z głową nakształt złamanej makówki zwieszoną, pocieszenie wyglądał z dwoma mirtowemi drzewkami, które trzymał w ramionach. To

leż, gdy stanął u drzwi, kilka osób znajdujących się w sieni żartować z niego zaczęło.

— A co Gabrys powie?

— Czemu to Gabrys na dziewiczy wieczór sąsiadki lepiej się nie ustroił?

— Dlaczego Gabrys mirty swoje oddaje? możeby się na własne wesele przydały?

— A kiedy Gabrysia wesele nastąpi?

— Dlaczego Gabrys się nie żeni? Na takie palace, jak Gabrysia, pewnie ochotniczek nie brakuje!

— Gabrys pewnie jutro tańczyć z nami będzie! Proszę ze mną do krakowiaka.

— Ale chyba insze buty włoży, bo te rozlecą się, gdy tylko pięta ruszy!...

On nic nikomu nie odpowiadał, z mirtami ku drzwiom przeciwna podszedł i, zaglądając przez nie, z cicha zawołał:

— Salusia! Salusia! mirty przyniosłem!

Ale w izdebce, nazywającej się przeciwnikiem, Salusi nie było, tylko Pancewiczowa i Zaniewska krzątały się około zmieniania kuchennych swoich toalet na czystsze i przyzwoitsze. Pierwsza też, czarną spódnicę przez głowę zarzucając, ofuknęła:

— Niech Gabrys ze swemi mirtami tu się nie płacze! Proszę gdziekolwiek postawić i iść sobie!

On wazoniki u okna umieścił, ale nie odchodził, postać trochę i przemówił:

— Pani Pancewiczowo!

Kilka razy ciche to wołanie powtórzyć musiał, zanim Pancewiczowa opryskliwie zapytała:

— Czego?

Tajemniczym gestem palca przyzywał ją do kąta, w którym stał, a gdy zaciekawiona, stanik zapinając, zbliżyła się, szeptać zaczął:

— Niech pani Pancewiczowa dobrze popatrzy na Salusię i zobaczy, jak ona wygląda i do czego zrobiła się podobna...

— Albo co? — niecierpliwie spytała.

— A to — szeptem zawsze odpowiedział — że ja pani Pancewiczowej, jako starszej siostrze, mówię i ostrzegam, aby broń Boże, jakie nieszczęście z tego nie wyniknęło.

— Jakie nieszczęście? z czego? — rozczesując ogromne czarne włosy, z zapytaniem wtrąciła się Zaniewska.

— Dla Salusi, z tego małżeństwa. Ona Cydzika nie chce, a tamtego odżalować...

Obie siostry zakończyły:

— Co Gabrys plecie? czego Gabrys tu przyszedł, czas nam darmo zabierać! Niech Gabrys ze swoją głupotą...

— Ja głupi — przerwał — to prawda. Jednakowoż niektóre rzeczy może lepiej od rozumnych postrzegam i pani Pancewiczowej, równie jak i pani Zaniewskiej, mówię, że ślub Salusi odłożyć trzeba, albo i ze wszystkim Cydzika odprawić...

— A Gabrysia na jego miejsce postawić przed ołtarzem?

— Aby dobrana para była! — obie zadrwiły, a jemu, jakby wszystka krew do twarzy zbiegła, tak poczerwieniał. Jednak, na drwiny nie odpowiadając, głośniejsze, niż mówił przedtem, dokończył:

— Bo ona nie ze wszystkim taka, jak insze, ona swoją wolę i śmiałość ma, jej bieda jaka stać się może, a na sumienie familji grzech padnie.

— No, to niechaj pada, a Gabrys niech już sobie stąd idzie, bo my na gadanie z głupini czasu nie mamy — odpowiedziała Pancewiczowa. A Zaniewska dodała:

— Ot, ruszył conceptem, jak cięle ogonem! Widać dlatego, że sam tak dobrze na świecie wykierował się, to i drugim rady dawać chętny. Tylko, że nie każdy lubi w dziurawych butach, czy też trzewikach, chodzić...

— Wiadomo, głupi Gabrys! Co taki rozumnego wymyślić zdoła.

Odwróciły się; on, powoli i ciężko stąpając, odszedł, a w tejże chwili przed gankiem rozległ się odgłos zajeżdżających sanek, brzęk dzwonek na odświętnej uprząży, gwar powitalnych okrzyków, klaskanie pocałunków. Pan młody ze swatem i drużbantami przyjechał.

W wigilję ślubu śmielszy nieco, niż zwykle, może towarzystwem drużbantów rozochocony, Władysław Cydzik wszedł do sieni dość raźnie, w szubie czarnemi barankami podbitej i zlekka tylko na ramiona narzuconej, widać więc było z pod niej dokładnie cienką i prostą jego figurę, w czarnym tużurku i kwiecistej kamizelce, polyskującej srebrną, szeroką dewizką. Na szyi miał biały krawat z dużą kokardą, a na głowie czarną barankową czapkę, którą w progu zdjął mu z głowy jeden z drużbantów, bo on sam uczynić tego nie mógł, w obu rękach trzymając coś dużego, okrągłego i osłoniętego białym płótnem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Dobry wieczór państwu! — huknęły u progu cztery naraz męskie głosy,

a swat obok pana młodego, znowu jak silny dąb obok smukłej latorośli stając, mówił dalej:

— Oto przyjeżdżamy po klejnot nam przyobiecany, wielkiej drogocенności, o gościnę prosimy, a wprędce odjedziemy z tem, po cośmy przyjechali, w wielkiej wesołości. Czy wolno wejść?

Trzy siostry panny młodej, brat jej, swania, oboje Michałostwo, jako stryjeczni, razem i z powagą odpowiedzieli:

— Pięknie prosimy. Proszę wejść. Czem chata bogata, tem rada.

Swat, zlekka szturchnął w łokieć pana młodego, który też zaraz ku Pancewiczowej podszedł i podał jej trzymany w rękach przedmiot, a ona, jako pannie młodej matkę zastępująca, przyjęła go z powagą i, płótno zeń odrzuciwszy, wszystkim oczom ukazała pierog ogromny, cały białym lukrem polewany i gęsto natykany cukrowymi jagodami, grzybkami, kwiatkami. Nieladajakim panem młodym być trzeba, aby do domu panny młodej z tak eleganckim i kosztownym pierogiem przyjechać! To też podziwiano go długo i jednogłośnie, aż nakoniec Konstanty bardzo uprzejmie zaprosił przybyłych do świetlicy.

Zaraz też nadbiegły cztery družki w morderowych i granatowych sukienkach, przyszła wystrojona i wyczesana, z błyszczącymi szpilkami we włosach podswania, zwabione perspektywą gąsek, zaczęły zbiegać się dzieci.

W świetlicy zrobiło się bardzo gorąco; to też Kończowa zdziwiła się ogromnie, gdy, pośpiesznie szukając Salusi, zobaczyła ją przyciśniętą do pieca, bardzo bladą, a kurczącą się i drżącą jakby od zimna. Za rękę ją porwawszy, uczuła w dłoni jakby kawał lodu, ale długo nie zastanawiając się nad tem, pociągnęła ją z sobą do kuchni.

— Gąski z pieca wyjmować trzeba! gąski z pieca — śpiesznie szeptała.

W kuchni szumiały i buchały parą trzy samowarki — jeden domowy, a dwa od sąsiadów pożyczone, Zaniewska z pomocą podswani i družek nalewała herbatę do szklanek, zarówno jak samowarki, domowych i pożyczonych; Pancewiczowa zaś wchodzącej Salusi w jedną rękę spory kosz, a w drugą koczerhę podała.

— Wyjmujże prędko — rzekła — bo spalą się na węgiel!

I odjęła deskę, otwór pieca zasłaniającą. Wyjmowanie z pieca gąsek jest czynnością, której panna młoda własnoręcznie dokonać powinna; Salusia bardzo dobrze i od dzieciństwa o tem

wiedziała, więc wzięwszy z rąk siostry kosz i koczerhę, zaczęła ostatnią w czarną otchłań piecową zanurzać i z niej podługowate, pięknie zarumienione ciasta wygrabywać. Co zagrabiła koczerhą, to ze trzydzieści lub z pięćdziesiąt gąsek wydobyła, które za każdym razem zsypywała do kosza. Tej robocie jej, lampkę z kominkiem w rękę trzymając, przyświecała Kończowa i zasmuconym, trochę nawet przestraszonym wzrokiem patrzyła na dwa sznurki łez, które z oczu Salusi toczyły się po bladych jej policzkach. Ani krzywiła się, ani słówkiem bodaj najjnniej-szem się ozwała; możnaby nawet myśleć, że nie oddychała, tylko, ilekroć koczerha w piecu o cegły zaskrobie, sznurek łez z jej oczu popłynie; ilekroć sygną się gradem do kosza gąski, na jej twarzy powstaje nowy sznurek tych kropli, w których światło lampy prześwieca się i błyszczy.

— Salka — przemówiła nakoniec Kończowa — co tobie jest? Odezwiź się choć słówkiem, bo aż straszno na ciebie patrzeć!

Nie odezwała się, nie spojrzała nawet na nią, a gdy piec zupełnie już był z gąsek opróżniony, kosz w rękę wzięła i z nim do świetlicy weszła. Za nią trzy kobiety wniosły na tackach szklanki z herbatą i rozdawać je zaczęły, od swani i swata zaczynając. Ona rozdawała gąski. W tłumie, w gwarze rozmów i śmiechów, w pstrociźnie kobiecych i męskich ubrań, chodziła wyprostowana i blada, z roztarganym warkoczem na plecach i — od swani i swata zaczawszy, a na dzieciach kończąc — wszystkim po garści gąsek dawała. Czy słyszała długi i płynny komplement, którym wymowny swat jej podziękował? Czy widziała, jak Cydzik, kręcąc się wciąż za nią, pożerał ją błyszczącemi oczyma? Czy czuła pocalunki, które na bladych i mokrych policzkach co moment składały jej drużki? Niktby na pewno powiedzieć nie mógł, tak wysmukła kibić jej była sztywną a rysy nieruchomymi. Raz tylko zaszła w niej mała i przez nikogo zresztą nie spostrzeżona zmiana. Stryjeczny, z pierwszym drużbantem rozmawiając, z czegoś tak głośno się zaśmiał, że śmiech jego, młodą, silną, dźwięczną gamą, jak dzwonec potoku nad szmerem rzeki, wzbił się nad gwarem. Salusia drgnęła i czarne brwi, naksztalt posępnej chmury, ściągnęły się i zjeżyły nad spuszczonej jej powiekami. Wkrótce też z opróżnionym koszem ze świetlicy wychodziła, a za nią rozległo się wołanie pierwszej drużki:

— Mirt! mirt! gdzie mirt? Proszę nam dać mirtu! wczas trzeba wianuszek spleść i bukiecików nawiązać hurbę! hurbę!

Kończowa, niespokojna jakaś i często na młodszą siostrę

oczyma rzucająca, wyręczając ją, poprowadziła dróżki na przeciwek, skąd wkrótce dziewczęta zabrały dwa mirtowe drzewka i triumfalnie niosły je do świetlicy. Salusia stała w sieni, z pustym koszem w ręku, do ściany przyciśnięta i, niesione przez družki Gabrysiowe mirty wzrokiem przeprowadzała; poczem rzuciła kosz i, z sieni na podwórze wybiegłszy, ku zagrodzie Gabrysia pobiegła. Ale nie biegła długo. Gabryś stał za niskim swoim płotkiem i, policzek na dłoni opierając, patrzył na dom Konstantego, oświetlonymi oknami błyszczący i, jak wichrem, szumiący gwarem. Zaledwie spostrzegł w grubym mroku biegnącą Salusię, ona już płotek przeskoczyła i, ręce na szyję mu zarzucając, jak przestraszone dziecko do matki, przygłęła do jego piersi:

— Gabryś! Gabryś! — szeptała — ja nie chcę, ja nie mogę, ja umrę... nie wytrzymam! Tak mnie boli...

On ramionami ją ogarnął i, zdawało się, że głosu z piersi wydobyć nie mógł; głowę chylił ku jej głowie, ustami już prawie dotykał jej włosów, jednak nie dotknął ich, tylko zaszeptał:

— Co boli? co cię boli? Salka, moja ty droga...

Ona, w objęciu jego zwieszona, ledwie dosłyszalnym szeptem skarżyła się:

— Ciągłe mi on przed oczyma stoi... ciągle... ciągle... ciągle głos jego słyszę mówiący: »nie dbaj o posag, czy ci brat da, czy nie da... ja cie w jednej koszuli wezmę i szczęśliwy będę!« Taki on dobry był, tak on mnie kochał... a co ja jemu zrobiłam! co zrobiłam!

Gabryś podniósł głowę, w ciemne niebo spojrzął i tak westchnął, że aż gruba kapota wysoko podniosła mu się u piersi. Potem znowu schylił się nad nią i ustami tuż, tuż przy jej czole, jednak nie dotykając go, szepnął:

— Zapomnisz... odżałujesz...

Ręce jej z szyi jego opadły. Wyprostowała się i krzyknęła:

— Ani ja o nim zapomnę, ani ja go odżałuję... Gabryś głupi jest... Gabryś nic nie rozumie...

Od domu doszły wołania:

— Salusia! Salusia! Salusia!

— Ot, już i wołają! — syknęła. — Wiesz, Gabryś... — ściśnięta pięścią jednej ręki w dłoń drugiej uderzyła. — Wiesz, Gabryś? Tak chcę, tak chcę wszystko im w oczy cisnąć i polecieć... polecieć!...

Splasnęła dłońmi i ku domowi pobiegła.

Czas upływał, było już dobrze po północy, a świetlica przedstawiała jeszcze widok ożywionego, gwarneho roju. Starsi, stół obsiadając, wieczerzy dojadali i o różnych gospodarskich, sąsiedzkich sprawach rozprawiali, perorowali; drużki przy innym, mniejszym i zielonością okrytym stoliku gałązki mirtu białymi wstążeczkami związywały, która to zresztą robota szła im powoli, bo przeszkadzało jej rozmowami i psotami kilku kawalerów. Nagle parę cienkich dziewczęcych głosów z nad zielonej powodzi mirtu zawołało:

— Salusia, daj wstążeczek! już ani kawaleczka niema, a jeszcze bukiecików trza nawiązać hurbę! hurbę!

Przed paru godzinami Salusia pęk białych wstążeczek na komodę w bokówce rzuciła; teraz więc tam wbiegła, a za nią, na pięty prawie jej następując, wsunął się Cydzik. W izdebce, oświetlonej małą lampką, nikogo nie było; wstążeczek też Salusia nie zobaczyła na komodzie: ktoś widać w zawierusze zrzucić je lub gdzie indziej położyć musiał. Schylona nieco, wzrokiem szukała ich na ziemi, aż nagle uczuła, że ramię jakieś kibić jej opasuje. Jak oparzona skoczyła, obejrzała się i tuż prawie przy swojej twarzy zobaczyła młodocianą, podługowatą, rozżarzonemi oczyma świecącą twarz narzeczonego. Gwałtownym ruchem wyrwała się z jego objęcia i, pod ścianę usuwając się, z rozbłysłemi także oczyma, krzyknęła:

— A toż co? Czy to pięknie takie napaści czynić?

Ale on nie mógł już dłużej powściągnąć tej przemożnej siły, która ogniem grała w jego żyłach i ciągnęła go do dziewczyny, jutro mającej mu być poślubioną. Rozzuchwalała go ta siła i z dzieciństwa prędko w świadomość męskich praw przrzucała. Znowu przysunął się do Salusi i, rękę jej chwytając, zaszeptał:

— Przecież jutro już ślub nasz będzie... to dziś można choć pocałować...

I rozplamieniony, natarczywy, wprost darł się do twarzy jej, do ust, rękę jej w palcach gniotąc tak, jakby miał ją zmiażdżyć. Lecz ona także nie była istotą słabą i, z bólu uścisku rękę wyrwawszy, napastnika odepchnęła.

— Jeszcze my nie po ślubie! — zawołała — jeszcze nie wiadomo.

Cydzik jednak, rozgniewany, w mowę jej wpadł. Zaindygotał się, trochę nawet w boki się wziął i, przymrużonemi oczyma patrząc na nią, mówił:

— Jakto niewiadomo? owszem, wiadomo, że Salusia jutro moją żoną zostanie i co każe, to będzie robiła, bo przed ołtarzem posłuszeństwo zaprzysięgnie!

Teraz ona z bladej zrobiła się czerwoną, i oczy jej zaiskrzyły się, jak dwa żuźle.

— A niedoczekanie twoje, abys ty miał moim panem być i swoją wolę na mnie wywierać! — krzyknęła.

Zrywając z palca obrączkę, głosem od szybkiego oddechu stłumionym, wrzasnęła:

— Na, masz! Za swoje bogactwo inszą niewolnicę kup! Między nami — już po wszystkim!

Cisnęła na niego złote kółko, które, u nóg mu upadłszy, potoczyło się przez izdebkę i pod łóżkiem Konstantego zniknęło. Cydzik miał teraz minę człowieka spiorunowanego przestachem i zmartwieniem. Z rozwartymi usty, żalonym wzrokiem ścigał obrączkę, aż gdy zniknęła, do łóżka podszedł, ukląkł naprzód, potem, jak długi, podeszwami do góry wyciągnął się na ziemi i całą głowę, a także obie ręce, pod łóżko wsunawszy, jął obrączki szukać, palcami po podłodze grabiąc. Salusia, z wyrazem niewysłowionej urągliwości na twarzy, przez chwilę na niego patrzyła, aż tysiące dumnych, wzdargliwych błyskawic wyrzucając z oczu, zaśmiała się długo, głośnie, poczem, z bokówki wybiegłszy, jak strzała przebiegła świetlicę, sień i znalazła się na przeciwku.

Tu było pusto i ciemnawo; na stole u okna palił się kawałek żółtej świeczki, krzywo w mosiężny lichtarz wsadzony. Gwar ze świetlicy glucho przez dwoje zamkniętych drzwi dochodził, w kuchni, za nawpół zamkniętymi drzwiczkami, słyhać było tylko sapanie Pancewiczowej, która, śmiertelnie zmęczona, położyła się tam na twardej ławce i usnęła.

Salusia wielką skrzynię otworzyła, na ziemi przed nią uklękła i przy mętnej świetle stojącej na stole świeczki prędko, gwałtownie, różne przedmioty wydobywać z niej zaczęła. Skrzynia była wielka, na zielono pomalowana, kilku żelaznemi sztabami okuta, z bombiastem wiekiem, które, całe świętymi obrazkami od wnętrza wyklejone, ledwie zamykać się mogło nad mnóstwem odzieży, szczelnie i piętrząco skrzynię wypełniającej. Była to jej skrzynia i jej wyprawną odzież, suta, rozmaita. Ale ona nie brała żadnej z rzeczy starannie i na wierzchu ułożonych, lecz z samego prawie dna wyciągała stary, znoszony paltot i również znoszone, choć całe jeszcze, trzewiki. Przedmioty te na ziemi przy sobie położywszy, wyjęła jeszcze i za stanik wsunęła

parę złożonych we czworo arkuszy, które były dokumentami do jutrzejszego ślubu przygotowanymi, a które do przechowania dał jej Konstanty. Następnie w głębokim kątku skrzyni wynalazła jeszcze małe skórzaną pugilaresik (dar, który uczynił jej szwagier Koniec, z wdzięczności za pracowite pielęgnowanie jego chorych dzieci) i, trochę znajdując się w nim drobnej monety przeliczywszy, włożyła go do kieszeni. Nakoniec jeszcze chwilę czegoś szukała, aż znowu zwitek papierów znalazłszy, tak jak tamten, za stanik go zasunęła. Były to listy Jerzego, kilka listów, które od czasu rozstania się z nim od niego otrzymała.

Teraz zamknęła skrzynię, z ziemi powstała, na stołku usiadłszy, nowe i trochę ciasne trzewiki, które miała na nogach, zmieniła na stare i od wynoszenia rozluźnione; ciepłe jeszcze ale stare palto szczelnie na sobie zapięła i dużą, na pościeli jej leżącą chustką obwiązała sobie głowę. Wszystko to czyniła bardzo cicho i bardzo prędko. Nie sprawiała większego szmeru od przebiegającej myszy, i nie zabrało to jej więcej czasu, niż go na porządne odmówienie pacierza potrzeba. Potem, przez trochę zaledwie otwarte drzwi do sieni wybiegłszy, jak kotka przesunęła się pod ścianą, na ganek i z ganku, pod płotkiem, gdzie cień był najgłębszy, dalej pomknęła. Jednak, prawie od samych wrót podwórka powróciła jeszcze, na ganek wskoczyła i przed zamkniętymi drzwiami domu na klęczki upadłszy, usta do progu ich przyłożyła, zaskalała, a wnet znowu porwawszy się na nogi, pobiegła i w głębokich już cieniach zniknęła.

Więcej niż pół godziny upłynęło, a Władysław Cydzik stał jeszcze w drzwiach rozdzielających świetlicę z bokówką, z miną wylęknioną i zgryzioną, z wydobytą z pod łóżka obrączką w mocno ściśniętej pięści. Sam nie wiedział, co mu teraz począć należy; chwilami gniewem wrzał, chwilami żał w nim wzbierał, i do oczu napływały łzy, aż w swata jak w tęczę wpatrywać się zaczął i powoli ku stolowi, za którym on siedział, postąpił.

— Panie Jaśmont! — zaszeptał — panie Jaśmont! panie Jaśmont!

I tajemniczym kiwaniem głowy i palca przyzywał go ku sobie.

— A co tam takiego? Czego pan Władysław chce ode mnie? — od zajmującej rozmowy oderwany, zapytał Jaśmont.

— Chodź pan, chodź! cośś pod sekretem powiem! — tajemniczo wciąż szeptał chłopak, a Jaśmont, zobaczywszy, że chłopakowi na płacz się zbiera, z za stołu wstał i wyszedł z nim do sieni. Tam słychać było, jak z sobą żywo, choć z cicha, szeptali.

poczem Jaśmont, mocno zaszępiiony, do świetlicy zajrzał i zawołał:

— Panie Kostanty, proszę na sekret!

Teraz już we trzech w sieni szeptali, ale krótko, bo wnet dało się słyszeć donośne wołanie Konstantego, w którem gniew brzmiał:

— Salusia! Salusia! Salusia!

Drużki popodnosiły się ze stołków. Pancewiczowa w kuchni zerwała się z ławki, Zaniewska, Kończowa, swania do sieni wybiegły. Z tych szeptów i z brzmienia głosu Konstantego, wszyscy coś niedobrego przeczuli. Wnet też po całym domu zrazu, potem po podwórku i całej zagrodzie rozległy się kobiece i męskie wołania, na różne tony wywołujące jedno imię:

— Salusia! Salusia! Salusia!

Parę latarek, pomiędzy drzewami i dokoła budynków obnoszonych, błysnęło w ciemnościach, wśród przyciszonych rozmów, które nie gwar już, ale jakby tajemnicą nabrzmiały szum sprawiały, aż wreszcie ozwały się łkania. To Kończowa i jedna z druzek — wielka przyjaciółka Salusi — płakać zaczęły. Jaśmont, nadrabiając rezonem i awanturę z obrączką w tajemnicy jeszcze przed szerszym ogółem zachować pragnąc, śmiał się głośno i wołał:

— Figielki panińskie! figielki! Skryła się gdzieś filutka, ażeby większej jeszcze ceny u oblubieńca nabyć!

Konstanty, z latarnią po wszystkich kątach zagrody chodząc, przez zaciśnięte zęby mruczał:

— Zabiję! jak Boga kocham zabiję, na umierających rodziców nie uważając...

Pancewiczowa jak wicher w różne strony latała i głośniejsz nad wszystkich, przeraźliwie darła się:

— Salusia! Salusia! warjotka! głupia! smarkata! Salusia! Salusia!

Jednak i w tem darciu się przeraźliwym, złością zrazu nabrzmiałem, drżał już zaczynający się płacz.

Nikt nie widział Gabrysia, który, gdy tylko w zagrodzie Konstantego ruch powstał i rozbrzmiały głosy, jedno imię wywołujące, z chaty swojej wyszedł i, płotek przestąpiwszy, nieco nauboczu stanął. Zrazu, stał z rękoma przy głowie, jak człowiek, w którego uderzył grom przerażenia, potem, ze zwieszoną głową, głęboko myśleć się zdawał, aż do stojącej na podwórku gromadki mężczyzn i kobiet, pomiędzy którymi znajdował się Kon-

stanty, przystąpiwszy, cichym, jakby zdławionym głosem wymówił:

— Salusia do ciotki Steckiewiczowej pobiegła!

Słowa te wszystkich zrazu wprawiły w osłupienie, ale uspokoiły też i pocieszyły.

— Skąd Gabrys o tem wie? — porywając go obu rękoma za kapotę, zawołała Kończowa.

— A bo widziałem, jak szła — odpowiedział — i pytałem dokąd idzie? Powiedziała, że do Steckiewiczowej.

— O tej porze? czego? — zawołało chórem wiele głosów.

Gabrys ramionami wzruszył. Przy świetle latarki, którą trzymał Konstanty, twarz jego wyglądała zbiedzona i mizerna. z głupowatym uśmiechem pod kępą czarnych wąsów.

— Czy ja wiem? — na nikogo nie patrząc, powoli zaczął. — Mówiła, iż ciotka rozgniewana za to, że na swanie zaproszona nie została... więc poleci do niej, przeprosi, piękny jaki prezent dostanie i jak świt nazad do domu przyłeci...

— Tak mówiła?

— A mówiła.

— Gabrys na własne uszy to od niej słyszał?

— A na czyjeż?

— Zwarjowała! głupia! o tej porze! kto to słyszał? czysta warjotka! — zagadaly kobiety.

Gabrys głową potrząsł; cichy, lecz długi śmiech zatrząsł mu u piersi grubą kapotę.

— A cóż to za warjactwo i cóż to za głupstwo jest, kiedy kto chce piękny prezent dostać? — wymówił.

Słuszna uwaga. To prawda! Jaka ta Salusia jednakowoż jest praktyczna, kiedy nawet jednego przedślubnego prezentu, który dostać była powinna, nie darowała, ale po niego aż w nocy poleciała do bogatej ciotki. Ho, ho! minister baba! — Jaśmont śmiał się, takim obrotem sprawy zadowolony, boć kiedy do ciotki po przedślubny prezent poleciała, to widać z Cydzikiem naprawdę zrywać nie zamierza i awanturę z obrączką tylko przez próżne panięskie fochy zrobiła. Drużki aż podskakiwały. Tęga Salka! I fatygi w nocy nie żałowała! Ciekawość też co od ciotki dostanie! Może i całą sztukę płótna, bo podobno Steckiewiczowa płótna ma tyle, że aż skrzynię od niego pękają. Nawet Pancewiczowa śmiała się, i Konstanty uspokoił się trochę, zlagodniał.

— Taka już w naszym rodzie krew — zauważył. — Każdy

na wszystko odważy się, gdy czego bardzo zechce. Kiedy bieży, to bieży, a gdy upadnie, to leży. U Osipowiczów tak!

Gabrys słuchał tych rozmów i uwag i na rozweselone twarze spoglądał.

— To nie żadne warjactwo i nie żadna głupota po prezent, choćby i w nocy, lecieć — powtórzył. — A kiedy piękny prezent dostanie, z triumfem przed wszystkimi wyjdzie!

I gruba kapota drżała mu wciąż u piersi od cichego, wewnętrznego śmiechu.

— Jednakowoż — rzekł Konstanty — ja zaraz konia założę i po nią do Steckiewiczów pojadę. Trzy wiorsty — bagatelka. Przywiozę ją tu zaraz i niechaj choć trochę wyśpi się przed porankiem ślubnym.

Kończowa uczepiła się mu do ramienia.

— Ja z tobą pojadę, Kostuś!

Mniej od innych czuła się uspokojoną i wcale nie była zachwycona tem lataniem siostry w nocy po prezent; zresztą i nie zupełnie w nie uwierzyła.

Gdy zagroda Konstantego przycichła, a on sam, z Kończową, jednokonnemi sankami za wrota wyjechał, Gabrys z zapaloną latarką do swojej stajenki wszedł, przed mizernym konikiem wyspał do żłobu sporą miarkę owsa, pomieszanego z sieczką, a potem małe, niepodkute sanki opatrywał, sianem uścielał, do drogi widocznie sposobił.

VI.

Świtanie dnia znalazło ją więcej niż o milę od Tolloczek oddaloną, wspinającą się po szerokiej drodze na dość wysoką górę. Nie była jeszcze ani trochę zmęczona, szła raźnie, a gdy z rzadniejących mroków nocnych przydrożne drzewa i białe za niemi pola w dość wyraźnych już zarysach wychylać się zaczęły, przystanęła, chustkę z twarzy odgarnęła i rozejrzała się dokoła.

Jak daleko słuch i wzrok sięgnąć mogły, panowała tu ogromna cisza i pustka. Słychać było tylko lekki przedporankowy wiatr, muskający wierzchołki drzew i zasy polnych śniegów, a wychylający się z mroków świat, z zakrytymi jeszcze krańcami, podobny był do białawego, bezbrzeżnego morza, którego najlżejsze drgnienie życia nie poruszy. Nic, tylko dwa rzędy na-

gich drzew przy drodze, za niemi to białawe, martwe, nieruchome morze, z ciemnymi gdzie niegdzie plamami samotnych krzaków, niebo, po którym płyną porozdzierane welony chmur, i ona, dość szybkim, pewnym krokiem wspinająca się pod górę, u której dalekiego jeszcze szczytu, leniwie, sennie, z wahaniem się jakby, z przestankami, poruszają się ogromne skrzydła wietrznego mlyna.

Nakoniec znajdowała się wśród tych szerokich, samotnych przestworzy, na które z podwórka swojego rodzinnego domu tak często z utęsknieniem i pragnieniem wolności patrzała. Nakoniec była wolną, jak ptak: leciała. Po wiele razy mówiła sobie: — Polecę! — i poleciała. Po wiele też razy powtarzała w myśli: — Cisnę im wszystko w oczy! — i cisnęła. Przyszłość bezpieczną, dostatki zapewnione, posag, owieczki, dywanik z jelonkiem, skrzynię aż po szczyt bombiastego wieka wypchaną — cisnęła, i w starym paltocie, w znoszonych trzewikach, z kilkudziesięciu groszami w kieszeni i dwoma zwitkami papieru za stanikiem, poleciała.

Nie przestraszała jej ani cisza, ani pustka, ani kilkomilowa droga, którą przebyć musiała, aby stanąć u zamierzonego kresu. Napaści zbójców, lub jakichkolwiek złych ludzi, nie przechodziły jej na myśl wtedy nawet, gdy szła jeszcze w ciemnościach nocnych, a teraz dzień nad światem powstaje, przed jego końcem u celu swego stanie najpewniej — czegoż więc bać się? Kilkomilowa droga! Hej, hej! albo to raz, z siostrami lub rówieśnicami, w lecie i zimie, na festywy do kościołów cudami słynących, do krewnych na zabawy biegła mil kilka, aż się za stopami jej kurzyło, i jeszcze, na miejsce przybywszy, po miasteczku chodziła, lub całą noc tańczyła! Czegoż więc bać się? Zabłądzi może? Gdzie tam! Po pierwsze, wszelkie miejsce i wszelką drogę na końcu języka znaleźć można, a po drugie, ta droga jest jej w większej części dobrze znana, bo cztery mile od Tolłoczek a o dwie tylko od Laskowa znajduje się miasteczko z kościołem cudami słynącym, do którego nie raz i nie dwa w swoim życiu, dzieckiem jeszcze będąc, i później, na festywy z kompanją chodziła! Czegoż więc się bać? O tamte ostatnie dwie mile zapyta się w miasteczku, i w mig je przeleci. Najgorszą byłoby rzeczą, gdyby znajomych jakich na drodze napotkała, którzyby mogli zabawić ją, albo o niej dać znać do Tolłoczek. Lecz nie bardzo spodziewała się tego: zimową parą ludzie nie tak to bardzo się ruszają, a jeżeli kogo idącego lub jadącego zoddali uj-

rzy, na wszelki wypadek chustką tak twarz zasłoni, aby nikt poznać jej nie mógł. Czegoż więc się bać?

Była już u wierzchołka góry; ogromne, suche ramiona mlyna sennie, zwolna, bez najlżejszego szelestu poruszały się prawie nad jej głową. Stała. A wszak to młyn Gabrysiowego szwagra. Siostra Gabrysia z kilkorgiem małych i dorastających dzieci mieszka w tej chatynce, która wpobliżu mlyna, tuż przy drodze, wśród niskich opłotków, prawie w trzeciej części śniegiem zasypana stoi i śpi. Wygląda, jakby spała, bo za dwoma białemi od mrozu okienkami panuje zupełna cisza; drzwi, na których progu leży walek śniegu, szczelnie zamknięte, dwa drzewa nawet pośród opłotków stoją nieruchome. Jednak, kto wie, czy wszyscy śpią tam jeszcze? Może gospodyni obudziła się i zaraz wyjdzie z chaty, z wiadrem w rękę, po wodę do studzienki, której żóraw szary i wysoki sterczy jak pochylony nieco dziób śpiącego ptaka? Może młynarz nocował w młynie i zaraz z niego wyjdzie, aby po rozgrzanie się i posiłek zejść do chaty? Znają oni ją dobrze, zdawna, i żeby nie wiedzieć jak twarz osłaniała, po figurze i chodzie poznać mogą. Trzeba młyn i chatę Gabrysiowej siostry zdała obejść! Ale jak? Ej, co to trudnego? Ot, ścieżyna nieduża, jednokonnemi saneczkami ujeżdżona, pomyka w pole; po przeciwnej młynowi stronie gościńca półkolem jakoś bieży. Pewnie ona którędyś napowrót do gościńca przyprowadzi, a jeżeli i nie przyprowadzi, golem polem do niego dobrać będzie można. Teraz, gdyby i bród, albo rów jaki na drodze się znalazł, łatwo go przebyć, bo wszelkie wody na świecie lodem stoją.

Z gościńca na boczną, niedużą drużkę zbiegła i szła już czystem, pustem polem, nawet bez drzew przydrożnych, kręto posuwając się po krętym szlaku wyżłobionych przez sanie kolein.

Pod niebem i w powietrzu robiło się coraz widniej. Jeszcze parę gwiazdek małych śród ruchomej krepy obłoków błysnęło i zgasło, natomiast w ciszy zawsze takiej, że nie przerywał jej nawet najlżejszy szebiot ptaka, ani najmniejszy szmer przypadłego do ziemi wiatru, na wschodniej stronie nieba powstała i zwolna rozszerzała się, rosła, rubinowa wstęga jutrzeńki. Błaski tego ognia, z za światła jakby wybuchającego, rzuciły się na śniegi i popłynęły po nich jak różowe rzeki i jeziora, oświeciły kilka dalekich drzew polnych, tak, że wyglądały one jak wyrastające z alabastrów koronkowe słupy rumianej światłości. i wreszcie drżące promyki położyły na wierzchołku krzyża, który

nad szerokiem, nagiem, milczącym polem rozpinał ramiona wysokie, nagie, milczące.

Salusia przystała znowu i zapatrzyła się na jutrzeńkę oczyma, które, zrazu uśmiechnięte i zachwycone, powoli zachodzić poczęły łzami. Otóż i na dobre rozpoczął się już dziwny i najważniejszy dzień jej życia! Dziwny — bo po raz pierwszy, odkąd żyje, ona, dziecko chaty dostatniej i rodziny licznej, znajduje się bez dachu, bez osłony, bez nikogo przy sobie, swego, czy obcego, sama, samiutka jedna, pośród tego wielkiego, ciszą i samotnością tylko dyszącego świata; najważniejszy — bo od tego jak się zakończy, zależy całe jej życie.

U stóp krzyża leżał duży gładki kamień. Może w innych, łagodniejszych porach roku ludzie siadywali tu, modlili się, dumali, teraz na okrywającym go śniegu widać było ślady chodu wielkiego płaka, czy może małego zwierzątka — ślady, które starła klękająca na kamieniu Salusia.

Na kamieniu uklękła, krzyż obu ramionami objęła, i z przyciśniętą do niego skronią, w jutrzeńkę zapatrzona, modliła się cicho:

— Boże, mój Boże! daj, abym znalazła jego zdrowym i dla mnie życzliwym; aby wszystko mnie dobrze poszło! Boże, mój Boże! daj, aby on mnie odpuścił tę winę, którą przeciw niemu popełniłam; daj, abym szczęśliwie do niego doszła, i jego, w zdrowiu i dobrem dla mnie sercu znalazłszy, nigdy już z nim rozłączoną nie została!

Potem przeżegnała się i zaczęła mówić zwyczajny, prawdziwy pacierz, ale za nic dokończyć go nie mogła.

— Ojcze nasz... — zaczęła i mówiła dalej:

— Daj, abym go znalazła zdrowym i dla mnie życzliwym... któryś jest w niebie... aby życie jak w niebie przeszło mnie przy nim... przyjdź królestwo Twoje... aby odpuścił on mnie tę winę, którą przeciw niemu popełniłam... bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi... abym na tej ziemi inszego przyjaciela i opiekuna, oprócz jego jednego, nie miała...

Rozplakała się. Twarz w skraju chustki, którą miała na głowie, ukryła i poplakała trochę, ale niedługo. Nie wczas płkanie długie temu, kto długą drogę przed sobą ma. Na łzach do celu swego nie dopłynąć. Trzeba iść. Krzyż pocałowała, wstała i poszła, z powrotem ku gościncowi się kierując, czasem w śniegu wyżej niż po kostki brnąc, czasem ostrożnie przebywając małe zamarzłe bródki, aż odzież wysoko podniósłszy, rów wąski, lecz

głęboki przeskoczyła, i już na gościńcu się znalazłszy, rażnym, prędkim krokiem jak strzała prosto przed siebie poszła.

Więc szła do Jerzego! Tak po wiele razy w dniach ostatnich doświadczała niewysłowionego pragnienia i przeblysków zamiaru, aby uciec i do niego pójść, aż nakoniec uciekła i poszła. Wiedziała doskonale, że powrót do rodzinnego domu, do swoich, będzie już dla niej na bardzo długo, jeżeli nie na zawsze, niemożliwym. Możeby jej, gdyby wróciła, przyjąć nawet nie chciano, a jeżeliby i przyjęto, dostałaby się w takie pośmiewisko i prześladowanie, że pewno za nicby go nie zniosła. Z Konstantym chybały sobie oczy nawzajem powydzierali, taka byłaby pomiędzy nimi kłótnia. On jej nigdy do śmierci nie daruje, ani wstydu, który mu ucieczką swoją sprawiła, ani daremnie wyłożonych kosztów, ani tego procesu, który Cydziki, także o wyłożone koszty najpewniej z nim zawiodą. Za Boże stworzenie nie uważalby jej teraz, obchodziłby się z nią gorzej niż z psem, a ona znów nie taka, aby ubliżenie i krzywdy cierpliwie znosić mogła! Nie; teraz już łatwiej wilk z baranem wyżyłby pod jednym dachem, niż ona z bratem. Z siostrami prawie tak samo. Jedna Końcowa może przebłagałaby się wprędce, lecz i to nie pewne, bo wobec groźby poróżnienia się z familją bardzo jest lękliwa. A krewni! sąsiedzi! znajomi! Ci to wprost oczyby jej uraganiem wyjadali, wzgardą oblewali, na syczących językach nosiliby ją po całym świecie! Nie! wiedziała ona bardzo dobrze o tem, że z całym swoim światem zerwała, że wszystko, co było lub być mogło jej własnem, za siebie cisnęła, na zawsze utraciła, że powrotu żadnego nigdzie dla niej niema, i że, jak świat szeroki i długi sama jest, sama jedna, z myślą tylko o tym człowieku, który nie raz i nie sto razy mówił, że kocha ją nad wszystko na świecie, nie raz, nie dziesięć razy ręce, oczy, usta, nawet nogi jej całował, i wreszcie pisał do niej: »w jednej koszuli cię wezmę i za szczęśliwego się poczytam, że ode mnie jednego wszystko będziesz miała«. Ale niemożliwość wszelkiego powrotu nie przstraszała jej bynajmniej, ani też samotność nie zasmucała. Owszem, myśli, iż zrzuciła z siebie wszelkie łańcuchy, iż stanowczo odczepiła się od tego kółka, gawrona, ślimaka, smarkacza, który śmiał jeszcze o swoim nad nią panowaniu gadać, napelniała ją taką dumą, że aż prostowała się idąc i głowę wysoko podnosiła. Otóż postawiła na swoim! Otóż nie pójdzie za Cydzika, ale zostanie żoną tego, którego sama sobie, z własnej woli, z własnego rozumu i serca wybrała. Cham! niech sobie będzie cham, ale dla niej jest najdroższym. Ziemi swojej nie

ma! Niechaj nie ma! Głowę i ręce ma, a ona także nie jest bez głowy i bez rąk. Przekonała się już, że bez niego żyć nie może, że on dla niej milszy i droższy nad pochodzenie, ambicję, ziemię, familję; więc cały świat mógłby ją teraz potępiać, lub wyśmiewać, a ona tylko zaśmiałaby się, figę pokazałaby całemu światu i dalej szłaby do niego.

Szła i myślała: jakże to teraz pomiędzy nami będzie? A jakże ma być? Ot, poprostu, do Laskowa przyjdzie, jego we dworze wynajdzie, stanie przed nim i powie: — Jerzy! daruj ty mnie tę winę, którą przeciw tobie popełniłam, choćby dlatego, że wszystkich porzuciłam i wszystko za siebie cisnęłam, aby do ciebie przyjść. Tak cię kocham i tak żyć bez ciebie nie mogę... — To dopiero on się ucieszy! Chyba zadusi ją w uściśnieniach! Kiedy o tych uściśnieniach pomyślała, aż słabość w nogach uczuła, i zmuszona usiąść pod najbliższem drzewem, ogniście splonioną twarz zasłoniła dłońmi. I wstydzila się przed samą sobą swoich myśli i myślała, że... kiedy on znów tak, jak dawniej, ją pocałuje, z nią niewiedomo chyba co się zrobi! Trzeba iść! trzeba iść! trzeba iść!

Zerwała się z ziemi i po odpoczynku, acz krótkim, prędzej jeszcze, niż wprzód, szła.

A cóż później nastąpi? Cóż ma nastąpić? Wiadomo: żadnych trudności w załatwieniu wszystkiego nie spostrzega. Jerzy tymczasem odwiezie ją do swoich rodziców, dla których ona, choć to chłopię, uprzejmą i pokorną się okaże, w gospodarstwie nawet im pomagać i wszystko, co każą, robić będzie. Tam czas jej przejdzie do Wielkiej Nocy, a na wiosnę ślub z sobą wezmą, i Jerzy do siebie ją zabierze. Ot, i wszystko. Dwadzieścia trzy lata ma i wie bardzo dobrze, iż w tym wieku nikt nie może jej zabronić wyjść za kogo tylko zechce; papiery do ślubu potrzebne wzięła z sobą, żadnych tedy przeszkód połączenie się ich spotkać nie może. A po ślubie — to już nikt żadnej szkody i żadnego ubliżenia nie będzie mógł jej wyrządzić, bo po pierwsze: z Jerzym będzie połączoną, o co dba najwięcej; a po drugie: na tę teraźniejszą ucieczkę jej do niego welon ślubny opadnie i zetrze z niej wszelką hańbę. Bo i wcale hańby w tem niema, że poszła do tego, z którym wzajemnie, nie raz i nie dziesięć razy, dozgonne kochanie sobie przyrzekali, który, zobaczywszy ją, jakby po raz drugi na świat się narodzi i za to, że okazała się taką śmiałą i wierną, przez całe życie na rękę nosić ją będzie!

Pomimo pogody i rubinowej jutrzienki w zaraniu, dzień zrobił się pochmurnym, ciemnym, bez słońca, które jakby na-

wet wcale nie wschodziło, tak odrazu zasloniły je ciemnoszare, białawemi plamami usiane obłoki. Salusia często na niebo spoglądała. Może śnieg będzie padał, bo i mrozu prawie niema, i te białe obłoki zdają się być śniegiem nadziane. Ale jej o to bynajmniej nie chodzi! Jeżeli i spadnie śnieg, to cichy, bo wiatr czasem tylko zawiewa, łagodny, ledwie trochę szmerzący, a śnieżycą bez mrozu i wiatru, to głupstwo; niebezpieczeństwa niema w niej żadnego, ani wielkiej przykrości, owszem, czasem to i miło patrzeć, jak te białe, przeczyste płatki rzadka w powietrzu latają, wzajemnie, zda się, popychają się i gonią, lub też tak powietrze napelnia, że nie widać nieba ani ziemi, tylko ten niezmierny, migający gąszcz niby ptaków bielutkich, małych, lekkich, a zarazem takich jakoś w swojej wielkiej cichości poważnych i smętnych!

Tymczasem jednak nic nie padało, i o południu Salusia szła jeszcze gościńcem trochę już zmęczona, niewiele, jednak tyle, że o potrzebie odpoczynku pomyślała. Na dnie jej charakteru istniejąca praktyczność, ta sama, która ją do przyjęcia dużego posagu i świetnej partji była nakłoniła, przez którą w stanowczej chwili nie zapomniiała wyjąć ze skrzyni papierów do ślubu potrzebnych i garstki drobnej monety, teraz także nasunęła jej uwagę, że jeżeli zmęczy się zbyt, może jej sił zabraknąć dla dojścia dziś jeszcze do zamierzonego celu. Zaszła więc do malej przydrożnej karczemki, wypila szklankę mleka z razowym chlebem i na wąskiej ławce pod ścianą około godziny przesiadła. Kilka razy nogi aż same przez się zrywały się jej do dalszego chodu, ale ona rozkazywała sobie siedzieć, dobrze odpocząć, aby później tem prędzej i pewniej zająć. Ludzi, których paru w karczemce siedziało, zapytała tylko, jak daleko jeszcze do miasteczka z cudami słynącym kościołem — a dowiedziawszy się, że tylko wiorst ośm, aż w ręce z radości klasnęła. Piorunem już te ośm wiorst przeleci, w miasteczku odpocznie znowu, a tam już tylko dwie milki zostaną. Zaledwie ściemnieje, ona w Laskowie już będzie, a i to jest też pomyślnem, że przyjdzie tam o szarej godzinie. Za dnia trochę wstydu czułaby przed obcymi, którzyby pewnie przyglądali się jej z ciekawością; a pociemku wszystkie koty szare, i zanim kto rozpozna, czy młodą jest, czy starą, ładną czy brzydką, o Jerzego dopyta się, zobaczy go i o wszystko inne dbać przestanie.

Jednak w miasteczku odpoczywać nie potrzebowała. Za karczemką, z której wyszła, gościniec stał się ludniejszym, niż był przedtem; bliskość większego nieco zbiorowiska ludzi czuć

się tu dawała; na drodze dość często ukazywali się piesi wędrowcy i jednokonne sanki.

— A, żeby też mię ktokolwiek podwiózł do miasteczka! — pomyślała.

I o wiorstę od karczemki, zobaczywszy chłopa jadącego w pożądanym dla niej kierunku, zakrzyknęła na niego z brzegu drogi, aby ją na sanki swoje zabrał.

— Zapłacę gospodarzowi! — Proszę was, gospodarzu, dowieźcie mię do miasteczka!

Chłop głową na znak przyzwolenia kiwnął, konia zatrzymał; ona, zadowolona, rada, jak ptak na saneczki zleciała i pojechała.

Wszystko dobrze idzie! Ot, i jedzie sobie jak pani, odpoczywa, a gdy odpocznie doskonale, nogi wiatrem dalej ją poniosą. Zrobiło się jej wesoło, pocichu nucić sobie zaczęła i, nucąc, myślała o tem, jak to po raz pierwszy poznała się z Jerzym. Pożar w mieście powstał, obie- z Anulką na to widowisko poleciały i, stojąc w tłumie, przypatrywały się płomieniom i ludziom, którzy rozmaitemi sposobami gasić je usiłowali. Pomimo ścisku i gorąca przysunęły się przez ciekawość, jak tylko można było najbliżej, i zobaczyły drabinę podnoszącą się od ziemi, aż prawie pod strych gorejącego domu, całą w dymie stojącą, językami ognia tu i owdzie muskaną, a gdy oczy do góry wzniosła, u szczytu tej drabiny pokazał się człowiek, niosący w rękach skrzynkę niedużą, ale na której widok jacyś ludzie, na dole stojący, ręce wyciągać, krzyżeć, jęczeć zaczęli. Całe ich bogactwo w skrzynce tej zawierać się musiało; ten zaś, który ją z ognia wynosił, wydał się Salusi takim pięknym, silnym, śmiałym, że prawie więcej do wymalowanego na obrazie kościelnym archaniola, niżeli do człowieka, był podobnym. Ani rozumiała, co go w jej oczach takim pięknym i nadzwyczajnym uczyniło, ani siebie o to zapytywała, tylko cicho szeptała do siostry:

— Patrzaj, patrzaj... jaki śmiały... jaki śmiały... ot, śmiały!

Potem, stało się tak jakoś, że zlekła się ogromnie, aby drabina nie zlamala się pod nim, aby go śmigające ze stron obu płomienie nie ogarnęły, aby nie stracił równowagi, i nie upadł; krzyknęła z przestachu i w górę podniosła ręce, jakby jemu na pomoc lub na ratunek. Wtedy on z pośrodku jeszcze drabiny spojrział na nią i uśmiechnął się, poczem na ziemię zstąpiwszy, oddał skrzynię płaczącym i jęczącym ludziom, którzy mu za nią ogromnie dziękowali, po rękach go całując, zbawicielem swoim

nazywając. Ale on wyrwał się im prędko i z twarzą od dymu oczernioną, w odzieniu tu i owdzie przez ogień osmalonem, znowu spojrzął na nią, a tuż przy niej Końca zobaczywszy, prędko do niego się zbliżył; pokazało się, że byli z Końcem dalekimi znajomymi, ale teraz bardzo prędko stali się bliskimi. Już nazajutrz Jerzy do Końców przyszedł i coraz częściej, coraz na dłużej przychodził... Jak ona mogła choć na moment zapomnieć o tem pierwszem zobaczeniu i poznaniu jego, kiedy to jak archanioł w płomieniach i dymie zjawił się przed jej oczyma, taki śmiały, zgrabny, piękny, nadewszystko śmiały! Teraz znowu widzi go takim przed oczyma, jak żywego, i dziękuje Bogu, że także śmiałości jej nie poskąpił, przez którą po chwilowem ubłędzeniu zdołała na drogę do niego wiodącą powrócić.

— Gospodarzu — ozwała się nagle — nie znacie czasem nadleśnego z Laskowa, Jerzego Chutki?

Chłop nie znał nadleśnego z Laskowa, ale słyszał, że tam teraz jest jakiś nowy, młody, który w niedługim czasie ożenić się ma podobno.

— Ehe! — pomyślała Salusia — miał on ten zamiar, potem już nie miał, a teraz znów mieć będzie!

I zaśmiała się zcicha.

— Ot, siurpryzę mu zrobię!

Poprosiła chłopą, aby i przez miasteczko ją przewiózł, bo miała tu znajomych, i lękała się ich napotkać. Mijając kościół cudami słynący, przeżegnała się i zaszeptwała znowu:

— Boże mój, Boże, daj, abym go zdrowym znalazła, i aby mi wszystko dobrze poszło!

Za miasteczkiem z sanek zeskoczyła, gospodarzowi pięknie podziękowała, zapłaciła i rozpytywała się go o drogę do Laskowa, którą on, jakkolwiek oddawna już w Laskowie nie był, znał bardzo dobrze.

Nie trudna do zapamiętania droga. Naprzód przed siebie iść; potem przy trzech krzyżach na prawo wziąć się i już jak strzelił, prosto ku wielkiemu lasowi, a przez las też prosto jak strzelił, szeroką, ujeżdżoną drogą, aż do końca lasu, skąd dwór, mniej już, niżli o wiorstę, jak na dłoni da się widzieć.

Poszła — i wprędce zajęło ją i trochę zabawiło stado kawek, które, z ogromnym łopotem skrzydeł, tuż przy drodze, na pole zleciały. Wszystkie stworzenia lubiła bardzo, ptaki więcej jeszcze, niż inne, to też i tym, idąc nieco wolniej, przypatrywała się z zajęciem, jak pocieszenie i ładnie wyglądały, rozsypane na śniegu, czarne jak smoła, z popielatemi na szczytach obrózkami.

Nie zazdrościła już im skrzydeł. Poco jej skrzydła, skoro ma silne i wypoczęte nogi, które wprędce już zanosą ją tam, gdzie znaleźć się pragnie!

Przy trzech krzyżach jednak silnie i smutnie uderzyło ją wrażenie, zupełnie nowego dla niej widnokregu. Natura stawiała się coraz więcej niepodobną do tej, wśród której urodziła się i wzrosła. Dziecię stron bezleśnych, małemi, ale częstemi wzgórzami sfalowanych, знаła dotąd male tylko brzeźniaki i olszynki, po mokrych łąkach rozsiane, albo rzadkie sosnowe zarośla, obrastające piaszczyste wzgórza. Teraz gładka jak stół płaszczyna, pośród której się znalazła, nadewszystko zaś pas lasu, który ciemną, z obu końców niedoścignioną dla oka ścianą, niedaleko już przed nią stał, wionęły na nią smutkiem. Wszystko tu insze! — pomyślała — wszystko inaczej! — i uczuła tę samą żalność, która ją była zmusiła do powrócenia od wrót podwórka ku rodzinnemu progowi i do złożenia na nim pocałunku. Obróciła się też twarzą w stronę, z której przybywała. Tam, w tamtej stronie, tak daleko, że ani zajrzeć, ani dosłyszeć niepodobna, na bezleśnym rozlogu stoi szereg domostw, pośród których jedno jak na dłoni widzi, z sadem, podwórkiem, nową żółtą stodołą, z płotkiem, za którym szarzeje chatka Gabrysia, z oborą, w której między sporem stadkiem stoi sześć owieczek z czerwonymi tasiemkami na szarych, czarnych, brunatnych runach. Sama nie wiedziała jak i kiedy pokłoniła się, a w myśli, zakręciły się jej słowa: bądźcie zdrowe, moje owieczki! Wnętrze tego domostwa widzi także: przed dziadową, rozłożystą kanapą, wzorzystym kilimkiem obitą, komodę jesionową, kołowrotek przed piecem, z prześlicznym lnem u osady, wyprawną skrzynię zieloną, żelazem w kilkoro przepasaną, z wiekiem od wnętrza oklejonym świętymi obrazkami. Pokłoniła się znowu: bądźcie zdrowe, kanapo, skrzynio, a nadewszystko, kołowrotku kochany, na którym od dzieciństwa przedłam! Na kanapie rozparty siedzi Konstanty i gwiżdże: fiu, fiu! fiu, fiu, fiu! Jednakowoż dobre on miał dla niej chęci, posag jej dawał prawie nad możność wielki, o najlepsze swaty wystarał się dla niej, wspominał często, że mu ją umierające rodzice przyporuczyli... Pokłoniła się: bądź zdrow Konstanty! Panczewiczowa jak wicher w kuchni szumi i klóci się z Zaniewską. Kończowa rozpowiada bratu różne miejskie wydarzenia i anegdotki! One też dla niej nieraz życziwemi były, do niedoszłego jej wesela starań dokładały, podarunkami ją osypywały. Bądźcie zdrowe, siostry rodzone!

Naprzeciw niej, ku lasowi się kierując, nadbiegały rozło-

żyście parokonne sanki, uprzężą brzęczące i halaśliwe od głośnej rozmowy kilku ciasno obsiadujących je osób. Kiedy mimo niej przelatywały, zasłyszała parę razy powtórzony w rozmowie wyraz: pan młody! a z pod zsuwającej się chustki błysnął na głośnie kobiecej wielki, czerwony kwiat.

— Na jakieś wesele jadą! — pomyślała.

Ale co ją mogło obchodzić, dokąd jacyś nieznajomi ludzie jadą? Może cały kwadrans strawiła na rozmyślanie, stojąc obrócona, nie w tę stronę, w którą powinna była iść. Zimnemi rękoma mokre oczy otarła i, ku lasowi obróciwszy się, znowu szła — szła i myślała:

— Dla ciebie, Jerzy, wyrzekłam się wszystkiego swego i wszystkich swoich! Dla ciebie sierotą bez familji i chaty zostałam! Dla ciebie wszystko za siebie cisnęłam i rozłączyłam się, może na wieki, z tem, do czego oczy przyzwyczajone były a serce przylgnęło! Ale ty mnie to wszystko zastąpisz, wynagrodzisz, zapłacisz, mój ty najdroższy, mój śliczny, mój złotny!

Idąc wciąż dalej i dalej, długo przypominała sobie moment, w którym on po raz pierwszy powiedział jej, że kocha ją nad życie, że ilekroć z nią nie jest, widoku jej jak kania deszczu pożąda, że tedy jedynem jego szczęściem będzie, jeżeli ona zgodzi się połączyć się z nim na zawsze, jego najdroższą i wieczną żoną i towarzyszką zostać. Przypominała sobie, jak wyglądał wtedy, gdy to mówił, jakimi oczyma na nią patrzył, jak ją w ręce całował, co ona jemu odpowiedziała, a on z jej odpowiedzi cieszył się jak warjat, mówić prawie nie mógł, i tylko — choć bronila się trochę — objął ją i pierwszy raz, ale nie raz, pocałował. Tak zagłębiła się w tych przypomnieniach, że zapomniała prawie, gdzie się znajduje, świata dokoła siebie nie widziała i jakby ze snu obudziła się, usłyszawszy za sobą szelest posuwających się sań i głuchy tętent kopyt końskich po śniegu. Znowu przeleciały mimo niej parokonne sanie, ale tym razem nie towarzystwo żadne, tylko pięciu, czy sześciu muzykantów wiozące. Poznała to po grubym dziobem sterczącej pośrodku basetli i innych instrumentach, które w długich futerałach stały lub leżały pomiędzy tymi ludźmi i na ich kolanach.

— Muzyka dokądciś jedzie! — pomyślała, lecz tylko przełotnie, bo spostrzegła zarazem, że znajduje się już w lesie, i przejął ją smutek niewypowiedziany. Tak posępnie tu było; te sosny ciemnozielone takim żałobnym szlakiem rozdzielały białą ziemię z szarem niebem, tak wysoką i smutnie szumiącą gęstwiną roz-

pościerały się na prawo i na lewo, zda się, dwie ściany nieprzeniknione, świat Boży zakrywające i tym swoim szumem nieustannym, śpiewnym, jakby płaczące i narzekające, jakby z ciężkim wzdychaniem prorokujące nieszczęście. Ale ona nie spodziewała się nieszczęścia: owszem, ku swemu szczęściu, ku swojej radości biegła; mogą sobie te posępne ściany wzdychać, lamentować, zle prorocтва chmurnemu niebu szeptać — jej nie nastraszą! Ona, teraz zwłaszcza, gdy wszystką przeszłość przypomniała, wierzy w kochanie Jerzego, jak w Ewangelię, i w to, że mniej niż za godzinę, nie będzie na świecie szczęśliwszych ludzi nad ich dwoje. Żeby tylko jemu, gdy ją ujrzy, nie zrobiło się co złego z radości! Słyszała o tem, że wielka i niespodziewana radość, równie jak nagła boleść, człowieka o chorobę przypawić może, więc parę razy pomyślała: żeby tylko jemu, gdy ją ujrzy, broń Boże, nie zrobiło się co złego z radości!

Wczesny zmrok zimowy zapadać począł; leśna droga szereka, ujeżdżona, ciemniała jednak, a stojące po obu stronach ściany z ciemnozielonych drzew stawały się czarnemi. Duży ptak jakiś zalopotał głośno skrzydłami, żałośnie zajęczał i jakby coś ciężkiego w gęstwinę spadło, taki rozległ się tam suchy stuk i trzask. Salusię trwoga zdjęła; pierwszy raz w tej kilkomilowej podróży zlekła się i uczuła przyspieszone od trwogi uderzenia serca. Ale bo też nigdy jeszcze dotąd w tak wielkim lesie nie była. Dzikie zwierzęta i nawet rozbójnicy na myśl jej przyszli. Żeby to już prędzej wyjść z tego lasu! Ach, dzięki Bogu, znowu ktoś jedzie! Rażniejszą i odważniejszą się uczuła, usłyszawszy za sobą dość dalekie jeszcze pobrzęki upręży i tętent kopyt końskich. Dość dalekie zrazu, szybko przecież nadjeżdżały i prawie pędem ją ominęły sanki, tym razem w jednego, ale rosłego konia zaprzężone, elegancko wyglądające i na których, oprócz woźnicy, dwóch panów siedziało. Nie było jeszcze tak ciemno, aby nie mogła po szubach rozpoznać, że byli to panowie, i dostrzec na ich rękach białych rękawiczek, a z za szub rozwierających się u szyi białych krawatów. — Spóźnili się widać i śpieszyli bardzo, bo na woźnicę wołali: — Popędzaj! — a on pięknego, rosłego konia w galop prawie puszczał.

— Najpewniej gdzieściś wesele się odbywa — myślała Salusia. — Dziś też i jej wesele odbywać się miało. O tej porze byłaby już dawno po ślubie, po obiedzie, ściany domu aż skakałyby od tańców i muzyki. A teraz! Boże, jak straszno musi być w tym domu! Jakie gniewy i przekleństwa miotają tam na nią! Jak Konstanty ponuro patrzy i nawet już nie gwiżdże! jak sio-

stry płaczą, zwłaszcza Anulka! Żal zdejmował ją znowu, ten większy, że ciemne, wysokie ściany lasu ciągle szumiały, wzdychały, lamentowały, jakby nad nią, jakby nad dolą jej dziwną, rozdartą, jakby nad chatą jej rodzinną, teraz ponurą, gniewem i zlorzeczeniami od dołu po strych napelnioną. Śpieszyła też, śpieszyła, wszystkie pozostające jeszcze siły wyęczała, aby z lasu wyjść co rychlej, aż ukazał się jej koniec najpierw jednej jego ściany, potem drugiej, i jakby na świat narodziła się, jakby jej, z serca bolący ciężar spadł, gdy zobaczyła na koniec okryte niebo, pole i pośród pola, w ciemnym wianku lasu stojący, topolami, niby wieżami, aż pod chmury strzelający dwór.

Na polu jaśniej było, niż w lesie; jednak i tutaj panowała już szara godzina, a we dworze pod topolami tyle świeciło się ruchomych i nieruchomych światel, jakby tam jakąś iluminację urządzono. Zdaleka już zobaczyła długi, niski dom, którego wszystkie okna w rześmym świetle stały. Mniejsze światelka, pewno od pozapalanych latarek pochodzące, kręciły się, jakby w powietrzu, w pewnym od domu oddaleniu. — Co tam się dzieje takiego? Zgromadzenie jakieś, zabawa? At, nic dziwnego, wszakże to dzisiaj niedziela zapustna, a posesor córki dorosłe ma. Po raz pierwszy oddawna przypomniła sobie te córki posesora, o których mówił jej niegdyś człowiek z tych okolic do miasta przybyły, i uczuła niepokój, niewyraźną lecz dolegliwą przykrość około serca. Zaraz przecież pocieszyła się myślą: to i dobrze, żem w czas zabawy i zgromadzenia trafiła! Nikt wielkiej uwagi na moje przyjście i na widzenie się nasze z Jerzym nie zwróci. Poproszę kogo, aby go zawołał, zobaczymy się, pogadamy, i choćby tej nocy jeszcze on konia założy i do swoich rodziców mnie odwiezie!

Gdy tylko w bramę weszła, wyskoczyły naprzeciw niej z szczekaniem dwa psy podwórzowe, ale może dlatego, że się ich nie lękała i śmiało szła naprzód, prędko odstały i ku domowi napowrót pobiegły. Ona stanęła na chwilę i rozejrzała się dookoła. W głębi obszernego dziedzińca dom na tle nagich drzew ogrodowych, z niskimi i oświetlonymi oknami, pod którymi ciżba ludzka stoi, przypatrując się zapewne temu, co dzieje się w jego wnętrzu. Na prawo budynki gospodarskie i oficyna; na lewo wielkie półkole topoli włoskich, do samych sztachet ogrodu dobiegające. Wrota jednego z budynków, zapewne stajni, rozwarłe; latarki tam migocą, konie rżą, ludzie rozmawiają. Pod topolami cisza, jak zresztą i na całym dziedzińcu, który pustką stoi i białością śniegu w zmroku świeci. Życie, wyraźnie świą-

teczne i wezbrane, skupiło się tu na dwóch punktach: w domu i około stajni.

Salusia zwolna szła cichą stroną dziedzińca, pod topolami. Chciała zrazu pod stajnię podejść i zapytać uwijających się tam ludzi, pewno furmanów: gdzie mieszka pan nadleśny, i jakim sposobem zobaczyć się z nim może? Ale wstyd ją zdjął i trochę obawa przed nieznanymi i prostymi ludźmi. Jeszczeby jej grubiaństwo jakie powiedzieli lub nawet i wyrządzili. Oficyna świeciła dwoma oknami, ale Salusia zmiarkowała prędko, że piekarnia tam być musi, bo światło pochodziło od ognia palącego się w piecu, inne zaś okna oficyny były ciemne. Z listów Jerzego wiedziała, że mieszka w oficynie: zapewne też te ciemne okna do jego mieszkania należały, on zaś sam znajduje się w dużym domu, na zabawie. Bo i dlaczegoż znajdowaćby się tam nie miał? Zaproszono go, poszedł. Znowu niepokój i dolegliwą przykrość około serca uczuła; wolałaby, aby w mieszkaniu Jerzego jedno okienko było oświetlone, i aby on za niem siedział samotny, do niej tęskniący. Za rzadko rosnącemi topolami zobaczyła duży, okrągły dół, śniegiem osypany, lecz tu i owdzie jakby czarnymi dziurami poplamiony. To ten staw, o którym pisał Jerzy, gdy pozycję Laskowa jej opisywał, a te czarne dziury, to przeręble, w których dziś, najdalej wczoraj, ryby łowiono, skoro ich jeszcze śnieg nie przysypał. Widywała w swoich stronach stawy, na których lody dla łowienia ryb przerąbывano, to też i ten z łatwością rozpoznała.

Znajdowała się już prawie za plecami ludzi, przez oświetlone okna we wnętrze domu spoglądających. Byli to, jak z ubrań poznać mogła, służący wszelkich stopni: niżsi oficjaliści, parobcy, żony i ich dzieci, dziewczki piekarniane. Może też i z pobliskiej wsi jakiej trochę ludzi zwabionych ciekawością przyszło, bo tłum był duży, a skupiał się cały przed trzema oknami, z za których też dochodził gwar wielu głosów, z dzwonieniem naczyń stołowych zmieszany.

— Co tu zrobić, aby dowiedzieć się, gdzie on jest i jakimkolwiek sposobem z nim się zobaczyć? — myślała Salusia i po krótkim namyśle wcisnęła się pomiędzy siermięgi, kożuchy, duże chusty i z niejaką trudnością do samego okna dotarła. Przedzierając się przez tłumy, myślała, że może Jerzego za tem oknem zobaczy i kogokolwiek ze stojących tu ludzi o przywołanie go poprosi.

Za trzema oświetlonymi oknami widać było scenę pełną życia, ruchu, barw i hałasu. Pośrodku największej w całym domu

izby, niskiej, z belkowanym sufitem i ścianami, białym tynkiem okrytymi, stał długi stół, lampami oświetlony, śnieżnym obrusem i mnóstwem różnych naczyń okryty, a otoczony przez trzydziestu może siedzących dokola niego ludzi: kobiet i mężczyzn, starych i młodych, najrozmaiciej poubieranych. Z ubrań, z ruchów, z cery twarzy rozpoznać można było panów, chłopów i ludzi stanu pośredniego. Pierwszych było najmniej — dwóch zaledwie, pewno majątnych obywateli z sąsiedztwa; drugich już więcej, bo para starych ludzi, i kilku młodych mężczyzn; trzecich najwięcej: widocznie wyżsi oficjaliści z sąsiednich dworów, folwarków. Na głowach kobiet i dziewcząt paliły się kolorowe kwiaty i wstążki. Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem chłopów, przyodzianych w krótkie siermiężki, mieli na szyjach białe krawaty, u wszystkich też, siermiężnych nie wyłączając, tkwiły u boków zielone gałązki mirtu, białymi wstążeczkami pozwiązane. Po tych mirtach poznać już można było weselne gody, ale oznakę ich najpewniejszą przedstawiała młoda, różowa blondynka, cała w bieli z mirtowym wiankiem na przezroczystym woalu, który głowę jej i prawie całą kibić, jakby mgłą białą, osłaniał. Siedziała u końca długiego stołu, obok młodego też, ładnego mężczyzny z jasnymi włosami i delikatnie zarysowaną twarzą.

Za oknem, w ciżbie stojąca dziewczyna w znoszonym paltoć i chustce na głowie twarz przyklejała do szyby, i czarne płonące oczy wlepiała w młodą parę, u końca stołu siedzącą.

— Co to? co to? co to? — myślała — panna młoda... wesele... czego on przy niej siedzi? Może starszym drużbantem jest, a w tych stronach taki zwyczaj, że przy pannie młodej starszy drużbant na godach weselnych siedzi? Dziwny zwyczaj! dziwny zwyczaj!

Zwróciła się ku najbliższej stojącej kobiecie i głosem, którego samaby nie poznała, który jakby nie do niej należał, przemówiła:

— Moja pani, czyje to wesele?

Zapytanej widok osoby nieznajomej wcale nie zadziwił. Przy podobnych okazjach tyle płacze się zawsze nieznajomych ludzi! Dworską być musiała i odpowiedziała grzecznie:

— Córki posesora, pana Kuleszy.

— A za kogoż ona wychodzi? — zapytała znowu dziewczyna z czarnymi, palającymi oczyma, które dworskiej kobiecie wydały się nieprzytomnymi, co jednak nie przeszkodziło jej uprzejmie jeszcze odpowiedzieć:

— Za tutejszego nadleśnego, Jerzego Chutkę!

Dziewczyna z czarnemi oczyma z całej siły obu rękami schwyciła się za ramę okna. Nogi uginały się pod nią, ale po głowie, jak opętany, kręcił się i hasał jeden tylko wyraz:

— Nieprawda! nieprawda! nieprawda! nieprawda!

I patrzała znowu, szeroko otwartemi, palającemi nieprzytomnemi oczyma. Patrzała na starego chłopca z ciemną twarzą, z wielkimi wąsami, w grubym brunatnym surducie, po drugiej stronie panny młodej siedzącego.

— To pewno jego ociec! — myślała.

Patrzała na chłopkę, wyczesaną, przystrojoną, ale zawsze prostą chłopkę, o twarzy bardzo pomarszczonej i ciemnej.

— To pewno jego matka!

Ci młodzi chłopcy w siermiężkach, to pewno jego bracia; tamci w mundurkach z błyszczącymi guzikami — może jej bracia, bo nawet jeden — bardzo do niej podobny; a ten pan tłusty, rumiany, który dokola stołu chodzi i wino w kieliszki nalewa, to jej ociec.

Nagle obróciła się znowu do obok stojącej kobiety.

— Już po ślubie? — zapytała.

— A ma się rozumieć! kiedy obiad jedzą, to już widać, że po ślubie. Godzin ze cztery może, jak powrócili od...

Nie dokończyła, zaśmiała się i wszyscy pod oknem stojący śmiać się zaczęli; bo w izbie, ktoś u końca stołu grubym głosem krzyknął:

— Kwaśne wino!

Na ten okrzyk, jakby na dane hasło, wszyscy mężczyźni, nawet i niektóre kobiety, z miejsc powstawali i wołać zaczęli: kwaśne wino! kwaśne wino! kwaśne wino! Wołając tak, zaczerwienione i rozochoczone twarze jedni ku drugim obracali, kieliszki wysoko podnosili, filuternie oczyma mrugali. Dwaj panowie nawet śmiali się i gestami sąsiadów-ekonomów do głośniejszego wołania zachęcali, zaś trzej chłopcy w ubraniach z błyszczącymi guzikami wołali najnatarczywiej; kobiety w jaskrawych kwiatkach chichotały tak, że aż przeginały się na poręcze krzeseł; dziewczęta we wstążkach pomiędzy sobą i z panną młodą na migi o czemś wstydliwem i razem zabawnem rozmawiały.

W tej zawierusze barw, póż, ruchów, głosów, we mgle woalu i w ogniu rumieńców, panna młoda poczęła bardzo szybko, w różne strony głową obracać i oczyma rzucać, to wdół, to wgórze, to w prawo, to w lewo, zupełnie jak przełęknięta ptaszyna. Pan młody, przeciwnie, siedział spokojny i zamyślony, jak człowiek, przez którego życie i duszę niedawno ciężka

chmura przepłynęła, i który śmiać się tak łatwo, świeżo, swobodnie, jak śmiał się dawniej, jeszcze nie może, albo i nigdy już nie będzie. Jednak, choć bez wielkiej weselości, przyjaźnie i z uśmiechem na pannę młodą spoglądał; im więcej ona głową kręciła i szafirowemi oczyma na wszystkie strony rzucała, tem bliżej przechylał się ku niej, aż gdy weselni goście, nietylko okrzyku swego wydawać nie przestawali, lecz coraz głośniejsze, z coraz większemi śmiechami i żartami wołali: — Kwaśne wino! kwaśne wino! kwaśne wino! — on żywym ruchem wpół ją objął, ku sobie przyciągnął i w same usta pocałował. Wtedy ona, niezmiernie już zawstydzona, w mgnieniu oka wyrwała się mu z objęć i do ojca jego przypadła, i ręce na szyję starcowi zarzuciła, twarz kryjąc u grubego jego surduta. Staremu chłopu powieki prędko latać zaczęły, objął ją tak, że ciemna jego ręka, jak wielka brunatna plama, odbiła się na śnieżnej bieli jej stroju i szorstkim wąsem zjeżone usta tak długo do głowy jej przyciskał, że aż woal w tem miejscu zapadł i najkrzywiej w świecie przekręcił się na nim wianuszek mirtowy. A Jerzy, rękę o poręcz krzesła opierając, stał wysmukły, zgrabny w swoim czarnym ubraniu, z gałązką mirtową u boku i na uścisk starego ojca z młodziutką żoną patrzył, ze spokojnym wprowadzie, lecz takim uśmiechem, iż łatwo odgadnąć było można, że czuł się szczęśliwym.

Nikt ze stojących za oknami nie zauważył, jak Salusia odeszła, nikt nie widział, jak przesunęła się pod półkolem topoli, minęła je, nad samym brzegiem stawu usiadła i głowę wzięła w obie ręce.

Jak kamień, mający kształt ciężko zadumanej kobiety, siedziała i ciągle, ciągle, bezustannie myślała.

— Jerzy! Jerzy! Jerzy! mój Jerzy!

Czuła, że utraciła go na zawsze, lecz jasnej świadomości o tem nie było jeszcze w jej głowie, ani o niczem; tylko z chaosu, z pustki, z ogromnej boleści, występowało w niej jasne i palące jedno to imię:

— Jerzy! Jerzy! Jerzy!

I jeszcze rzecz jedna: obraz jego, jasny, wypukły, w najdrobniejszych szczegółach widzialny, w tej chwili, gdy stał u stołu, na uścisk starego ojca z młodziutką żoną patrzył z uśmiechem poważnego szczęścia...

Wtem od strony domu coś śpiewnego, skocznego, hucznego zadźwięczało, w powietrzu się rozległo, nad zamazły staw przyleciało i kobietę u brzegu stawu siedzącą, niby szatankami

w ciemnościach skaczącemi, otoczyło tonami wygrywanej przez kilka instrumentów polki.

Porwała się na nogi, wstała i krzyknęła:

— Jezus Marja! Jego wesele! Jezus Marja! Jezus Marja!
Jego wesele!

Krzyknawszy tak, padła twarzą ku ziemi i śnieg w usta nabierać zaczęła, dla zatamowania krzyków, które ostatkiem przytomności powstrzymywane, szemrały w niej jak warczący wrzątek. Wtem uczuła wilgotne dotknięcie na splecionych i nad głową zarzuconych rękach. Podniosła się nieco i zobaczyła jednego z psów podwórzowych, który, obwąchując ją, wilgotnym pyskiem rąk jej dotknął. Drugi pies wpobliżu biegał, coś około stawu ze spuszczonym pyskiem wietrząc. Na zwierzęta te, jedyne żywe istoty, które się w bliskości jej znajdowały, patrząc, zaszeptala:

— Co ja teraz pocznę? co ja teraz pocznę? gdzie ja teraz pójde? Co ja teraz pocznę? gdzie ja teraz podzieję się? co ja teraz pocznę?

Ogromnym przestrachem zdjeta, wstała i naokoło siebie po ciemnościach wodziła wzrokiem. Teraz dopiero uczuła niewysłowioną, bezgraniczną pustkę i samotność, która rozlegała się dokoła niej, od krańca do krańca wielkiego świata.

Nikogo już swego na całym świecie! Sama jedna, sama jedna, w ciemnościach świata i własnych! Ani tu pozostać, ani gdziekolwiek pójść. Stąd iść trzeba, ale niema dokąd. I sił już nie ma, do niczego, do niczego! Ze szczęściem w sercu, pewnieby po przebytej drodze skakała jeszcze, ale teraz i ustać na nogach trudno. Żeby mróz był wielki, położyłaby się tu, na brzegu stawu, aby zamarznąć. Żeby wielka śnieżycą padała, położyłaby się także, aby ją śnieg zasypał. Ale mrozu prawie niema, i nic nie pada. Teraz ciemno, to dobrze; ale kiedyś przecie rozwidnieje, a wtedy co? Pójść sobie? a dokąd? I już iść nie zdola! Nogi ma jak podcięte: drżą i uginają się ku ziemi. Jeżeli nie pójdzie, zobaczą ją, znajdą tu, dowiedzą się wszyscy, że ona leciała do niego, leciała do niego, jak warjatka, jak ulicznica ostatnia, leciała i przyleciała, na jego wesele z drugą! Jak ta muzyka gra! jak ta muzyka gra! On tam tańczy! on tam tańczy! on tańczy! a ona tu, tak blisko, w ciemności umiera z bóleści i strachu. Jaki ten świat! jaki ten świat okropny! Poco ona urodziła się? Żeby choć ta muzyka grać przestała! Ale muzyka gra, gra, gra, z za tych oświetlonych okien wylatuje, rojem ją naokoło oblazi, kąsa, rwie, kole, do warjacji przyprowadza...

— Boże mój, ja zwaruję! — krzyknęła, chwytając się za głowę, i w tejże chwili wzrokiem spotkała jedną z dziur czarnych, płamiących powierzchnię stawu w zmrokach białawą.

— Przełomka! przełomka! przełomka! Ryby tu łowiono. Na wesele ryby łowiono! Teraz do niej jedna ryba wpadnie... wpadnie i zniknie, i nikt nie dowie się nigdy, że tu była i nikt nie dowie się, gdzie się podziała.

Stała z rękoma przy głowie i na czarną plamę pośród białawej powierzchni stawu patrzała i do siebie mówiła:

— Wiem już, gdzie pójdę! wiem już, gdzie ucieknę, wiem już, gdzie schowam się na wieczne czasy! Tańcz, Jerzy, i bądź sobie kontent, bądź zdrów, bądź zdrów, tańcz wesoło... Ja sobie pójdę... ja pójdę... pójdę i nigdy nie powrócę... nigdzie nie powrócę... na wieki sobie pójdę...

I szła. Szła brzegiem stawu ku miejscu, z którego najbliżej było po łodzie do przełomki.

Ale przed parą już minutami dał się słyszeć u bramy cichy szelest małych sanek, które w mizernego konika zaprzężone, podjechały nieco pod topole i stanęły. Wysoki człowiek w kożuchu wysiadł z nich, lejce koło topoli okręcił i szedł powoli, pilnie rozglądając się dokoła, a gdy na staw za topolami spojrział, nagle przystanął, wpatrzył się badawczo i potem jak strzała pobiegł w stronę błędzącego nad nim kobiecego cienia.

— Salusia! — głośnym szeptem zawołał i już był przy niej, za ręce ją pochwycił, a nim czas miała słowo rzec, lub ruchu jakiego dokonać, wpatrując się w nią, zaszeptał:

— Już tam po wszystkim! już tam po wszystkim! — i głową na dom oświetlony wskazał.

— Gabryś! Gabryś! Gabryś! — sennym, wpół nieprzytomnym głosem wymówiła. A on, nie tak powoli, jak mówił zwykle, ale owszem, w sposób przyspieszony, prawie zdyszany zaczął:

— Przystanąwszy w miasteczku, dowiedziałem się, że już po wszystkim; tam ślub brali. Jezus Marja! przeląknęłam się... a tu kobyła słaba, prędko iść nie chciała... Prędzejbym już piechotą doszedł, ale jakim sposobem ciebiebym mógł zabrać, gdybym sanki i kobyłę gdzie zostawił...

Potem, ostrożnie, delikatnie na głowie jej dłoń kładąc, zaszeptał:

— Biedna ty... srogo ty już naubocz zeszła... dla strasznie krętej ścieżki gościniec opuściła... Salka, Salka! coś ty zrobiła?

— To mnie puść! — ręce z rąk jego wyrwać usiłując, krzyknęła — co zrobiłam, to zrobiłam, moja rzecz! moja bieda! Jużbym była naprawiła wszystko, żebyś mię nie zatrzymał! Skądś ty się tu wziął? Co cię tu przyniosło! Puść!

Ale on puszczać jej ani myślał. Niktby też spodziewać się nie mógł, aby jego palce takimi żelaznymi obręczami być mogły, jak te, któremi ręce Salusi obejmował.

— Topić się chciałaś... — mówił — koło stawu chodziłaś... najbliższej drogi szukałaś do przełomki... oj, Salka! Salka! Salka! A skąd ja tu wziął się! Ich zwiodłem... w drugiej stronie cię szukali, potem okolicę przetrząsać zaczęli, a ja jeden wiedziałem, gdzie ty poleciała... Wiedziałem... zgadłem... i pomyślałem sobie? Albo tam wszystko dobrze pójdzie, to uspokoję się i pocieszony do chaty powrócę, albo, broń Boże, zły przypadek jaki, ku pomocy stanę... A tu, ot jaki przypadek!

Salusia zalkała; pierwsze, od kiedy tu przyszła, łzy, rzadkie, palące z oczu jej popłynęły. Już rąk nie wyrывała, a on, nie wypuszczając ich z dłoni, mówił:

— I potrzebną okazała się moja pomoc... a ot, jaką ona będzie... Teraz, ty taka biedna, że już i ja odważę się radę tobie dać, już i moja rada dla ciebie dobra... Nie trza, aby żywa dusza dowiedziała się kiedykolwiek, że ty tu byłaś. Na sanki ze mną sidziesz i do młyna cię zawiozę, do mojej siostry. Ona niezła kobieta i mnie wdzięczność winna, a ja jej i prosić nie będę, aby ciebie przystojnie przyjęła, ale każe i posłucha. Jej powiem, żem cię z Tolloczek przywiózł, a w Tolloczkach znowu, że poleciałaś do mojej siostry i tam siedzisz... Posiedzisz troszkę u niej, tydzień, dwa, trzy... o półtorej mili i wiatr ci żadnych głosów z Tolloczek nie przyniesie... uspokoisz się, odpoczniesz... a ja do Końcowej pojadę z prośbą, aby wybaczyła siostrze i wzięła ją do siebie... Wybaczy pewno, weźmie, w mieście rozweselisz się, robotę sobie jaką wynajdziesz, dobry los może kiedykolwiek spotkasz... Tak ja sobie wszystko przez drogę od miasteczka wykombinowałem, i tak będzie! chodź! na sanki siadaj! pojedziem.

Pociągał ją za sobą, ale ona znowu opierała się i z całej siły wyrывać się mu zaczęła.

— Nie chcę! — wołała — nie chcę, nie chcę! Nigdzie nie chcę! Tu pozostanę, gdzie on jest! Do przełomki wskoczę i tu pozostanę, gdzie on jest! Puść!

— Nie, Salka! nie puszczę!

— Puść! — wołała, a czując, że on ją, zmęczoną i osłabioną, zwycięży, prosić zaczęła:

— Gabrys, kochany, miły, drogi, złotny, puść! Już nie do przelomki skoczę, tylko tam... tam... pod okno... raz jeden na niego spojrzę... jeden razik jeszcze, ostatni... a potem z tobą pojedę... Puść!

Lkała i. aż ku ziemi przysiadając, opierała się mu i wyrывała.

Wtedy on, takim głosem, jakiego nigdy nie miał, twardym i srogim, wymówił:

— Nie trzeba! Nie trzeba serca daremnie szarpać! Nie trzeba nasuwać się ludzkim oczom, które zdrajcami sekretu być mogą!

A gdy jeszcze wyrывała się, prosiła i prawie krzyczeć zaczynała, obu ramionami ją objął, jak dziecko z ziemi podniósł, tak do siebie przycisnął, że najmniejszego ruchu zrobić nie mogła, i ku saniom poniósł. Kiedy posadził już ją na saniach, króciutką chwilę stał o krawędź ich oparty, z głową spuszczoną, jakby mu sił albo tchu zabrakło, i żadnej światło niebieskie ani ziemskie nie oświecało wyrazu męki, która twarz mu okrywała. Rychło jednak lejce od drzewa odjął i obok niej siadł na sankach, które z tak cichym szelestem, że go nawet psy nie dosłyszały, wysunęły się za bramę.

Jechali leśną, szeroką, ciemną drogą, którą ona tylko co przedtem przebywała, posuwali się powoli, bez wstrząśnień po dobrze ujeżdżonym śniegu. Salusia, w skraj chustki, którą na głowie miała, twarz ukrywając, zcicha, głęboko, długo płakała, aż niezmierne zmęczenie płacz nawet w niej załamało: uciszyła się zupełnie. Cicho też było w lesie, tak ciemno, że droga pomiędzy dwiema czarnymi ścianami, pod chmurnem niebem, biała jak rozciągnięta na dnie otchłani. Po wierzchołkach czarnych ścian szły przyciszone szумы, niby gwary szeptów i wzdychań, niby złe wieści, albo proroctwa, przesyłane od ziemi chmurnemu niebu.

Ujechali już wiorst kilka, gdy Salusia pochyliła się i jedną z trzymających lejce rąk Gabrysia pocałowała. On parę razy po głowie ją pogłaskał i łagodnie ku swemu ramieniu przechylił.

— Zaśnij! — rzekł — odpocznij!

Czy usnęła, czy też rozmyślała? — nie można było dostrzec w ciemności, ale z głową na jego ramieniu opartą siedziała tak cicha, jak najgłębszy sen. A on, nietylko małego konika nie popędzał, lecz owszem powolny chód jego wstrzymywał jeszcze, aby sanki posuwały się, o ile podobna, bez

wstrząśnień i bez szelestu. — Wszystko jedno: przed świtem do młyna dojadą.

— Zaśnij, Salka! odpocznij!

Nie był starym; miał niewiele więcej nad lat czterdzieści, lecz oddałby całą resztę życia, choćby najdłuższego, za trzy dni z tą kobietą przeżyte pod jednym dachem, z ustami przy ustach, z duszą przy duszy. Nigdy jednak tego jej nie powie. Zbyt biednym jest, sponiewieranym, w biedzie i poniewierce przed czasem zestarzałym, aby śmiał zażądać dla siebie jej pięknej, bujnej, kwitnącej młodości. Gdyby nawet oddała mu ją sama, nie przyjąłby tej ofiary. Pomimo to, od hańby, rozpaczy, samobójstwa, uwozi ją pod uczciwy dach siostrzany, z takim szacunkiem, jak świętą, tak troskliwie, jak chore dziecko. A dla siebie, oprócz tego, aby ona teraz pocieszoną i kiedykolwiek jeszcze szczęśliwą być mogła, głupi Gabryś niczego więcej nie spodziewa się i nie wymaga — niczego!
